DMITRY GLUKHOVSKY

CZAS ZMIERZCHU

Powieść autora METRA 2033 i FUTU.RE
nagrodzona UTOPIALES EUROPEAN AWARD

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

DMITRY GLUKHOVSKY

CZAS ZMIERZCHU

z rosyjskiego przełożył

Paweł Podmiotko

insignis

Tytuł oryginału *Сумерки*
Copyright © Dmitry Glukhovsky, 2007–2017
All rights reserved. The moral law of the authors has been asserted

Przekład z języka rosyjskiego Paweł Podmiotko
Ilustracje Anton Greczko
Grafika okładki © LERAF | leraf.com
Redaktor prowadzący Piotr Mocniak
Redakcja Dominika Pycińska, Danuta Porębska
Korekta Antonina Mocniak, Julia Diduch, Pracownia 12 A
Konwersja Tomasz Brzozowski

Copyright © for this edition Insignis Media, Kraków 2017
Wszelkie prawa zastrzeżone

ISBN 978-83-61428-74-9

Insignis Media
ul. Lubicz 17D/21–22, 31-503 Kraków
telefon / fax +48 (12) 636 01 90
biuro@insignis.pl, www.insignis.pl
facebook.com/Wydawnictwo.Insignis
twitter.com/insignis_media (@insignis_media)
instagram.com/insignis_media (@insignis_media)
Snapchat: insignis_media

Capítulo II

(Capitulo II)

Podchwytliwe pytanie: gdzie w Moskwie znajduje się ulica Itzamny?

Rozumując zdroworozsądkowo, w tym mieście nie ma miejsca na aleje, bulwary i place nazwane na cześć bóstw Majów. A jednak trzymałem w dłoniach karteczkę z adresem „ul. Itzamny 23” i tam mnie oczekiwano. Od tego, jak szybko zdołam odnaleźć tę ulicę, zależało coś o wiele ważniejszego niż tylko mój własny los.

Głupotą byłoby myśleć, że na planach i w atlasach samochodowych Moskwy oznaczono wszystkie istniejące zaułki i budynki. Sekretnych miejsc jest tu pod dostatkiem. Nadzieja na odnalezienie ulicy noszącej imię głównego boga majańskiego panteonu nie opuszczała mnie jednak i wciąż, z lupą w ręce, przeczesywałem ogromną topograficzną mapę miasta.

…

Trzeba było po prostu nie brać tego zlecenia. Dalej spokojnie tłumaczyć regulaminy przedsiębiorstw, instrukcje obsługi sprzętu gospodarstwa domowego, umowy na dostawę drewna… To, czym zawsze zarabiałem na życie. Mało tego, hiszpański nigdy nie był moją najmocniejszą stroną. Ale tamtego dnia nic więcej mi nie pozostało: kiedy położyłem na brunatnym wypolerowanym biurku ściśnięte gumką cieniutkie teczki z przetłumaczonymi umowami, pracownik biura tłumaczeń odliczył moje honorarium i rozłożył ręce.

– To na razie wszystko. Więcej nie przynoszą. Niech pan spróbuje zajść po weekendzie… – I odwrócił się w stronę komputera, gdzie cierpliwie czekał na niego tak lubiany przez wszystkich biurowych nierobów pasjans.

Znam go już jakieś trzy lata – od kiedy zaczął tu pracę. I do tej pory ani razu nie decydowałem się nalegać, kiedy ot tak, obojętnie, oznajmiał, że co najmniej przez tydzień zostanę bez pieniędzy. Ale tym razem coś we mnie pękło i powiedziałem:

– Czyżby zupełnie nic nie było? Proszę jeszcze sprawdzić… Wie pan, akurat przyszedł rachunek, nie bardzo wiem, jak mam go zapłacić.

Oderwał się od ekranu zdziwiony moją natarczywością, potarł niskie czoło i spytał przeciągle z powątpiewaniem w głosie:

– No cóż, z hiszpańskiego pan nie tłumaczy?

Rachunek rzeczywiście leżał na moim stole i jego czterocyfrowa suma końcowa zmuszała mnie do podjęcia ryzyka. Trzy lata nauki języka hiszpańskiego na uniwersytecie, który skończyłem piętnaście lat temu… Ogromne aule, okna z zamglonymi szybami, duszący kredowy pył unoszący się nad podrapaną tablicą, bezużyteczne archaiczne podręczniki uczące języka Cervantesa na przykładach oficjalnych kontaktów sowieckich obywateli Iwanowa i Pietrowa z señorami Sanchezem i Rodriguezem. *Me gustas tú*. I to by było wszystko. Ale to nic, mam w domu słownik…

– Tłumaczę – skłamałem nieśmiało. – Od niedawna.

Tamten jeszcze raz obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem, ale podniósł się jednak z krzesła, poszurał do sąsiedniego pokoju, w którym przechowywali dokumenty, i wrócił z ciężką skórzaną aktówką z na wpół wytartym złotym monogramem w rogu. Czegoś takiego jeszcze tu nie widziałem.

– Proszę. – Z respektem położył ją przede mną na biurku. – Nasz „Hiszpan” coś się spóźnia z pierwszą częścią tłumaczenia, a tu już drugą przynieśli. Jak będziemy czekać, to boję się, że stracimy klienta. Więc niech pan się pospieszy.

– A co to? – Wziąłem ostrożnie aktówkę do rąk i sprawdziłem, czy jest ciężka.

– Jakieś papiery… Wydaje mi się, że archiwalne. Nie przyglądałem się specjalnie, i tak mam co robić – spojrzał przelotnie na monitor, na którym czekała na niego rozłożona talia kart i licznik odmierzał upływ czasu.

Za zlecenie płacili trzy razy więcej niż zazwyczaj, więc wziąłem szybko tekst, żeby zniknąć, zanim pracownik biura zdąży się rozmyślić. Aktówka miała tak luksusowy i arystokratyczny wygląd, że nie chciałem chować jej

do swojej podartej teczki – z jakiegoś powodu przypomniał mi się wiecznie głodny Timm Thaler, który zwymiotował po tym, jak pierwszy raz spróbował drogiego tortu z kremem.

Zagubione w zaułkach Arbatu biuro tłumaczeń mieściło się w starym budynku z bali, w którym wcześniej znajdowała się biblioteka dla dzieci. Bywałem w niej jeszcze jako malec, przychodziłem z babcią po książki o podróżach dookoła świata czy katowanych przez faszystów bohaterskich pionierach. Dlatego teraz cotygodniowe odwiedziny w biurze miały w sobie jakąś nostalgię, były niczym wyprawa do porzuconego, pordzewiałego wesołego miasteczka dla człowieka, którego rodzice przed trzydziestu laty przyprowadzali w to miejsce na karuzelę. Aromat starych książek, który wniknął w obicia i drewniane ściany, przebijał się przez ostry zapach dokumentów biznesowych i słodkawą woń rozgrzanego plastiku, unoszącą się znad komputerów. Dla mnie to biuro pozostało biblioteką dla dzieci… I to pewnie dlatego na początku nie byłem zaskoczony, kiedy zabrałem się do tłumaczenia treści kartek ze skórzanej aktówki.

Wystarczyło raz na nie spojrzeć, żeby zrozumieć: zostały wyjęte z książki – nie wyrwane, ale właśnie precyzyjnie wyciągnięte; cięcia wykonano z chirurgiczną precyzją, przed oczami stawała dłoń w gumowej rękawiczce prowadząca skalpel po starym tomie rozłożonym na stole operacyjnym. Nie widziałem niczego dziwnego w takim pietyzmie – rozcięta w nieznanych celach książka była z pewnością prawdziwym skarbem. Na oko stronice miały co najmniej dwieście lat. Mocny papier, z upływem czasu miejscami przebarwiony na kolor piasku, jednak bez oznak butwienia, pokrywały nieco nierówne rzędy gotyckich liter – jak się zdawało, drukowanych, chociaż niektóre różniły się między sobą.

Stron nie ponumerowano, a na tej, która leżała na wierzchu, widniało: „Capítulo II”. Rozdział pierwszy znajdował się widocznie u tłumacza, który zaczął pracować nad zleceniem przede mną, ale spóźniał się z jego oddaniem. Przyczyna takiego opóźnienia była jasna: wystarczyło, że

pobieżnie zaznajomiłem się z tekstem, żeby zwątpić, czy sam zdołam oddać przekład w terminie. Potrzebowałem kilku godzin tylko na to, by przywyknąć do nietypowej czcionki i wgryźć się w pierwszy akapit opornego, skostniałego ze starości tekstu.

Tymczasem za oknem zrobiło się całkiem ciemno. Coraz częściej pracowałem po nocach, kładąc się do łóżka dopiero o świcie i budząc się w drugiej części dnia. Kiedy mieszkanie pogrążało się w ciemności, zapalałem tylko dwie lampy – na biurku i w kuchni, i przez całą noc żyłem, przemieszczając się między tymi dwoma światłami. Przy ciepłym żółtym świetle czterdziestowatowej żarówki myślało się o wiele lepiej: dzienne kłuło w oczy i pustoszyło czaszkę, w głowie nie pozostawały żadne myśli, chowały się gdzieś i czekały tam, aż nastanie wieczór.

Po przepracowaniu całej nocy zwykle kładłem się spać około piątej rano. Zaciągałem grube story, pozostawiając na zewnątrz pukające do nich pierwsze promienie słońca, dawałem nura pod puchową kołdrę i natychmiast zasypiałem.

Ostatnio miewałem dziwne sny: nie wiedzieć czemu widziałem swojego ukochanego psa, nieżyjącego od dziesięciu lat. We śnie pies oczywiście nawet nie podejrzewał, że umarł, i zachowywał się zupełnie jak żywy. A to oznaczało, że trzeba było go wyprowadzać na spacer. Podczas tych przechadzek czasem uciekał (kiedy żył, też bardzo rzadko brałem go na smycz – tylko po to, by przeprowadzić go przez ulicę), i wtedy przez dobry kawałek snu musiałem go szukać, wykrzykując na cały głos jego imię. Mam nadzieję, że sąsiedzi tego nie słyszeli. Nie zawsze udawało mi się odnaleźć psa przed przebudzeniem, ale to nie miało znaczenia: nim nadszedł następny poranek, sam znajdował drogę do domu i niecierpliwie czekał na mnie w drzwiach między snem a jawą, radośnie ściskając w zębach przyniesioną smycz. Tak się do tego przyzwyczaiłem, że jeśli nagle w którymś z moich snów się nie pojawiał, po przebudzeniu zaczynałem się niepokoić, czy coś mu się nie stało.

Wniknąć w sens dziesięciu pierwszych linijek nie było łatwo. Przynajmniej piątej części słów nie było w słowniku, a bez jego pomocy w ogóle rozumiałem tylko po dwa–trzy z każdego zdania. Do tego, nie wiedzieć czemu, każdy nowy akapit niezmiennie zaczynał się słowem „Iż”. Moją uwagę co chwila odwracały dziwaczne żółtawe smugi, którymi stulecia pokryły karty książki, ale pilnie zapisywałem na papierze znalezione przeze mnie terminy. Niektóre trzeba było potem zastępować, bo pierwszy z proponowanych odpowiedników okazywał się nietrafny. I najczęściej właściwe znaczenie oznaczone było skrótem „przestarz.”.

Już z pierwszego akapitu – i ta hipoteza potwierdziła się później, kiedy zacząłem się zatapiać w opowiadanej przez nieznanego autora zadziwiającej historii – wywnioskowałem, że tekst jest zapisem jakiejś ekspedycji w lesiste doliny Jukatanu, przedsięwziętej przez niewielki oddział Hiszpanów. Daty pojawiły się na kolejnych stronach: opisywane wydarzenia miały miejsce prawie pięć stuleci temu. Połowa szesnastego wieku… Podbój Ameryki przez konkwistadorów, pomyślałem.

Tekst w kształcie, w jakim przytaczam go poniżej i dalej, jest oczywiście owocem starannej korekty i kilku redakcji. To, co wychodziło spod mojej ręki na początku, było zbyt surowe i niezrozumiałe, bym decydował się pokazywać to innym bez obawy, że wystawię się na pośmiewisko.

Iż wedle wskazania brata Diega de Landy, przeora klasztoru w Izamal i głowy zakonu franciszkanów na Jukatanie, wyprawiliśmy się do jednej z oddalonych od Maní prowincji, ażeby zebrać i przywieźć z powrotem do Maní wszelkie manuskrypty i księgi z dwóch położonych w tej okolicy świątyń.

Iż wraz ze mną wyruszyli szlachetni señorzy Vasco de Aguilar i Jeronimo Nuñez de Balboa z Kordowy, a pod naszym dowództwem czterdziestu pieszych i dziesięciu konnych żołnierzy, i dwie podwody zaprzężone w konie, w których mieliśmy przywieźć do Maní wszelkie manuskrypty i księgi, a także przewodnicy spośród ochrzczonych Indian, którzy mieli wskazać, gdzie położone są owe świątynie, a także brat Joaquín, mnich, poza zakonem znany jako Joaquín Guerrero, którego to przydzielił do nas brat de Landa.

Iż szlak nasz prowadził na południowy zachód, w kraj słabo zbadany, a że map wiarygodnych nie posiadaliśmy, stąd brat Diego de Landa rozkazał, by poszło z nami tylu

żołnierzy, narażając nawet bezpieczeństwo Maní. I że przewodników wyprawił najbardziej niezawodnych, spośród swych własnych tłumaczy; wszystkich trzech brat Diego de Landa chrzcił sam; i że pierwszy zwał się Gaspar Chu, drugi Juan Nachi Cocom, a trzeci Hernán González; dwaj z ludu Majów, żyjącego na Jukatanie, trzeci zaś – Hernán González – mieszaniec: z ojca Hiszpana i matki Mai.

Iż zanim oddział nasz wyruszył z Maní, wezwał mnie brat de Landa do siebie, wyjaśnił zadanie i jego wagę i oznajmił, że oddział nasz był ledwie jednym z wielu, które on, brat de Landa, rozesłał z Maní we wszystkie strony świata z rozkazem odnalezienia i zebrania wszelkich ksiąg i manuskryptów napisanych przez Indian i skrywanych przez nich w różnych miejscach. I że wyprawiły się takie oddziały na wschód do Chichén Itzá i na zachód do Uxmal i do Ecab, i w inne miejsca. I że brat de Landa sprawdził potem, czy nie stoi kto za drzwiami i nie podsłuchuje naszej rozmowy, i powiedział mi cicho, że na naszym oddziale spoczywa najbardziej odpowiedzialne zadanie; że oddani ludzie donieśli mu, jakoby w oddalonych miejscach nawet ochrzczeni Indianie wciąż czcili swych starych bogów, a ich księgi skłaniają ich, by odwracali się od Chrystusa. I dlatego, mówił brat de Landa, podjął on decyzję, by odebrać Indianom wszystkie ich manuskrypty, a potem i idole, gdyż poprzez nie kusi ich diabeł. I że jeśli teraz temu nie przeszkodzimy, wkrótce rozproszeni Majowie zdołają się zjednoczyć, odrzucą Chrystusa i obrócą się ku swym szatańskim bożkom; i czeka wtedy Hiszpanów nowa wojna, przy której zbledną wszystkie nieliczne potyczki, jakie miały miejsce przy podboju Jukatanu. I że wielkie zbiory manuskryptów są na północnym zachodzie i północnym wschodzie, w porzuconych miastach Majów, ale według relacji oddanych mu ludzi najważniejsze z nich znajdują się parę tygodni drogi na południowy zachód od Maní, opowiadał Diego de Landa.

Iż wyprawił tam brat de Landa mnie i señorów Vasco de Aguilarę, i Jeronima Nuñeza de Balboę, i jeszcze brata Joaquína. I że przez wzgląd na to, iż miejscowość ta była jeszcze niezbadana, przydał nam tych samych oddanych ludzi, co donieśli mu o świątyniach na południowym zachodzie.

Iż oddział nasz opuścił Maní w wyznaczony dzień, 3 kwietnia roku Pańskiego 1562, i ruszył na północ, nie wiedząc, co stanie się jego udziałem, i nie podejrzewając, jak niewielu z tych pięćdziesięciu ludzi zdoła powrócić z wyprawy, zachowując życie.

Oderwałem się od kartek i zostawiłem ołówek w słowniku jako zakładkę. W ciemnym lustrze okna odbijała się moja twarz: rozczochrane włosy (za każdym razem wplatałem w nie dłoń, starając się znaleźć właściwe słowo), miękki i dość bezkształtny nos, krągłe policzki, dobrze już zauważalna linia drugiego podbródka… Po przekroczeniu granicy trzydziestu lat wiele razy obiecywałem sobie, że zadbam o swój wygląd. W tym wieku kontrolowanie

wagi staje się jednak coraz trudniejsze – ciało zaczyna realizować zapisany w nim program, którego cel zdecydowanie rozmija się z twoim, i każda odrobina jedzenia tylko szuka okazji, by się odłożyć w gwałtownie rosnących fałdkach tłuszczu, przypuszczalnie gotując się na szykującą się kiedyś czarną godzinę. A po rozwodzie to już w ogóle się zapuściłem…

Z radością zamieniłbym swoje rysy na czyjekolwiek – do tego stopnia mi obrzydły. Po trzydziestym piątym roku życia w ludzkiej twarzy pojawiają się pierwsze zapowiedzi tego, jak będzie wyglądała na starość. Wznoszące się nad czołem zakola rysują szkic przyszłej łysiny; zmarszczki przestają się wygładzać, kiedy pochmurną minę zastępuje wyraz spokoju bądź uśmiech; skóra drewnieje i coraz trudniej przebija się przez nią rumieniec. Po trzydziestym piątym roku wasza własna twarz zaczyna się zmieniać w *memento mori*, przypominanie o śmierci, które będzie z wami już zawsze.

Sam ciągle jestem zmuszony kontemplować swoją twarz: biurko stoi przy samym oknie, za którym, kiedy siadam do pracy, zwykle jest już ciemno. Czyste szkło odbija światło, wyglądając jak powierzchnia ciemnego leśnego jeziorka: oddaje kontury, ale pochłania kolory. A ja mam wrażenie, że kształt mojej twarzy, dobrze widocznej dzięki sąsiedztwu lampki na biurku, i mniej wyraźne zarysy mebli, zdobionego sztukaterią sufitu i ciężkiego brązowego żyrandola odbijają się wprost w gęstym nocnym powietrzu. A może tak naprawdę istnieją tam, za oknem, tym jaśniejsze i bardziej wyraźne, im silniejsze jest światło w moim pokoju? Ale nocą zwykle gaszę je w całym mieszkaniu, zostawiając włączone tylko lampy nad biurkiem i w kuchni.

Światło w mojej kuchni świeci nawet wtedy, gdy nie ruszam się z pokoju, i gaszę je dopiero wówczas, gdy zaczyna do niej zaglądać blade poranne słońce. Robię to niby po to, żeby było przytulniej, ale w tym mieszkaniu nie da się po prostu inaczej mieszkać.

Jest przestronne, stare, z wysokimi sufitami – nie można wymienić

przepalonej żarówki bez drabinki – pełne rozsychających się antykwarycznych mebli z karelskiej brzozy, których naprawa pochłonęłaby każde pieniądze, a niezwykle żal by mi było je sprzedawać. Mieszkanie dostałem w spadku po babci. Często brała mnie do siebie, kiedy byłem mały, dlatego kiedy odeszła, a mieszkanie przypadło mnie, stało się tak, jakbym wrócił do swojego dzieciństwa.

Dawniej, kiedy babcia była zdrowa, a ja przyjeżdżałem do niej i zostawałem na noc, nie opuszczało mnie wrażenie, że jej dom oddycha. Niegdyś myślałem, że nawet gdy babcia wychodzi na dwór, po kątach wciąż szepczą odpryski jej myśli, a w przedpokoju szeleści echo jej kroków. Teraz zdaje mi się, że mieszkanie po prostu żyje własnym życiem. Moje okna wychodzą na różne strony i dlatego po przedpokoju często hulają przeciągi, a niedokładnie zamknięte drzwi w środku nocy nagle zaczynają trzaskać. Bywa, że położony jakieś sto lat temu dębowy parkiet bierze się za poskrzypywanie, jakby ktoś po nim chodził. Klepki można oczywiście posmarować specjalnym środkiem, a okna zmienić na plastikowe, żeby wszystkie przywidzenia zniknęły, ale mnie to mieszkanie podoba się właśnie takie… Żyjące.

Zanim ponownie zatopiłem się w tłumaczonym tekście, jeszcze raz spojrzałem w okno. Coś mnie tknęło… Przez jakiś czas wpatrywałem się z zakłopotaniem w zarysy twarzy zatopionej w gładzi nocnego powietrza, aż udało mi się wreszcie zrozumieć, w czym rzecz. Człowiek w zwierciadle w nieuchwytny sposób różnił się od tego, który spoglądał na mnie ponuro z drugiej strony jeszcze wczoraj.

Różnica tkwiła w oczach. Zwykle nieco znużone, błyszczące szklistym blaskiem jak u wypchanych dzików i niedźwiedzi w słynnym sklepie myśliwskim na Arbacie, dziś zdawało się, że jaśniały światłem. Nic dziwnego: po raz pierwszy od wielu lat zająłem się pracą, która mnie zainteresowała.

Iż szlak nasz wiódł poprzez zielone i wielce malownicze łąki, które potem zastąpiła nieprzebyta selwa; i że tylko dzięki pomocy trzech naszych przewodników udawało nam się przedzierać przez zarośla, które stawały pośrodku drogi. I że dwu spośród Indian zawsze szło na przedzie oddziału i kiedy było to konieczne, swymi długimi nożami cięło pędy, czyszcząc drogę, a w ślad za nimi szło paru żołnierzy, chroniąc ich przed dzikim zwierzem i wrogiem. I że trzeci przewodnik szedł zwykle obok mnie, señora Vasco de Aguilary oraz Jeronima Nuñeza de Balboy.

Iż wyprawa nasza wypadła pod koniec pory suchej, po czym na Jukatanie i w innych częściach tych ziem zaczynają się miesiące deszczowe. I że nawet daleko od indiańskich siół w powietrzu unosił się zapach spalenizny, i słońce zaćmione było przez dym spalonych drzew i krzewów, gdyż w kwietniu i maju, zanim zacznie się pora deszczowa, Indianie wypalają rozległe partie selwy i zarośli, przygotowując je pod uprawę na przyszły rok. I że wszystkie równinne obszary ziem Majów są w tych tygodniach zasnute dymem, a potem przez całe sześć miesięcy padają ulewy, w grudniu zaś w ziemi użyźnionej przez sadzę i nawodnionej przez deszcze Indianie sadzą kukurydzę, która rośnie dobrze nad podziw, tak iż jeden rolnik może wykarmić dwudziestu ludzi.

Iż, posłuszni rozkazowi brata Diega de Landy, unikaliśmy znanych dróg, i dlatego poruszaliśmy się coraz wolniej. I że z początku chcieliśmy porzucić podwody i nakazać części naszych ludzi, by z nimi wrócili, ale potem przewodnicy wywiedli nas na stary trakt, ukryty przed wzrokiem postronnych rozrosłymi koronami drzew; i że przy trakcie napotykaliśmy posągi kamienne, wyobrażające baśniowe potwory, jakie widziałem w Maní nieopodal świątyń Majów. I że przejeżdżaliśmy także obok stel pokrytych drobniutkimi znaczkami, o których brat de Landa mówił mi w czasie jednej z naszych rozmów, jakoby znaczki te były literami jukatańskiego języka, które on pojął.

Iż w pierwszych dniach podróż nasza mijała bez przeszkód i trudności. Wioski indiańskie napotykaliśmy na swej drodze coraz rzadziej. I że po tym jak zagłębiliśmy się w selwę, więcej już żadnego człowieka nie ujrzeliśmy. I że dzikie bestie także nie niepokoiły nas, tylko raz nocą wartownik usłyszał nieopodal w zaroślach ryk jaguara, lecz mimo że mieliśmy ze sobą konie, zwierz nie poszedł za nami. I że prowadzący nas Indianie orzekli, że to dobry znak.

Iż jadła i dla nas, i dla zbrojnych, i dla przewodników starczało: wieźliśmy ze sobą suszone mięso i podpłomyki, a czasem przewodnicy zbierali dla nas w lesie jadalne rośliny, parę razy wyprawiali się też na polowanie, przynosząc zabite wyjce, a na czwarty dzień strzałą upolowali jelenia, którego mięso sprawiedliwie rozdzieliliśmy między zbrojnych, myśliwi zaś dostali dwa razy więcej.

Iż piątego dnia drogi, kiedy oddział nasz stanął na popas, przysiadł się do mnie jeden z przewodników, Gaspar Chu, i spytał szeptem, czy wiem, po co brat de Landa wysłał nas na tę wyprawę. A pamiętając o ostrożności, odrzekłem, że mamy nakazane odnaleźć pewne księgi i przywieźć je z sobą do Maní, a reszta jest mi niewiadoma. I że Gaspar

Chu długo patrzył na mnie, a potem odszedł, i zdało mi się wówczas, że nie uwierzył mi.

Iż nazajutrz, gdy jechałem na końcu oddziału, zamykając go i dbając o podwody, zwrócił się do mnie drugi przewodnik, mieszaniec Hernán González, i poprosiwszy mnie, bym zwolnił, tak iżby inni nas nie słyszeli, oznajmił, iż w niektórych prowincjach kraju Majów, w szczególności w Mayapan, Yaxuna i Tulum, hiszpańscy żołnierze palą indiańskie księgi i idole. I że ów Hernán González zapytał mnie, dlaczego tak czynią i czy nie dostałem podobnego rozkazu. I że choć domyślałem się teraz, po co brat Diego de Landa wysłał nas na tę wyprawę, odrzekłem jednak drugiemu przewodnikowi, tak jak pierwszemu, że brat de Landa nie nakazywał mi palić manuskryptów i posągów, a polecił jedynie, by przywieźć je nienaruszone do Maní, w jakim zaś celu, tego sam nie wiem.

Iż następnego dnia, podczas dyskusji z moimi kompanami, señorami de Aguilarem i Nuñezem de Balboą, odkryłem, że nasi indiańscy przewodnicy pytali ich obu o to samo, lecz ni jeden, ni drugi nie wiedział o celu naszej ekspedycji więcej ode mnie; ja zaś, będąc posłusznym nakazowi brata de Landy i słuchając głosu Anioła Stróża, nie opowiedziałem im o moich domysłach. I że potem wyjaśniło się, że domysły te były słuszne jedynie w części, prawda zaś okazała się o wiele bardziej niewiarygodna i mroczna, niż śmiałem myśleć…

Odłożyłem na bok kartki i słownik, popatrzyłem na zegar: wskazówki pokazywały wpół do drugiej w nocy. Zaschło mi w gardle; w połowie wieczornej pracy, około jedenastej, zwykle piję herbatę. Wstałem zza stołu i popłynąłem poprzez półmrok mego mieszkania do kuchni.

Wieczorna herbata to dla mnie rytuał, który bez względu na wszystko daje mi możliwość, bym na dwadzieścia minut zapomniał o tajnikach budowy pralek automatycznych i karach za niezrealizowanie dostawy kurzych udek.

Gotuję wodę na kuchence gazowej. Mój czajnik pasuje do mieszkania – tak samo stary i niezwykle sympatyczny – czerwony w białe groszki, z szerokim dzióbkiem, na który przed postawieniem na ogień trzeba nałożyć błyszczący gwizdek. Do zdejmowania go z gazu i podnoszenia pokrywki służy specjalna pikowana rękawica – czerwona, tak jak czajnik. Srebrną łyżeczką z zakręconą spiralnie rączką wybieram z papierowej torebki liściastą herbatę, którą wsypuję do przywiezionego przez kogoś dawno temu z Taszkientu granatowego porcelanowego imbryka ręcznej roboty.

Dwie łyżeczki pokruszonych listków wkładam do wymytego i wytartego

do sucha imbryczka, zalewam wrzątkiem, przykrywam i cierpliwie czekam długie pięć minut. Spod przykrywki i z dzióbka zaczyna się unosić wonna para, drażniąca węch, ale nie wolno się spieszyć – herbata jeszcze się nie zaparzyła.

Zwykle skracałem oczekiwanie, przeglądając kupione w ciągu dnia gazety, ale dzisiaj wszystko było inaczej. Z przyzwyczajenia otworzyłem wczorajsze już „Izwiestia” i mechanicznie utkwiłem wzrok w jednym z artykułów, lecz wydrukowane drobną gazetową czcionką litery nie potrafiły zatrzymać mojego spojrzenia; ześlizgiwało się z nich i gubiło między wersami. Nie udawało mi się wczytać w tekst; sens notatki prasowej przysłaniały mi widmowe sploty gałęzi i lian selwy, przez którą przedzierał się oddział Vasco de Aguilary, Jeronima Nuñeza de Balboy i samego bezimiennego autora opisującego wyprawę. Po kilku minutach złapałem się na tym, że patrzę tępo w miejsce między nagłówkiem a zdjęciem do materiału o gigantycznym tsunami w Azji Południowo-Wschodniej. Bez specjalnego zaciekawienia przejrzałem artykuł i złożyłem gazetę.

O wiele bardziej zajmowała mnie myśl, czemu człowiek, który wszedł w posiadanie tego przedziwnego tekstu, oddał go do najzwyklejszego biura tłumaczeń. Przez wszystkie lata mojej pracy dla tej firmy ani razu nie trafiło mi się nic podobnego; o ile wiedziałem, tego rodzaju książkami zajmują się zupełnie inni ludzie… Z pewnością jacyś docenci, ekstrahujący swoje dysertacje doktorskie z kolejnego doskonale zbadanego epizodu ekspedycji kolonizacyjnej Cortésa. Wątpliwe, czy takie wydawnictwa w ogóle opuszczają archiwa bibliotek akademickich, gdzie przechowuje się je pod szkłem, w specjalnym mikroklimacie. Można oczywiście założyć, że niektóre z tych książek zabłąkają się czasem do magazynów prywatnych antykwariatów, gdzie uda się je odnaleźć jakiemuś kolekcjonerowi… Ale jeśli ów kolekcjoner ma wystarczające środki, by taką pozycję nabyć, to po co oddaje ją w ręce nieznanych tłumaczy, którzy mogą zagubić lub

uszkodzić bezcenny egzemplarz? Dlaczego nie zaprosić jednego z tych właśnie uniwersyteckich docentów do siebie do domu, aby tam, z pełnym respektem przewracając kruche stare stronice, nie tylko przekładał tekst na rosyjski, ale i opatrywał niezbędnymi komentarzami? Dlaczego powierzać takie zadanie profanowi?

A już całkiem niejasne było, jak ów hipotetyczny kolekcjoner mógł bez cienia litości rozciąć takie dzieło. Czyżbym przeceniał jego wartość? Czy może właściciel nabył księgę już w takim stanie? A może po prostu nie chciał, żeby cały tom naraz znalazł się w rękach zbyt ciekawskiego czytelnika?

Herbata wreszcie się zaparzyła; przecedziłem ją przez sitko do mojego ulubionego kubka w kształcie dzbanuszka z wąską szyjką (tak wolniej stygnie) i pospiesznie wróciłem do pokoju, gdzie pod palącym się światłem lampki biurowej, w skrzypiącym skórzanym siodle, kołysał się, wciąż się nie przedstawiwszy, szlachetny señor, czekając z godnością, aż skończę swoje sprawy i znów do niego dołączę, żeby wysłuchać opowiadania do końca.

Iż w miarę jak podążaliśmy dalej na południowy zachód, oddział nasz napotykał coraz większe komplikacje; i że choć jadła wciąż starczało dla wszystkich, żołnierze poczęli szemrać. I że wziąwszy na spytki jednego z nich, dowiedziałem się, iż wielu słyszało już o celu naszej wyprawy i byli mu przeciwni. I że zarówno mnie, jak i señora Vasco de Aguilarę, i señora Jeronima Nuñeza de Balboę bardzo to zadziwiło, gdyż wszyscy przydzieleni nam żołnierze wypełniali wcześniej trudniejsze zadania; byli pośród nich i tacy, z którymi własnoręcznie spaliłem parę zbuntowanych wiosek.

Iż przesłuchiwany przez nas żołnierz niczego nie krył i przyznał, że przyczyna owego niezadowolenia tkwiła w rozpuszczonych przez kogoś pogłoskach, jakoby każdy z nas miał zostać przeklęty przez indiańskich bogów, jeśli położymy rękę na ich święte księgi. I że choć domyślałem się, kto owe pogłoski rozpuszcza, postanowiłem na razie tych ludzi nie karać, nie wymierzać także kary utyskującym żołnierzom. I że brat Joaquín rzekł mu tylko, aby ten nie lękał się drewnianych i kamiennych idoli, lecz raczej pamiętał o gniewie Pana, strasznym dla wszystkich, co zapomną o tym, kto po wsze czasy pozostaje Bogiem prawdziwym; i rzekł, iż Przenajświętsza Panienka obroni nas przed diabelskimi knowaniami, jeśliby szatan porwał się na chrześcijan poprzez indiańskie

bożki.

Iż kiedy ów żołnierz odszedł w zawstydzeniu, brat Joaquín nastawał, by go wychłostać, a tych, którzy rozpuszczali owe bezbożne pogłoski, odnaleźć i powiesić. Ale że tak ja, jak i señorzy Aguilar i Nuñez de Balboa nie zgodziliśmy się z nim w obawie przed buntem i nie chcąc tracić przewodników, gdy zaszliśmy już tak daleko w puszczę. I że w miejsce tego pod wieczór przywołałem do siebie mieszańca Hernána Gonzáleza i wyjaśniłem mu, że on i inni przewodnicy winni przestać rozgłaszać o czekających nas jakoby knowaniach indiańskich bogów i że tak jemu samemu, jak i Gasparowi Chu oraz Juanowi Nachiemu Cocomowi, jako ochrzczonym chrześcijanom, nie przystoi wierzyć w takie rzeczy, i zagroziłem mu stosem. I że ten zapewniał mnie, jakoby sam nigdy nie wierzył w bogów Majów i nie bał się ich, lecz zawsze pozostawał wierny Panu naszemu Jezusowi Chrystusowi i Przenajświętszej Bogurodzicy; odchodząc, odwrócił się jednak do mnie i rzekł szeptem, że nie wiem, co czynię.

Iż nazajutrz pogłoski ucichły, lecz zamiast nich nadeszło nowe utrapienie. Iż szeroka droga, którą podążał nasz oddział, poczęła się zwężać, póki nie stała się zwykłą ścieżką, którą pojedynczy koń z jeźdźcem mógł przejść, ale nie podwody. I że naradziliśmy się, po czym postanowiliśmy wycinać krzewy i drzewa po bokach ścieżki, aby zaprzężone w konie wozy zdołały jechać naprzód, traciliśmy na to jednak zbyt wiele czasu, i nawet gdy razem z Indianami gałęzie wycinali żołnierze, nie udało nam się przed zachodem słońca przejść więcej niż pół ligi.

Iż dlatego nazajutrz zdecydowaliśmy zostawić podwody pod strażą i z jednym przewodnikiem, wyciąwszy wokoło nich miejsce konieczne dla obrony na wypadek niespodziewanego ataku, i z dwudziestoma pięcioma ludźmi i dwoma Indianami wyprawić się dalej, ażeby zbadać okolicę i zobaczyć, jak szybko skończą się zarośla. I że na miejsce ich popasu wybraliśmy polanę, na której stało kilka kamiennych idoli, gdyż drzewa rosły na niej rzadko i mniej było pracy przy ich wycinaniu. I że na owej polanie pod komendą señora Jeronima Nuñeza de Balboy przy podwodach zostało dziesięciu kuszników i trzech zbrojnych z arkebuzami oraz dwóch konnych, a także Indianin Gaspar Chu, pozostali zaś poszli ze mną i señorem Vasco de Aguilarem.

Iż umówiliśmy się wrócić za trzy dni bądź wcześniej, czekać na nas zaś mieli nie dłużej niż tydzień, po czym wyruszyć z powrotem do Maní. Iż brat Joaquín pobłogosławił tych, co mieli zostać, i postanowił wyprawić się razem z nami. Iż rozbiliśmy obóz i pożegnaliśmy się z naszymi towarzyszami, i ruszyliśmy w drogę rankiem następnego dnia.

I że od tej pory nigdy już więcej nie widziałem szlachetnego i dzielnego señora Jeronima Nuñeza de Balboy i żadnego z pozostałych z nim żołnierzy, czy to żywych, czy też martwych.

Znów spojrzałem na zegar. Było już po piątej. Choć zwykle mniej więcej

o tej godzinie wstaję i idę do kuchni, żeby zrobić sobie kolację, tym razem nie czułem głodu; jedyne, czego chciałem, to dowiedzieć się, co było dalej.

Dopiero o wiele później pojąłem zamysł człowieka, który spisał te wydarzenia: opowiadana przez niego historia przypominała bagno. Wystarczyło w nią wkroczyć – przy czym wcale nie było konieczne, by czytać jego książkę od początku – i niemożliwe zdawało się przerwanie lektury, dopóki pozostawały jakiekolwiek nieprzeczytane strony. Autor rozmyślnie rozstawił pomiędzy wersami sidła, wabiąc nieostrożnego czytelnika obietnicami nadchodzących tajemnic, robiąc aluzje do wyjątkowości tego, co mu się przydarzyło, a przy tym nie pozwalając ani na sekundę zwątpić w prawdziwość opisywanych wydarzeń.

Coraz bardziej kusiło mnie, by przestać tłumaczyć tę historię akapit po akapicie i od razu przeczytać ją do końca. Zwykle tak właśnie robię, żeby najpierw pochwycić ogólny sens tekstu. Ale tu język był zbyt trudny i bałem się, że jeśli zacznę przeskakiwać przez nieznane słowa, których było więcej niż połowa, może mi się wymknąć jakiś drogocenny szczegół, klucz do zrozumienia dalszych zagadek.

I im dłużej czytałem, tym bardziej mi się wydawało, że przytrafiło mi się obcować z naprawdę niezwykłym dokumentem. Z jakiegoś powodu byłem całkowicie przekonany, że nie tłumaczę, powiedzmy, słynnej powieści przygodowej z osiemnastego czy nawet dziewiętnastego wieku, którą podłożył mi jakiś znajomy żartowniś. W tych stronicach, w tych literach, w tych zdaniach wszystko było autentyczne: i nierówno przycięty papier, i dostrzegalne pod lupą różnice między znakami drukarskimi, i skąpy, konkretny, oficerski język narracji.

Kiedy zastanawiałem się, czy warto iść do kuchni, żeby nastawić wodę na spaghetti, mój wzrok, niczym przyciągnięty przez magnes, sam wrócił na miejsce, w którym skończyłem tłumaczyć. Dylemat był rozwiązany.

Iż w miejsce, gdzie kończyła się selwa, dotarliśmy jeszcze przed nastaniem ciemności. I że gdy wyszliśmy z lasu, ujrzeliśmy, iż stoimy na wysokim brzegu nieznanej rzeki, nie

nazbyt szerokiej, lecz wartkiej, z nieprzejrzystą wodą zielonej barwy; i że na przeciwległym brzegu okolica jest odkryta i ziemia jedynie niewysoką trawą tam porosła, a w oddali widnieją góry o pionowych skalistych krawędziach.

Iż uradziwszy tak z señorem Vasco de Aguilarem, chcieliśmy ruszyć z powrotem wieczorem tegoż dnia i stanąć na popas, gdzie nas noc zastanie. Iż podczas naszej dyskusji z północnego wschodu, skąd przyszliśmy, dał się słyszeć daleki huk; a wziąwszy go za wystrzał z arkebuza, pomyśleliśmy, że to sygnał na trwogę dany przez towarzyszy naszych, co zostali z podwodami. Lecz kiedy jeden z przewodników wdrapał się na drzewo, aby spojrzeć, czy czego nie widać, oznajmił, że od strony, z której słychać było grzmot, idzie na nas burza.

Iż obaj Indianie i ci z żołnierzy, co nie pierwszy rok już na Jukatanie służyli, bardzo byli tym zdziwieni, albowiem do pory deszczowej kilka tygodni jeszcze pozostało i niepogoda była rzadkością.

Iż po pewnym czasie z północnego wschodu znów dał się słyszeć huk, lecz teraz bardziej grom przypominał, źródło jego bowiem było bliżej. I że przed upływem półgodziny czarne chmury spowiły niebo i nad owym miejscem, gdzie staliśmy, zaczęła się ulewa, a po niej burza.

Iż przez wzgląd na burzę tego dnia nie zdołaliśmy ruszyć w drogę powrotną, pozostać na nocleg postanowiliśmy zaś tam, gdzie staliśmy. I że wyszedłszy spod drzew, rozbiliśmy obóz. I że burza szalała całą noc, i pioruny błyskały wprost nad naszymi głowami; i że w jednego żołnierza, co wbrew rozkazowi skrył się pod drzewem, grom trafił, uśmiercając go. I że niemały strach to wywołało tak wśród Indian, jak i pozostałych żołnierzy.

Iż nazajutrz pogoda znów była dobra i słońce piekło mocno. I że zmarłego żołnierza pogrzebaliśmy po chrześcijańsku, a brat Joaquín odprawił nabożeństwo i pomodlił się za grzechów jego odpuszczenie. I że gdy wracaliśmy na miejsce, gdzie zostawiliśmy podwody ze strażą, żołnierze znów mówili o indiańskich bożkach i o piorunie, co trafił w ich towarzysza; i żeby przeszkodzić w rozgłaszaniu tych plotek, przez cały czas obu przewodników trzymałem przy sobie, jednakże żołnierze mimo to wciąż twierdzili swoje.

Iż drogę ku obozowi znaleźliśmy bez trudu, choć ziemia napęczniała od deszczu; lecz kiedy wyszliśmy na ową polanę, gdzie zostawiliśmy podwody i straż, nie było tam żywego ducha; i że nakazawszy wszystkim żołnierzom czekać nas na miejscu, ja, señor Vasco de Aguilar i dwaj Indianie zbadaliśmy zarówno polanę, jak i drogę, co od niej wychodziła w przeciwną stronę. I że nie natrafiliśmy ani na ślady walki, ani na porzucone rzeczy, ani na pozostawione znaki czy odciski kół wozów i końskich podków; i że puściłem się dalej galopem w nadziei, że odnajdę kogokolwiek z oddziału, lub bodaj jakieś ślady; po półgodzinie jazdy nikogo jednak nie napotkałem i zawróciłem.

Iż podczas mojej wycieczki przewodnicy odkryli to, czego nie dojrzeliśmy z początku: jeden z kamiennych idoli, stojący pośród drzew i ukryty w ich gęstym listowiu, okazał się

cały pomazany zaschłą krwią. I że pomyślałem o Indianinie Gasparze Chu, podejrzewając go o zdradę, i chciałem nakazać, ażeby pochwycić dwóch pozostałych, lecz zanim zdołałem to zrobić, wezwał mnie señor Vasco de Aguilar, który badał niewielką polanę nieopodal owej głównej.

I że na owej polanie stał wielki kwadratowy kamień z zagłębieniem pośrodku i żłobieniami idącymi od niego ku krawędziom; i na kamieniu tym leżał nasz przewodnik Gaspar Chu, a szaty były z niego zdjęte, pierś miał rozciętą i otwartą, serce zaś jego wyjęto i przepadło.

Iż umówiwszy się sami nic żołnierzom nie mówić, pod groźbą szubienicy zabroniliśmy robić to także przewodnikom, i pospiesznie miejsce to opuściwszy, nie oglądając się za siebie, ruszyliśmy ponownie na południowy zachód.

Za oknem szumiał deszcz, lecz w odróżnieniu od Jukatanu w porze suchej w październikowej Moskwie nie było w tym nic niezwykłego. Przewróciłem z nadzieją ostatnią kartkę, szukając początku następnego rozdziału. Na próżno: widniał tam jedynie odręczny chyba i dość niezdarny rysunek przedziwnego stwora. Był to szkaradny człowieczek z długim nosem siedzący z wyciągniętymi nogami i opartą na nich jedną ręką. Druga była wyciągnięta naprzód i odwrócona dłonią do góry; z karku zwisał mu naszyjnik z talizmanem. Pod obrazkiem widniał napis „Chac”. Nie znalazłem tego słowa w żadnym słowniku ani tej nocy, ani następnego dnia, kiedy poprawiałem i redagowałem tekst w bibliotece przed oddaniem go do biura.

Kiedy wszystko było gotowe, zaznaczyłem rysunek w tłumaczeniu jego nieprzekonującą kopią, opatrzoną w charakterze usprawiedliwienia podpisem „Rys. 1”, pozostawiwszy jego tytuł nieprzetłumaczony. Skrupulatnie włożyłem kartki do aktówki i przed jej zamknięciem jeszcze raz rzuciłem okiem na ostatnią z nich. Potworek na obrazku uśmiechał się uroczyście. Pospiesznie zamknąłem mosiężny zamek i zacząłem się ubierać.

Na moim biurku leżały dwie jednakowe sterty papieru: dwa przepisane na czysto i zredagowane egzemplarze tłumaczenia drugiego rozdziału książki, której tytułu jeszcze nie znałem, ale zamierzałem wyjaśnić to

w najbliższym czasie. Jeden z nich włożyłem do teczki razem ze skórzaną aktówką. W mojej umowie nigdzie nie było napisane, że nie mam prawa zostawić sobie kopii.

La Tarea

(La Tarea)

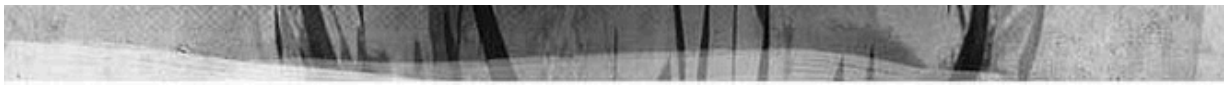

Deszcz zacinał w okna i smagał mój płaszcz zarówno tego dnia, jak i następnego, kiedy wracałem do biura tłumaczeń w nadziei, że dostanę następny rozdział książki. Należne mi honorarium zostało wypłacone w całości od razu, jak tylko oddałem aktówkę. Ale kiedy poprosiłem o kolejną partię, pracownik biura pokręcił głową.

– Jeszcze nie ma. Za to, przy okazji, mam tu parę umów na dostawę czekoladek i cygar. – Wyciągnął gdzieś spod stołu plastikowe koszulki z białymi kartkami o standardowych wymiarach i spojrzał na mnie z ukosa, oczekując, że jak zwykle rozpłynę się w pełnym wdzięczności uśmiechu.

– Umowy? Ach tak… Dziękuję. – Zmitygowałem się i wziąłem koszulki, lecz przebijające się w moim głosie rozczarowanie nie pozostało niezauważone.

– Nie za wszystkie zlecenia będzie pan dostawał potrójną stawkę – skomentował chłodno.

– Oczywiście… Zamyśliłem się, proszę mi wybaczyć. – Starałem się, by w mojej odpowiedzi pobrzmiewało poczucie winy, ale sam myślałem tylko o tym, że biorąc te umowy, stwarzam sobie wymówkę, żeby za kilka dni przyjść tu znów i dowiedzieć się, czy nie przyniesiono trzeciego rozdziału.

– Tak, zresztą… co tam było, w tej aktówce? Nie chciało mi się tam zaglądać, a teraz jakoś mnie to zaintrygowało. – Złagodniał, a w jego głosie usłyszałem ludzkie tony.

– W aktówce? Miał pan rację, całkowitą. Archiwalne dokumenty. – Udało mi się wreszcie wziąć w garść i zmusić do życzliwego uśmiechu.

– No tak, no tak… – Pokiwał głową urzędnik. – A wie pan – zawołał niepewnie, kiedy odwróciłem się już, żeby odejść – ten nasz „Hiszpan” w końcu nie oddał zlecenia… I telefonu nie odbiera.

Wymamrotałem słowa pociechy i pokonując schody, wybiegłem na ulicę. W środku działo się ze mną mniej więcej to co z małym dzieckiem, któremu obiecano na Nowy Rok wóz strażacki z migającym kogutem i syreną, a które dostało jakieś żałosne pudełko plasteliny.

Dlaczego sądziłem, że ciąg dalszy książki w ogóle istnieje lub że jej właściciel zechce zanieść go do tej samej agencji, która przez niedbalstwo tłumacza straciła cały rozdział tego skarbu? Zdecydowanie, gdybym był na jego miejscu, moja noga więcej by w tym biurze nie postała. Dlatego lepiej było po prostu przyzwyczaić się do myśli, że choć praca nad książką była zajmująca, to życie toczyło się dalej i bez niej. Koniec końców, jeśli świat Majów i kronika ekspedycji konkwistadorów okazały się dla mnie tak interesującym tematem, to czemu nie kupić sobie po prostu paru książek historycznych o Cortésie albo dziejach rdzennych mieszkańców Ameryki?

Ku swojemu zdziwieniu odkryłem jednak, że w żadnej porządnej księgarni nie da się kupić w miarę poważnej książki o podboju półwyspu Jukatan przez konkwistadorów. Były nędzne wydawnictwa w rodzaju *Zagadek tajemniczej cywilizacji Majów* pióra Reinharda Kummerlinga, lecz o samej cywilizacji nie było tam nawet pół słowa. Autor wykpił się marnej jakości zdjęciami jakichś skorup, ruin majestatycznych piramid i na wpół pochłoniętych przez dżunglę boisk do gry, a także szczegółowym wykazem tych porzuconych miast, w których wykonano poszczególne fotografie i wykopano eksponaty archeologiczne.

Znalazło się tam jednak coś, co sprawiło, że kupiłem tę książkę. We wstępie został mimochodem wspomniany biskup franciszkanin Diego de Landa, który okazał się postacią historyczną i rzeczywiście swego czasu był przeorem franciszkańskiego klasztoru w jukatańskim mieście Izamal. Krótko była też mowa o pewnej historii z *auto de fé* w Maní, za co ów de Landa został wezwany do Hiszpanii, gdzie jego sprawę rozpatrywały wyższe czynniki duchowne. Potem jednak uznano, że jego postępki nie były bezpodstawne, i de Landa wrócił na Jukatan, który stał się już jego ojczyzną, aby zgodnie z prawem objąć na starość stanowisko biskupa.

Intryga wokół przeora klasztoru Franciszkanów nie była niestety opisana bardziej szczegółowo, choć imię brata Diega de Landy wypływało jeszcze w kilku miejscach, głównie kiedy mowa była o rozszyfrowaniu znaków,

którymi posługiwali się Majowie. Był pierwszym Europejczykiem, który nauczył się je czytać.

Potem wprawdzie okazało się, że zestaw znaków, który zaproponował de Landa, błędnie uznany był za alfabet Majów. Starzec był przyzwyczajony do zapisu alfabetycznego i uznał, że musi z niego korzystać cały świat, w tym również mieszkańcy Jukatanu. Opracował szczegółowy system fonetyczny, w którym domniemane litery jukatańskiego języka odpowiadały dźwiękom dostępnym dla hiszpańskiego ucha. Książka *Zagadki tajemniczej cywilizacji Majów* przytaczała ten system w całości na dwustronicowej wkładce – najwidoczniej żeby po prostu zapełnić miejsce. Już na następnej stronie system de Landy był zdyskredytowany przez współczesnych lingwistów. Litery jukatańskiego języka okazały się hieroglifami, z których każdy przekazywał oddzielne znaczenie, a nie dźwięk.

Przypomniałem sobie upstrzone dziwacznymi znakami stele, obok których przejeżdżał oddział konkwistadorów, w przeczytanym przeze mnie rozdziale starej księgi. Autor relacji twierdził, że znał de Landę osobiście i ten nawet rzekomo mówił mu, że potrafi czytać po jukatańsku… Cała książeczka Kummerlinga o tajemnicach Majów była oczywiście nieprzydatną makulaturą, kolejną próbą sprzedania poszukiwaczom UFO i potwora z Loch Ness nieciekawych archeologicznych wykopalisk po opakowaniu ich w kolorowy papier. Ale pod tą skorupą kryło się bezcenne ziarenko, słodki rdzeń, który właśnie miałem nadzieję odnaleźć: potwierdzenie tego, że tłumaczona przeze mnie w takim upojeniu historia jest prawdziwa. W każdym razie jeśli występowały w niej realne postaci historyczne, to znaczy, że również sam autor i główny bohater opowieści z pewnością mógł się okazać żyjącym kiedyś człowiekiem, nie zaś owocem fantazji pisarza czy sprawnego mistyfikatora.

Wzmianki o Diegu de Landzie czyniły też bardziej prawdopodobnymi zniknięcie piętnastu hiszpańskich żołnierzy pod dowództwem Jeronima

Nuñeza de Balboy i straszną śmierć ich przewodnika. Nie było mi spieszno, by uwierzyć, że wiązało się to rzeczywiście z jakimiś zjawiskami nadprzyrodzonymi, i oczekiwałem, że w kolejnych rozdziałach opowieści jej autor odkryje, co naprawdę się wydarzyło.

Szybko przekartkowałem do końca kupioną książkę o tajemnicach Majów, lecz nie napotkałem już niczego ważnego. Postawiłem ją na półce i zabrałem się do tłumaczeń, obiecawszy sobie, że następny wolny dzień poświęcę na dokładniejsze przestudiowanie historii konkwisty i geografii półwyspu Jukatan.

Na czekoladkach i cygarach zeszły mi trzy noce. Można by się było z nimi uporać i szybciej, ale świadomie odraczałem termin w nadziei, że kiedy przyniosę gotowe zlecenie, gruba skórzana aktówka ze złotym monogramem będzie już zalegać w biurze.

Moje odbicie w nocnej szybie znów przybrało zwykły wygląd. Znużony opisem normy GOST dla słodyczy i zastrzeżeniami dotyczącymi dopuszczalnej zawartości konserwantów, walczyłem ze snem, nalewając sobie mocnej czarnej herbaty, zaparzonej z podwójnej porcji liści. Zamiast artykułów w gazecie codziennej mówiących, że liczba ofiar tsunami w Azji osiągnęła kilkaset tysięcy ludzi, znów widziałem fantazyjne kształty dawnych liter, a słysząc żałosne poskrzypywania rozsychających się starych mebli, roiło mi się skrzypienie olinowania na masztach hiszpańskich karawel.

Mój mały fortel się powiódł: gdy następnym razem przyszedłem do biura z wymęczonymi przekładami rosyjsko-brytyjskich umów handlowych z angielskiego na rosyjski, napotkałem wzrok pracownika agencji. Ten, inaczej niż zwykle, nie siedział przy komputerze wpatrzony w talię kart, lecz z zakłopotaną miną chodził po swoim ciasnym boksie za ladą.

– Mam dla pana robotę – oznajmił, kiedy tylko przekroczyłem próg.

– Instrukcje czy regulaminy? – uściśliłem zrezygnowanym tonem.

– Przyszedł zleceniodawca, dla którego pracował pan wcześniej.

Hiszpański tekst, pamięta pan? Bardzo chwalił pańskie tłumaczenie. Nalegał, żeby następną część dać koniecznie panu. Tak… i jeszcze prosił, żeby podnieść panu stawkę do poczwórnej. Powiedział, iż jest niezmiernie ważne, żeby tekst przekładał właściwy człowiek, a na to nie żal pieniędzy czy coś w tym duchu.

– A nie będzie pan miał nieprzyjemności z powodu straconej pierwszej części? – zainteresowałem się mimochodem.

– Proszę sobie wyobrazić… Powiedział, że nie ma powodów do zdenerwowania. Niby, że on… Nie, powiedział „my”, czyli oni. Oni sami ją odszukają.

Skinąłem w milczeniu. On też nie rzekł więcej ani słowa, w ciszy wręczając mi tę samą brązową aktówkę z zapięciami i utkwił wzrok w rachunkach. Uznawszy, że audiencja zakończona, pospiesznie się wycofałem.

Mój powrót na Jukatan dokonał się najbardziej uroczyście, jak to tylko możliwe. Przygotowałem sobie zawczasu herbatę i ciasteczka, nastawiłem stary odbiornik na jakąś hiszpańskojęzyczną radiostację, skryłem stopy w cieplutkich wełnianych kapciach i dopiero po tym wszystkim usiadłem wreszcie przy biurku. Po ciepłych słowach i jeszcze mocniej grzejącej serce premii, na którą zasłużyło moje tłumaczenie, nie zdziwiłbym się, gdybym ujrzał w teczce zalakowaną kopertę z listem wyjaśniającym cel i wagę tej pracy. Ale wewnątrz leżał tylko stos precyzyjnie wyciętych z książki pożółkłych kartek, na każdej z nich tłoczyły się znajome, nieco wyblakłe od upływu czasu łacińskie litery. Nagłówek na pierwszej stronicy, wydrukowany gotycką czcionką, brzmiał „Capítulo III”.

> Iż po opisanych w poprzednim rozdziale zadziwiających i strasznych zdarzeniach oddział nasz podążał dalej do południowo-zachodnich rejonów kraju Majów i szybko zdołał dotrzeć do owej rzeki, nad którą awangarda jego, pod dowództwem moim i señora Vasco de Aguilara, zatrzymała się dzień wcześniej; i że pogoda nam w tym sprzyjała, i ulewy, podobne do tej, która przeszła owego dnia, więcej się nie powtarzały, aż przyszedł ich wyznaczony przez naturę czas.

Iż wątpliwości i niezadowolenie w oddziale narastały, i żołnierze pytali, gdzie przepadły podwody i ich towarzysze pozostawieni przy owych podwodach. Iż z señorem Vasco de Aguilarem namówiliśmy się, aby odpowiadać im, jakoby pozostawieni z Jeronimem Nuñezem de Balboą postanowili wyprawić się z powrotem do Maní i jakobym widział ślady wozów i kopyt tam, gdzie korony drzew uchroniły je przed deszczem. I mówiłem także, jakobyśmy ja i Vasco de Aguilar znaleźli list od señora Nuñeza de Balboy, w którym objaśniał, że podjął decyzję o wyruszeniu i powrocie do Maní przez gorączkę, która wybuchła wśród jego ludzi. I że źródło owej choroby miało się znajdować nieopodal ich obozu, stąd też pośpiech, z którym nasz własny oddział porzucił to miejsce.

Iż wielu uwierzyło w tę opowieść, gdyż brzmiała ona wiarygodniej, aniżeli to, co odkryliśmy. I że prawdę przekazaliśmy jedynie bratu Joaquínowi, gdyż był on zaufanym brata Diega de Landy, wszystkim pozostałym zaś powiedzieliśmy o gorączce. I że wątpili w ową opowieść jedynie nasi przewodnicy, lękając się jednak kary, nie dzielili się swą wiedzą.

Iż po ponownym przybyciu nad rzekę, której nazwy nie pomnę, choć przewodnicy mi to wyjawili, pokonaliśmy ją bez trudności, przeprawiwszy się w płytkim miejscu; i że uprzedził nas Indianin Juan Nachi Cocom, iż w środku pory deszczowej rzeka ta wypełnia się wodą i przeprawa staje się rzeczą o wiele cięższą; trudniej też będzie przejść przez bagna, które zaczną się wkrótce za nią, dlatego nie wolno tracić czasu, i teraz, gdy nie ma już z nami podwód, należy z tego skorzystać i posuwać się szybciej.

Iż po utracie podwód, na których było też nasze zaopatrzenie, przyszło nam zdobywać jadło dla żołnierzy polowaniem, którym zajmowali się przewodnicy. I że najczęstszą zdobyczą były teraz ptaki, które łapali w sidła, kiedy oddział odpoczywał na popasie; czasem jednak udawało im się strzałą bądź dzidą, w które byli zbrojni, zabić nawet jelenia.

Iż po dwóch czy trzech dniach, kiedy to szliśmy w otwartym terenie, po raz pierwszy od ponad tygodnia napotkaliśmy na naszej drodze ludzi. I że ci przyjęli nas z niepokojem, choć mówili w tym samym narzeczu co nasi przewodnicy, i mogliśmy się z nimi porozumieć. I że choć nakazałem swym ludziom, by panowali nad sobą, i zabroniłem im tykać zarówno kobiet owych Indian, jak i ich dobytku, ci wciąż nie pozwolili nam wejść do swojej wioski. I że poprzez przewodników udało się wymienić niektóre z posiadanych przez nas rzeczy na mąkę kukurydzianą, podpłomyki i owoce; potem zaś Indianie zażądali, byśmy odeszli z ich wioski.

Iż wieczorem tego dnia na popasie zapytałem jednego z przewodników, mieszańca Hernána Gonzáleza, czemuż to owi Indianie tak się z nami obeszli, choć na żadną wioskę ich plemienia, jaką napotkaliśmy na naszej drodze, nie napadliśmy, i w ogóle z nikim się nie potykaliśmy. I że przypuszczałem, iż niedługo przed nami w tym kraju był jakiś inny oddział, który swym nieuzasadnionym okrucieństwem mógł ponownie podburzyć

przeciwko Hiszpanom Indian, poskromionych przed trzydziestu laty przez señora Pedra de Alvarada.

Iż Hernán González odrzekł mi, że żaden inny oddział hiszpański tych miejscowości nie odwiedzał już od długiego czasu, Indianie zaś dlatego tak się z nami obeszli, gdyż ich kapłani odkryli przed nimi, po co i dokąd idziemy. I że zlękli się klątwy swych bogów, jeśliby nam pomagali, tak jak będzie przeklęty również nasz oddział, jeśli uczyni to, co zamierza.

Iż chciałem rozkazać, aby wychłostać Hernána Gonzáleza za to, że wciąż powtarza swe bluźniercze pogłoski, lecz zmieniłem decyzję i darowałem mu, nakazawszy jedynie, aby nie mówił nikomu o tym, co usłyszał.

Tym razem byłem zdecydowany, by przeciągnąć przyjemność w czasie. Po co miałbym od razu połykać całą porcję moich jukatańskich przygód? Teraz, kiedy doczekałem się kolejnego rozdziału, mogłem sobie pozwolić, by smakować go, jak należy, przemyśleć to, co przeczytałem, wyobrażać sobie dalszy rozwój wydarzeń.

Odłożyłem kartki z pietyzmem, wstałem i poszurałem do kuchni. Póki moi konkwistadorzy zatrzymali się na popas, i ja mogłem sobie pozwolić, by coś przekąsić. Dziczyzny ani mięsa upolowanych wyjców jak na złość nie było w lodówce; trzeba było zadowolić się kartoflami. Przygotowałem je według francuskiego przepisu na *grattin dauphinois*: najpierw ugotowałem, potem ostudziłem, pokroiłem, zalałem śmietaną, posypałem tartym serem i w tej postaci zapiekłem. Cała ta procedura pozostawiała mi całkiem sporo wolnego czasu, który mogłem wypełnić, jak chciałem. Nie znalazłem niczego bardziej zajmującego niż domyślanie się tego wszystkiego, co autor opowieści uznał za niewarte opisywania.

Granatowo-czarne, obce niebo, na nim gwiazdy i księżyc, zupełnie inne niż w ojczystej Hiszpanii… Ktoś mi mówił, że w Ameryce Łacińskiej nawet księżyc wygląda inaczej. O tym, że można na nim rozpoznać ludzką twarz, nikt tam nawet nie słyszał; cały kontynent jest przekonany, że księżycowe kratery i morza tworzą kontur królika. Z uszami. A gwiazdy są tam bliżej Ziemi.

Wąska, nie wiadomo kiedy i przez kogo wydeptana ścieżka, którą stąpali,

uchodząc z niegościnnej wioski. Niepewna, fałszywa dróżka, czasem nieoczekiwanie urywająca się w zaroślach: trzeba ją oczyszczać, tnąc maczetą grube liany, które wypuszczają wonny, lepki sok. A ścieżka wnika w gąszcz głębiej i głębiej, rozwidla się, prowadząc swoimi odnogami w bagno, w ślepe zaułki, wabi w dziwaczne miejsca kultu, na polany, gdzie na nieostrożnych wędrowców czekają głodne kamienne idole i złe duchy. Chybotliwa, kręta, zawraca podróżników na dopiero co pokonany odcinek drogi – czy tylko tak się wydaje? Staje się całkiem niedostrzegalna – bo czy to jeszcze ścieżka, czy może zwykły prześwit między drzewami? – a potem nagle rozszerza się i widać, że niedawno ktoś nią szedł. Kto?

Selwa, ta tajemnicza, nieprzebyta puszcza, w której nieznane, zadziwiające drzewa rosną pień przy pniu, a całą ciasną przestrzeń między nimi wypełniają krzewy i powoje, gęsto przeplatane lianami. Węzłowate gałęzie drzew obwieszone są niezwykłymi, ciężkimi owocami – nadgryziesz jeden i twoja męska siła nie wyczerpie się aż do późnej starości, nadgryziesz drugi – umrzesz na miejscu w strasznych konwulsjach. Ledwo widoczne poprzez zarośla, ale przy tym wyczuwalne z odległości dziesiątek metrów ogromne, jaskrawe kwiaty doprowadzają swym aromatem do zawrotów głowy.

Oto las, którego w żadnym wypadku nie można uznać za coś nieżywego – w odróżnieniu od szczeciny krzywych sosenek, którymi porośnięte są wzgórza dalekiej Hiszpanii, od zmorzonych iberyjskim słońcem gajów oliwnych; ba, również od cherlawych lasków naszej flegmatycznej Rosji Centralnej. Selwa oddycha, porusza się, kipi życiem dniem i nocą, nie odstępując przybyszy na krok, obserwuje ich tysiącami oczu – pajęczych oczu, kocich, ptasich…

Selwa jest bowiem kwintesencją życia: w jej gęstwinie wciąż przychodzą na świat miliardy nowych stworzeń i miliardy umierają, pożerając się i wypijając nawzajem swoje soki, więdnąc i rozkwitając, poświęcając siebie, by odchować potomstwo, wypróżniając się, czerpiąc życiową

energię ze słońca, powietrza, krwi i mięsa, wody, nawozu, żeby, przeżywszy swój czas, użyźnić sobą tłustą, kipiącą od robaków glebę i odrodzić się znów – w innych istotach.

Zapiekając na niebieskawym gazowym płomyku kawałki ziemniaków w śmietanie, myślałem o szkarłatnym płomieniu, którym jaśniały ogniska Hiszpanów na polanach wyciętych w selwie pod obozowisko. Widziałem siedzących wokół ognia konkwistadorów, czerwonawe odblaski na ich ogorzałych, zahartowanych twarzach, porosłych gęstymi czarnymi brodami; widziałem błyski przebiegające po pogiętych stalowych hełmach. Oto señor Vasco de Aguilar: wyobrażałem sobie, nie wiedzieć czemu, że był rudy, kudłaty, przysadzisty, nieustępliwy i zdolny do chwycenia za rapier bez chwili wahania. Nie wiem, skąd w mojej głowie pojawił się ten obraz – do tej pory Vasco de Aguilar w żaden sposób się nie objawiał. Występował tylko jako niemal bezgłośny towarzysz autora zapisków.

Brata Joaquína widziałem jako człowieka wysokiego, przygarbionego, o bladych policzkach, z drapieżnie zagiętym jastrzębim nosem i niezdrowymi, nabytymi podczas długich nocy w klasztornej bibliotece kręgami pod czarnymi oczami, które prawie zawsze były zasnute mgłą zamyślenia, choć czasem rozpalał je bogobojny ogień. Szary mnisi habit z grubego płótna uszyty przez ascetycznych franciszkanów, sznur zamiast pasa.

Indiańskich przewodników w ogóle nie umiałem sobie wyobrazić. Ubierali się jak Hiszpanie czy może jak Majowie? A jak w ogóle ubierali się Majowie?

Najdziwniej było z samym autorem zapisków. Myśląc o nim, za każdym razem wyobrażałem sobie na jego miejscu siebie, ale ogorzałego i wychudzonego – zupełnie jak dziecko czytające książkę o Pogromcy Zwierząt lub Chingachgooku. Kiedy złapałem się na tej myśli, wzbudziło to moje mieszane uczucia – coś między lekkim wstydem a zadowoleniem z psoty; jakbym w tajemnicy bawił się zabawkami, które nie są już

przeznaczone dla osób w moim wieku, lecz wciąż jeszcze są źródłem żywej, dziecięcej radości.

Zebrałem kawałkiem chleba z patelni resztki serowo-śmietanowego sosu i skierowałem go do ust. Teraz najbardziej właściwe byłoby umycie po sobie naczyń, ale – co za pech – trąbka grała na zbiórkę. Stanowczo nie można było się ociągać i odstawać od oddziału.

Iż po upływie trzech tygodni, które spędziliśmy w drodze, oddział nasz pokonał nie mniej niż trzydzieści lig. I że ostatnie osiedle Indian, któreśmy widzieli, było tym samym, w którym zdołaliśmy kupić podpłomyki i mąkę, a nazywało się Hochob; zaś po nim znów wkroczyliśmy w selwę i zaczęła się bardzo trudna droga.

Iż z jadłem było coraz gorzej, i żołnierze znów zaczęli szemrać. I że niektórzy mówili, iż przewodnicy chcą nas powieść głęboko w las, gdzie na oddział czeka zasadzka i gdzie konie nie pomogą nam zwyciężyć w potyczce z Indianami. I że wspomnieli towarzyszy, którzy przepadli, i twierdzili niektórzy, iż wycięto ich w takiej właśnie zasadzce, a nie wrócili z powrotem do Maní; i że spośród wszystkich Hiszpanów tylko ja, señor Vasco de Aguilar i brat Joaquín Guerrero wiedzieliśmy, iż przewodnicy nie zdradzili nas, lecz stało się coś innego, czego zrozumieć nie jest nam dane i do czego szatan rękę przyłożył.

Iż wiele rozmyślałem o tym, co się wydarzyło, i szukałem dla tego wyjaśnienia, a także pytałem mojego towarzysza Vasco de Aguilara i brata Joaquína, jak mogą to wyjaśnić. O tym, że Indianie na Jukatanie i w innych częściach tej ziemi składają ludzi w ofierze, rozcinając im pierś i wyrywając serce, słyszałem już wcześniej, a i sam byłem tego świadkiem w jednej z wiosek; widziałem i głazy ofiarne na szczytach niektórych świątyń w mieście Chichén Itzá, dokąd zdarzało mi się przyjeżdżać na polecenie przełożonych.

Jednak jeśli pozostawieni z Jeronimem Nuñezem de Balboą zbrojni wpadli w zasadzkę zastawioną przez Indian, to gdzie sami zniknęli i dlaczego znaleźliśmy jedynie ciało przewodnika Gaspara Chu, nie było natomiast ciał żołnierzy ani trupów końskich, ani porzuconych podwód? Czy również żołnierzy ogarnęło szaleństwo i, podobnie jak Indianie, złożyli Gaspara Chu w ofierze, po czym skryli się i ulewa zmyła ich ślady?

Iż tego dnia i następnego, i w kolejnych kilku modliłem się razem z bratem Joaquínem o zbawienie dusz (poległych?) naszych towarzyszy i działo się tak, dopóki nie doszło do nowych wydarzeń, które sprawiły, iż zapomniałem tak o ich losie, jak i o wielu jeszcze innych rzeczach.

Iż za niedługi czas i ja, i señor Vasco de Aguilar poczęliśmy tracić cierpliwość i spytaliśmy Juana Nachiego Cocoma i Hernána Gonzáleza, czy długo mamy jeszcze iść i dlaczego droga musi wieść przez selwę oraz czemuż to ów gród ze świątyniami, o którym mówił mi brat Diego de Landa, położony jest w takiej głuszy, daleko od

najważniejszych opuszczonych miast, leżących, jak wiadomo, na północny wschód i północny zachód od Maní.

Iż Juan Nachi Cocom nie chciał z początku mówić, by w końcu jednak opowiedzieć, iż na południu, kilka lig od miejsca, w którym stanęliśmy na popas, rozpoczynają się zakazane ziemie Majów, gdzie ponoć znajdują się porzucone miasta ze świątyniami, które to mamy odnaleźć. I że dla Indianina świętokradztwem jest już to tylko, że wstępuje na owe ziemie z niegodziwą intencją, i ów czyn ducha, który nie lęka się pomsty indiańskich bogów. Lecz że on, Juan Nachi Cocom, jest ochrzczony i wierzy w Jezusa Chrystusa i Przenajświętszą Panienkę, i otrzymał na tę wyprawę błogosławieństwo swojego duchowego ojca, przeora Diega de Landy, oraz że dlatego to pójdzie z nami do końca, cokolwiek się stanie. I że mówiąc to, drżał jak w gorączce i płakał niczym dziecko.

Wprawdzie na razie nie miałem porządnej książki o historii Majów, ale za to na półce w przedpokoju stał doskonały atlas geograficzny, wydany w połowie lat sześćdziesiątych przez Akademię Nauk ZSRR. Ogromny, skazany był przez swoich twórców na poniżające dla każdej książki miejsce przechowywania – nie wcisnąłby się bowiem na żadną półkę, jaką kiedykolwiek widziałem, dlatego też kurzył się pokornie na podłodze obok regału. Jego stronice sięgały metra wysokości i żeby je przewracać, trzeba się było nieco wysilić. Każda z nich zawierała szczegółową mapę hipsometryczną określonego regionu, był tam również Jukatan.

Czemu ta myśl nie przyszła mi wcześniej do głowy? Teraz mogłem prześledzić trasę, którą przemierzał hiszpański oddział. Co prawda, mapy, które posiadałem, zostały stworzone kilka stuleci po opisanej przez nieznanego autora ekspedycji, jednak krajobraz przez ten czas raczej niewiele się zmienił. Oczywiście tysiące hektarów selwy wycięto i przeznaczono na pola kukurydzy i rancza dla bydła, ale rzeki i góry powinny były zostać na swoich miejscach.

Usadowiłem się z filiżanką herbaty na podłodze przed otwartym atlasem, na wszelki wypadek przyniosłem też *Zagadki* Kummerlinga, w których znajdowało się parę planów z oznaczonymi starożytnymi miastami i ciekawostkami archeologicznymi, i wraz z oddziałem pięćdziesięciu

hiszpańskich żołnierzy ruszyłem w drogę z Maní w kierunku niezbadanych terytoriów na południowym zachodzie.

W momencie naszego wyjścia ze starej stolicy Majów istniały już oczywiście mapy Jukatanu. Hernán Cortés kilkadziesiąt lat wcześniej podbił zamieszkałych w Dolinie Meksyku Azteków, ich zwierzęcemu okrucieństwu i perfidii przeciwstawiając jeszcze większe okrucieństwo, przebiegłość i wiarołomstwo, a potem jeszcze długie lata przemierzał Amerykę Środkową, tłumiąc bunty, grabiąc, gwałcąc i obwieszczając poganom, że są pod władzą Korony hiszpańskiej i Kościoła katolickiego.

Kummerling pisał jeszcze dodatkowo o niejakim Pedrze de Alvarze, o którym wspominał zresztą również autor tłumaczonego przeze mnie sprawozdania. Konkwistador ten wsławił się swoimi podbojami plemion indiańskich w Gwatemali i, zdaje się, w Hondurasie, skąd, przekraczając Kordyliery, dotarł także do Jukatanu.

I z nim, i z innymi wędrowali kartografowie, zatem w ciągu czterdziestu lat niektóre z tych terenów zostały całkiem dobrze poznane. Ale na południe od Maní zaczynała się taka głusza, że nawet rdzenni mieszkańcy półwyspu wyprawiali się tam wyjątkowo niechętnie.

Kiedy jeszcze raz przeczytałem drugi rozdział leżącej na moim stole opowieści, a potem porównałem go z mapami w *Zagadkach*, zaczął mnie ogarniać niejasny niepokój. Próbując się zorientować, ponownie przekartkowałem Kummerlinga, skrupulatnie zestawiając zawarte tam mapki z rozpostartą na ogromnych stronicach atlasu żółto-brązową papierową płaszczyzną Jukatanu, nieco wybrzuszoną na południu przez odnogi łańcuchów górskich.

Na próżno.

W okolicach, w które Juan Nachi Cocom i Hernán González prowadzili trzydziestu pozostałych przy życiu Hiszpanów, nie było żadnego starożytnego miasta ani nawet indiańskiej osady, która choć w najmniejszym stopniu zasługiwałaby na wzmiankę. Poza miejscowością

o nazwie Hochob, którą nie bez trudu udało mi się odnaleźć na mapie, cywilizacja, zdaje się, w ogóle tu nie dotarła.

Nawet w dwudziestym wieku terytoria te były w niewielkim stopniu zagospodarowane; w szesnastym, gdziekolwiek spojrzeć, na pewno ciągnęła się tylko pierwotna, dzika selwa, rozpostarta na tysiącach kilometrów kwadratowych, sącząca się setkami mętnych rzeczułek i pełna gnijących bagien, kryjąca nieopisane niebezpieczeństwa i gotowa połknąć każdego, kto ośmieli się wtargnąć na jej teren.

To pułapka! – o mało nie krzyknąłem.

Indiańscy przewodnicy nie mogli o tym nie wiedzieć; uprzedzając zdradę Iwana Susanina*, wiedli ufających im cudzoziemców na niezbadane i zabójczo niebezpieczne ziemie, gotowi przepaść tam razem z nimi. Juan Nachi Cocom kłamał i jego łzy były fałszywe.

Lecz co mogło sprawić, że nawróceni na chrześcijaństwo Indianie, którym przeor klasztoru w Izamal ufał jak własnym dzieciom, zgodzili się wypełnić jego polecenie, by potem zdradzić i jego, i wysłanych przez niego ludzi? Susanin poświęcił swoje życie, ratując przed okupantami i innowiercami carską rodzinę; za samobójczą zdradą mieszańca Hernána Gonzáleza musiał kryć się sekret o wiele mroczniejszy i bardziej niebezpieczny.

Dużo bym wtedy dał, żeby uprzedzić dwóch dowodzących oddziałem konkwistadorów. Tyle że gdybym był członkiem ich miniaturowej armii, oskarżyliby mnie, tak jak i pozostałych sceptyków, o rozpuszczanie niebezpiecznych plotek i wychłostali, tak aby innym się ich odechciało; a jeślibym się upierał, mogliby i powiesić.

Jednak nad zawzięcie wyrębującymi sobie drogę przez zarośla Hiszpanami gromadziły się coraz ciemniejsze chmury. Przytłaczające przeczucie, które mnie ogarnęło, stopniowo udzielało się też dowódcom oddziału, ale nie mieli oni map Kummerlinga i *Atlasu Świata* Akademii Nauk, by zdemaskować zdrajców. Zaczęli się wahać, kiedy zaszli już zbyt daleko, kiedy pewnie nie można już było wrócić i pozostało im tylko

oczyszczać sobie drogę maczetą, i przedzierać się przez gęstwinę na spotkanie losu.

Iż następnego dnia, w czas noclegu, na nasze obozowisko w ciemności napadli Indianie i bili się zaciekle, nie lękając się nawet salw z arkebuzów; i że trzech żołnierzy – Luisa Carbalia, Francisca Samarana i Francisca Curra – zdołali porazić śmiertelnie, a kolejnych czterech ranić; i że prócz nich nie doliczyliśmy się jeszcze dwóch, Juana Garcii i Pedra Velesa, którzy przepadli, najpewniej wzięci do niewoli na ofiarę.

Iż Hiszpanie także mężnie walczyli i zabili nie mniej niż dwudziestu Indian, a kilku wzięli do niewoli, by ich przesłuchać. I że jeńcy nie chcieli mówić, i nie rozumieli pytań, które zadawali im nasi przewodnicy, a między sobą szeptali w narzeczu naszym przewodnikom nieznanym. I że nie poczęli odpowiadać nawet na mękach, któreśmy im zadali, po czym jednego przebiłem rapierem sam, a dalszych dwóch zakłuli żołnierze.

Iż Luisa Carbalia, Francisca Samarana i Francisca Curra pogrzebaliśmy po chrześcijańsku i wykopaliśmy do tego celu groby, i nad każdym postawiliśmy krzyż wycięty z rosnących nieopodal drzew.

Iż rannym z naszego oddziału w kolejne dni się nie polepszyło, z trudem znosili drogę i gorączkowali. Iż brat Joaquín, obejrzawszy ich rany, rzekł, że są one skażone trucizną, którą Indianie pokrywają czasem groty swych strzał i włóczni; i rzekł, abyśmy modlili się o ich ratunek, gdyż bez cudownej ingerencji pomrą.

Iż wszyscyśmy tego dnia modlili się o ich uzdrowienie, zatrzymawszy się na popas. I że modlitwy nasze wysłuchane nie były, i wszyscy czterej ranni pomarli czy to tej, czy to następnej nocy, przed śmiercią zaś wołali tak, jakby diabeł sam przyszedł po ich dusze.

Iż przez ową stratę upadli na duchu niektórzy z naszego oddziału i znów zaczęli mówić o tym, że zadanie, które mamy wykonać, przywiedzie nas do zguby. Jednakże i ja, i Vasco de Aguilar, i brat Joaquín pamiętaliśmy o tym, jak ważne było jego wykonanie dla wzmocnienia Kościoła Świętego i dla położenia Hiszpanów na Jukatanie, i byliśmy przekonani, że należy iść dalej.

Iż gdy dnia pewnego siedziałem przy ognisku, podszedł ku mnie przewodnik nasz Juan Nachi Cocom i rzekł, że wstąpiliśmy już na owe ziemie, o których mówił mi wcześniej, i że Indianie, którzy nas napadli, bronią wejścia do nich. Iż nie rozumieją jukatańskiego języka, gdyż przybyli tu setki lat temu z innych ziem, daleko z północy; i że mówi się o nich, jakoby byli strażnikami pałacu najpotężniejszych królów miasta Mayapan trzysta lat temu, a po tym jak królowie zostali obaleni i uśmierceni, miasto padło, i porzucili je mieszkańcy, wojownicy z północy nowych panów sobie znaleźli, którym to od tej pory pozostają wierni.

Iż panowie ich władają zakazanymi ziemiami po dziś dzień, nawet dziesiątki lat po przyjściu Hiszpanów, i że prawdziwego ich imienia nie znają, lecz broniących tych ziemi

ludzi z północy zwą tak jak i niegdyś – *k’anul*, co oznacza „doborowi wojownicy”, gdyż w zaciekłości i odwadze nie mają sobie równych w całym kraju Majów.

Kummerling oczywiście nawet nie podejrzewał istnienia jakichkolwiek zakazanych ziem i broniących ich sekretów starożytnych wojowników. Ale akurat w tej kwestii bardziej ufałem jemu niż Juanowi Nachiemu Cocomowi. Było dla mnie zupełnie jasne, że obaj przewodnicy byli w zmowie, by zgubić Hiszpanów. Atak Indian, czy to byli *k’anul* czy ktokolwiek inny, był drugą pułapką zastawioną na szlaku ekspedycji konkwistadorów. W tej jednej nocnej potyczce stracili dziewięciu ludzi; oddział topniał w oczach, teraz pozostało w nim prawdopodobnie niewielu ponad dwudziestu mężczyzn, a cel podróży, jak się zdawało, nie przybliżał się.

Bardziej niż wszystko inne dziwiło mnie, że pomimo ciężkich strat ani dowódcy, ani Vasco de Aguilarowi, ani franciszkańskiemu mnichowi, który dołączył do nich, nie przyszło do głowy, aby zakończyć wyprawę i wrócić do Maní – nawet z pustymi rękami, lecz ratując pozostałych przy życiu ludzi. Choćby po to, by wezwać posiłki i na nowo skompletować przerzedzony oddział.

Czemu zaprawiony w bojach, doświadczony dowódca miałby ślepo ryzykować swoimi żołnierzami w imię wykonania rozkazu, którego sensu i sposobu realizacji do końca nie rozumiał? Jak wyjaśnić takie nieugięte zdecydowanie?

Powiedzmy, że wszyscy trzej mogli być fanatycznie oddani Kościołowi i samemu bratu de Landzie, który był dla nich niezaprzeczalnym autorytetem. Być może konkwistadorzy mieli wobec niego jakieś zobowiązania albo po prostu na tyle ufali przyszłemu biskupowi, że nawet nie próbowali wątpić w jego racje. Co takiego mógł on dla nich (a może z nimi?) zrobić? Uratował im życie? Był ojcem chrzestnym ich dzieci? Albo po prostu posiadał nadludzki dar przekonywania? A może chytry przeor zarzucił na śmiałych awanturników cienką, lecz mocną uzdę

szantażu?

Czy też rzeczywiście wierzyli, myśląc o zadaniu, „jak ważne było jego wykonanie dla wzmocnienia Kościoła Świętego i położenia Hiszpanów na Jukatanie”; wierzyli w to na tyle mocno i szczerze, że gotowi byli oddać za tę wiarę życie?

Im dłużej jednak czytałem zapiski, tym bardziej zdawało mi się, że wszyscy bohaterowie tej dziwnej historii nie dopowiadają czegoś ważnego, czegoś, co od razu ustawiłoby wszystko na swoje miejsce. Może brat Diego de Landa dowiedział się od swoich ludzi o jakimś skarbie? O, powiedzmy, świątyni pokrytej złotymi płytkami, skrytej pod liśćmi drzew sandałowych i mahoniowców w zagubionym pośród bezkresnej selwy parowie?

Wtedy cała ekspedycja nabierałaby zupełnie innego sensu – rękopisy, mające trafić do Maní, byłyby tylko przykrywką dla zuchwałej awantury uknutej przez przeora klasztoru Franciszkanów, któremu lojalni ludzie donieśli o nieprzebranych bogactwach ukrytych w lasach drzemiących na południu półwyspu. Wybrawszy kilku śmiałych i chciwych złota awanturników, przydzielił im pół setki żołnierzy i wysłał po skarb.

Zaledwie kilka takich drogocennych płytek, zerwanych z dachu zbudowanej z białego kamienia piramidy, w ojczystej Hiszpanii wystarczyło, by kupić rozległą posiadłość ziemską i zapewnić sobie byt do końca życia. Oblewać się lepkim potem podczas tułaczki po przeklętych zaroślach będzie się odtąd tylko w snach: będzie można wrócić do domu, zacząć żyć, jak przystoi szlachcicowi, ożenić się z hrabiowską córką o rozmarzonych oczach i białej skórze i tylko w nieprzyzwoitych rozmowach z przyjaciółmi wspominać ostro woniejące, karłowate Indianki…

Nieznany konkwistador nie zamierzał wspominać o tym w swojej relacji – przynajmniej na razie – aby zataić istnienie tych skarbów, które zdobył za cenę życia kilkudziesięciu ludzi, oceniwszy, że dodatkowi zawistnicy są mu niepotrzebni.

A co z bratem de Landą? Czy jemu także nie należała się dola z zagrabionych bogactw? Jemu lub zakonowi franciszkanów. Czemu by nie? Przydałyby się przecież środki na rozbudowę klasztoru albo wzniesienie nowego. Brata Joaquína, mającego pilnować interesów zakonu, wyprawiono z bandą awanturników: nie można im było ufać. Wystarczy odwrócić się do takiego plecami – od razu wbije ci kordzik po samą rękojeść. Na uczciwość i szlachetność nie ma co liczyć, jak tylko ujrzą dach tajemnej świątyni, skrzący się w promieniach zachodzącego słońca, z miejsca zapomną i o swoim długu wobec brata de Landy, i o miłości do Przenajświętszej Panienki. My już znamy tych cwaniaków.

Czy też nie? Może dla samego Diega de Landy poszukiwane rękopisy były rzeczywiście cenne, a konkwistadorów omamił, przyrzekając im bajeczne skarby, solidnie zamurowane w tajnym pomieszczeniu jednej z na wpół zburzonych świątyń razem ze złożonymi w harmonijkę głupawymi indiańskimi książczynami ze skóry. Przynieście mi tylko manuskrypty, reszta jest wasza!

A indiańscy przewodnicy? Próbowali ustrzec przed grabieżą i zbezczeszczeniem starożytne świątynie swojego ludu? Najwidoczniej tak…

Czułem to, co musiał odczuwać archeolog, kiedy dziesiątki różnobarwnych odłamków ceramiki, wykopanych przez niego w ruinach jakiejś majańskiej piramidy, po długich godzinach mozolnej pracy zaczynały składać się w sensowną i porywającą starą mozaikę.

Zanim zgasiłem światło i położyłem się spać, na wszelki wypadek przewróciłem ostatnią stronicę, sprawdzając, czy nie zostało tam coś, czego nie zdążyłem przeczytać.

> Iż dnia, co nastąpił po tym, przyszedł do mnie Hernán González i rozmawiał ze mną; i że po owej dyspucie pojąłem: brat Diego de Landa nie rzekł mi o naszej wyprawie wszystkiego. I że to, co usłyszałem, ogromnie mnie zatrwożyło; o tym zaś będzie opowiedziane w Rozdziale Czwartym tej opowieści.

* Iwan Susanin – rosyjski chłop i bohater narodowy, który w 1613 roku wywiódł na bagna oddział Polaków chcących pojmać cara Michaiła, za co został przez nich zabity (przyp. tłum.).

El Cenagal

(El Cenagal)

Mój nieżyjący pies nie doczekał się tej nocy przewidzianego spaceru – byłem zbyt zajęty myślami o sekretach, które skrywała selwa, i tych, które zataił przed prostodusznymi konkwistadorami brat Diego de Landa. Śniło mi się więc coś zupełnie innego.

Skupisko wysokich piramid, każda z nich rozcięta na dwoje przez schody, stromo wznoszące się w górę, aż do płaskiego szczytu, gdzie znajduje się ołtarz – to stopnie do nieba, do bogów. Nietoperze, zwisające niczym winogrona z sufitów gigantycznych pałaców z białego kamienia, wybudowanych przez tysiące skazanych na śmierć niewolników bez pomocy koła i wielokrążka i porzuconych przez swoich mieszkańców w ciągu jednego dnia bez widocznych przyczyn. Ozdobione hieroglifami ściany, wycięte w kamieniu maski potworów, bohaterów, bóstw i demonów. Mała platforma w połowie wejścia na olbrzymią piramidę, gdzie zieją otwarte drzwi, przeobrażone przez kamieniarzy i rzeźbiarzy w rozwartą paszczę Niebiańskiego Węża.

Zebrani w kręgu niewysocy, smagli ludzie w dziwnych strojach, ze złotymi opaskami na głowach. Rozpostarty na ołtarzu ofiarnym, osłabiony i pozbawiony woli przez odurzający napój jeniec, wodzący dookoła bezmyślnym wzrokiem. Monotonne zawodzenie ubranych w coś w rodzaju tunik kapłanów staje się coraz głośniejsze, coraz bardziej przerażające…

Podniesiony ostry kamień opada w dół, wchodzi między żebra, rozrywa ciało. Jeszcze jedno uderzenie i klatka piersiowa jest otwarta, chlusta krew, wybałuszone oczy jeńca pokrywają się zasłoną śmierci, a z gardła rwie się na zewnątrz jaskrawoczerwona piana; lecz jeniec jeszcze żyje. Egzekucja odbywa się według surowych prawideł, przez stulecia rytuał cyzelowano równie ostro jak kamień ofiarny. Diabelska sztuka polega na tym, by ofiara nie umarła, zanim z lewej strony piersi nie poddadzą się z chrzęstem żebra i nie odsłonią wciąż bijącego serca. Nieszczęśnik rozstanie się z życiem dopiero, kiedy to pulsująca, drżąca, zachłystująca się krwią masa zostanie wyrwana ręką kapłana i wrzucona do specjalnego naczynia. Ciało, jeszcze

moment przedtem napięte przez konwulsje niczym cięciwa indiańskiego łuku, teraz sflaczałe, zakrwawione, wypatroszone, zrzucą jak wypchany śmieciami worek po schodach na dół, skąd zabiorą je słudzy.

I jeszcze jedno… Twarz jeńca – na ile da się dojrzeć przez warstwę brudu i skorupę zaschłej krwi – jest biała. Potężną zaś szyję i odchylony do góry podbródek porasta gęsta broda.

Usiadłem na łóżku. Serce kołatało mi w piersi jak szalone, jakby to właśnie mnie dopiero co próbowano je wyrwać. Poduszka była zimna i wilgotna od potu. Pokój z sufitem na wysokości czterech metrów wydał mi się nagle zbyt ciasny, zapragnąłem otworzyć okno na oścież. Kilka minut przekonywałem sam siebie o absurdalności takiego zamiaru, potem zerwałem się, szarpnąłem zasuwką i popchnąłem ramy. Wionęło wilgotne i zimne jesienne powietrze, którego dwa hausty wystarczyły, by otrząsnąć się z koszmaru.

Na zewnątrz wstał już blady dzień; niebo wypełniały szare, miękkie niczym z waty obłoki, przez które ledwie przebijał się krążek wątłego jesiennego słońca. Dziesiąta rano. Zwykle śpię do jakieś trzeciej, ale wiedziałem, że nie zdołam już zasnąć. A może tylko się oszukuję, bo obawiam się powrotu do tego snu, jeśli jednak uda mi się zdrzemnąć?

W głowie wciąż jeszcze chlupotał mi mętny osad z urywków snu i wsunąwszy stopy w kapcie, powlokłem się do kuchni, by zmyć go za pomocą kawy.

Poranna kawa była dla mojej babci takim samym pełnym sensu obrzędem jak dla Majów i Azteków składanie ofiar z ludzi. Podchodziła do jej parzenia ze znajomością rzeczy: jeśli wykonuje się jedne i te same czynności każdego ranka przez sześćdziesiąt lat, ruchy stają się dopracowane jak ostrze noża. W minionej epoce, dzięki przyjacielskim kontaktom na Kubie, w jej spiżarni stało parę ogromnych, pomalowanych na beżowo i brązowo metalowych puszek z kawą. Nazywała się ekspresyjnie i całkiem po kubańsku: ¡Cafe Hola!. Kiedy przejąłem

mieszkanie, znalazłem jedną z takich puszek, wciąż zapieczętowaną – może trzymana była na wypadek nowej wojny światowej. Aromat oczywiście dawno się ulotnił, ziarna trzeba było wyrzucić, ale puszki było mi żal i ją zatrzymałem. Teraz własne zapasy trzymam tylko w tej puszce; gdy otwieram ją każdego ranka i wdycham aromatyczną woń kawy, wspominam babcię.

Zostawiła mi też po sobie cały swój arsenał: ręczny drewniany młynek do kawy, miedziany tygielek, malutkie fajansowe filiżanki z chińskim wzorem. Najbardziej ze wszystkiego lubię mielić kawę: wsypuje się ją przez lejek i niczym w katarynce kręci ciężką mosiężną rączką. Z początku obraca się ona powoli, z trudem, lecz w miarę jak ziarenka kruszą się w aromatyczny pył, robi się coraz łatwiej – to oznacza, że czas dosypać więcej. Potem trzeba wysunąć tę rozczulającą drewnianą szufladkę na dole i wytrząsnąć z niej cały proszek do czajniczka. Po wstawieniu kawy na ogień oddalanie się jest surowo wzbronione, inaczej zamiast wspaniałej chwili z orzeźwiającym porannym napojem czeka cię zeskrobywanie go z kuchenki.

Kiedy wszystko jest w końcu gotowe, taka kawa dostarcza nieskończenie więcej przyjemności, choćby po prostu dlatego że kiedy tyle już się dla niej zrobiło, grzechem jest się nią teraz nie rozkoszować. Babcia miała rację – komu po czymś takim są potrzebne rozpuszczalne granulki? Nawet elektryczny młynek do kawy wyrzuciłem do śmieci.

Kawa miała jeszcze jedną ważną właściwość: przyrządzając ją, można było całkowicie oddać się prostym, mechanicznym ruchom i jednocześnie, przez analogię, zająć umysł prostymi, mechanicznymi myślami. Z każdym obrotem korby młynka zimna mgła, pozostała w pamięci po sennym koszmarze, rozwiewała się, a kiedy z postawionego na wesołym niebieskim płomieniu tygielka rozszedł się aromat, od którego kręciło się w głowie, rzeczywistość ostatecznie wzięła górę nad majakami.

Diabelski sen wywołała niewątpliwie historia tych Hiszpanów, których

tubylcom udało się wziąć do niewoli. Autor zapisków właściwie prześlizgnął się po tym epizodzie; nie mam pojęcia, dlaczego właśnie on utkwił w mojej świadomości. Najbardziej zdziwiło mnie, jak szczegółowo widziałem uśmiercanie jeńców. Nie miałem prawa znać tych detali: co najwyżej przypadkiem zahaczyłem o nie kątem oka, przeglądając Kummerlinga. Ale i to było mało prawdopodobne: nie mógłbym przecież nie zwrócić na nie uwagi podczas lektury, jeśli tak mocno pobudziły moją wyobraźnię!

Pozostawało mieć nadzieję, że po prostu puściłem wodze fantazji. Należało pilnie operować, póki nie pojawił się wrzód i nie wylała się ropa. Obiecałem sobie odszukać naukowo-historyczny opis składania ofiar z ludzi u Majów, aby uspokoić samego siebie znalezionymi niezgodnościami.

Do kawy zrobiłem sobie kanapki z serem i jajko w koszulce z solą i pieprzem: kawalerskie śniadanie. Najważniejsze, żeby żółtko nie kapnęło na spodnie, inaczej twój żałosny los stanie się oczywisty dla otoczenia.

Rozprawiwszy się z jednym i drugim, bez dalszej zwłoki wróciłem do pracy: sny snami, a zlecenie trzeba wykonać. Na szczęście dalsze tłumaczenie książki nie było dla mnie rozrywką, lecz pracą, dzięki której liczyłem, że już w tym tygodniu zapłacę rachunki. Powinno nawet coś zostać – akurat na *Wielki słownik hiszpańsko-rosyjski*. Na szczęście, bo już samo słowo „zlecenie” pozbawiało mnie wyboru: kontynuować tłumaczenie czy nie.

To pewnie właśnie tego ranka po raz pierwszy przyszła mi do głowy myśl, że ta książka może okazać się dla mnie nie tylko niewinną rozrywką. Ale dopiero dużo później moje podejrzenia zaczęły się potwierdzać i zamieniły się w niezbitą pewność, a potem w panikę.

Z uzupełnieniem brakujących słów, korektą i redakcją tekstu uporałem się dość szybko: wszystko dlatego, że mój dzień roboczy zaczął się znacznie wcześniej niż zazwyczaj. Chociaż zwykła jasność umysłu pozostawała dla

mnie nieosiągalna, to kilka kolejnych dawek uderzeniowych w postaci czarnej kawy zrobiło swoje. Pod wieczór usiadłem przy mojej starej maszynie do pisania marki Olimpia i przepisałem przez kalkę dwa egzemplarze tłumaczenia.

W biurze z trudem przywykali do mojej zdecydowanej niechęci do korzystania z komputera, ale w końcu wszystko się ułożyło. Nie wiem, w czym tkwił problem – czyż nie tak pracowali wcześniej, bez tych wszystkich dysków i poczty elektronicznej? Niech innym wysyłają zlecenia przez łącza telefoniczne, ja zaś jestem w stanie zejść po schodach i przejść cztery przecznice, żeby odebrać teksty osobiście. Nie ufam komputerom i nie darzę ich zbytnią sympatią, zresztą tak jak sprzętu elektronicznego w ogóle. Telewizora nie kupiłem sobie z zasady: wystarczy czasem pooglądać telewizję, będąc w gościach, żeby zrozumieć, jakie otumanianie odbywa się za jej pośrednictwem. Radio podoba mi się znacznie bardziej – nie pokazuje obrazków, za to pobudza wyobraźnię. Poza tym w mieszkaniu zastawionym fantazyjnymi meblami z osiemnastego wieku komputer czy telewizor po prostu spaliłyby się ze wstydu przez własne ubóstwo i tymczasowość. Nawet wyprodukowany w latach siedemdziesiątych tranzystorowy radioodbiornik, za pomocą którego słucham czasem wiadomości, od sąsiedztwa takich mebli miewa zakłócenia, a co dopiero mówić o komputerze z dostępem do internetu! Poza tym i tak nie nauczyłem się go porządnie obsługiwać.

Z dwóch gotowych kopii tłumaczenia jedną włożyłem do aktówki, a drugą dołączyłem do własnego pliku. Było już jednak za późno, żeby się wybrać do biura, zostałem więc w domu, poświęcając cały wieczór błogiej bezczynności.

Jeszcze raz przeczytałem całą historię od początku; przejrzałem też Kummerlinga w nadziei, że jednak znajdę wzmianki o porzuconych miastach tam, gdzie zmierzali moi Hiszpanie. Bezskutecznie: całe terytorium obecnego stanu Campeche, to jest cała północno-zachodnia

część półwyspu Jukatan, było puste. Najbliższe osiedla leżały dopiero setki kilometrów dalej na południe, na granicy z Gwatemalą, nad jeziorem Peten Itza. Lecz żeby się tam dostać, od początku trzeba było obrać zupełnie inną drogę; indiańscy przewodnicy prowadzili oddział w głąb selwy.

Postanowiłem przejrzeć rozdziały poświęcone słynnym starożytnym miastom Majów. I właśnie tam natknąłem się na informacje, które autor podał mimochodem, z sugestią, że wykształcony człowiek, rzecz jasna, powinien je znać, dlatego też rozpisywać się o tym nie ma potrzeby.

Wszystkie miasta Majów zostały porzucone. To nie Hiszpanie je zniszczyli: kiedy dotarli na Jukatan, wspaniałe zespoły pałacowe i dumne, stworzone z gigantycznych wapiennych bloków piramidy-świątynie leżały już w gruzach. I Chichén Itzá, i Uxmal, i Peten, i Palenque, i dziesiątki innych mniej znanych miast zostały porzucone przez swoich mieszkańców dosłownie w tym samym momencie i od tej pory powoli się rozpadały. W tęsknym milczeniu rozległe, wyłożone białym kamieniem place i boiska do rytualnej gry w piłkę zarastały lianami i pokrywały się mchem; wycięty przez człowieka tropikalny las niecierpliwie odbierał zabraną mu setki lat wcześniej ziemię.

Hiszpanie na próżno próbowali dowiedzieć się od Indian, którzy mieszkali w pobliżu ruin, kto był budowniczym tych miast. Ci tylko rozkładali ręce. W chwili kiedy Cortés wkroczył na półwysep, cywilizacja Majów była już w takim rozkładzie, że z jej dawnej potęgi pozostały tylko ruiny, idole i księgi. Ostatni kapłani wciąż jeszcze dokonywali swoich obrzędów, lecz nie odczytywali już należycie ukrytego w nich sensu.

To też było główną tajemnicą, wabiącą naiwnych czytelników książki Kummerlinga. Co się mogło stać z wielką cywilizacją? Kroniki żadnego z ludów zamieszkujących Amerykę Środkową nie mówiły o tym, jaki los spotkał Majów; jaki potworny cios mógł doprowadzić do zniknięcia tej kultury, a naród, który ją stworzył, błyskawicznie, w ciągu kilku pokoleń, cofnął do epoki wspólnot pierwotnych, z której próbował się wydostać

przez długie wieki.

Przepaść między Indianami, ujrzanymi przez Europejczyków na Jukatanie, a Majami, którzy stworzyli ogromne imperium, złożone pismo, precyzyjny kalendarz – dokładniejszy niż ten używany dzisiaj – i którzy wreszcie zbudowali wśród selwy swoje olbrzymie miasta, była niewyobrażalna. Pierwsi uczeni, którzy dotarli do ruin Chichén Itzá, byli szczerze przekonani, że odkryte przez nich budowle zostały wzniesione przez starożytnych Izraelitów, Celtów, Ariów, Tatarów, Mongołów – przez kogokolwiek, tylko nie przez lud obecnie zasiedlający te terytoria.

Po zadaniu pytania o przyczyny upadku cywilizacji Majów Kummerling nie dawał na nie odpowiedzi, wykręcając się hipotezami naukowców: Epidemia? Podbój? Klęska głodu? Susza i brak wody pitnej? Nierównowaga w liczbie rodzących się chłopców i dziewczynek? Suma tych czynników?

Najazd Marsjan? – kontynuowałem za niego. Wojna z gigantycznymi termitami? Moje wersje były nie gorsze od innych. Nikt nie mógł dać wyczerpującego wyjaśnienia tego, co się stało, i Kummerling ze wstydem to przyznawał. Żadnych śladów zniszczeń, żadnych relacji w kronikach o przebytych wstrząsach. Kiedy kultura Majów już niemal upadła, na ich ziemie rzeczywiście wtargnęło wojownicze plemię Tolteków. Przedstawiciele tego ludu panowali nad Majami w późnym okresie ich historii, lecz starożytna cywilizacja już przedtem była śmiertelnie chora; dusiła się i tak czy owak nieuchronnie po jakimś czasie by zginęła. Toltekowie wykonali po prostu *coup de grâce*.

Położyłem się spać, niczego w końcu nie wymyśliwszy. Nic dziwnego: przede mną tę zagadkę próbowało rozwiązać dziesięć pokoleń historyków i archeologów, zatem szanse na odkrycie prawdy w ciągu jednego wieczora były niewielkie.

Nic to, czekały na mnie inne tajemnice. Nie dziś, to jutro. Jak tylko wyciągnę z biura tłumaczeń czwarty rozdział dziennika konkwistadora,

odbędziemy z Hernánem Gonzálezem interesującą rozmowę, która powinna rzucić światło na tę wyprawę. I kto wie, jakie sekrety może pomóc mi zrozumieć.

Kapłani Majów i biali jeńcy, którym wyrywano serca, nie niepokoili mnie tej nocy. Po prostu zamknąłem oczy, a kiedy znów je otworzyłem, za oknem wstał już dzień.

…

– Tak szybko? – zdziwił się pracownik biura. – Mam nadzieję, że jakość nie ucierpiała?

Uśmiechnąłem się uprzejmie i pokręciłem głową. Przeczytałem tłumaczenie nie mniej niż dziesięć razy, było wypolerowane tak, że błyszczało w słońcu.

– Zleceniodawcę chyba goni czas – poinformował mnie. – Jeszcze wczoraj przyszedł i przyniósł kolejną porcję. Nie rozumiem, dlaczego nie mógłby się pozbyć wszystkiego naraz.

Ja też zadawałem sobie to pytanie i zamierzałem nawet zainteresować się tym w biurze. Ale teraz, kiedy biuralista wlepił we mnie pytający wzrok, uważając, że wiem coś więcej, stało się jasne, że błądzi w ciemnościach tak jak i ja. Pozostało tylko snuć przypuszczenia…

– A może on też nie ma całości, tylko dostaje tekst rozdziałami?

– Jakimi rozdziałami? Przecież pan mówił, że to dokumenty. – Zmrużył oczy mój rozmówca.

– Dokumenty historyczne. Kronika. Podzielona, rzecz jasna, na rozdziały – wyjaśniłem, mając tylko nadzieję, że nie będzie mu się chciało wdawać w szczegóły.

– I co, ciekawe?

– Dla amatora takich rzeczy… – Zrobiłem nieokreślony gest ręką i nagle poczułem jakąś dziwną zazdrość: nie chciałem, żeby na te stronice patrzył ktoś jeszcze oprócz tajemniczego zleceniodawcy i mnie samego.

– Dziwna sprawa… – mruknął i zamilkł, czekając, co na to powiem.

Skinąłem głową. Milczenie przeciągało się. Czyżby nie było po mnie widać, że nie jestem w nastroju na długie przyjacielskie dyskusje? Teraz potrzebowałem tylko jednego.

– No dobrze… Koniec końców, płaci, więc czort z nim. Proszę, niech pan trzyma – pacnął o ladę skórzaną aktówką, dokładnie taką jak ta, którą dopiero co mu oddałem, tylko nie brązową, ale czarną.

– Dziękuję! – Uradowany tym, że nie muszę już kontynuować tej kulejącej rozmowy, wziąłem teczkę pod pachę, pożegnałem się gorączkowo i pospieszyłem do wyjścia.

– Proszę zaczekać! – wołanie pracownika biura zatrzymało mnie, kiedy byłem już w drzwiach. – A co z pańskim honorarium?

Iż, jak też było powiedziane w Rozdziale Trzecim, podszedł do mnie przewodnik Hernán González, z obliczem bardzo zalęknionym, i poprosił o rozmowę w cztery oczy, tak aby ni Vasco de Aguilar, ni brat Joaquín nas nie słyszeli. I że dla tej dyskusji odeszliśmy od obozu, w którym oddział nasz stanął na nocleg, na pewną polanę o sto kroków dalej.

Iż, wedle słów Hernána Gonzáleza, do owych miejsc, do których wiódł nasz oddział, pozostało kilka dni drogi, lecz że miały się one stać najtrudniejszymi ze wszystkich, przez które byliśmy w drodze. I że błagał mnie, padłszy na kolana, abym zawrócił oddział, szedł do Maní i rzekł, żeśmy celu nie znaleźli.

Iż zapytałem go w gniewie, jak śmie mówić mi teraz o czymś takim, po tym jak dziesiątki naszych towarzyszy poległy w tych przeklętych lasach, i nazwałem go zdrajcą. I że Hernán González płakał i powtarzał, że nie zdradził i że jedynie przez wierność duchowemu ojcu, Diego de Landzie, wypełnia jego polecenie. I że włożył mi w ręce nóż, i prosił, abym go zabił, by nie męczył się dłużej.

Iż tym mnie mocno przestraszył, i posadziłem go na ziemi, prosząc, by opowiedział, co takiego mu wiadomo, czego ani ja, ani señor Vasco de Aguilar nie wiemy. I że z początku zapierał się, i dopiero gdy zagroziłem mu spaleniem na stosie za odstępstwo od wiary, zaczął mówić krótko i niezrozumiale, i na powrót płakać.

Iż w jego opowieści wiele było dla mnie niepojęte; z tego zaś, co pojąłem, zapiszę, co następuje: wedle jego słów brat de Landa nie wyjawił nam całej prawdy o tym, po co i dokąd idziemy. I że owe świątynie, do których brat de Landa go z nami wyprawił, skrywały rzecz bezcenną dla ludu Majów, lecz ważną też dla innych nacji. I że brat de Landa szukał tej rzeczy wszędy, lecz nie wiedział, gdzie dokładnie może ją znaleźć.

Iż wówczas spytałem go, czy to oznacza, że wkrótce wykonamy zadanie dane nam

przez przeora, i on odrzekł, że jest to prawda, lecz dla dobra mojego i dobra wszystkich Majów i innych na Jukatanie zadania tego wykonywać nie należy. Dlaczego, tego jednak wyjaśnić nie potrafił.

Iż jego słowa o nieszczerości brata de Landy zapamiętałem i gdy powróciłem po tej rozmowie, spotkałem się na osobności z bratem Joaquínem i señorem Vasco de Aguilarem, i podzieliłem się z nimi rozterkami oraz spytałem, czy wiedzą o poruczonej nam misji coś, czego ja nie wiem, i czy przeor rozkazał uczynić coś jeszcze, o czym mi nie wiadomo.

Iż brat Joaquín i Vasco de Aguilar byli zdziwieni i nie wiedzieli nic o tym; i że spytali, kto mi to powiedział. I że wówczas przedstawiłem im opowieść przewodnika, a także i to, iż opowieść tę koniecznie należy trzymać w tajemnicy.

Iż widziałem potem, jak señor Vasco de Aguilar rozmawiał z Hernánem Gonzálezem na stronie i że ten jest wzburzony. I że naradziliśmy się tego dnia, i postanowiliśmy jednak iść dalej, choć przewodnik uprzedzał o nowych niebezpieczeństwach czekających nas w drodze.

O złocie nadal ani słowa. Za to moje przypuszczenia dotyczące przewodników chyba zaczęły się sprawdzać. Mieszaniec chciał pewnie dać Hiszpanom jeszcze jedną, ostatnią okazję, by ci rozmyślili się i zawrócili. Był nawet gotów rzucić oszczerstwo na swojego duchowego ojca, byle tylko odwieść Hiszpanów od dalszej wyprawy. Chciał uratować życie niewinnych ludzi czy swoją nieśmiertelną duszę?

Jakkolwiek było, zniechęcić Hiszpanów było nadal niełatwo. W ciągu kilku dni drogi, które jakoby dzieliły oddział od celu wyprawy, przewodnikom nie uda się tego dokonać. Właśnie w te dni powinno było dojść do decydujących wydarzeń, dzięki którym stworzenie sprawozdania z ekspedycji w ogóle miało sens.

Ale sprawa Diega de Landy chyba też nie była taka prosta. Przesłuchiwany Indianin kręcił i próbował uniknąć odpowiedzi, lecz strach przed spaleniem na stosie zrobił swoje – wydał swojego ojca chrzestnego. Szkoda, że konkwistador nie był bardziej uparty i zadowolił się tym żałosnym bredzeniem, które udało mu się wycisnąć z Hernána Gonzáleza. Może po prostu uznał go za szalonego i nie chciał, by przewodnik do reszty stracił rozum?

Czy chodziło o jakiś przedmiot, ważny nie tylko dla Majów, lecz i dla wszystkich ludzi? Wątpliwe, by mowa była o zwykłych kosztownościach. Ale co to mogło być – po prostu nie mogłem sobie wyobrazić. Jaka rzecz i z jakiego powodu mogła się spodobać przyszłemu biskupowi Jukatanu? Księgi? Idole? Po co mu one? Czy mógł wierzyć, że posiadają jakąś magiczną moc, i starał się zdobyć starodawne artefakty, które wchłonęły potęgę i sekrety wielkiego niegdyś narodu?

Została oczywiście jeszcze jedna możliwość – Indianie wciąż kłamali, nie tracąc nadziei, że przestraszą dowódców oddziału i zasieją zamęt wśród jego szeregowych członków. Cokolwiek tubylcami powodowało, z każdym dniem wyprawy prowadzili Hiszpanów coraz dalej od celu – w głuszę, w dzikie terytoria, na których ludzka noga prawdopodobnie nigdy nie postała.

Na wszelki wypadek z wyjątkową starannością przestudiowałem wszystkie mapy Jukatanu, jakie zamieścił Kummerling, zaznaczając kropkami osiedla z różnych okresów. Nieważne, czy brałem się do preklasycznego, klasycznego czy postklasycznego okresu historii Majów, na który to przypadła inwazja Hiszpanów. Zmieniało się położenie osiedli i ich nazwy, nie wiadomo czym spowodowane fale migracji unosiły Indian z jednych miejsc do drugich, pewne miasta były porzucane, lecz budowano kolejne, inne na nowo podnosiły się z ruin – lecz terytorium, na które prowadzili moich Hiszpanów przewodnicy, przez tysiąclecia pozostawało dziewiczo puste. Nawet u szczytu rozwoju swojej cywilizacji, po stworzeniu potężnego imperium, którego panowanie wykraczało poza granice Jukatanu, Majowie nie decydowali się zapuszczać na ziemie na południowym zachodzie swojego półwyspu.

Szybko poszedłem do kuchni, nalałem wrzątku do imbryka i zabrałem go z sobą do pokoju. Bezczynne siedzenie na kanapie w oczekiwaniu, aż herbata się zaparzy, wydało mi się bluźnierstwem, nie mówiąc już o tym, żeby tracić czas na przygotowanie kolacji. Zupełnie nie czułem głodu;

filiżanka słodkiej herbaty stłumiła niespokojny zew mojego żołądka i pozwoliła mi jak najszybciej wrócić do lektury.

Iż wkroczyliśmy w miejsca niedobre i niebezpieczne, w których ziemia była grząska i niepewna, powietrze zaś plugawe i nieświeże. I że podążać dalej mogliśmy teraz tylko bardzo wolno, a przewodnicy długo wybierali drogę, zanim wskazali ją pozostałym. I że przydzieliłem każdemu z nich kusznika w obawie przed zdradą i ucieczką jednego albo też obu naraz.

Iż wkrótce zaczęły się mokradła, zamieszkiwane przez stworzenia niezwyczajne i niebezpieczne, z bagien tych zaś dolatywały zgniłe wyziewy, od których kręciło się w głowie i słabły członki. Iż obaj przewodnicy stali się ogromnie niespokojni, i lękali się z przyczyn trudnych do pojęcia, i że nawet kiedy wokoło było spokojnie, nakłaniali nas niekiedy, byśmy zwinęli obóz i przenieśli się na inne miejsce, wyjaśnień nijakich nie udzielając.

Iż okrutni Indianie, którzy napadli na nas kilka dni przedtem i w boju z którymi straciliśmy dziewięciu ludzi, więcej się nie pokazywali. I że gdy rzekłem o tym z zadowoleniem Juanowi Nachiemu Cocomowi, twarz jego zasmuciła się i przestrzegł mnie przed niewczesną radością, i rzekł do mnie, iż *k'anul* sławni są ze swej nieustraszoności i że jeśli nie podążyli za nami na bagna, to dlatego tylko, iż lękają się nie nas, lecz czegoś innego, co na owych bagnach się kryje.

Iż w jednym z tych miejsc ścieżka, po której można było stąpać, była tak wąska, że ledwo jeden człowiek mógł nią przejść, i stąd szliśmy gęsiego. I że po obu stronach owej ścieżyny było grzęzawisko ciemne o niezmierzonej głębokości. I że jeden z żołnierzy, Isidro Murga, nie zdołał na niej ustać, i wpadł, i tonąc, począł wołać o pomoc, inny zaś, o imieniu Luis-Alberto Rivas, zatrzymał się, ażeby pochwycić jego rękę i wyciągnąć go. I że obaj zginęli w owej toni; ci, co przy tym byli, mówili zaś, jakoby coś pociągnęło tonącego w dół za nogi, gdy już prawie zdołał się wydostać, i że ten, nie zwolniwszy chwytu, pociągnął też za sobą swego wybawcę, i obaj zniknęli z oczu, i więcej się nie pojawili. I że przewodnicy nakazali z największym pośpiechem opuścić owo straszne miejsce, uniknąwszy tym sposobem kolejnych ofiar.

Iż ten niebezpieczny szlak ciągnął się dosyć długo, i przed nastaniem ciemności wciąż jeszcze nie zdołaliśmy wyjść na suchy ląd. I że nakazałem, aby każdy żołnierz po kolei głośno wywoływał swe imię, tak aby nikogo nie stracić, i by każdy z nich doglądał, czy jego sąsiedzi idą w szeregu. I że takie wołanie brzmiało bez przerwy, tak iż każdy odzywał się raz na minutę. Lecz mimo owych sposobów straciliśmy jeszcze jednego człowieka, Ignacia Ferrera, który szedł jako ostatni, i za pierwszym razem odezwał się i zakrzyknął swoje imię, a za drugim milczał, i gdy idący przed nim obejrzał się za siebie, nie dostrzegł tam ani Ignacia Ferrera, ani jego śladów. I że wówczas daliśmy pochodnię

żywiczną nie tylko temu, kto szedł na czele oddziału, lecz i temu, kto szedł z tyłu, tak aby tym sposobem mógł odstraszać drapieżniki i aby gdy przepadnie, było to od razu zauważone.

Iż szliśmy tak jeszcze przez czas jakiś, potem zaś stanęliśmy na twardym gruncie, i byliśmy temu niezmiernie radzi, gdyż opadliśmy z sił i potrzebowaliśmy odpoczynku. I że rozbiliśmy tam obóz, lecz przewodnicy zakazali spać połowie z nas, i rzekli, iż trzeba stać na straży, aby nie stać się łatwą zdobyczą zamieszkujących tu demonów. I że choć brat Joaquín groził, iż doniesie o owych herezjach bratu Diego de Landzie, ci upierali się i obstawali przy swoim.

Iż zrobiliśmy wedle ich słów, i jedna połowa spała, podczas gdy druga trzymała straż, potem zaś zmienialiśmy się. I że ów krótki sen był marny, gdyż do światła ogniska leciały bagienne insekty. I że owe maleńkie meszki kąsały przez okrycie i ucieczki przed nimi nie było. Iż obaj przewodnicy wymazali się przygotowaną substancją, która tak barwą, jak i odorem przypominała kocie łajno, i zalecali innym, jednak zgodziłem się jedynie ja, brat Joaquín i jeszcze niektórzy spośród żołnierzy, większość zaś odmówiła.

I że ci, którzy zgodzili się, ocalili tym sobie zdrowie i życie.

Otarłem pot, który wystąpił mi na czoło, i z wysiłkiem rozwarłem zaciśnięte na kartkach palce, potem kilka razy ścisnąłem i rozluźniłem dłonie, przywracając w nich krążenie. Już trzeci rozdział z rzędu bawiłem się sam z sobą w podróż po Jukatanie, ale po raz pierwszy moje wrażenia były tak realne, zupełnie jakby rzeczywiście przyszło mi iść w jednym szeregu z Hiszpanami i wyciętym z krzewu pigwy giętkim kijem wymacywać grunt pod warstwą błotnistej cieczy.

Nie trzeba było się wcale trudzić, żeby wyobrazić sobie emocje wartownika siedzącego przy ognisku i wpatrującego się uważnie w otaczające go zarośla. Oświetlone czerwonawym płomieniem, na pewno zamieniają się w zwartą ścianę; na skrawku twardej ziemi pośród bezkresnego grzęzawiska człowiek czuje się jak w oblężonej twierdzy. Bagna żyją swoim życiem: wydają jęki prosto z trzewi, wypuszczając ogromne bańki gazu, szeleszczą sitowiem, skrzypią podgniłymi pniami drzew. Czasem tą grząską kaszą dźwięków z zaświatów wstrząsa przenikliwy krzyk jakiegoś nocnego zwierzęcia, które zabiera bądź oddaje życie, a może po prostu woła swoją samicę.

Ani na sekundę nie można odwrócić wzroku od zarośli – historia z nieszczęsnym Ignaciem Ferrerem wydarzyła się parę godzin temu, a na śmierć Murgi i Rivasa patrzył cały, sparaliżowany strachem oddział. Jak więc się można odwrócić? Wartownicy przerzucają się sprośnymi dowcipami, wspominają swoje miejscowe nałożnice albo też żony i dzieci – tylko po to, by przestać myśleć o śmierci. Nie strach zginąć w walce, pociągając za sobą do grobu tuzin indiańskich diabłów: można spojrzeć śmierci w twarz i pozostać w pamięci towarzyszy jako nieulękniony wojownik. To jest śmierć godna mężczyzny. Ale nie zachłysnąć się lepkim błotem, aby na dnie trzęsawiska zostać pożartym przez jakiegoś potwora…

Potem powietrze zaczyna ohydnie dźwięczeć, przecinane przez miliony maleńkich skrzydełek. Chmury bagiennych meszek i moskitów kłębią się wokół ogniska, oblepiają latarnie strażników, włażą do nosa, do oczu, uszu i ust. Żeby je odegnać, trzeba wciąż machać rękami; nie odstrasza to maleńkich krwiopijców, jedynie przeszkadza im usiąść na skórze. Nie pozwalają się skupić, sprawiają, że człowiek wychodzi z siebie. Wewnątrz rodzi się szaleństwo gotowe wylać się na pierwszego człowieka, który zwróci uwagę – nieistotne, czy wroga, czy przyjaciela.

Względny spokój mają tylko ci, którzy zdecydowali się na poniżenie – i umazali się indiańskim paskudztwem, śmierdzącym niczym kocie odchody. To nic, przyjdzie im za to nasłuchać się teraz żarcików ze strony swoich cierpiących towarzyszy. Zapach potem zniknie, ale pamięć o tym przejściu przez bagna…

Iż noc minęła spokojnie, nie licząc dokuczających nam insektów, i przy świetle dnia poczęliśmy iść szybciej, tak więc już przed wieczorem zdołaliśmy pokonać groźną część mokradeł. I że wyszliśmy na miejsce twarde i suche, gdzie znów zaczynał się zdrowy las i zwyczajne zwierzęta. I że, uspokojeni, postanowiliśmy iść wolniej. I że droga nasza tego dnia mijała w spokoju i ciszy, i do następnego popasu nikt z oddziału nie przepadł ani nie został ranny.

Iż zapytaliśmy przewodników, czy długa nam jeszcze pozostała droga, a ci odrzekli, iż do ukrytych świątyń już niedaleko, trzeba jedynie wyjść na właściwą drogę, po której jeśli będziemy szli, staniemy na miejscu w dwa lub trzy dni. I że wszystkich żołnierzy,

i mnie z Vasco de Aguilarem, i brata Joaquína podniosło to na duchu, i wielu świętowało, i piło nalewkę z kukurydzy, którą zabrało ze sobą; i chwaliło naszych przewodników, którzy, koniec końców, na twardy grunt wyprowadzili.

Iż owego dnia udało się też polowanie, i Juan Nachi Cocom, uzbrojony w dwie strzały, zdołał złowić kilka wielkich ptaków i dziką świnię, jakiego to powodzenia nie mieliśmy już od ponad tygodnia, przez co i nasi żołnierze, i my poczęliśmy głodować.

Iż sami przewodnicy – tak Juan Nachi Cocom, jak i Hernán González – w świętowaniu nie uczestniczyli, oblicza zaś mieli wielce zalęknione i szeptali na stronie. I że tym samym przykuli moją uwagę, i zbliżyłem się do nich, aby usłyszeć, o czym mówią, lecz ci porozumiewali się między sobą w indiańskim narzeczu.

Iż gdy przerwałem ich rozmowę, ci mieli oblicza wielce zawstydzone i pełne niepokoju, ale nie poczęli się zapierać, lecz powtórzyli mi swoje ostrzeżenia, Hernán González zaś znów mówił, iż zgrzeszył, przywiódłszy nas na te ziemie, i że spotka go za to kara. I że nie ciągnął rozmowy, lecz odszedł w oddalony kąt obozowiska, gdzie oddał się modlitwie, a ja postanowiłem więcej go nie niepokoić, ale nakazałem jednemu z żołnierzy, by dalej strzegł mieszańca.

Iż tego wieczora wszyscy pozostali świętowali i byli w dobrym usposobieniu, i choć wielu było pijanych, to do zwyczajowych awantur nie doszło. I że tylko ja jeden nie mogłem zapomnieć o owych niebezpieczeństwach, o których mówili mi przewodnicy, i obchodziłem nocą obóz, przeszukując go i oczekując napaści Indian lub dzikich zwierząt. I że robiłem to póty, póki sen mnie nie zmorzył, lecz niczego dziwnego ani podejrzanego nie znalazłem.

Iż żołnierze ucztowali i pili do rana, a że nie chciałem im w tym przeszkadzać, gdyż udało im się pokonać większą część drogi i zasłużyli na odpoczynek. I że gdy położyłem się już spać, niektórzy jeszcze byli na nogach i słychać było ich głosy. I że obudziłem się dopiero o świcie, gdyż usłyszałem w oddaleniu głośny krzyk zwierza, który wziąłem za ryk jaguara. Ale że bestia była daleko, a krzyk się nie powtórzył, nie wstałem więc z mego posłania, i na nowo zasnąłem.

Iż nazajutrz, kiedy wartownicy grali na pobudkę, przybiegł żołnierz i oznajmił, że przewodnik nasz, Hernán González, w nocy powiesił się, kończąc ze sobą. I że mieszańca Gonzáleza rzeczywiście ujrzałem wiszącego na gałęzi drzewa parę kroków od owego miejsca, gdzie zrobił sobie legowisko i gdzie pozostawiłem go dzień wcześniej pogrążonego w modlitwie.

Iż strażnik, którego mu przydzieliłem, nie potrafił wyjaśnić, jak to się stało i o której godzinie Hernán González odebrał sobie życie. I rzekł tylko, że całą noc pilnował Gonzáleza, oczu nie zamykał, skrywszy się przed nim, i że ten pomodlił się, legł i zasnął snem spokojnym i głębokim, a nawet zachrapał. I że ów żołnierz mówił, iż nie wiedział, kiedy sen przyszedł na niego samego, i błagał, bym wybaczył mu to, że go nie upilnował. I że nakazałem surowo go za to wychłostać, teraz bowiem nasz los zależał od jednego

tylko przewodnika, który pozostał przy życiu.

Na tej uwadze rozdział się kończył.

A więc jednak! Przeprowadziwszy Hiszpanów przez zgubne mokradła, Indianie wreszcie zdecydowali się na zdradę. Mając świadomość, że nie poradzą sobie we dwóch z dwoma dziesiątkami ciężkozbrojnych żołnierzy, postanowili zostawić ich na pastwę losu. Bez przewodników powrót był niemożliwy; bagna połknęłyby obcych, zanim ci zdołaliby zapuścić się na pół ligi w głąb.

O czym rozmawiali w świąteczną noc Juan Nachi Cocom i Hernán González? Wspólnie się modlili? Ciągnęli losy – o to, kto pierwszy ma odejść do swych przodków? Zastanawiali się, co będzie robił ten, który pozostanie przy życiu, jak drugi skończy ze sobą? Obaj czuli, że ta noc odmieni ich los – i dlatego nie brali udziału w uczcie.

Krzyżyk na szyi, chrześcijańskie imię i fresk ze scenami z czyśćca, nieudolnie namalowany przez mnichów w kaplicy klasztoru w Izamal, okazały się niewystarczające, by powstrzymać przed najstraszniejszym grzechem wiary jego ojca – samobójstwem.

Bogowie, o których w tajemnicy opowiadała mu matka Indianka, byli potężniejsi i bliżsi, stąd dopuszczenie się zdrady było dla niego o wiele bardziej przerażające niż smażenie się przez wieki we wrzącej smole. Kiedy z jaśniejącego obłoku Maryja Dziewica uśmiechała się z roztargnieniem do wszystkich wiernych – i do żadnego w szczególności – mściwi i perfidni majańscy demiurdzy ze złością śledzili podążający naprzód oddział, kryjąc się za pniami koślawych bagiennych drzew. Tyle że nie wszystkim dane było poczuć na plecach ich spojrzenie.

Zamiast ginąć, przewodnicy mogliby pewnie otruć podpitych Hiszpanów, dolewając im truciznę do kukurydzianej nalewki, lub też zarżnąć wszystkich we śnie. Czy jednak nie byli pewni własnej siły, czy nie chcieli brudzić sobie rąk ich krwią, nie wiadomo. Hernán González od rzezi wolał ucieczkę: poczekawszy, aż wartownik zaśnie, zamocował sznur na wiszącej

nad nim gałęzi, siadł na niej okrakiem, wsunął głowę w pętlę, zeskoczył – i koniec.

Mogłem ręczyć dowolną częścią ciała, że podobny los był przeznaczony również drugiemu przewodnikowi, i trzeba go będzie pogrzebać całkiem niedługo – nie dalej niż w piątym rozdziale dziennika wyprawy. Hiszpański oddział był prawie na pewno skazany na śmierć. Wstałem z krzesła i zacząłem spacerować po pokoju. Poczułem ukłucie w piersi.

Ależ nie, przekonywałem sam siebie. Jeśli te zapiski zostały opublikowane, to znaczy, że ich autor zdołał ujść z życiem ze wszystkich perypetii, dopowiedzieć swoją historię do końca i powierzyć ją wydawcy. Powieści przygodowe pisane w pierwszej osobie kończą się dobrze właśnie dlatego, że główny bohater musi ocaleć, inaczej kto miałby je pisać? Może istnieć mnóstwo podobnych fabuł, w których protagonista ginie straszną śmiercią – ale historię zawsze piszą zwycięzcy.

Wystarczyło, że odrobinę się uspokoiłem, kiedy diabeł wątpliwości zaproponował inną odpowiedź. Nieznany konkwistador wcale nie musiał przeżyć, żeby jego relacja ujrzała światło dzienne. Szkielet przyciskający do klatki piersiowej dziennik w skórzanym futerale, ze sterczącą z oczodołu indiańską strzałą, równie dobrze mogła znaleźć ekspedycja naukowa wysłana do dżungli ponad dwa stulecia później.

Nie można się było domyślić, co stało się z hiszpańskim oddziałem, który wyruszył na południowy zachód z miasta Maní kwietniowego ranka 1562 roku. Powiedzieć mi o tym mógł tylko piąty rozdział opowiadania. Usiadłem i przysunąłem do siebie stertę czystych kartek i maszynę do pisania.

Nie można było dalej tracić czasu.

El Auto de Fé

(El Auto de fé)

Tego ranka pracowałem, aż palce zesztywniały mi ze zmęczenia, aż zacząłem nie trafiać w klawisze maszyny do pisania, a litery zaczęły się zlewać. Słońce dawno już wzeszło i musiałem zaciągnąć zasłony, żeby nie raziło przywykłych do półmroku oczu.

Świadomość opuściła mnie niezauważalnie: ocknąłem się, kiedy minęło już południe, i zrozumiałem, że przespałem cały ten czas z głową opuszczoną na klawiaturę Olimpii. Kartki były porozrzucane po biurku; miałem nadzieję, że nie próbowałem się nimi przykryć we śnie. W głowie mi huczało, a wszystkie mięśnie bolały z powodu tych kilku godzin spędzonych w niewygodnej pozycji. Zwlokłem się z krzesła i przeniosłem na łóżko; zaledwie kilka sekund później świat znowu zgasł.

Kiedy obudziłem się po raz drugi, za oknem było już ciemno. Włączyłem światło, włożyłem szlafrok i skierowałem się do łazienki. Moje ciało potrzebowało odpoczynku. Po przebytych przygodach miałem prawo dać mu się pomoczyć przez czterdzieści minut w gorącej wodzie, by samemu oddać się w tym czasie myślom o tym, co przeczytałem poprzedniego dnia.

Napełniłem wannę – pojemną, pomalowaną z jakiegoś powodu na zadziwiający liliowy kolor – ściągnąłem szlafrok i ostrożnie opuściłem się do wody, wzbudzając chmury piany. Uwielbiam kąpiele w wannie – jak inaczej można ożywić uczucie bycia w matczynym łonie? To bilet wstępu do raju utraconego, działający dokładnie tak długo, jak długo woda pozostaje gorąca. Bardzo dobrze rozumiem ludzi podcinających sobie żyły w gorącej kąpieli, przedkładając tę metodę skończenia ze sobą ponad wszystkie inne. W ten sposób zapętlają jakby swoje życie, rozstając się z nim w punkcie wyjścia, i obdarzają się przy tym dodatkową półgodziną tego błogiego spokoju, który czeka ich po tamtej stronie. A przy tym, przez te pół godziny, można zaszachrować i się rozmyślić…

W ciągu kilku minut pożądany przeze mnie efekt został osiągnięty – moja śmiertelna powłoka całkowicie rozpłynęła się w aromatycznym, pienistym roztworze, a umysł naprawdę wreszcie się uwolnił. Zamknąłem oczy

i zabrałem się do tworzenia planu działania.

Przede wszystkim w błyskawicznym tempie skończyć i poprawić tłumaczenie czwartego rozdziału. Dałem sobie na to dopiero co rozpoczętą, „młodą”, jak mówią Włosi, noc. Do jutra rana przekład będzie gotowy, a ponieważ dzisiaj wstałem tak późno, nic nie stoi na przeszkodzie, żebym skorzystał ze zmienionego rytmu i poszedł spać równie późno, uwolniony poranek poświęcił zaś na załatwienie różnych spraw. Najpierw – jak tylko otworzą sklepy – pójdę do księgarni po duży słownik, a może i dwa. Wyprawy do bibliotek zabierają mi za dużo sił, mógłbym pracować o wiele efektywniej, gdybym wszystkimi potrzebnymi pomocami rozporządzał w domu.

Sprawdzić w nowych słownikach terminy, których znaczenia nie udało mi się znaleźć za pomocą mojego własnego. Potem, zanim będę miał prawo spokojnie zasnąć, odwiedzić biuro i oddać skończony rozdział. Jeśli mi się poszczęści, będą już mieli kolejną część: pracownik agencji mówił, że klientowi się spieszy. No cóż, dobrze go rozumiałem; jeśli on dalej czyta moje tłumaczenia, to musi, tak jak i ja, łaknąć dalszego ciągu. Ja i on stanowiliśmy jedność i wydawało mi się, że mogłem liczyć na jego wsparcie.

Tak więc przypuśćmy, że piąty rozdział zapisków już tam jest. Kiedy dostanę go w swoje ręce, będę mógł wrócić do domu i położyć się do łóżka odprężony, być może po przeczytaniu akapitu czy dwóch, ale zostawiając główną część pracy i rozrywki na następny dzień.

A co, jeśli w biurze nie ma jeszcze rozdziału? Ogarnął mnie taki niepokój, że aż mimowolnie otworzyłem oczy i spojrzałem w wysoko zawieszony sufit; nagle wydało mi się, że woda ostygła, odkręciłem więc czerwony kurek, żeby dolać gorącej.

Nie ma się czego bać, powiedziałem na głos. Przyniesie później. On jest zadowolony z jakości moich tłumaczeń, nie zdenerwowała go utrata pierwszego rozdziału przez tego łobuza iberystę, nie ma żadnych powodów,

aby on nie dostarczył do biura piątej części dziennika. A ja już się postaram o przetłumaczenie na rosyjski na takim poziomie, żeby za rozdziałem piątym podążył szósty i siódmy, i ile ich tam w ogóle jest.

Dziwne, ale w tym momencie nie zastanawiałem się już więcej, kim może okazać się mój tajemniczy zleceniodawca. W zupełności wystarczało mi, że przynosi na czas do biura kolejne fragmenty zapisków konkwistadora – źródła mojego zarobku i radości. Co za różnica, kto interesuje się tłumaczeniem? Dopóki nasze interesy się nakładały, nie zamierzałem przejawiać zbytniej ciekawości, która na dodatek mogła odstraszyć obecnego właściciela książki.

Po pospiesznym śniadaniu (chyba znów były to kanapki) wróciłem do biurka, przeczytałem i przepisałem na czysto wczorajsze tłumaczenie. Przed szóstą rano wszystko było gotowe, pozostało tylko z dziesięć słów, których znaczenia nie byłem pewny i które wolałem sprawdzić w porządnym słowniku, zanim oddam zlecenie w biurze. Zaparzyłem sobie herbatę i usadowiłem się wygodnie na kuchennym tapczanie, owinąwszy się czerwonym kraciastym pledem. Do otwarcia księgarń i bibliotek pozostały co najmniej trzy godziny, a na odpoczynek bezspornie zasłużyłem.

Zaterkotałem przełącznikiem radioodbiornika, znalazłem jakąś stację informacyjną i wpatrując się w unoszącą się znad filiżanki parę, zacząłem nieuważnie słuchać wiadomości.

Tsunami w Azji najwidoczniej nikogo już nie zajmowało. W informacjach ze świata zastąpiły je trzęsienia ziemi w USA i krajach basenu Morza Karaibskiego. Kilka całkiem dużych miast na wyspach leżało w gruzach. Rządzący w tych miniaturowych państewkach prezydenci i szefowie junt wojskowych zwracali się o pomoc do społeczności międzynarodowej. ONZ obiecał wydzielić środki na odbudowę, pierwsze samoloty z wolontariuszami organizacji Lekarze bez Granic i ratownikami z różnych krajów leciały już na wyspy; ich przybycia oczekiwano lada chwila.

Stany ucierpiały trochę mniej: system ostrzegania o zagrożeniu sejsmicznym zadziałał bezbłędnie i z niebezpiecznych rejonów udało się na czas ewakuować ludność, ale uczeni ostrzegali o dużym prawdopodobieństwie nowych wstrząsów. Dalej następował komentarz eksperta: coś o uskokach w skorupie ziemskiej, przez które doszło do wszystkich ostatnich kataklizmów.

Potem lektor przypomniał o zbliżających się wyborach, ale ten temat pozostawił mnie obojętnym. Zdaje się, że ktoś kogoś o coś oskarżał, jakiegoś polityka zdymisjonowano, innego znaleziono w podmoskiewskim lesie z kulą w głowie, a kolejny oświadczył, że rezygnuje ze stanowiska prezesa wielkiej korporacji, żeby całkowicie oddać się służbie ojczyźnie.

Na końcu – po informacjach o katastrofach, zabójstwach i kryzysach – dziennikarze, litując się, postanowili umieścić wiadomość, która powinna była ukoić wywołane przez serwis negatywne emocje. Prestiżowy konkurs piękności Miss Uniwersum wygrała Rosjanka. Po pospiesznym podaniu jej wymiarów i roku urodzenia lektor pożegnał się ze mną serdecznie. Z głośnika miękko popłynął John Coltrane, zmywając ślady błota, które chlustało przez ostatnie piętnaście minut. Wybór był słuszny – ręka, już przeze mnie wyciągnięta, by wyłączyć odbiornik, zawisła niezdecydowanie w powietrzu, a potem wróciła na fałdy koca. Dopiłem herbatę i otworzyłem Kummerlinga na przypadkowej stronie.

…

Znalezienie *Wielkiego słownika hiszpańsko-rosyjskiego* nie stanowiło żadnego problemu. Półki w księgarniach uginały się od obfitości rozmówek, samouczków i słowników właśnie – najróżniejszych, od kieszonkowych, zawierających pięć tysięcy słów, do pokaźnych tomów, grubych na dziesięć centymetrów.

Jednak poszukiwania wydawnictw o cywilizacji Majów również tym razem okazały się niełatwą sprawą. Z uporem i metodycznością naukowca

zbadałem Dom Książki na Nowym Arbacie, kilka straganów bukinistów, pojechałem też na duży targ książek – ale wszystko zakończyło się kupnem zaledwie kilku kolejnych broszur w krzykliwych okładkach, o tytułach, w których były niezmiennie obecne słowa „tajemnica”, „zagadka” czy też „sekret”. I dopiero kiedy zamykałem koło, wracając piechotą do domu ze stacji metra Arbacka i znów, tym razem z rozczarowaniem, mijając Dom Książki, przypadkiem zwróciłem uwagę na przekupniów handlujących z ręki rozmaitymi bzdurami.

Były to głównie potężne kolorowe albumy zatytułowane *Lekcje Kamasutry* czy *Encyklopedia zmysłowości*, co poniektórzy sprzedawali wydaną własnym sumptem ezoterykę, a kilka podejrzanych postaci o ruchach kieszonkowców handlowało pirackimi wydaniami hitlerowskiej *Mein Kampf*. Mając świadomość nieco podejrzanego charakteru swojej działalności, ludzie ci nie przywiązywali się do jednego miejsca przez stawianie straganów. Gotowi zerwać się w każdej chwili z miejsca i zniknąć w tłumie, uważnie i drapieżnie wpatrywali się w twarze przechodniów, starając się wyróżnić z niekończącej się ludzkiej rzeki swoich klientów i prowokatorów ze służb bezpieczeństwa. Ci ostatni, wiedzeni nieznanym nakazem gwiazd, czasem nagle zabierają się do walki z faszyzmem i istnieje pewne ryzyko wpadki.

Tego człowieka wziąłem właśnie za jednego z nich. Myśląc o swoich sprawach, szedłem wzdłuż rzędu handlarzy i w roztargnieniu wodziłem wzrokiem po tytułach książek wystawionych na sprzedaż. Pomyślałem tak, bo ów człowiek dokładnie tak jak tamci, niczym złodziej, oglądał się na boki i trzymał swój towar, częściowo zakrywając go połą płaszcza. Jak to często bywa, sens przeczytanych liter nie od razu dotarł do mojej świadomości. Jednak kiedy się wykrystalizował, zamarłem jak wkopany w ziemię, a potem szybko się odwróciłem, żeby sprawdzić, czy sprzedawca nie uciekł i czy tytuł nie był przywidzeniem wynikłym z długich i bezowocnych poszukiwań.

Kroniki ludów Maya i podbój Jukatanu i Meksyku.

Zanim jeszcze zdążyłem spytać o cenę, wyciągnąłem portmonetkę.

Mężczyzna, który sprzedawał książkę, nie miał w sobie absolutnie nic charakterystycznego. Jasne siwiejące włosy, mało wyraziste, nieuchwytne rysy twarzy – ni to zaokrąglonej, ni to szczupłej – oraz wyblakłe, może bladoszare, a może bladoniebieskie oczy i ciemny płaszcz. Zbliżyłem się do niego z pieniędzmi w dłoni, ale ten nie wiedzieć czemu udawał, że mnie nie dostrzega. I dopiero kiedy upewniłem się co do książki i jej zawartości, mężczyzna wbił we mnie zimny wzrok egzaminatora, próbującego ocenić, czy jestem godny, żeby otrzymać jego towar. Zacząłem już myśleć, że w książce wycięto dziurę, w której leży foliowy pakiecik z jakimś białym proszkiem, i jeśli nie podam teraz hasła, sprzedawca po prostu ucieknie albo oznajmi, że książka nie jest na sprzedaż.

Mężczyzna nie był jednak dilerem narkotyków. Szybko, ale uważnie zerknął na banknoty i podał cenę, która wydała mi się bezwstydnie zawyżona. Widząc, że mam wątpliwości, wzruszył pogardliwie ramionami i pozbawionym intonacji głosem powiedział, że pozycja ta stanowi bibliograficzną rzadkość, ponieważ wyszła w bardzo małym nakładzie niemal pół wieku temu i tylko dyletanci mogą tego nie rozumieć.

Przestraszywszy się, że się rozmyśli i wcale nie zechce oddać książki takiemu sknerze i prostakowi, pospiesznie zapłaciłem, zostawiając mu sumę, za którą mógł z łatwością przeżyć następne dwa tygodnie.

Kiedy oddaliłem się na jakieś piętnaście kroków, pomyślałem, że można było spytać faceta, czy nie ma innych książek na ten temat. On jednak jakby się zapadł pod ziemię; jego miejsce zajął już dziarski staruszek, próbujący pozbyć się opasłego dzieła o teoriach spiskowych, napisanego przez Rudolfa Hessa podczas dożywotniej odsiadki.

Kiedy wszystkie brakujące słowa zostały w końcu przetłumaczone, a rozdział przepisany przez kalkę na czysto, odruchowo odłożyłem kopię na rosnącą stertę mojego osobistego egzemplarza dziennika konkwistadora,

oryginał zaś schowałem do skórzanej aktówki. Zmęczenie i senność zaczynały się nasilać, ale powziąłem przecież zamiar, by odebrać kolejną część książki, zanim położę się spać. Do biura dobiegłem w dziesięć minut.

Już od progu słychać było czyjeś głosy. Z początku pomyślałem, że zaraz spotkam któregoś z moich kolegów lub zleceniodawców, ale już po kilku sekundach zrozumiałem, że to po prostu telewizor. Pracownik biura siedział przykuty do ekranu, rozpływając się w zadowolonym uśmiechu, który tak zniekształcił jego rysy, że aż nie od razu go poznałem. Zamiast zwykłego, kwaśno-pogardliwego powitania, kiwnął mi głową, nie odrywając się od telewizora, i wyszeptał:

– Sekundkę… Już się kończy.

Położyłem na ladzie czarną teczkę i rozejrzałem się po półkach, próbując odnaleźć na nich jej brązową bliźniaczkę. Aktówki nigdzie nie było widać: widocznie leżała w drugim pokoju.

– Słyszał pan? Nasza dziewczyna wygrała w światowym konkursie piękności! Moskwianka! – ogłosił mi z dumą pracownik, ściszając dźwięk. – Oto trzy filary, na których trzyma się nasze wielkie mocarstwo: ropa, broń i baby!

Zmilczałem, nie wykazując najmniejszego zainteresowania. Wtedy przypomniał sobie z kim rozmawia, kaszlnął, uspokajając się, i jego twarz znów zastygła.

– Czyżby to też było już gotowe? – Pracownik uniósł lewą brew; rumieniec szybko znikał z jego policzków i z tą samą prędkością żywe emocje ustąpiły miejsca wymuszonym.

Zamiast odpowiedzi popchnąłem w jego kierunku teczkę. Zajrzawszy do środka, wyciągnął i podał mi kopertę z honorarium.

– Następnej części nie ma, z góry uprzedzam – uciął, widząc w moich oczach niewypowiedziane pytanie.

– A kiedy będzie?

Minę miałem widocznie idiotyczną i tak rozczarowaną, że pracownik nie

mógł powstrzymać protekcjonalnego i nieco współczującego uśmiechu. Było mi wszystko jedno, co on tam sobie o mnie myślał, byleby tylko powiedział, że po piąty rozdział można będzie przyjść już jutro.

– Pojęcia nie mam. – Ostrze gilotyny zerwało się i runęło. – Klient w ostatnich dniach się nie pokazywał. Niech pan przyjdzie pod koniec tygodnia albo proszę mi po prostu przypomnieć swój numer telefonu, zadzwonię do pana.

– Nie, dziękuję, nie warto… ja sam… często tędy przechodzę… – Pomyślałem, że od dzisiaj rzeczywiście będę przechodzić obok tego cholernego biura dziesięć razy dziennie.

– No, jak pan chce. – Wzruszył ramionami, sięgnął po pilota do telewizora i podgłośnił.

– Do widzenia – powiedziałem.

A więc tak. Po wyjściu na zewnątrz zamknąłem oczy i wciągnąłem powietrze, które czuć było spalinami i listopadowymi burzami. Wsłuchałem się w to, co działo się wewnątrz mnie… Jakbym patrzył na swoje odbicie w beczce z deszczówką, jakie stoją czasem na działkach lub przy wiejskich domach. Moja niewyraźna sylwetka pływała w leniwej ciemnej wodzie, na powierzchni której, nie wiedzieć czemu, leżał pojedynczy klonowy liść. Spoglądałem na siebie ze zmęczeniem i obojętnością. To jeszcze nie apokalipsa, po prostu przeciągają oddanie rozdziału. No i pal ich wszystkich licho! Przynajmniej się wyśpię.

Do domu wróciłem zupełnie bez sił, pusty w środku, ale moje zmęczenie ciągnęło się jak cukrowy lizak, podobnie słodkie i z lekkim posmakiem goryczy. Wcisnąłem się pod puchową kołdrę i wziąłem jeszcze do ręki zakupioną przeze mnie książkę o Majach, ale nie zdążyłem jej już otworzyć. Myśli się splątały, wymieszały z fałszywymi, malowanymi przez wyobraźnię obrazami i w ciągu kilku sekund wir snu wessał mnie całego.

Tej nocy śnił mi się wreszcie mój pies i pamiętam, że nawet we śnie bardzo się z tego cieszyłem. Okazało się, że w moim mieszkaniu, w kuchni,

były malutkie drzwiczki, za którymi znajdowała się jakaś komórka. To właśnie w niej pies żył przez cały ten czas, kiedy uważałem go za martwego. W moim marzeniu sennym zaczął drapać w drzwi, jakby prosząc, żeby je otworzyć, i kiedy go wypuściłem, był tak szczęśliwy, że całego mnie wylizał, szczególnie starając się trafić w mój nos i uszy. Potem, rzecz jasna, przyszła pora na wyjście na spacer. Wskazywały na to typowe oznaki: pies zaczął zaglądać mi w oczy, podbiegać do wyjścia, a później rezygnując z wyjaśniania mi swoich pragnień za pomocą aluzji, przyniósł w zębach smycz z obrożą.

Ze snu na sen zmieniały się w istocie tylko okoliczności, w których odkrywałem, że pies tak naprawdę nie umarł, a wręcz przeciwnie – czuje się doskonale; chce, żeby go nakarmić, wyjść z nim, a na dodatek bawić się z nim podczas przechadzki, rzucając patyki, które potem mi będzie przynosił.

Czasem, tak jak dziś, odkrywałem, że przez cały ten czas żył gdzieś obok, a ja po prostu o tym nie wiedziałem. W innych wersjach wizji pies rzeczywiście był martwy, ale sam o tym nie wiedział, dlatego dopóki obchodziłem się z nim jak z żywym, jego śmierć była tak jakby na niby. Najważniejsze było, żeby grać zgodnie z zasadami, nie płakać po nim i w ogóle nie przejawiać żadnego żalu – jednym słowem, robić wszystko, żeby nie domyślił się, że już go nie ma. Zresztą przy jego radości życia i kipiącej energii nie było to wcale trudne zadanie. Wreszcie były i takie sny, w których pies po prostu znowu był ze mną, bez żadnych wyjaśnień, i w nich nie wiedziałem nic o jego śmierci. Te właśnie, najlżejsze i najjaśniejsze, lubiłem najbardziej.

Tym razem musiałem spacerować po nieznanym mi parku; jak zwykle spuściłem go ze smyczy, kiedy tylko znaleźliśmy się w pewnej odległości od jezdni. Pies wyrywał się, żeby pobrykać po trawie; nigdy nie decydowałem się pozbawiać go tej radości. Kiedy mój pies żył, z powodu mojego siedzenia w domu on też musiał wylegiwać się całymi dniami –

zimą na kanapie, latem na podłodze. Teraz jednak, wyrywając się z królestwa śmierci na krótkie wycieczki do moich snów, tym bardziej chciał przypomnieć sobie, do czego stworzyła go natura. Seter to rasa myśliwska, wiedziałem więc, czego pozbawiam mojego psa, dlatego starałem się w niczym go nie ograniczać; wybieraliśmy się na wieś lub do parku – i nieważne, czy było to na jawie, czy nie.

Po pewnym czasie pies odbiegł na taką odległość, że straciłem go z oczu. Dlatego do około dwunastej w nocy, kiedy to zbudziła mnie potrzeba, nie pozostało mi nic innego, jak obchodzić, jedna za drugą, poprzecinane promieniami słońca alejki letniego parku, powtarzając jak nakręcony jego imię. Przez cały ten czas mój pies biegał gdzieś dookoła, nie pokazując mi się, był raz z prawej, raz z lewej, wciąż w pewnej odległości – niewielkiej, ale poza moim zasięgiem. Z zarośli dawało się słyszeć radosne szczekanie.

Pierwsze, co zrobiłem po wstaniu z łóżka, jeszcze przed prysznicem, to poszedłem do kuchni, żeby całkiem na poważnie i z całą możliwą uwagą zbadać jej ściany.

Malutkich drzwiczek nigdzie nie było…

…

Obiecałem sobie, że nie będę biegał do biura tłumaczeń, lecz poczekam co najmniej do jutra, i zacząłem myśleć, czym będę się zajmować w ten opustoszały dzień. Na początek – solidne śniadanie, z kawą i gazetą, jakiego przez ostatnie dni nie jadłem z powodu gorączkowego zainteresowania hiszpańskim tekstem. Potem – niespieszne i szczegółowe przestudiowanie książki o Majach, w której, jak liczyłem, znajdę odpowiedzi na niektóre niepokojące mnie niedopowiedzenia u Kummerlinga.

Po kilku dniach przeżytych na herbacie i kanapkach odpowiednim śniadaniem była nudnawa, ale nieszkodliwa dla zdrowia owsianka. Żeby wzbogacić to więzienno-wojskowe danie o pewną świąteczną nutę,

dodałem płynnego miodu. Gdy owsianka stygła, otworzyłem aktualne wydanie gazety, którą wyciągnąłem ze skrzynki pocztowej.

Pierwsza kolumna była w całości poświęcona trzęsieniu ziemi w Ameryce i na Karaibach, a dwie fotografie, na ćwierć strony każda, przedstawiały zupełnie zburzone stolice Haiti i Dominikany. Wyglądało na to, że Hawana też nie miała szczęścia.

Całą drugą stronę zajmował obszerny wywiad ze zwyciężczynią konkursu piękności Miss Uniwersum, Rosjanką Lidią Knorozową. Jej duże zdjęcie w inkrustowanym brylantami królewskim diademie zamieszczono na środku kolumny. Była to, muszę przyznać, jedna z najdziwniejszych królowych piękności, jaką miałem okazję w życiu oglądać.

Przede wszystkim, w odróżnieniu od dziewczyn, które zwykle biorą udział w podobnych konkursach, Rosjanka była już dobrze po trzydziestce. Twarz miała, trzeba przyznać, przyjemną, ale nie można było powiedzieć, że sama Wenus pocałowała dziewczynkę w czoło przy narodzinach. Lidia Knorozowa ujmowała raczej urokiem osobistym – miękkim półuśmiechem pełnych ust, rozczulającymi zmarszczkami odchodzącymi od oczu – fotograf nie trudził się nawet, żeby porządnie zdjęcie wyretuszować, tak aby ukryć wiek królowej. Ani trochę nie przypominała nimfetek z ogromnymi szarymi oczami, tradycyjnie reprezentujących Rosję na podobnych imprezach. Mimo najlepszych chęci nie umiałem wyobrazić sobie, jakim cudem ta sympatyczna, ale przeciętnej aparycji kobieta zdołała zrobić wrażenie na jury, kiedy obok niej, na swoich sięgających nieba nogach, od których kręciło się w głowie, stały gorące, wielkookie mulatki z Wenezueli i Argentyny.

Zaciekawiony tajemnicą sukcesu Lidii, przeczytałem wywiad, którego udzieliła. Żadnych wyjaśnień, w jaki sposób zwyciężyła, Rosjanka nie dawała. Zamiast tego opowiadała o swojej drodze życiowej, karierze – była starszym pracownikiem naukowym w jakimś instytucie kulturoznawczym – i dziękowała za wychowanie i wsparcie swoich rodziców, tak jak to jest

przyjęte w podobnych sytuacjach. Szczególnie ciepło Knorozowa wypowiadała się o swoim chorym ojcu, na którego leczenie zamierzała przekazać całą sumę, którą dostała wraz z tytułem miss.

Wzruszyłem ramionami i zamknąłem gazetę.

Książka rzeczywiście była niezwykła. Przypominała mi jeden z tomów niekończącej się encyklopedii medycznej, wydanej w połowie lat trzydziestych, której co najmniej czterdzieści tomów stało niegdyś u babci na półkach.

Tytuł – *Kroniki ludów Maya i podbój Jukatanu i Meksyku* – wytłoczono białymi literami na porządnej, twardej okładce. Gruby, wysokiej jakości papier ciut pożółkł w ciągu tych kilkudziesięciu lat, które upłynęły, odkąd książka ujrzała światło dzienne, ale nie zestarzał się, tylko dojrzał, niczym drogie wino w odpowiednio przygotowanej piwnicy. Podniosłem tomiszcze do twarzy, przekartkowałem parędziesiąt stronic i wciągnąłem nosem słodkawy, biblioteczny zapach książkowego kurzu. Aromat ten, którego nie da się pomylić z żadnym innym, momentalnie nastrajał mnie w odpowiedni sposób. Pachnąca w ten sposób książka budziła niepowstrzymaną ochotę, by lec z nią na tapczanie i czytać niespieszne, włączywszy nocną lampkę z zielonym abażurem, zupełnie jakby sączyło się przez słomkę ulubionego drinka.

Zadziwiająca rzecz – na stronie tytułowej nie umieszczono nazwy wydawnictwa. Nazwisko autora, wydrukowane na górze drobną czcionką, z jakiegoś powodu przywoływało na myśl Biblię; całkiem prawdopodobne, że był to pseudonim. Autor nazywał się E. Jagoniel, a książka nie zawierała żadnych informacji o uczonym, który napisał dzieło sprawiające wrażenie solidnego. Co jeszcze można powiedzieć? Moskwa, 1961 rok. Druk offsetowy. Nakład 300 egzemplarzy. Wrażenia były sprzeczne: z jednej strony wyglądała na sowiecką książkę naukową *par excellence*, z drugiej – coś z nią było zdecydowanie nie tak; budziła niepokój i sprawiała wrażenie doskonałej podróbki. Tylko komu przyszłoby do głowy podrabiać

sowieckie książki naukowe?

Sądząc po spisie rozdziałów, praca była bardzo szczegółowa: historię półwyspu rozpoczynał opis czasów, kiedy przemierzali go prehistoryczni koczownicy. Dziesiątki stron autor poświęcił okresowi preklasycznemu, jeszcze więcej uwagi przeznaczając tym stuleciom, w których Majowie osiągnęli szczyt swojej potęgi. Rozdziału traktującego o upadku cywilizacji nie zauważyłem, ale z jakiegoś powodu byłem całkowicie pewny, że E. Jagoniel wiedział nieco więcej od nadgorliwego Kummerlinga – trzeba się tylko było uzbroić w cierpliwość i przeczytać wszystko od deski do deski.

Za to w części opisującej przybycie Hiszpanów i początek kolonizacji od razu rzucał się w oczy rozdział o franciszkańskim biskupie Diegu de Landzie i jego pracach. I to właśnie od franciszkanina postanowiłem zacząć bliższą znajomość z książką: jak powietrza potrzebowałem znajomych twarzy, żeby oswoić się z niegościnnym światem szesnastowiecznej Ameryki, badanej przez rogowe okulary socjalistycznej nauki lat sześćdziesiątych.

Nie znalazłem jednak żadnego odniesienia do realiów niełatwych czasów, w których pisano tę pracę naukową. W tekście ani razu nie wspominano jakichkolwiek autorytetów naukowych publikujących później niż na początku dwudziestego stulecia, z czego wyciągnąłem wniosek, że książka E. Jagoniela najwidoczniej była tłumaczeniem i została wydana jeszcze przed pierwszą wojną światową; jednak dokładnej daty jej powstania mogłem się tylko domyślać.

Już od pierwszych akapitów wybranej na chybił trafił stronicy autor dawał do zrozumienia, że w przedmiocie swoich badań orientuje się doskonale.

„Diego de Landa Calderón urodził się 12 listopada 1524 roku w miasteczku Cifuentes, w hiszpańskiej prowincji Guadalajara. Krajobrazy, które ujrzał wokół siebie, gdy otworzył oczy, i wśród których dorastał – winnice pokrywające zbocza niewielkich wzgórz, aleje topoli, niezliczone rzeczki i strumyki – rażąco odbiegały od tego, co mógł kontemplować za

oknem swojej celi, zanim po raz ostatni opuścił powieki 29 kwietnia 1579 roku.

W tymże 1524 roku, kiedy Diego de Landa Calderón przyszedł na świat, badacz i żołnierz Pedro de Alvarado założył miasto Santiago de Los Caballeros w podbitej przez siebie Gwatemali. Jednak podbój Jukatanu, dokąd przyszły biskup przybędzie dopiero w 1547 roku, aby zostać tam aż do grobowej deski, dopiero się wtedy zaczynał, i Korona hiszpańska nie myślała nawet o włączeniu półwyspu w obręb rodzącego się imperium Indii Zachodnich.

W historii konkwisty postać biskupa de Landy pozostaje jedną z najbardziej sprzecznych. Był zarówno prześladowcą podbitych przez Hiszpanów Majów, jak i ich obrońcą przed bestialstwem właścicieli ziemskich i soldateski. To on najbardziej szczegółowo opisał ich życie, wierzenia, obyczaje, rytuały, to on poczynił próbę rozszyfrowania ich pisma. To Diego de Landa bez należytych pełnomocnictw odważył się wydać wyrok na pogan i ich bogów. To właśnie ten samozwańczy inkwizytor urządził w lipcu 1562 roku w Maní ogromne *auto de fé*, paląc w jeden dzień prawie wszystkie istniejące rytualne księgi i kroniki Majów, a razem z nimi drewniane posągi bóstw, też pokryte napisami, których treść byłaby dla współczesnej nauki bezcenna. A przy tym napisane przez niego dzieło, *Relacja na temat wypadków na Jukatanie*, stało się najważniejszym i najbardziej miarodajnym dla badaczy Majów źródłem wiedzy o tym, co sobą reprezentowała ich kultura. Gdyby de Landa nigdy nie istniał, nie byłoby również w dzisiejszej postaci nauki o tych Indianach, których tak zawzięcie nawracał z pogaństwa na chrześcijaństwo. Wtedy też prawdopodobnie nie byłoby jednak takiej potrzeby i takiego naukowego zainteresowania badaniem ich cywilizacji, gdyż lud ten po dziś dzień zachowałby swą wspaniałą kulturę”.

Przejrzałem naprędce życiorys franciszkańskiego zakonnika do czasu jego przybycia na Jukatan i szczerze próbowałem znaleźć cokolwiek

zajmującego w szczegółowo wyłożonej historii budowy klasztoru w Izamal. I kiedy z pewnym roztargnieniem przeglądałem te stronice, przed oczyma dosłownie mi pociemniało i zaczęło brakować mi powietrza. Wszystko pasowało. Przejrzałem na oczy.

„…inkwizytor urządził w lipcu 1562 roku w Maní ogromne *auto de fé*, paląc w jeden dzień prawie wszystkie istniejące rytualne księgi…”

Ten sam rok, to samo miasto, ten sam mroczny klasztorny przeor. Opisane w tłumaczonym przeze mnie dzienniku przygody z całą pewnością były wstępem do wydarzeń, które zaszły w Maní w lipcu.

Trzech Indian idących z moim oddziałem bardzo niepokoił cel ekspedycji. Już kilka dni po tym, jak Hiszpanie opuścili Maní, jeszcze w pierwszej części dziennika, jeden z przewodników próbował dowiedzieć się od dowódców, czy to prawda, że w innych częściach Jukatanu konkwistadorzy i mnisi zbierają i palą księgi Majów.

Zerwałem się z łóżka i pobiegłem do pokoju, gdzie na biurku leżał stos kartek zadrukowanych moją osobistą kopią przekładu. Od razu znalazłem potrzebny urywek: „…oznajmił, iż w niektórych prowincjach kraju Majów, w szczególności w Mayapan, Yaxuna i Tulum, hiszpańscy żołnierze palą indiańskie księgi i idoli. I że ów Hernán González zapytał mnie, dlaczego tak czynią i czy nie dostałem podobnego rozkazu. I że choć domyślałem się teraz, po co brat Diego de Landa wysłał nas na tę wyprawę…”.

Teraz nie było już konieczne tworzenie żadnych hipotez. Pozostawało tylko przeczytać u Jagoniela ustęp opowiadający o wielkim stosie, który zapłonął w Maní. Jak mogłem sobie tego nie przypomnieć i nie zestawić po prostu faktów, kiedy znalazłem wzmiankę o tym nieszczęsnym *auto de fé* u Kummerlinga?

„Według słów samego brata de Landy, unicestwienie wszystkich indiańskich idoli i świętych ksiąg zamyślił w czerwcu, a konkretnie: tego dnia, kiedy klucznikowi klasztoru Świętego Michała Archanioła w Maní zerwały się z łańcucha i uciekły jego psy. Udawszy się na poszukiwania,

Indianin ten znalazł swoje psy w niewielkiej pieczarze nieopodal klasztoru. Psy ujadały, zatrzymawszy się przed niskim i ciasnym przejściem, którego klucznik wcześniej nie zauważył. Powodowany ciekawością, postanowił przecisnąć się do środka i po przejściu pewnej odległości znalazł się w pomieszczeniu, w którym stały drewniane i kamienne posągi przedstawiające indiańskich bogów, pokryte świeżą krwią. Były tam też inne oznaki tego, że niedawno w pieczarze odbyły się ceremonie religijne. Ów młody ochrzczony Indianin o wszystkim, co zobaczył, otwarcie poinformował przeora.

Dowiedziawszy się, że po piętnastu latach od przybycia na te ziemie misjonarzy rdzenni mieszkańcy wciąż czczą swoich idoli zaledwie parę kroków od katolickich świątyń i być może składają, jak to robili wcześniej, ofiary z ludzi, Diego de Landa wpadł we wściekłość. Przedyskutował sytuację z innymi franciszkanami oraz władzami świeckimi i postanowił raz na zawsze skończyć z pogaństwem na oddanych pod jego pieczę terenach. Brat de Landa nie widział do ich wykorzenienia środka skuteczniejszego niż unicestwienie obiektów kultu i pamięci o nich, i dlatego nakazał z całej okolicy zwieźć do Maní idole, księgi spisane na jeleniej skórze i na korze i wiele innych rzeczy. Niepełny wykaz przedmiotów, które złożono na głównym placu Maní 12 lipca 1562 roku, został opublikowany w dziewiętnastym wieku przez hiszpańskiego uczonego doktora Justa Sierrę. Doktor mówi o 5 tysiącach idoli rozlicznych kształtów i rozmiarów, 13 wielkich głazach wykorzystywanych jako ołtarze, 22 niewielkich głazach pokrytych hieroglifami, 27 zwojach, także pełnych hieroglifów i znaków, oraz 197 rytualnych naczyniach. Są wszelkie podstawy, by przypuszczać, że w rzeczywistości inkwizycji udało się położyć rękę na znacznie większej liczbie takich przedmiotów, a w szczególności ksiąg. Jednak ilekolwiek by ich było, wszystkie w pamiętny poranek 12 lipca 1562 roku zostały rozbite i spalone. Jednym przemyślanym ciosem franciszkańskiemu zakonnikowi udało się obrócić w pył i popiół dziesięć stuleci historii wielkiego narodu.

Straty, jakie wyrządził brat de Landa nauce, są równie niezmierzone, jak bezgraniczna była ta wyrwa, jaka wytworzyła się przez niego w skarbcu kultury ludzkości. Wystarczy tylko powiedzieć, że przez swoją fanatyczną gorliwość w oczyszczaniu wiary Landa i jego pomagierzy zdołali zniszczyć prawie wszystkie kroniki Majów, podobnie jak księgi religijne i utwory literackie. Ledwie trzy rękopisy przetrwały tę katastrofę. Dzisiaj są znane jako Kodeks Paryski, Kodeks Drezdeński i Kodeks Madrycki, nazwane tak od miast, gdzie przechowywane są w bibliotekach. Jeszcze jednym ważnym zabytkiem piśmiennictwa są księgi *Chilam Balam*, napisane w szesnastym wieku w języku maya, lecz łacińskim alfabetem. Pozostają też, rzecz jasna, napisy na stelach i pomnikach architektury, które wciąż stoją nietknięte w dżunglach Jukatanu, jednak nie ma żadnych wątpliwości, że większość wiedzy zawartej w spalonych księgach została bezpowrotnie stracona dla ludzkości.

Co powodowało Diegiem de Landą i czy można osądzać go za to, co zrobił? Należy pamiętać, że kiedy franciszkanie wylądowali w Ameryce Środkowej, nazywanej wtedy Indiami Zachodnimi, zamieszkujące te ziemie plemiona indiańskie często wyznawały bardzo okrutne wierzenia. Być może w większym stopniu dotyczy to wojowniczych Azteków niż Majów, lecz prawie we wszystkich kulturach Ameryki Środkowej szeroko rozprzestrzenione było składanie ofiar z ludzi – które u Azteków osiągnęło przerażający rozmach – a także rytualne oszpecanie i samookaleczanie. A jeśli dodać do tego nieprzyjemne, a często zwyczajnie przerażające wizerunki indiańskich bogów, staje się zrozumiałe, że religie te musiały się jawić chrześcijańskim duchownym jako satanistyczne kulty, a wszystkie te bóstwa i podniesieni do rangi bogów bohaterowie, których czcili Majowie i inne ludy Indii Zachodnich, franciszkańskim mnichom jednoznacznie wydawały się demonami.

W ten sposób, starając się wykorzenić pogaństwo wśród rdzennych mieszkańców, brat de Landa był całkowicie przekonany, że walczy

z najczystszym na Ziemi wcieleniem zła. Poza tym należy zauważyć, że przekonwertowani na katolicyzm Indianie byli o wiele bardziej godni zaufania i ustępliwi od tych, którzy wciąż uparcie wyznawali wiarę swoich ojców. Krzewiąc chrześcijaństwo, Hiszpanie utrwalali swoją pozycję jako kolonizatorów.

Zbytnią naiwnością byłoby sądzić, że na stosach płonęły tylko księgi i idole. Mamy wiarygodną wiedzę o tym, że tych tubylców, którzy nie chcieli zrezygnować ze swych wierzeń, torturowano i okrutnie bito, a wielu z nich doczekało się strasznej śmierci.

Ciekawe jest co innego. W krótkim czasie, jaki minął od podbojów Cortésa, społeczeństwo hiszpańskie niewiadomym sposobem osiągnęło stadium ewolucji moralnej, które zakładało refleksję i skruchę za popełnione grzechy, nawet jeśli środki były usprawiedliwione celem. Dotyczyło to również konkwisty – wielu wpływowych myślicieli i teologów tamtych czasów uważało, że Hiszpanie nie mają prawa podporządkowywać sobie, niewolić i ciemiężyć ludów zamieszkujących odkryte przez siebie kontynenty, i widzieć w nich pozbawione człowieczeństwa bydło, nie zaś równe sobie ludzkie istoty.

Właśnie dlatego, kiedy do Korony doszły słuchy o okrucieństwach, które na swoich ziemiach wyczynia brat de Landa, wezwano go do Madrytu, by się wytłumaczył. Przeora klasztoru w Izamal uratowało tylko to, że generał zakonu franciszkanów osobiście wydał mu dokument potwierdzający prawa inkwizytora, którymi ten z początku nie dysponował. Proces w jego sprawie ciągnął się przez kilka lat i zakończył uniewinnieniem de Landy. To właśnie w tych latach oskarżony zaczął pisać swoją pracę etnograficzną *Relacja na temat wypadków na Jukatanie*, która w następnych stuleciach rozsławiła go na cały świat.

Złe języki twierdzą, że stworzył ją wyłącznie po to, by się wybielić i usprawiedliwić swoje działania. Inni sądzą, że brat de Landa pożałował tego, co uczynił, i spróbował naprawić wyrządzone straty, zbierając

i zapisując wszystkie świadectwa o Majach; jakkolwiek było, owemu dziełu poświęcił resztę swoich dni”.

Jagoniel rozprawił się z dręczącymi mnie zagadkami z tą samą lekkością, z jaką Diego de Landa y Calderón zatarł pamięć o całym tysiącleciu pełnym zdumiewających osiągnięć, krwawych wojen i niewiarygodnych wstrząsów. Przeor izamalskiego klasztoru, tak jak sam wyjaśniał autorowi dziennika w drugim rozdziale, dążył do osłabienia miejscowych kultów i zapewnienia bezpieczeństwa hiszpańskim koloniom.

Kiedy tego czerwcowego dnia odkrył, że nieomal pod samym krzyżem kościoła w Maní niewdzięczni Indianie wciąż jeszcze składają ofiary drewnianym idolom, zrozumiał, jak kruche jest położenie jego zakonu i rodaków na Jukatanie, i podjął jedyną możliwą i słuszną decyzję.

W takim wypadku przewodnicy oddziału, wysłanego na południowy zachód, rzeczywiście po prostu chronili idole i księgi swojego narodu, gdyż mnisi gdzieniegdzie już je palili. Żadnych bajecznych skarbów, czysta geopolityka i fanatyzm religijny. W całej tej historii, która nagle stała się tak jasna i nieskomplikowana, wciąż niepokoiła mnie tylko jedna kwestia.

Jeśli pogańskie świątynie w Maní odkryto w czerwcu i właśnie wtedy brat de Landa po raz pierwszy pomyślał o zniszczeniu indiańskich idoli i ksiąg, to jak to się mogło stać, że wyprawił mój oddział na tajną ekspedycję, ewidentnie pasującą czasowo do *auto de fé*, pełne dwa miesiące przedtem?

La Fiebre

(La Fiebre)

W to, że rozkazy oddziału były tajemnicą, nie można było wątpić. Przeczytałem jak najuważniej wszystko, co E. Jagoniel miał do powiedzenia na temat *auto de fé* w Maní, lecz nigdzie nie mogłem znaleźć jakiejkolwiek wzmianki o tym, że Diego de Landa próbował przygotować się do niego wcześniej niż w czerwcu. Kilka stosów – w różnych wioskach – na których spalono z dziesięć idoli, nie miało żadnego związku ani z historią wielkiego *auto de fé*, ani z samym de Landą. Oczywiście wiedział o tych wydarzeniach, ale nie wydawał bezpośrednich poleceń.

Jeśli jednak założyć, że przeor klasztoru Świętego Antoniego w Izamal przymierzał płaszcz inkwizytora na długo przed wypadkiem z klucznikiem i jego psami… Czy wykorzystał go po prostu jako pretekst do rozpoczęcia ataku na pogan? Sam go zainscenizował? W takim razie można w pełni dopuścić i to, że powody, które podał dowódcom mojego oddziału, też były jedynie wymówkami. Jeśli skłamie się raz, kto ci potem uwierzy? Postać brata de Landy wydawała mi się coraz bardziej niejednoznaczna.

Obawiając się, że zacznę snuć paranoidalne hipotezy bez posiadania poważnych dowodów, postanowiłem zostać przy wersji mówiącej, że de Landa rzeczywiście po prostu dbał o wiarę i ojczyznę, a swoją operację zaplanował jeszcze na długo przed latem 1562 roku, czekając tylko, aż wszystko będzie gotowe i pojawi się powód, by rozpocząć „działania wojenne”. Nie wykluczałem nawet, że cała ta historia z klasztorem Świętego Michała Archanioła i jego ciekawskim klucznikiem była częścią tego planu i o istnieniu jakiejś jaskini z idolami brat de Landa świetnie wiedział wcześniej, ale czekał z jej ujawnieniem na właściwy dzień.

Ponieważ sam de Landa wolał milczenie, Jagoniel zaś uważał temat za wyczerpany, pozostawała mi tylko jedna nadzieja na znalezienie wyjaśnienia tej niezgodności. Musiałem dostać następny rozdział dziennika i go przetłumaczyć.

Ani rano, ani w ciągu dnia nie udało mi się w końcu zasnąć, chociaż

uparcie leżałem w łóżku z zamkniętymi oczami. Nie wiem, co bardziej przeszkadzało mi pogrążyć się we śnie – czy fakt, że moje biedne ciało ostatecznie pogubiło się, które godziny przeznaczone są na sen i czuwanie, czy gorączkowe myśli, galopujące ze wszystkich sił w mojej głowie, niczym zwierzątko w kołowrotku, nieznajdujące wyjścia.

Niemniej zdecydowałem się powlec do biura dopiero po obiedzie. Niczym wędkarz bałem się spłoszyć cennego szczupaka przez zbytni pośpiech. Zamiast naprzykrzać się przyklejonemu do komputera nadętemu chłystkowi, lepiej już poczekać… Choć każdą minutę cierpliwego czekania znoszę z trudem, choć trzeba cały czas tłumić pragnienie, by wstać i pójść wreszcie do tego przeklętego biura, to każde sześćdziesiąt sekund zwiększa prawdopodobieństwo, że skórzana aktówka z nowym zleceniem będzie już na mnie czekać. Kiedy wyruszyłem, by wyciągnąć sieci i popatrzeć, co do nich wpadło, było koło czwartej, chociaż początkowo zamierzałem to zrobić przed samym zamknięciem biura.

W ostatnich dniach mocno się ochłodziło i coraz rzadziej padał deszcz, ale teraz zdarzył się akurat jeden z tych pochmurnych wieczorów, kiedy ołowiane krople spadające z ołowianego nieba zapowiadają nieuniknioną ulewę. Parasola, jak na złość, nie wziąłem z sobą.

Pięćdziesiąt kroków przed biurem ogarnęło mnie nagle złe przeczucie. Poczułem mocne ukłucie w skroni i z jakiegoś powodu pomyślałem, że żadnego rozdziału dziś nie dostanę. Dużo bym teraz dał, żeby wszystko ograniczyło się tylko do tego.

Kiedy uchyliłem drzwi i wślizgnąłem się do biura, pracownik agencji wzdrygnął się, jakby zobaczył ducha. Był blady jak kreda: oczy latały mu nerwowo na boki, ręce bezmyślnie przewracały stertę papierów zwaloną na biurko, a włosy miał potargane.

– Co z panem? – spytał mnie.

– Ze mną? – speszyłem się, bo zamierzałem zadać mu to samo pytanie.

– Widział się pan w lustrze? Nie, pytam poważnie, wszystko z panem

w porządku?

Duży niepokój, jaki dał się słyszeć w jego głosie, sprawił, że podszedłem do okna i zerknąłem na swoje odbicie. W lustro nie patrzyłem już od dość dawna. Ostatnie bezsenne dni odbiły się na mojej fizjonomii w nie najlepszy sposób: oczy miałem zapadnięte, podbródek i policzki pokryła mi rosnąca kępkami szczecina, a i o fryzurze faktycznie też nie pomyślałem.

– Kiepsko spałem – przyznałem, kiedy wróciłem do jego biurka.

– Rozumiem – uwierzył mi pracownik. – No, a tak w ogóle… Nic takiego… złego… – ostrożnie jak badający drogę przed sobą saper dobierał właściwe słowa, starając się nie powiedzieć zbyt wiele.

Natknąwszy się na moje podejrzliwe spojrzenie, umilkł niezdecydowany, a potem zebrał się jednak na odwagę i rzekł:

– Nic dziwnego się z panem nie działo w ostatnim czasie?

– Co ma pan na myśli? – Przybrałem wyraz naiwnego niedowierzania, na tyle, na ile pozwalała mi na to podejrzana szczecina i oczy rozbudzonego w nieodpowiednią godzinę wampira.

– No i chwała Bogu – tamten wolał nie wdawać się w szczegóły. – Nieważne, to wszystko bzdury… – Jego błądzące źrenice zatrzymały się na jakimś dalekim punkcie w przestrzeni i straciły ostrość, umilkł.

– Tak w ogóle, to przyszedłem, żeby spytać, czy nie ma pan następnej części tego zlecenia, pamięta pan, materiały archiwalne – powiedziałem po minucie czekania.

Znów się wzdrygnął, jak po dotknięciu niezaizolowanego przewodu elektrycznego, i zaczął się we mnie wpatrywać, jakby pierwszy raz mnie zobaczył.

– Następnej części zlecenia – powtórzyłem, w nadziei, że moja natarczywość wyrwie go jednak z tego niemal katatonicznego stanu.

Wyraźnie przydarzyło mu się niedawno coś bardzo nieprzyjemnego, ale moją ciekawość przytłumiło potworne zmęczenie i chęć, by za wszelką cenę zdobyć kolejny rozdział książki, dlatego nie zdecydowałem się

o cokolwiek dopytywać.

– Nie! – wypalił.

– A nie wie pan, choćby w przybliżeniu, kiedy będzie? – spytałem, zagryzając usta.

– Nie będzie. Już nie pracujemy z tym zleceniodawcą – powiedział powoli, jak gdyby słowa przychodziły mu z wielkim trudem, i zamrugał.

Przed oczami rozbłysły mi maleńkie gwiazdki i podłoga usunęła się w bok, próbując zwalić mnie z nóg, tak że musiałem złapać się lady. Zrobiłem głęboki wdech, potrząsnąłem głową i spróbowałem zebrać myśli.

– Jak to nie pracujecie?

– W ogóle. I panu też nie radzę. Milicja dziś przyszła – znów się zamyślił.

– Po co tu milicja? – popędziłem go.

– I to nie zwykła milicja, ale sekcja kryminalna. Zaczęli wypytywać, jakimi tłumaczeniami się zajmujemy, wszystko tak z daleka, czy nie zdarzają się jakieś niezrozumiałe zlecenia, może dokumentów wojskowych czy czegoś w tym rodzaju…

– Kto niby oddaje tajne papiery do tłumaczenia w zwykłym biurze? – Uśmiechnąłem się, licząc, że nieco rozładuję atmosferę, ale tamten zupełnie nie miał nastroju do żartów; a może uśmiech na mojej wyczerpanej twarzy wyglądał tak złowieszczo, że wywarł odwrotny skutek.

– To samo im powiedziałem. Wtedy zaczęli się dopytywać, od kiedy pracował tu nasz iberysta, jakim był człowiekiem, czy mieliśmy z nim kontakt poza pracą, jak szybko zwykle oddawał gotowe tłumaczenia, czy nie narzekali na niego zleceniodawcy, i tak dalej.

– Czyli jednak coś się z waszym iberystą stało? – wreszcie się domyśliłem.

– Przepadł bez wieści. Na dzień przed tym, jak przyszedł pan po drugą część tłumaczenia.

– I co mówi milicja?

– Ale powiem to panu w zaufaniu, dobrze? I tylko dlatego, że ma pan

z tym związek. Tak w ogóle, to śledczy kazał mi pokwitować… – powiedział z roztargnieniem pracownik. – No dobra, przecież pan nie będzie… A zatem ten tłumacz mieszkał sam, dlatego tamtego dnia nikt nie zauważył, że go nie ma. Po jakimś czasie zaczęli dzwonić krewni, nikt nie odbierał telefonu. Przyszli do domu – drzwi niezamknięte, rzeczy nieruszone, a człowieka nie ma. Milicja z początku nie chciała przyjąć zawiadomienia o zaginięciu, zwykle czeka z takimi sprawami przez tydzień, a nuż sam się pojawi. Nie pojawił się.

– Ale co pan i ja mamy z tym wspólnego?

– Pierwsza wersja – praca. Nie miał żadnego życia osobistego ani wrogów, nie miał u nikogo długów, okraść go nie okradli, wszystkie pieniądze i rzeczy zostały na miejscu… Prawie wszystkie.

– Co znaczy: „prawie”?

– Kiedy powiedziałem śledczemu o jego ostatnim tłumaczeniu… Nie ma go tam, w tym rzecz. Przepadł tylko człowiek i ta przeklęta teczka. I żadnych śladów. Więc dopytywali się u mnie: kto to zlecił, jak wyglądał, dlaczego tyle płacił, co było w teczce.

– I co?

Długo nie odpowiadał, przyglądając mi się sceptycznie, a potem ściszonym głosem powiedział:

– Niech pan pamięta, że niczego im o panu nie powiedziałem. Z panem w końcu wszystko w porządku… A mnie nieprzyjemności nie potrzeba. I tak zamierzają wziąć nas pod obserwację, wśród klientów rozeszły się już plotki przez to całe diabelstwo. Tak więc niech pan lepiej tu nie przychodzi, póki się to nie wyjaśni. Może go znajdą…

Historia, którą mi opowiedział, nie przestraszyła mnie. Mało to rzeczy mogło się człowiekowi przydarzyć? Wyszedł z domu po papierosy, wpadł pod autobus. Leży gdzieś sobie cichutko z plakietką na dużym palcu u nogi. Co ma do tego moja książka?

– A u pana nie została jakaś informacja o tym kliencie? Formularz

zlecenia albo może wizytówka z adresem? – Było mi już wszystko jedno, czy pracownik uzna moje nadmierne zainteresowanie pracą za podejrzane, czy nie.

– Było coś, ale milicja wszystko zabrała – odparł, pochmurniejąc. – Chyba nie zamierza pan…

– A może mi pan choć powiedzieć, jak on wyglądał, ten zleceniodawca? – Sam już nie wiedziałem, do czego mi to było potrzebne.

– Taki starszy pan, w okularkach, inteligent… Niczym się nie wyróżniał. – Pracownik otarł pot z czoła grzbietem dłoni. – Boże, ale po co to panu? Przecież nie będzie pan na niego czatował? On tu może już nigdy nie przyjść. Wczoraj przyszedł od razu po panu, zabrał teczkę, ale nowej nie zostawił.

– A nie prosił, żeby coś przekazać? Pamięta pan, poprzednim razem mówił, że to niby dobrze, że rękopis do mnie trafił. Może znowu coś w takim duchu? – Szukałem dowolnego punktu zaczepienia, nie chcąc tracić nadziei, że dotrę do dalszej części dziennika.

Mój rozmówca wahał się przez jakiś czas i kilka razy nawet otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale w końcu tylko przecząco pokręcił głową.

– Chyba powinienem się zwrócić do milicji, poinformować ich o moim zleceniu. – Zapuściłem delikatnie sondę i postarałem się przybrać zaniepokojony wyraz twarzy. – Jeśli do tego doszło… Niepotrzebnie sam im pan od razu wszystkiego nie powiedział, teraz i do pana będą mieli jakieś pytania.

Wymownie westchnąłem, wypatrując ukradkiem w jego skrzywionej twarzy oznak rychłej kapitulacji. Oczywiście o tym, żeby samodzielnie udać się do śledczego, nie było mowy, ale nieustępliwość pracownika popychała mnie do szantażu.

– Oczywiście rozumiem pana – dodałem miękko – reputacja firmy wisi na włosku, może pan stracić pracę…

– A niech cholera weźmie tę moją pracę – nie wytrzymał. – Przecież to ten staruch zabronił mi o panu mówić! Ten wasz zleceniodawca. Tuż przed wyjściem, zupełnie jakby wiedział, że następnego dnia zjawi się milicja.

– I co, staruszka pan posłuchał, a sekcji kryminalnej nie? – zdziwiłem się.

– Pan tego nie zrozumie. – Wlepił wzrok w biurko, a ręce znów wpiły się w stertę papierów. – On to tak powiedział, że nie dało się go nie posłuchać… Tak jakoś strasznie…

Nie udało mi się wycisnąć z niego ani słowa więcej. Na wszystkie moje pytania i ponaglenia pracownik biura potrząsał tylko lekko głową i szeptał coś niezrozumiale, zdaje się od nowa odgrywając swoje rozmowy ze zleceniodawcą i detektywem. Bezowocnie starałem się wyobrazić sobie, w jaki sposób przypuszczalnie łagodny, inteligentnie wyglądający staruszek zdołał tak nastraszyć tego zadufanego faceta.

Straciwszy nadzieję, że uzyskam od niego wyjaśnienie, trzasnąłem ze złością drzwiami i wyszedłem na zewnątrz.

Nie chciało mi się wracać do domu. Chociaż byłem na nogach prawie dobę i dawno powinienem się położyć, wystarczyło, że pomyślałem o powrocie do mieszkania, o głuchej pustce, której dziś też nie będę mógł wypełnić pracą, żeby zrobiło mi się tak smutno, iż wolałem kroczyć ulicą, póki niosły mnie nogi.

Nie miałem żadnego określonego celu ani wyznaczonej trasy; bardziej patrzyłem pod nogi niż na boki, przez co kilka razy wpadłem na oburzonych przechodniów, i starałem się zabrnąć jak najdalej, do najbardziej zapadłych zaułków, jakie tylko ostały się w centrum Moskwy. Włóczyłem się i włóczyłem, nie zwracając uwagi na przenikliwy wiatr, na zaczynający padać deszcz. Zapadał zmrok – i na zewnątrz, i w mojej duszy. Domy stawały się coraz bardziej do siebie podobne, zlewały się w jednolitą ścianę, ulica była jak zaklęty wąwóz, a szary pas nieba nad moją głową ciemniał coraz bardziej. Z jakiegoś powodu ludziom, którzy mieszkali w tych domach, nie spieszyło się, by zapalać światło – ich okna

pozostawały ślepe i czarne; było to nienaturalne i robiło mi się coraz bardziej nieswojo.

Wydało mi się, że ściany wąwozu zaczęły się schodzić jak w starożytnym micie i w każdej chwili mogą się zewrzeć, miażdżąc mnie na proszek. Ulegając szaleńczej myśli, że muszę zdążyć przecisnąć się między nimi, kroczyłem coraz szybciej. Potem zacząłem biec. Mój płaszcz się rozchylił, ostra, zacinająca z ukosa listopadowa ulewa uderzyła prosto w pierś, a lodowaty wiatr przylepił koszulę do mokrego ciała. Nie zacząłem się jednak zapinać – bałem się zatrzymać i biegłem, póki w oddali nie ujrzałem kilku rozświetlonych okien. Deszcz zalewał mi oczy i przecinane strugami wody świetliste punkty igrały, przelewały się, zamieniały w gwiazdy wskazujące mi drogę.

Kiedy wreszcie dotarłem do budynku z jasnymi oknami, zrozumiałem, że stoję pod tą samą biblioteką dla dzieci, w której mieściło się teraz moje biuro tłumaczeń. Drogę do domu znałem. Postałem na progu biura jakieś dziesięć minut i w końcu się uspokoiłem. Zebrawszy poły płaszcza, powlokłem się skulony do siebie.

Chociaż pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem po otwarciu drzwi wejściowych ciężkim miedzianym kluczem, była gorąca kąpiel w wannie, nie udało mi się uniknąć choroby. Całą noc prześladowały mnie duszne wizje: to znajdowałem się pod palącym słońcem na bezkresnej pustyni, na której, jakkolwiek długo by się szło po nagrzanym piasku, nie było możliwe przemieścić się nawet o krok naprzód; to z kolei zapadałem się w błocie pośród tropikalnego lasu. W jednym ze szczególnie strasznych momentów, kiedy zaczęło mi się wydawać, że zaraz zabraknie w tym świecie powietrza i z pewnością umrę, koszmar nieco rozluźnił swoje kleszcze, i z trudem, ciężko dysząc, wypłynąłem z głębin snu na powierzchnię.

Pościel była na wskroś przemoczona. Wstrząsały mną dreszcze, czoło miałem rozpalone, w gardle zaschło. Zebrawszy wszystkie siły, które mi pozostały, z ledwością ściągnąłem przygniatającą mnie kołdrę i przez kilka

długich minut po prostu leżałem na łóżku, nie będąc w stanie się podnieść. W uszach miarowo tętniła krew i dźwięk jej pulsowania malował w mojej wyobraźni kompanie żołnierzy maszerujące wzdłuż trybuny, z której przyjmowałem defiladę. Wystarczyło zamknąć oczy, żeby lepiej się przyjrzeć temu widmowemu wojsku, by porwał mnie wir snu.

Następnym razem obudził mnie przeraźliwy chłód, który przenikał całe moje ciało. Trzęsło mną tak, że niełatwo było nawet podnieść rękę do czoła, żeby sprawdzić temperaturę. Starałem się dosięgnąć podłogi, by podnieść zrzuconą kołdrę, ale w żaden sposób mi się nie udawało. Trzeba było zaryzykować: leżąc na samym skraju łóżka, zsunąłem się na podłogę. Teraz nie miałem już wyboru: żeby nie spędzić reszty nocy na zimnym parkiecie, należało zmusić się do wstania, znaleźć kołdrę i w najgorszym razie znów się pod nią zakopać, a jeśli się uda, to i pójść do kuchni po aspirynę.

Jednak wszystko poszło zupełnie inaczej, niż planowałem. Kiedy klęczałem na podłodze, próbując w egipskich ciemnościach odnaleźć nie wiedzieć gdzie zapodzianą kołdrę, w głębi pokoju usłyszałem czyjeś wyraźne westchnienie.

Okna były cały czas szczelnie zamknięte, niebo zupełnie czarne z powodu chmur. Była pewnie czwarta albo wpół do piątej w nocy – głuchy czas, kiedy ostatni imprezowicze rozeszli się już do domów, a uczciwie pracujący obywatele przesypiają w swoich łóżkach ostatnie słodkie godziny. Latarnie zgaszone, a ulice miasta puste, jakby szalała dżuma. W moim pokoju panowała całkowita ciemność, która rozpuściła w sobie zarówno kontury mebli, jak i czarny prostokąt przejścia do przedpokoju, podłogę i sufit ze ścianami. Dlatego, jeśli ufać własnemu słuchowi, było zupełnie niemożliwe dojrzeć, kto znajdował się ledwie kilka kroków ode mnie. Kto albo co.

Przy całym nieprawdopodobieństwie usłyszanego przeze mnie dźwięku owładnęła mną pewność, że nic mi się nie wydawało. Przylgnąłem plecami do łóżka i bojąc się, że zostanę zaskoczony znienacka, wyciągnąłem przed siebie ręce. Potem przełknąłem ślinę i ochrypłym głosem (żeby tylko nie

zmienił się w histeryczny pisk!) zapytałem:

– Kto tam?

Rozumiem teraz, że naprawdę liczyłem, iż usłyszę odpowiedź. Westchnienie było na tyle realne, że nie zadałem sobie nawet pytania, jak nieznajomy gość zdołał dostać się niezauważony do mojego mieszkania, lecz po prostu przyjąłem to za fakt. Siedziałem więc na podłodze, wodząc przed sobą na oślep drżącymi ze zmęczenia i napięcia rękami, wstrzymując wyrywający się z piersi oddech i na próżno wsłuchując się w ciszę. Nie rozległ się więcej ani jeden szmer; ale dopiero gdy spędziłem w takiej niewygodnej pozie dobre dziesięć minut, dałem radę przekonać sam siebie, że usłyszany przeze mnie dźwięk był najwidoczniej ostatnim fragmentem snu. Pomogło mi to nabrać odwagi, podnieść się wreszcie z podłogi i wymacać na chybił trafił włącznik lampki na biurku. Zapalone światło jeszcze raz dowiodło, że zabawiła się ze mną moja wyobraźnia. W pokoju było pusto. Zdecydowanym ruchem sięgnąłem do głównego kontaktu i na trzęsących się nogach obszedłem całe mieszkanie, szczególnie uważnie badając miejsce, z którego, jak mi się zdawało, dobiegł ten odgłos.

Kiedy upewniłem się, że w całym domu nie ma nikogo oprócz mnie, usiadłem na kanapie w kuchni i wyciągnąłem z kredensu przechowywaną tam apteczkę. Z wystającym spod pachy termometrem przetrząsałem białe papierowe opakowania i fiolki z tabletkami, aż w końcu znalazłem aspirynę i jakiś inny lek obniżający gorączkę. Słupek rtęci doszedł do kreski oznaczającej czterdzieści stopni i dopiero tam się zatrzymał; mój stan był poważny, więc na wszelki wypadek wypiłem musującą aspirynę i wziąłem też tę drugą tabletkę. Woda prosto z kranu smakowała rdzą i chlorem; przełykałem ją tak łapczywie, że nie zwracałem uwagi na cienkie strużki cieknące mi w dół po podbródku. Kiedy zaspokoiłem pragnienie i wytarłem się rękawem szlafroka, przypomniały mi się kadry z jakiegoś filmu, w którym tułający się po pustyni podróżnik równie energicznie rzucił się na źródełko w przypadkowo napotkanej oazie. Cóż, tej nocy ja też

wędrowałem po wydmach…

Wziąłem na zapas duży kubek wody i nie gasząc światła w kuchni i przedpokoju, wróciłem do łóżka. Do rana gorączka nieco mi spadła, ale jeszcze ponad tydzień nie miałem odwagi wychodzić na dwór dalej niż do najbliższego sklepu spożywczego. Nawet ta skromna ekspedycja wymagała jednak ode mnie takiego wysiłku, że wszelkie myśli o powrocie do biura tłumaczeń natychmiast wywoływały u mnie słabość w kolanach i lekkie mdłości.

Chociaż wmawiałem sobie, że przyczyną dręczącej mnie choroby był fatalny spacer w deszczu, to cichutki głosik w mojej głowie nie przestawał twierdzić, że istota rzeczy tkwiła zupełnie w czym innym. Przypuszczenie, że rozłożyła mnie wiadomość o tym, iż nigdy już nie zobaczę kontynuacji dziennika konkwistadora, było dla mojego umysłu śmieszne, jednak nie zdecydowałbym się całkowicie tego odrzucić.

Jeśli to jednak było przeziębienie, to wyjątkowo nietypowe: nie doczekałem się ani kaszlu, ani kataru, ani innych charakterystycznych symptomów. Zamiast tego co wieczór męczył mnie żar, w ciągu dnia zaś zastępowała go słabość. Pewnie podejrzewałbym, że to coś poważnego, i poszedłbym do lekarza, gdyby nie ciężki oddech i chrypliwy świst, z jakim powietrze opuszczało moje płuca, co nadawało tej chorobie cechy bronchitu, na który często zapadałem w dzieciństwie.

Człowiek, który nie ma stałego miejsca pracy, nie ma potrzeby usprawiedliwiania się przed pracodawcą za nieobecność wywołaną problemami ze zdrowiem, a to znaczy, że nie ma poważnego powodu, by iść do lekarza. Postanowiłem polegać na własnych zdolnościach lekarskich i przez ponad tydzień metodycznie uszczuplałem zapasy aspiryny i rozgrzewających plastrów z gorczycy. Za dnia coraz częściej siedziałem w kuchni, z kilku pledów urządziłem sobie ciepłe gniazdko i przestawiłem czajnik tak, by móc go dosięgnąć. Nocą, kiedy oczy same zaczynały mi się zamykać, przekradałem się do pokoju, gdzie czytałem jeszcze trochę

w łóżku, zanim po raz ostatni rozglądałem się podejrzliwie dookoła i wyłączałem światło.

Wciąż i wciąż zastanawiałem się nad tym, co przytrafiło mi się tamtego wieczora, kiedy agencja tłumaczeń odmówiła mi dalszej pracy nad dziennikiem, rozumiem teraz, że właśnie wtedy miały swój początek dziwne wydarzenia, które porwały mnie w kolejnych dniach i tygodniach. Dlatego z taką drobiazgowością opowiadam o rzeczach, zdawałoby się, na tyle bzdurnych i niewartych uwagi jak moje sny czy głupie strachy.

Po głębokim zastanowieniu nie mogę powiedzieć, że historia ze zniknięciem mojego poprzednika nie wywarła na mnie żadnego wrażenia. Pierwszego wieczora nie miałem ani sił, ani ochoty, żeby o tym myśleć. Wiadomość, że moja przygoda z dziennikiem się skończyła, tak mnie ogłuszyła i doprowadziła do rozpaczy, iż choć uważam się za człowieka spokojnego, rozsądnego, a nawet dość flegmatycznego, włóczyłem się kilka godzin na deszczu w typowym ataku nerwicy.

Trudno wyjaśnić, czemu stara hiszpańska opowieść tak mną zawładnęła. Zbyt długo trzeba by opisywać moje wcześniejsze życie: nudne, samotne, pozbawione sensu i przygód. W chwili kiedy dziennik konkwistadora po raz pierwszy trafił do moich rąk, poczułem, że przypadkowo znalazłem się w epicentrum jakichś zadziwiających wydarzeń. Nie należały one do mojego zakurzonego światka, ale tym bardziej byłem zdecydowany, by się ich uczepić – mogły przecież pozwolić mi choćby na chwilę wyrwać się z rutyny. Nawet gdyby autor dziennika nie mamił czytelnika szczodrze sypanymi między wersami obietnicami jakichś tajemnic, i tak pewnie z tym samym zapałem tłumaczyłbym rozdział po rozdziale i z tą samą chłopięcą niecierpliwością biegałbym do biura po ciąg dalszy. Myśl o tym, że rozszyfrowując jego zapiski, staję się częścią tych tajemnic i przeżywam być może najbardziej porywającą przygodę, na jaką mogłem liczyć w swoim ponurym życiu, sprawiała, że rozstanie z tą pracą było naprawdę nie do zniesienia.

Po tym jak ten cholerny iberysta zniknął, a pracownik biura, całkowicie pewny, że cała ta historia jest związana z moją książką, niemal w histerii kazał mi iść precz, jeszcze długo zastanawiałem się nad tym, co się stało. Z początku wydawało mi się, że biuraliście nie udało się mnie przestraszyć i zmusić, bym zrezygnował z tłumaczenia dziennika. Jeśli wszystkie te wydarzenia rzeczywiście wiązały się z książką, przydawało jej to tylko wyjątkowości, a co za tym idzie, wszystkiemu, co się ze mną działo.

Jednak nie wszystko było takie łatwe. Mogłem do woli bawić się w odważnego małego detektywa, ale omamy słuchowe nigdy wcześniej nie wprawiały mnie w tak żałosny stan jak tamtej nocy, kiedy zdawało mi się, że ktoś jest w moim pokoju. Jakaś część mnie uwierzyła już pracownikowi biura i od tamtej pory byłem przygotowany na każde niebezpieczeństwo. Strach nie mógł mnie zmusić do rezygnacji z dalszej pracy. Ryzyko tylko podkreślało powagę tego, co się działo.

Stawka rosła.

Problem tkwił gdzie indziej: zostając bez żadnych śladów zleceniodawcy, traciłem nadzieję, że kiedykolwiek jeszcze zobaczę następne części.

W życiu często korzystam z pewnego małego fortelu: jeśli zdarza się, że czegoś bardzo mocno chcę i tego oczekuję, mówię sobie, iż nic z tego nie wyjdzie i wszystkie moje oczekiwania, jak zwykle, skończą się całkowitym fiaskiem. Z jednej strony pozwala mi to zawczasu przywyknąć do myśli o niemożliwości realizacji pragnienia i za pomocą takiej szczepionki złagodzić rozczarowanie, jeśli sprawy faktycznie zaczną przybierać niekorzystny obrót. Z drugiej – nastawiając się na niepowodzenie, próbuję jakby je odegnać; robi się z tego swego rodzaju przeciwieństwo uroku. Tak też postanowiłem postąpić tym razem.

Przekonując samego siebie, że książki nie zobaczę już na oczy, znajdowałem nawet pewne korzyści w mojej chorobie. Słabość ciała nie pozwalała mi ulec słabości ducha i bez końca wracać do biura w nadziei, że wbrew wszystkiemu pewnego pięknego dnia następny rozdział jednak się

pojawi.

…

Trzeba przyznać, że rozstanie z Jukatanem nie było takie proste, a ucięcie tego od razu zdawało mi się sprawą wręcz niemożliwą. Starałem się stopniowo zmniejszyć dawkę, sącząc w kuchni herbatę z konfiturami z wiśni i studiując obie kupione przeze mnie książki w poszukiwaniu odpowiedzi na intrygujące mnie pytania o *auto de fé*.

Któregoś z takich spokojnych wieczorów dokonałem niepokojącego odkrycia. W indeksie pracy E. Jagoniela okazało się, że brat Diego de Landa jest w książce wspominany w dwóch różnych miejscach. Wcześniej wydawało mi się, że kiedy przeglądałem całą książkę, dostrzegłem tylko jeden rozdział poświęcony jukatańskiemu biskupowi. Drugi odnośnik wskazywał na stronicę w zupełnie innej części tekstu, ale początkowo nie nadałem temu znaczenia.

Kiedy otworzyłem książkę we właściwym miejscu, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Była to gruba, prawie jak brystol, karta papieru kredowego, przykryta z wierzchu cieniutkim woalem półprzezroczystej kalki. Właśnie z takim pietyzmem wydawcy prezentowali najważniejsze ilustracje w wielotomowych sowieckich encyklopediach z lat pięćdziesiątych. Ostrożnie odsłoniłem przebitkę i zamarłem: z książki prosto w oczy patrzył mi Diego de Landa we własnej osobie.

Odepchnąłem książkę jak oparzony.

Nie było oczywiście nic dziwnego w tym, że umieszczono w niej ilustrację. Jednak miałem Jagoniela w rękach bynajmniej nie pierwszy raz, niejednokrotnie przekartkowywałem tom od deski do deski i byłem gotów przysiąc, że wcześniej tej wklejki po prostu w nim nie było. Nie dałoby się jej nie zauważyć, gdybym nawet chciał: w książce zdarzały się inne ilustracje, ale wszystkie były wykonane na zwykłym papierze, dokładnie takim, na jakim wydrukowano tekst. Gruba prawie jak tektura karta, okryta

w dodatku kalką, wyróżniała się wśród innych stronic. Nie mogłem pojąć, jak mogłem wcześniej ją przeoczyć: wystarczyło tylko spojrzeć na książkę z boku, żeby biała wklejka natychmiast rzuciła się w oczy.

Do głowy od razu przyszły mi gorączkowe i lepkie myśli o jakiejś diabelskiej sztuczce i nawet poważnie zastanawiałem się, czy nie wywalić Jagoniela przez okno, by nie kusić losu. Jednak pokusa, by przyjrzeć się dokładnie tajemniczemu franciszkaninowi, okazała się zbyt wielka, więc ze śmieszną ostrożnością, starając się nie dotykać książki rękami, podszedłem do przeora klasztoru w Izamal.

Jego portret zajmował całą stronę. Była to reprodukcja obrazu olejnego. Farby te idealnie nadawały się do przedstawienia Diego de Landy: zimny blask w jego oczach oddał malarz tak naturalnie, że oderwać się od ciężkiego wzroku przeora było niezwykle trudno.

Są portrety, które chwytają oglądającego i już go nie wypuszczają. Nieważne, pod jakim kątem patrzy się na takie płótna – zdaje się, że przedstawieni na nich ludzie zawsze patrzą nam prosto w oczy, dzięki czemu ożywają. Dotyczy to na przykład *Giocondy* – ale inne dzieła Leonarda też czasem ukradkiem obserwują odwiedzających muzeum. Zresztą da Vinci nie jest jedyny: czytałem gdzieś o mało znanym hiszpańskim malarzu, którego oskarżano o związki z szatanem i o mały włos nie spalono na stosie, tak podobne były jego portrety do malowanych na nich osób. Chociaż nie, problem był inny: przedstawiani na nich ludzi wkrótce umierali, za to na jego obrazach pozostawali zupełnie jak żywi… Niektórzy chyba nawet wierzyli, że można mieć nadzieję na życie wieczne, jeśli poświęci się swą śmiertelną powłokę i przeprowadzi na jedno z czarodziejskich płócien. Kolejka zamawiających portrety u tego mistrza nigdy się nie kończyła. Niestety nie pamiętam, jak skończyła się ta piękna historia, która prawdopodobnie zainspirowała Wilde’a do stworzenia *Portretu Doriana Graya*. Żaden rdzenny mieszkaniec Polinezji nie uzna tej opowieści za śmieszną ani nieprawdopodobną: jeśli niczego nie pomyliłem,

Polinezyjczycy do tej pory nie zgadzają się na pozowanie do obrazów, a nawet zdjęć, bojąc się, że te odbiorą im siłę życiową. Tak czy inaczej, kilka małych, kiepskiej jakości reprodukcji portretów tego artysty towarzyszących tekstowi potężnie podziałało mi na wyobraźnię. Pamiętam, że postanowiłem natychmiast jechać do Hiszpanii, żeby spojrzeć na nie z bliska. I, jak zwykle, nie tylko się nie wybrałem, ale w końcu zapomniałem, jak ten mistrz się nazywa; silne z początku wrażenie i wzbudzona ciekawość stopniowo wyblakły i zatarły się pośród nowych przeżyć.

Jednak widząc portret Diega de Landy, w jednej chwili przypomniałem sobie tę historię – być może dlatego, że obraz był w jakiś sposób podobny do tamtych reprodukcji. Nie podjąłbym się oceny, czy stworzyła go ręka malarza, który podpisał pakt z diabłem, lecz w równym stopniu posiadał magiczne właściwości. Brat de Landa udał się artyście: był tak żywy, że pożałowałem nawet swego lenistwa, które przeszkodziło mi w pilniejszej nauce hiszpańskiego: kiedy portret przeora się do mnie odezwie, nawet nie będę potrafił mu odpowiedzieć.

Poza całą resztą obraz był przedziwny. Klasyczna tradycja, w której był osadzony, nie dopuszcza lekkomyślności – wystarczy spojrzeć na dzieła Velázqueza, żeby to zrozumieć. Blade, woskowe twarze i białe koronkowe kryzy pozostają na takich portretach jedynymi plamami światła; część płótna zwykle bywa zatopiona w ciemności. Twarze te pozbawione są jakiegokolwiek wyrazu; beznamiętne, jak maski pośmiertne. Szkoła ta folgowała tylko dzieciom, którym czasem pozwalano na psotny uśmiech. Bez niespodzianek obchodziło się też we wszystkim, co dotyczy póz, w których przedstawiano pozujących.

Dlatego portret franciszkanina zdawał się taką samą podróbką jak cała książka Jagoniela, ta fałszywka udająca poważne naukowe wydawnictwo. Z punktu widzenia stylu nie można się było przyczepić, ale za to sama postać…

Brat Diego de Landa był przedstawiony *en face*. Wszystkie najdrobniejsze rysy i zmarszczki namalowane przez mistrza z doskonałym wyczuciem światłocienia, tak jak i wymuszone wygięcie cienkich, bezkrwistych ust oraz uważne spojrzenie dwojga podobnych do czarnych hiszpańskich oliwek oczu – wszystko w jego twarzy wyrażało skrajną trwogę. Jakby tego było mało, przeor trzymał przed sobą podniesioną rękę z wyciągniętym palcem wskazującym, grożąc nim albo przed czymś ostrzegając.

Koniec końców, wyglądał dokładnie tak, jak malowała mi go wyobraźnia: wysokie czoło, powiększone jeszcze przez zakola, wydatne kości policzkowe, duży garbaty nos, opuchnięte powieki, cienie pod oczami…

Pod wizerunkiem nie było żadnych komentarzy. Autor ograniczył się do krótkiej notki „Diego de Landa” i wypisania lat życia jukatańskiego biskupa. Jeszcze bardziej zdziwiło mnie to, że w całym rozdziale, w środku którego zagubiła się owa ilustracja, de Landy ani raz nie wspomniano. Zupełnie niejasne było, jaką logiką kierował się twórca, zamieszczając portret franciszkanina właśnie w części poświęconej wierzeniom Majów i opisom ich niektórych obrzędów.

Zakłopotany, zapomniałem o wszystkich przesądach i dokładnie przejrzałem rozdział od początku do końca. Postronnemu czytelnikowi mogłoby się zdawać, że portret de Landy znalazł się w nim tylko przez pomyłkę typografa bądź wydawcy. Ale im dłużej myślałem o zagadkowym rozmieszczeniu ilustracji, tym bardziej byłem przekonany, że to pomysł samego autora.

Strona z reprodukcją zajmowała prawą część rozkładówki. Lewą zasłaniała przebitka, przez co nie można było popatrzeć na całą rozkładówkę jednocześnie i powiązać treści obu stronic, dlatego pomysł, żeby to zrobić, przyszedł mi do głowy po dłuższym czasie.

Tekst, jaki ujrzałem po lewej stronie, przytaczam w całości.

„W czasie przeprowadzania rytuałów związanych ze składaniem ofiar z ludzi kapłanowi pomagało czterech starszych mężczyzn, którzy, na cześć

bogów deszczu, nazywali się Chakami. Każdy z tych Chaków trzymał za ręce i nogi ofiarę umieszczoną na specjalnym ołtarzu, podczas gdy jej klatkę piersiową otwierał kolejny człowiek, który nosił tytuł Nacom (tytuł wojennego wodza). Innym kapłanem kultu był Chilam, swego rodzaju szaman-medium, który, znajdując się w stanie transu, otrzymywał »wiadomości« od bogów. Jego proroctwa były zwykle interpretowane na zgromadzeniach kapłanów.

Do składania ofiar z ludzi wykorzystywano jeńców i niewolników, lecz najczęściej zabijano dzieci (z nieprawego łoża bądź sieroty, które specjalnie w tym celu kupowano). Obrzędy ofiarowania właśnie ludzi, a nie zwierząt, przyjęły się na stałe na Jukatanie razem z panowaniem wojowniczego plemienia Tolteków. W ważnych ceremoniach korzystano z ołtarzy ofiarnych umieszczonych na budowlach kultu – najczęściej były to świątynie w formie piramidy.

Przeprowadzanie wszystkich rytuałów ściśle wyznaczał kalendarz, przede wszystkim ten o cyklu 260-dniowym. Rytualne nabożeństwa były pełne symbolicznego znaczenia. Bardzo często figurowały w nich na przykład cyfry 4, 9, 13 i odniesienia do kolorów związanych ze stronami świata. Nie ma wątpliwości co do tego, że najważniejsze rytuały były wyznaczone na przyjście nowego roku”.

Dalej autor przechodził do omawiania szczegółów zgodności dwóch przyjętych przez starożytnych Majów systemów kalendarzy. Tu ugrzązłem, bo nie miałem siły, by czytać dalej: w poprzednich trzech akapitach ujrzałem coś, co całkowicie paraliżowało moją zdolność orientacji w tekście i zastanawiania się nad nim.

Lakonicznie przedstawiony przez Jagoniela obrzęd składania ofiar całkowicie zgadzał się z wizją widzianą w moich koszmarach. Myśli szaleńczo zawirowały. Czy mogłem natknąć się na opis tego strasznego rytuału, zanim trafił do mnie dziennik konkwistadora? Może ten przerażający, lecz w jakiś sposób pociągający obraz pozostał w mojej

pamięci, odkąd – jeszcze będąc dzieckiem – przeczytałem jakąś przygodową opowieść o eksploracji Ameryki? Umysł sprawił, że o tym zapomniałem; wyobrażenie wpadło do ciemnej piwnicy mojej świadomości i dopiero teraz wylazło na powierzchnię po sznurowej drabince, spuszczonej przez mojego konkwistadora… Bo czy można ostatecznie zapomnieć coś, co tak bardzo wystraszyło w dzieciństwie?

W tych trzech akapitach było coś jeszcze: „(…) którzy, na cześć bogów deszczu, nazywali się Chakami (…)". Gdzie ja spotkałem to imię? Nie było czegoś o nim w drugim rozdziale dziennika? Zerwałem się z kanapy i pobiegłem do pokoju, gdzie na stole leżał stosik moich tłumaczeń. Okazało się, że słowo, którego szukałem, znajdowało się na samym końcu: był to niezdarnie skopiowany przeze mnie rysunek bajkowego stwora, pod którym widniał łaciński napis „Chac".

Przeczytałem od nowa cały rozdział i gwałtownie, niczym tropikalna ulewa, której panem było to bóstwo, spadła na mnie świadomość tego, że dzieje się ze mną coś niewyjaśnionego i złowieszczego. Wszystkie szczegóły tej historii zdawały mi się teraz wzajemnie połączone: i jeden, przedwczesny tropikalny deszcz, który spadł na awangardę konkwistadorów w tym samym momencie, gdy ich towarzyszy dosięgnął straszny i nieznany los; i drugi, zapóźniony, lodowaty, który osadził mnie w areszcie domowym. I składanie ofiar, które widziałem we śnie. Nie śmiałem dłużej wątpić, że wszystko to ma jakiś sens, który jak dotąd pozostawał przede mną ukryty.

Zdołałem oprzeć się pokusie jeszcze tylko przez parę dni. Wystarczyło, żebym poczuł się nieco lepiej, a plunąłem na wszystkie konstrukcje logiczne czy zabobonne, ubrałem się ciepło, uzbroiłem w parasol i wyruszyłem do biura. Byłem nastawiony bardziej walecznie niż kiedykolwiek: albo wydobędę od nieufnego pracownika adres i telefon zleceniodawcy, albo niech się przygotuje na tłumaczenia przed śledczymi.

Do starcia jednak nie doszło. Biuro okazało się zamknięte

i potrzebowałem dobrych pięciu minut, by uwierzyć w to, co zobaczyłem. Okna były jak martwe, pokryła je już cienka warstwa kurzu i brudu. Zakurzony był też stary dzwonek. Zamek i klamkę w drzwiach owijał drucik z plastikową plombą, a framuga oklejona była postrzępioną już papierową taśmą z napisem „Zaplombowano” i granatową pieczęcią moskiewskiego Wydziału Kryminalnego.

La Obsesión

(la Obsesión)

Czyżby milicja jednak zamknęła biuro, jak obawiał się jego pracownik? Wyszło na jaw, że czegoś nie dopowiedział, zaczęto go więc podejrzewać o współudział i aresztowano. Agencji zaś zabrano licencję czy co tam mają firmy tłumaczeniowe. Po prostu zamknęli ją, żeby go przycisnąć? Może to nie był żaden pracownik, tylko szef biura? Co jeszcze mogło się stać i, najważniejsza rzecz, po co zaplombowano biuro?

Przez zakurzone podwójne szyby nie dało się nic dojrzeć. Oglądając się za siebie jak złodziej, obszedłem dookoła cały piętrowy budyneczek, w którym mieściło się biuro, żeby pod każdym oknem wspiąć się na palce i spróbować zajrzeć, czy wewnątrz nic się nie dzieje. Z drugiej strony budynku odkryłem niewielkie żelazne drzwi – najwidoczniej zapasowe wyjście. Je także zaplombowano i oklejono milicyjnymi pieczęciami.

Kilka kroków dalej znajdowało się zejście do pomieszczeń piwnicznych, oddanych restauracji. Na blaszanym daszku, osłaniającym przed deszczem dziesięć schodków i wejście, dostrzegłem wywieszkę z napisem „Szaszłykarnia Tzompantli. Kuchnia kaukaska i meksykańska”. Zza przymkniętych drzwi na schody padał wąski klin bladego światła i dochodziły niebiańskie aromaty, od których od razu uruchomiła mi się wyobraźnia, jęknęło w brzuchu i ściągnęły się policzki.

Nie wiedziałem, że było tu coś jeszcze oprócz biura tłumaczeń. Wchodząc w rolę śmiałego detektywa, podniosłem kołnierz płaszcza i zacząłem schodzić po schodach. Trudno powiedzieć, co popychało mnie tam mocniej – ciekawość śledczego czy nieoczekiwane ukłucie głodu.

Po zajęciu stolika najżyczliwiej jak się dało skinąłem głową schludnej jasnowłosej kelnerce w granatowym fartuchu i nieco banalnym papierowym czepku. Zagłębiłem się w lekturze menu. Nazwy dań były pieszczotą dla oczu, a ceny nie psuły przyjemnego wrażenia. Na wszelki wypadek sprawdziłem zawartość portfela i zamówiłem lobio, szaszłyk z baraniny i tapas jako przystawkę. Kombinacja ta była, co tu dużo mówić, nieco dziwna, ale zdarzało mi się łączyć i sushi z barszczem, dlatego nie

zamierzałem udawać konesera najprawdziwszych tapas, oburzonego sąsiedztwem gruzińskiego saciwi.

Zabrawszy się do świetnie przygotowanej przekąski (nie udało mi się w końcu odwiedzić Hiszpanii, dlatego nie umiałem porównać podanych mi tapas z tymi jedzonymi w ich ojczyźnie) i rozglądając się na boki, przystąpiłem do planowania dalszych działań.

W szaszłykarni prawie nie było gości – jedynie przy ostatnim stoliku drzemał tęgi, wąsaty mężczyzna w skórzanej kurtce. Znalazłem na to jedno tylko wyjaśnienie: martwa godzina, kiedy pora obiadowa już się skończyła, a do kolacji zostało jeszcze sporo czasu i po jadłodajniach wałęsają się tylko takie nieroby jak ja. Wieczorami na pewno nie da się tu szpilki wetknąć. Przyjemny i spokojny wystrój: ściany wyłożone bejcowanym drewnem, pod niskim sufitem lampy w kształcie starych latarni ulicznych, miłe kelnerki, menu tak kuszące, że ma się nieodpartą ochotę spróbować każdego dania. Jeszcze godzina, może półtorej i zlecą się tu wyswobodzeni z pracy ludzie w garniturach, więc przez szczęk sztućców i harmider planowana przeze mnie rozmowa z pracownikami restauracji zrobi się zupełnie nie taka, jak bym chciał.

Kiedy kelnerka przyniosła mi lobio, prześlizgnąłem się wzrokiem po identyfikatorze na jej piersi i spytałem:

– Przepraszam, pani Leno, co się stało z waszymi sąsiadami? – Wskazałem głową w stronę, gdzie, jak mi się zdawało, znajdowało się biuro.

Dziewczyna zamarła, mrugając ogromnymi szarymi oczami oprawionymi w mocno pogrubione czarnym tuszem rzęsy, i wpatrzyła się we mnie ze zdziwieniem. Pomyślałem, że uznała, iż interesują mnie jej sąsiedzi z mieszkania albo, kto wie, że jestem tajemniczym wielbicielem. Pospiesznie uściśliłem:

– Ja o tym biurze tłumaczeń, wie pani, w tym samym budynku, tylko od ulicy. – Żeby wykluczyć wszelkie wątpliwości, wskazałem palcem na

podłogę.

Ściągnęła usteczka i podejrzliwie zmrużyła oczy. Chciałem wyglądać na rozluźnionego, więc nabrałem na widelec trochę sałatki i spróbowałem skierować go do ust, ale ręka zdradziecko mi drgnęła i kawałek kurczaka plasnął dźwięcznie o stół. Chciałem już sięgnąć po serwetkę, ale kelnerka okazała się szybsza. Kiedy wycierała stół, wymamrotałem w stronę zadziornego kucyka, w jaki miała upięte farbowane na platynowy kolor włosy:

– Po prostu u nich pracuję… Jako tłumacz. Chorowałem prawie dwa tygodnie, dziś poczułem się trochę lepiej, przychodzę się przypomnieć, a tam zamknięte i zaplombowane. Nie wie pani, co się stało? Kiedy otworzą?

– To pan gazet nie czyta? W „Moskiewskim Komsomolcu” w przedostatni czwartek było o tym pół rubryki *Z ostatniej chwili* – oznajmiła kelnerka, oderwawszy się od ściereczki. – Wycięliśmy nawet artykuł, chce pan, to pokażę.

Mały kwadracik papieru, na którym reporter zajmujący się sprawami kryminalnymi streścił historię mojego biura, był brudny i zatłuszczony. Widocznie nie ja pierwszy interesowałem się tą sprawą i kelnerkom przejadło się już opowiadać o niej dziesięć razy dziennie. Żeby się nie odrywać od pracy, wpychały po prostu w ręce kolejnym ciekawskim wycinek z gazety.

„Moskiewscy zabójcy zaczęli porywać trupy” – głosił nagłówek obiecująco. Właśnie przez takie artykuły od dziesięciu lat nie czytam tej ulubionej przeze mnie niegdyś gazety.

„Bestialskie morderstwo i rabunek dokonane w środę w biurze tłumaczeń Abecadło w Zaułku Starokoniuszennym. Nieznani przestępcy dostali się do biura firmy Abecadło i rozprawiwszy się uprzednio ze znajdującym się w nim pracownikiem I. P. Siemionowem, ograbili biuro. Złoczyńcy mieli prawdopodobnie swój cel, szukali dokumentów i pieniędzy. Z biura zginęły

liczne papiery i sejf, w którym znajdował się tygodniowy utarg firmy. Przestępcy zostawili sprzęty biurowe.

Podstawowe pytanie, jakie zadają sobie śledczy, brzmi: co zabójcy zrobili z ciałem I. P. Siemionowa? Milicja nie ma wątpliwości co do jego śmierci: na podłodze odkryto dużą ilość krwi tej samej grupy co u Siemionowa. Według specjalistów medycyny sądowej taki upływ krwi jest jednoznaczny ze śmiercią. Jednak samego ciała nie znaleziono na miejscu przestępstwa. Prowadzący sprawę pracownicy moskiewskiego Wydziału Kryminalnego sądzą, że rabusie mogli zabrać je z sobą, a potem zakopać w podmoskiewskich lasach lub wrzucić do rzeki Moskwy. Jednak milicja nie potrafi na razie odpowiedzieć na pytanie, z jakiego powodu uznali to za konieczne".

– A bo to oni tam prawdę napiszą? – zza moich pleców dobiegł żartobliwy, nieco ochrypły kobiecy głos.

Wzdrygnąłem się i odwróciłem. Za mną, opierając się na kiju od szczotki, stała sprzątaczka – kobieta mniej więcej pięćdziesięcioletnia o nieprzyjemnej chudej twarzy i siwiejących czarnych włosach.

– Prawdę? – zakrztusiłem się sałatką i odłożyłem widelec na bok.

– Prawdę, prawdę… Że wszystkie drzwi były zamknięte od środka, a klucz był w zamku od wewnętrznej strony, że krwi to tam się polało z pięć litrów, jakby go wypatroszyli, a potem trupa wlekli jeszcze dokądś z dziesięć metrów po biurze: ślad prowadzi, a potem nagle się urywa… I że z klientów to teraz mamy tylko milicję i pismaków – rzuciła na koniec ze złością.

– A skąd pani to wie?

– Mówię przecież, że kiedy tu węszyli, to przychodzili do nas na obiady. Ci z wyższym stopniem, to wiadomo, milczeli, ale za to młodziutcy milicjanci, co pilnowali, ci to nie wytrzymają… Lenkę mi tu jeden cały czas adorował, to i naopowiadał o tym i o owym. Czy nie tak, Lena?

Kelnerka, która akurat przyniosła mi szaszłyki z pieczonymi ziemniakami,

potwierdziła kiwnięciem głowy, ale się nie odezwała.

– Tak więc, no… smacznego – zakończyła sprzątaczka i stukając wiadrem, zniknęła w długim korytarzu.

Jakieś dziesięć minut grzebałem w zamyśleniu widelcem w kawałkach doskonale wypieczonego, soczystego mięsa, to usypując ziemniaki jeden na drugim, to znów rozprowadzając je po talerzu. Nie potrafiłem zmusić się, żeby je przeżuć i przełknąć: wystarczyło podnieść szaszłyk do ust, by zaczynało mi się kręcić w głowie, a w gardle czułem ohydne ssanie.

Krwi się polało z pięć litrów, powtarzałem sobie. Jakby go wypatroszyli… Drzwi wszystkie zamknięte od środka na klucz. Tak powiedział, że nie dało się go nie posłuchać… Tak jakoś strasznie. Krwawy ślad na dziesięć metrów. Dokąd? Po co? Boże, co zresztą za różnica! Najważniejsze to: kto! Właśnie, kto? Bo odpowiedź na pytanie: „Dlaczego?”, zdawało mi się, że znałem, chociaż nie chciało się wierzyć w coś takiego, a tym bardziej o tym myśleć.

Dwa następujące po sobie tajemnicze zniknięcia wykluczały możliwość zbiegu okoliczności. Podczas ostatniej rozmowy z pracownikiem biura próbowałem dodać sobie odwagi, uspokoić się, wykazać, że historia, w którą zostałem wplątany, nie stanowi dla mnie żadnego niebezpieczeństwa. Iberystę przejechał samochód? Czyli że nie zamknął drzwi na klucz, wychodząc z domu po zakupy? I po co brał ze sobą aktówkę ze zleceniem? Ja nie zamykam za sobą tylko wtedy, gdy decyduję się iść do zsypu – Moskwa to niespokojne miasto, wystarczy poczytać rubrykę *Z ostatniej chwili*, żeby poczuć przemożną chęć wstawienia podwójnych stalowych drzwi i niepokazywania się na ulicy wraz z nastaniem ciemności. To, co się stało, wyglądało na porwanie, przy czym tłumacz musiał dobrowolnie otworzyć przybyszom i pokornie z nimi wyjść, nie próbując się sprzeciwiać i nie zamykając drzwi na klucz.

Mimo że to, co przydarzyło się mojemu poprzednikowi, było nie tak jednoznaczne i przerażające, to los, który spotkał nieszczęsnego biuralistę,

rzeczywiście mną wstrząsnął. Widać wiedział coś jeszcze – coś takiego, o czym nie miał odwagi powiedzieć ani śledczym, ani mnie, pewnie w obawie przed uznaniem za szaleńca. Gdyby wyłuszczył wszystko milicji, być może objęto by go ochroną… albo umieszczono w klinice psychiatrycznej – przerwałem sam sobie. Psychiatryk to przynajmniej zakład zamknięty, wniknąć do niego przestępcom byłoby o wiele trudniej i kto wie, mój znajomy zza biurka wciąż jeszcze mógłby żyć. Mało prawdopodobne, nalegał mój wewnętrzny rozmówca: wątpliwe, by złoczyńców, którzy nie korzystają z drzwi i okien, przestraszyły ochrona i ogrodzenie kliniki specjalnej.

– Nie smakuje? – spytała mnie z goryczą kelnerka, wskazując dawno wystygły szaszłyk.

Myśląc o swoich sprawach, ponuro pokiwałem głową, i dziewczyna westchnęła, niepokojąc się pewnie o los napiwku.

– Przecież przedtem jadał tu zawsze – powiedziała kelnerka, nagle postanawiając wypowiedzieć na głos fragment swojego monologu wewnętrznego.

– Kto?

– Ilia… Siemionow. Ten, którego zabili. – Lena pociągnęła nosem. – Miły taki był, wesoły. Cały czas żartował, nigdy nie brał reszty.

Kiwnąłem głową, próbując sobie wyobrazić, jak ten niezbyt przyjemny, zadufany w sobie okularnik z wiecznie ulizaną grzywką mógł flirtować z dziewczynami. Miałem ochotę powiedzieć coś złośliwego, ale w porę się powstrzymałem, przypominając sobie, że i mnie z kobietami nie układało się całkiem gładko.

– Tamtego wieczoru Ilia przyszedł do nas na kolację, pamiętam to, bo wcześniej nigdy tak późno nie bywał, tylko w przerwie obiadowej. Żonaty przecież był, kolację zawsze jadał w domu… Gadałam z nim czasem, jak wychodziłam zapalić – dodała, jakby na usprawiedliwienie.

– I co się stało tamtego wieczora? – spróbowałem łagodnie skierować jej

myśli na poprzednie tory.

– Powiedział, że ma dużo pracy i zostanie do późna. Miał jakieś trudne tłumaczenia, dużo musiał sprawdzać w słowniku, to się zasiedział.

– A więc on sam tłumaczył? – zdziwiłem się. – Mnie się zdawało, że był od spraw administracyjnych.

– Nie wiem – wzruszyła drobnymi ramionami. – A kiedy wychodziłam do domu, było już całkiem późno, wpół do drugiej w nocy, tamtego dnia akurat zamykałam, to światło się jeszcze u niego paliło. Przynieść rachunek czy będzie jeszcze kawa?

Szkatułka jej szczerości zatrzasnęła się równie nieoczekiwanie, jak się otworzyła. Zamówiłem kawę, licząc na to, że uda mi się ją jeszcze pociągnąć za język, ale kelnerka przyniosła zamówienie i natychmiast się oddaliła. Nie wiadomo po co długo mieszałem parujące espresso odbitą ze sztancy łyżeczką, nasłuchując, jak pobrzękuje o ścianki filiżanki. Potem jednym haustem wypiłem zimną i niesmaczną już czarną ciecz i poprosiłem o rachunek.

Szczodry napiwek sprawił, że się uśmiechnęła.

– A co oznacza wasza nazwa? – spytałem, chcąc nieco rozwiać pogrzebowy nastrój, który pojawił się pod koniec naszej rozmowy.

– „Tzompantli”? Zaraz spytam właściciela. Rubenie Aszotowiczu!

Wąsaty grubas przy ostatnim stoliku wzdrygnął się i spojrzał na nią sennym wzrokiem.

– Pan tu pyta, co znaczy „Tzompantli”. To chyba coś po waszemu, tak? Czy po gruzińsku?

– To nic nie znaczy – odparł flegmatycznie, charakterystycznie rozciągając samogłoski. – Piękne słowo…

Wracałem do domu pogrążony głęboko w myślach. Zaczynało mi się zdawać, że przez przypadek znalazłem się w oku cyklonu: nieznane i niezmierzone siły miażdżą wszystko dookoła, wyrywają z korzeniami wiekowe drzewa, unoszą ludzi donikąd – lecz w samym środku tej rozróby

panuje śmiertelna cisza. Chociaż, być może, to właśnie ja, sam tego nie wiedząc, wywołałem wicher, i dlatego mnie nie porwał. Na razie…

Najbardziej prawdopodobne wydawało mi się to, że z właściwym sobie szczęściem trafiłem w samo piekło rozgrywającej się właśnie historii kryminalnej, w której wszystkie pozostałe postaci gonią za jakąś bezcenną antykwaryczną książką. Ogarnięci manią bukiniści, najemnicy pracujący dla wielkich domów aukcyjnych, Wydział Kryminalny, znajdujący się w niewłaściwym miejscu i czasie filolodzy hiszpańscy i pracownicy firm tłumaczeniowych… Byłaby z tego cudowna książka przygodowa dla dzieci, a jeszcze lepiej – komiks. Spróbowałem unieść kąciki ust w kierunku uszu, mówiąc sobie, że sytuacja stała się przezabawna. Zupełnie mi nie wychodziło. Czułem się nieswojo.

Los chroni mnie przed pokusą, przyszło mi nagle do głowy. Gdybym miał choć cień szansy, by dorwać się do dalszego ciągu dziennika konkwistadora, nie wahałbym się ani sekundy, tylko znowu wziąłbym się do jego tłumaczenia. Kto wie, jaki los czekałby mnie w takim wypadku, ale raczej bym o tym nie myślał, zanim nie dowiedziałbym się i nie przepisał na rosyjski tego, co przydarzyło się oddziałowi konkwistadorów w „Capítulo V”. Jednak niewidzialna ręka zatrzymała mnie na krok przed przepaścią, w stronę której ślepo zmierzałem, obróciła mnie i popchnęła w przeciwnym kierunku – ku normalnemu, zwykłemu życiu. Spokojnemu, pospolitemu, szaremu, dawno obrzydłemu, pustemu, bezużytecznemu życiu. Życiu. Czy rzeczywiście powinienem być jej za to wdzięczny?

Tak czy owak, nie pozostawiono mi wyboru. Jak nakręcony kroczyłem dalej w stronę, w którą mnie pchnięto. Nie mogłem nigdzie skręcić na własną rękę; w takim położeniu pozostaje tylko wynajdować jego zalety.

Jednak uspokoić się i zapomnieć o mojej ekspedycji w lasy Jukatanu nie od razu mi się udało. Jak tylko wróciłem do domu, usiadłem do książki E. Jagoniela, dosmaczając sobie studiowanie zwyczajów Indian z plemion Majów wiśniowymi konfiturami.

„Wśród Majów obowiązywała oficjalna astrologia – twierdził Jagoniel. – Dla każdego dziecka tworzono specjalny kalendarz, przepowiadający, w zależności od dnia narodzin, nadchodzące wydarzenia w jego życiu. Kalendarz ten zawierał odpowiedzi na wszystkie pytania: kiedy człowiek zdoła znaleźć pracę, kiedy weźmie ślub, kiedy przydarzy mu się nieszczęśliwy wypadek, kiedy umrze. Kalendarz ten był zawsze przy nim, śpiewano go zamiast kołysanek, zapuszczał korzenie w świadomości i prowadził przez całe życie. Każdy znał na pamięć swój własny horoskop, i ta wiedza go uspokajała, pomagała mu znaleźć swoje miejsce w świecie i zrozumieć, na jakim etapie drogi życiowej się znajduje.

Taki system działał praktycznie bez usterek, gdyż kapłani-astrolodzy sami pomagali przepowiedzianym wydarzeniom zaistnieć. Jeśli horoskop obiecywał jakiemuś młodzieńcowi, że spotka swoją ukochaną określonego dnia w określonym miejscu, to istniał też inny horoskop, nakazujący jakiejś dziewczynie, by tego samego dnia zjawiła się w tym miejscu, i również obiecujący jej spotkanie z przeznaczonym jej mężczyzną. Według niektórych informacji w ten sposób przepowiadane były również duże transakcje, takie jak kupno czy sprzedaż domów, a nawet awantury, których uczestnicy wiedzieli o nadchodzącej bójce zawczasu. Niektórzy badacze uważają, że wojny, które prowadziły między sobą rozliczne plemiona Jukatanu, należące do tej religii i kultury, też były przepowiedziane w swego rodzaju »kronikach przyszłości«, a to znaczy – z góry przesądzone. Większość Majów była wojownicza, więc perspektywa konfliktu zbrojnego wcale ich nie niepokoiła. Nie rozpatrywali nawet możliwości, by wykonać ruch przeciw losowi i zrezygnować z pisanych im bitew. Liczba poległych w boju wrogów także była przewidziana w horoskopach i jeśli ginęło ich nie tylu, ilu trzeba, zawsze pozostawała możliwość nagięcia rzeczywistości do proroctw i złożenia ofiary z jeńców.

To zamiłowanie Majów do przepowiedni pozwalało im przezwyciężyć strach przed przyszłością, lęk przed śmiercią i napełniało pewnością siebie

każdego człowieka i całe narody. Jednak w dziesiątym wieku naszej ery wyrządziło ono całej ich cywilizacji psikusa, o którym, przez niedostatek podstaw naukowych tej hipotezy, nie będziemy tu mówić”.

Umiejętnie rozpaliwszy moją wyobraźnię, by w tym momencie zręcznie schować białego królika wiedzy tajemnej z powrotem do magicznego cylindra, Jagoniel eleganckim dygiem podziękował publiczności za uwagę i bez najmniejszego zażenowania przeszedł do kwestii wychowywania dzieci, do którego, rzekomo, odnosił się ten dziwny ustęp.

Tej nocy i następnego dnia działo się ze mną coś niewyobrażalnego: im lepiej rozumiałem, że moja przygoda dobiegła końca, z tym większym rozjuszeniem kartkowałem Kummerlinga, czytałem na nowo broszury, sunąłem z lupą po mapie stanów Campeche i Peten i myślałem, myślałem… Dzwonek alarmowy zabrzmiał wieczorem następnego dnia, kiedy po zjedzeniu kolacji usiadłem, by wysłuchać serwisu informacyjnego w radiu, chcąc oderwać się od natrętnej myśli, jaką stało się pragnienie odgadnięcia, co to za zadanie miała opisana w dzienniku ekspedycja.

„Niebywałe zniszczenia i ofiary w ludziach spowodował huragan »Simona«, który trzy dni temu przeszedł wzdłuż atlantyckiego wybrzeża USA” – obwieszczał lektor. Odruchowo podkręciłem dźwięk – pewnie dlatego, że jeszcze wczoraj sam czułem, że znalazłem się w oku cyklonu.

„W całości zniszczone są miasta Nowy Orlean, Houston i Dallas. Większość zamieszkanych rejonów w stanach Missisipi, Luizjana i Teksas leży w ruinach. Szczególnie ucierpiała stolica jazzu – Nowy Orlean jest w dziewięćdziesięciu procentach pod wodą, amerykańskie wojsko i Gwardia Narodowa nie są w stanie poradzić sobie z ewakuacją ocalałych. Liczba ofiar, według wstępnych szacunków, może sięgnąć kilkudziesięciu tysięcy, ale Ray Nagin, burmistrz Nowego Orleanu, uważa, że jest to liczba najskromniejsza z możliwych. Miasto leży na nizinie, dlatego dziesięciometrowe fale, jakie przyniósł z sobą huragan, z łatwością pokonały wały i doprowadziły do największej powodzi w historii Nowego

Orleanu. Sytuację komplikuje fakt, że woda zerwała tamy na kanałach prowadzących do jeziora Pontchartrain, które położone jest wyżej od miasta. Żadne próby oddziałów wojskowo-inżynieryjnych, by w jakimkolwiek stopniu wzmocnić zapory, nie przynoszą rezultatów. W mieście króluje anarchia. Wszystkie sklepy z bronią zostały ograbione, a przez złą organizację operacji ratunkowych pomoc humanitarna dociera do Nowego Orleanu z dużym opóźnieniem i nie wystarczy jej dla wszystkich. Ocalali szabrują i okradają sklepy. Oddziały desantowe przerzucone do miasta śmigłowcami transportowymi Chinook wchodzą w starcia z bandami szabrowników i ponoszą ciężkie straty.

Do Houston i Dallas huragan »Simona« dotarł, osiągnąwszy maksymalną siłę – obecnie ma najwyższą, piątą kategorię. Miliony mieszkańców obu miast, starając się ewakuować w głąb kontynentu, znalazły się w pułapce. Drogi zostały zablokowane z powodu licznych awarii, arterie komunikacyjne Teksasu stanęły w wielokilometrowych korkach. Przed chwilą pojawiła się informacja, że huragan »Simona«, przesuwając się z Houston w kierunku Dallas na długości kilku mil, przeszedł nad autostradą. Dokładna liczba ofiar nie jest na razie znana, ale można je liczyć w tysiącach.

Ponadto huragan poważnie uszkodził lub zniszczył liczne platformy wiertnicze położone w Zatoce Meksykańskiej, a także wyrządził wielomiliardowe straty w rafineriach ropy naftowej w Houston i Dallas. W rezultacie cena baryłki ropy na światowych giełdach poszybowała w górę i przekroczyła granicę 93 dolarów amerykańskich.

Huragan »Simona« ominął nadmorskie meksykańskie miasta Veracruz, Ciudad Hermosa i Ciudad Madero, które tydzień temu niemal starł z powierzchni ziemi inny huragan, »Isabel«. Jednak władze Meksyku radzą uciekinierom nie wracać do swoich domów, obawiając się nowych ataków żywiołu”.

Siedziałem z otwartymi ustami i gapiłem się w głośnik radioodbiornika.

Reportaż przywodził na myśl jakąś apokaliptyczną powieść. Co tu dużo mówić: w końcu rzadko miałem okazję żałować, że nie mam telewizora. A teraz przerażające i, jak można sądzić, zapadające w pamięć widoki zniszczonego Nowego Orleanu trzeba było sobie wyobrazić.

Prowadzący przeszedł do relacji z punktów zapalnych w Afryce, a ja zacząłem w roztargnieniu kręcić gałką dostrajania w poszukiwaniu czegoś bardziej zajmującego. I nie trzeba było długo czekać.

Mój odbiornik, jak już zauważyłem, jest rodem z lat siedemdziesiątych i łapie tylko fale krótkie. Wzdłuż obudowy, od przodu, ciągnie się oszklona skala częstotliwości. Skala ta usiana jest cyframi i nazwami miast, z których nadaje się na odpowiednich falach. Przynajmniej właśnie tak to wyglądało w latach siedemdziesiątych. Przy jednej kreseczce jest napisane „Berlin", przy drugiej – „Paryż", przy trzeciej – „Buenos Aires". (Nie wiem czemu, wydaje mi się, że ostrożnie kręcąc gałką i wsłuchując się w przebijający się przez szumy głos argentyńskiego lektora, nasi ojcowie o wiele wyraźniej czuli, jak mały i ciasny jest świat, niż możemy poczuć to my, oglądając w telewizji na żywo wiadomości z Ameryki Łacińskiej).

Jakieś cztery milimetry od Buenos Aires i nieopodal miasta Meksyk na wpół zrozumiałe mamrotanie hiszpańskich dziennikarzy i wycie fal radiowych przeszło nagle w całkowitą ciszę, przerywaną tylko lekkimi elektrycznymi trzaskami.

Ale wystarczyło, żebym dotknął karbowanej powierzchni regulatora, żeby znów puścić się w bezcelowe poszukiwania, gdy odbiornik przemówił grzmiącym barytonem:

„*Buenos dias*, moi drodzy. Witamy w audycji *Świat Majów*. W naszym dzisiejszym programie możecie usłyszeć najnowsze wiadomości dotyczące polityki oraz życia społecznego, religijnego i kulturalnego Indian wielkiej cywilizacji Majów. Najważniejsza informacja pierwszego dnia Chuwen czwartego miesiąca Cumhu: państwo Maní-Tutuk-Xiu wypowiedziało wojnę swojemu najbliższemu sąsiadowi, księstwu Cochwah. Dyplomaci

uważają za nieuniknione, że do konfliktu przyłączy się państwo Sotuta, które łączy z Cochwah traktat o wzajemnej obronie. W naszej audycji usłyszycie też o mieście Kanpech, w którym nasilają się napięcia etniczne po tym, jak meksykańscy najemnicy *k'anul* złożyli w ofierze Xipe Totekowi – bogu kukurydzy – dwoje miejscowych dzieci. A teraz przechodzimy do szczegółów…".

I wtedy w głośniku coś syknęło, jakby na patelnię z rozgrzanym olejem chlusnęła woda. Odruchowo spróbowałem dostroić radio, ale ze zdenerwowania zbyt mocno przekręciłem gałkę i cały eter znów wypełnili sepleniący Latynosi. Na próżno próbowałem przywrócić strzałce na skali wyjściowe położenie: dwa milimetry od Meksyku i cztery od Buenos Aires odbiornik łapał jedynie monotonny szum przyboju krótkich fal radiowych, uderzających w spustoszone huraganem brzegi Zatoki Meksykańskiej.

Pstryknąłem wyłącznikiem i powlokłem się do kredensu po apteczkę. Plan był prosty: połknąć podwójną dawkę środków uspokajających i iść spać. Przed oczami zwężały mi się i rozszerzały tęczowe kręgi, a serce ciążyło jak kamień i ciągnęło mnie w dół. Po raz pierwszy pomyślałem, że to, co się ze mną dzieje, może mnie zbyt wiele kosztować i za przyjemnie łechcące świadomość skoki adrenaliny pod wpływem moich małych przygód przyjdzie mi zapłacić szaleństwem. Już przyszło.

Ostatnie paniczne myśli miotały się w mojej głowie jak otumanione rybki we wzburzonym akwarium. Proszek nasenny zmroził falującą w nim zawiesinę, zgęstniała i rybki moich myśli uwięzły w galarecie farmaceutycznego otępienia. Potem wszystko zgasło.

Jednak zanurzenie w odmętach snu nie przyniosło mi wytchnienia od przeklętych Indian, na które liczyłem całą duszą. Majowie mnie prześladowali – jeśli psychoanalitycy mają rację i w snach symbolicznie ukazują się nam nasze lęki, to w moim wypadku tego znaku nawet nie trzeba było rozszyfrowywać. Przedzierałem się przez dżunglę, próbując skryć się przed gnającymi za mną miedzianoskórymi wojownikami

w barwach wojennych. Byli ledwie dziesięć kroków za mną i nie opuszczało mnie poczucie, że doścignięcie mnie jest dla nich niczym; że mogą to zrobić w dowolnym momencie, ale bawią się jak kot ze złapaną myszą.

Potem się poślizgnąłem… Od razu mnie pochwycili, związali i tak unieruchomionego unieśli uroczyście nad głowami jak bezsilny kokon i brutalnie powlekli z powrotem, do tego, od czego chciałem uciec. Wkrótce go zobaczyłem: szeroki, płaski głaz z wyrytymi rowkami odchodzącymi od środka do rogów, pociemniałymi od wiecznie spływających strumyczków krwi.

Wbrew mojej woli wlali mi z glinianej misy do ust jakiś cuchnący napój, od którego moje oczy zaszły purpurową mgłą. Uszy wypełniła gruba warstwa waty – przenikały przez nią dźwięki opóźnione i zniekształcone. I było mi już właściwie wszystko jedno, kiedy kilka par silnych rąk rozciągnęło moje pozbawione czucia ciało na ołtarzu i Nacom podniósł nad moim sercem ostro ociosany krzemień.

Tu jednak przez mój mózg przemknęła świadomość, że wszystko to nie dzieje się ze mną na niby; że krzemień za ułamek sekundy spadnie na moją pierś, chrupną żebra, chluśnie krew i zabójca w masce starożytnego bóstwa wyrwie moje gorące serce, wyrwie ze mnie życie. Rozpaczliwym wysiłkiem, z jakim rzucają się w konwulsjach porażeni tężcem, wygiąłem się, wywinąłem z rąk kapłanów i spadłem z głazu – wprost na zimną podłogę. Zegar tykał miarowo, z każdym obrotem kółek zębatych przywracając mnie do realnego świata, a cienie Chaków stłoczone przy moim łóżku niechętnie odchodziły w ciemność.

Było wpół do szóstej rano; świetnie rozumiałem, że nie odważę się już zasnąć. Umyłem się, napiłem herbaty, ubrałem ciepło i wyszedłem na dwór. Potrzebowałem przewietrzyć umysł, a nie było na to lepszego sposobu jak spacer po mroźnej grudniowej Moskwie.

Chodniki i jezdnie zasłane były białym prześcieradłem. Nawet nie

zauważyłem, że w mieście zaczęła się prawdziwa zima… U nas na Jukatanie był teraz pewnie największy upał, a w ostatnich tygodniach, czy to na Arbacie, czy na Sadowym Kolcu, czy u siebie w domu, gdziekolwiek spojrzałem, rozciągała się gęsta selwa.

Wielkie płatki śniegu powoli szybowały w dół, okrywając sobą mokry asfalt, przekopaną przez dziesiątki pokoleń budowniczych szarą moskiewską ziemię, niedopałki, papierki, psie odchody i opadłe liście, ogłaszając całemu mojemu obłąkanemu miastu nietypowy dla niego spokój i podniosłość.

Rzadko napotykane samochody jechały niezwyczajnie powoli, jakby ich właściciele znaleźli się we władzy tej magii i bali się naruszyć nowy porządek. Wyszedłem na Nowy Arbat i ruszyłem gdzie oczy poniosą, rozkoszując się śnieżną feerią i starając się o niczym nie myśleć. Przeżywałem jedną z tych rzadkich chwil, kiedy całym ciałem, każdą komórką czułem, że faktycznie istnieję, że jakoś po dziecięcemu jestem naprawdę.

Śnieg przyprószył również moje lęki i koszmary, i moje opętanie piekielnymi konkwistadorami. Zacząłem zapominać, że przez wszystkie ostatnie dni nie myślałem o niczym innym, tylko o obyczajach dawno upadłych lub wytrzebionych ludów, o liczących sobie prawie pięćset lat tajemnicach, o ludziach, po których nie została nawet garstka prochu, i o pozbawionych od dawna sensu intrygach, które knuli. O tym, że wczoraj na własne uszy słyszałem dobrze postawiony lektorski głos, z radioodbiornika opowiadający mi po rosyjsku o najnowszych wydarzeniach, które miały miejsce w Ameryce Środkowej przed siedemset pięćdziesięciu laty. O tym, że moje zainteresowanie Majami i historią konkwisty niedostrzegalnie przekształciło się w jakąś diabelską sztuczkę, jakbym wyprawił się na turystyczną wycieczkę po tropikalnym lesie i odbił od grupy, zabłądził i oto już ponad miesiąc błąkam się wśród bagien, lian i pigwowców.

Po prostu szedłem, rozkoszując się mrozem, smakując apetyczne chrupanie warstewki śniegu pod podeszwami i całkowicie skupiając się na przedłużaniu łańcuszka odcisków, jakie zostawiały na śniegu moje buty. Pilnowałem, żeby ślady odbijały się dostatecznie głęboko i żeby było przez nie widać czerń asfaltu; poza tym starałem się, żeby między wszystkimi odciskami była jednakowa odległość… Właśnie takie proste, bezmyślne czynności najlepiej pomagają wytrząsnąć z głowy wszelkie zalegające tam śmieci.

I akurat w tym momencie, kiedy pomyślałem już, że śnieg i poranna Moskwa pomogły mi wyleczyć się z opętania, oderwałem oczy od ziemi, podniosłem wzrok i zrobiło mi się słabo: wprost przede mną wznosiła się świątynia Majów w kształcie piramidy.

Była prawie taka sama jak na rysunkach w książce Jagoniela czy na fotografiach zrobionych w dżungli przez brytyjskich badaczy w korkowych hełmach i wydrukowanych w *Zagadkach* Kummerlinga. Ale tam rysunki były schematyczne, a zdjęcia czarno-białe i dość marnej jakości. Zobaczyć najprawdziwszą wielostopniową piramidę z kwadratowym otworem wejściowym pośrodku i dobudowanym ołtarzem ofiarnym na przedostatniej platformie, zobaczyć ją teraz, w moim rodzinnym mieście – było to niewiarygodnie dziwne i straszne. Nogi się pode mną ugięły i padłem na kolana w śnieg, nie mając sił, by odwrócić wzrok od budowli.

Była niewielka, nie mogła się równać ze Świątynią Czarownika czy Piramidą Karła w Uxmal, lecz podobieństwo kształtów było niewątpliwe. Te same proporcje, ten sam rytm linii, to samo surowe, ascetyczne, a przy tym pełne dostojeństwa i obce naszej architekturze piękno – proste, ale nie prymitywne.

W piramidzie nie było nic iluzorycznego, w odróżnieniu od audycji radiowej *Świat Majów* nie miała zamiaru zniknąć, gdy tylko przeniosę uwagę na coś innego. Na próżno szczypałem się, odwracałem, a potem znowu zerkałem na nią z ukosa w nadziei i jednocześnie w strachu, że

kiedy na nią nie patrzyłem, zdążyła roztopić się w brudnym moskiewskim powietrzu. Piramida pozostała na swoim miejscu, wydawała się niezachwianie realna, jakby stała tu od wielu stuleci i nikt nie zwracał na nią uwagi. Czemu się tu dziwić – indiańska piramida w centrum Moskwy?

Cóż, niechbym i ostatecznie zwariował; z tego też trzeba umieć skorzystać. Póki piramida nie rozwiała się wraz z pierwszymi promieniami słońca, stała przede mną wyjątkowa szansa, by wyobrazić sobie w kolorze wszystko, o czym czytałem w książkach o Majach.

Zacząłem pospiesznie rysować na tle tego, co widziałem przed sobą, szkice wspomnień z lektur, żeby spojrzawszy na każdy tylko raz, zetrzeć gumką, wyrzucić i łapczywie, bojąc się, że nie zdążę, brać się do następnego.

Oto na piramidę wspinają się najwyżsi kapłani: masywne, lśniące ciała, uroczyste szaty, zamiast twarzy – maski bogów i potworów; przez szczeliny słabo połyskują przesycone oczy, które widziały już wszystko i na tym, i na tamtym świecie.

Oto u podstawy piramidy niewolnicy budują komorę grobową, w której po śmierci złożone będzie ciało władcy, zabalsamowane i zawinięte w najcieńsze płótna. Do tego samego pomieszczenia przyniosą jego ulubione ozdoby, drogocenne przedmioty, potem przyprowadzą na stracenie jego nałożnice i sługi, a wreszcie zapieczętują komorę na setki, może tysiące lat, póki rabusie grobów lub brytyjscy uczeni uderzeniem łomu nie przebudzą starożytnego króla i jego świty.

Oto czterech Chaków niesie na górę związanego jeńca…

Klęcząc, patrzyłem na widmo rytualnej piramidy, podróżujące w czasie i przestrzeni, które nieznanym sposobem pojawiło się teraz w Moskwie, i w najdrobniejszych detalach wspominałem swój natrętny nocny koszmar. Jeśli mogła się tu znaleźć budowla, to dlaczego nie mieliby przeniknąć do naszego świata i kapłani z moich snów, myślałem jak zaszczuty. Dlatego kiedy na ramię spadła mi czyjaś ciężka ręka, po prostu pokornie opuściłem

głowę, wyraźnie słysząc, jak tkanina rzeczywistości, jeszcze niedawno tak mocna, lekko trzeszcząc, pruje się wzdłuż szwów…

– Obywatelu, słabo wam? – rozległ się współczujący męski głos.

– Nachlał się po prostu, towarzyszu kapitanie – zabrzmiał drugi stanowczo.

– To nie tak, Filipienko. Tutaj, przed Mauzoleum Lenina, nocami nie takie rzeczy się dzieją… Wstawajcie, obywatelu, wstawajcie. Wszystko w porządku?

W drodze do domu dałem sobie słowo, że mój romans z Jukatanem raz na zawsze się skończył. Nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać, raz stawałem w miejscu, wcierając garść śniegu w pokrytą potem twarz, raz, popędzany wstydem, podbiegałem kilkaset metrów, aż dostawałem zadyszki.

Powiesiłem spodnie w łazience, by wyschły na kaloryferze – za każdym razem gdy do niej wchodziłem, ich wyciągnięte, mokre kolana przypominały o wstydliwym incydencie przed Mauzoleum.

Napiłem się herbaty, nabrałem pewności siebie, wsadziłem do foliowej torby książki Jagoniela i Kummerlinga, wrzuciłem tam też wszystkie idiotyczne broszury, a nawet (co prawda, dopiero po kilku minutach wahania) ostrożnie złożyłem napisane na maszynie, przetłumaczone przeze mnie rozdziały dziennika. Potem wyszedłem z torbą na korytarz i udałem się do zsypu.

Co najmniej trzy razy podnosiłem i opuszczałem metalową pokrywę rury pomalowanej w ponure szarozielone barwy, ale nie nabrałem w końcu odwagi, żeby wrzucić w jej paszczę wszystkie moje skarby. Do głowy, nie wiedzieć czemu, przychodziły mi myśli o Diegu de Landzie i jego *auto de fé* oraz o książkach, które naziści palili na placach niemieckich miast. Porównanie w obu wypadkach było dla mnie niekorzystne: stojąc przed śmietnikiem ze swym żałosnym stosikiem przekładów cudzych myśli, zupełnie nie wyglądałem na bohatera wolnej myśli, tym bardziej że w roli inkwizytora występowało moje *alter ego*.

Ostatecznie delikatnie położyłem torbę obok rury. Nie wiem, być może liczyłem na to, że zabierze ją jakiś ciekawski sąsiad, a może miałem nadzieję, że następnym razem starczy mi śmiałości, by jednak wrzucić ją do środka.

Ani nazajutrz, ani później nikt książek nie ruszył; ja też się do nich nie zbliżałem. Byłem dumny ze swej siły woli i świętowałem stopniowe oczyszczanie umysłu z tropikalnych trucizn. Trzeciego dnia przestały mnie dręczyć sny o świątyniach, kapłanach i pogoni przez selwę. Nie zbliżałem się więcej do biblioteki bardziej niż na odległość przecznicy i po jakimś tygodniu zupełnie przestało mnie do niej ciągnąć. Wyleczyłem się.

Tymczasem do Nowego Roku pozostało zaledwie kilka dni, a zwitek banknotów ukryty w bieliźniarce szybko topniał. Moje plany, by kupić żywą choinkę, a może i pójść w gości do przyjaciół z uniwersytetu, upadały. Niestety zacząłem sobie z tego zdawać sprawę zbyt późno – dwa biura tłumaczeń, z którymi czasem współpracowałem, były już zamknięte z powodu przerwy świątecznej.

Uważnie przejrzałem stary notes z telefonami i odkryłem adres jeszcze jednego biura, w którym nie pokazywałem się pewnie z pięć lat. Nie było nad czym się zastanawiać: szansa złapania przypadkowego zlecenia w agencji, w której chociaż troszkę mnie znali, zdawała mi się o wiele większa niż w wybranym na chybił trafił nieznanym biurze. Owinąłem się kłującym czerwonym szalikiem, włożyłem wiązaną pod brodą czapkę, zbiegłem po schodach i pospieszyłem do metra.

Budynek, w którym znajdowała się owa firma, całkiem się przeobraził w czasie, gdy tam nie bywałem. Lustrzane okna w plastikowych ramach, na ścianach nowa farba w szlachetnym odcieniu żółci, wyłożone granitem stopnie przed wejściem i miedziane tabliczki z nazwami firm, których siedziby mieściły się w środku – nic nie przypominało tej na wpół rozpadającej się wylęgarni pluskiew, w której mieściło się kiedyś biuro

Tłumacz-G, a właśnie taką nazwę nosiło, jeśli wierzyć mojemu notesowi.

Nie odnalazłem tej kojarzącej się z czymś nieświeżym nazwy wśród zapisanych w tradycyjnym stylu tabliczek i przestraszyłem się, że biuro, które było, mówiąc otwarcie, dość podejrzaną instytucją, nierzadko opóźniającą wypłaty honorariów, upadło albo przeniosło się gdzieś daleko, do dzielnicy takiej jak Mitino. Jednak po uważnym odczytaniu nazw firm między agencją konsultingową Kozine Assessments a niejaką Maksimow i Partnerzy sp. z o.o. odkryłem nieustępującą im rozmiarami i oprawą wywieszkę z napisem „Biuro tłumaczeń Akab Tzin”.

Stojący przy wejściu ochroniarz spisał dane z mojego dowodu i wydał mi granatową papierową przepustkę. Nowiutka chromowana winda, wydając pieszczący ucho sygnał, w rodzaju tych, które rozlegają się na początku każdego obwieszczenia na lotniskach międzynarodowych, powoli rozsunęła drzwi na czwartym piętrze. Pomieszczenia biurowe agencji tłumaczeniowej znajdowały się zaraz po lewej stronie.

Jak należało się spodziewać, Akab Tzin w niczym nie przypominał ani swojego okropnego poprzednika, ani nawet mojej poprzedniej firmy. Solidne i bardzo stylowe meble, najnowocześniejsze sprzęty, doskonale wytresowani pracownicy w garniturach i krawatach. Na moje spotkanie wstała, wyciągając rękę, sympatyczna dziewczyna z krótko ostrzyżonymi jasnymi włosami.

Zmieszany wyjaśniłem jej, w czym rzecz, po czym wypytała mnie o wykonane większe zlecenia (ostatnie z nich z wiadomej przyczyny postanowiłem przemilczeć), wysłuchała wszystkiego uważnie, ale na końcu z żalem pokręciła głową.

– Przykro mi, nie mamy obecnie żadnych wolnych tekstów z angielskiego, francuskie też wszystkie oddaliśmy. Niech pan spróbuje zajść zaraz po Nowym Roku – być może będzie coś nowego.

Nie znalazłem na to absolutnie żadnej odpowiedzi, więc po prostu kiwnąłem zrezygnowany głową. Wyglądałem przy tym najwidoczniej tak

ponuro jak topniejący bałwan, ponieważ dziewczyna nagle uśmiechnęła się współczująco i z miną ratowniczki rzucającej koło tonącemu zapytała:

– A jak u pana z hiszpańskim?

La Advertencia

(la Advertencia)

– Dlaczego pani pyta? – w tej chwili trudno byłoby zadać głupsze pytanie, ale te słowa same ze mnie wyskoczyły.

– Chodzi o to, że parę godzin temu przyniesiono nowe zlecenie – jakieś papiery po hiszpańsku. Zaczęłam już obdzwaniać naszych stałych tłumaczy, ale przed sylwestrem nikt nie chce tego brać. Połowa się rozjechała, inni są zajęci. A poza tym akurat iberystów nie mamy tak wielu, zasadnicza część dokumentacji jest po angielsku – bez cienia zdziwienia zaczęła wyjaśniać dziewczyna.

– Ja… A co to za papiery? – Zdenerwowanie, którego nie udało mi się porządnie ukryć, sprawiło jednak, że podniosła brwi: większość pracujących z nimi tłumaczy nie wpada raczej w taki stan przy otrzymywaniu nowego zlecenia.

– Coś związanego z budową dróg, jak objaśnił klient. Najprawdopodobniej techniczny tekst. Ja go nie widziałam, polityka naszej firmy zabrania czytania tłumaczonej dokumentacji – wtrącając tę wyuczoną frazę, uśmiechnęła się plastikowym uśmiechem, jaki miewają niektóre frywolne manekiny w witrynach sklepów.

– Ach, techniczny… – odezwałem się nie wcześniej niż po pół minuty.

Moje początkowe, przelotne rozczarowanie ustąpiło miejsca szczerej uldze. Skłamałbym jednak, mówiąc, że w pierwszej chwili nie odezwała się we mnie nadzieja otrzymania następnego rozdziału. Krew nabiegła mi do głowy, ogłuszyła mnie i oślepiła, i chociaż potakiwałem, sens wyjaśnień mojej rozmówczyni docierał do mnie z pewnym opóźnieniem.

– Nie miał pan wcześniej okazji tłumaczyć specjalistycznego słownictwa?

Firmowe życzliwe zainteresowanie w jej głosie prawie zupełnie przykrywało niezauważalne nutki niedowierzania; dziewczyna mistrzowsko panowała nad sobą. Przechyliła swoją kształtną główkę na bok pod starannie wymierzonym kątem; przystrzyżona grzywka zakołysała się i zasłoniła jedno z jej figlarnie patrzących oczu. I nawet jeśli za dziewczęcą figlarność brałem szklany błysk protez w rodzaju tych, które preparatorzy

wstawiają wypchanym truchłom, wyraz jej twarzy był zagrany na tyle prawdziwie, że nie mogłem się nim nie zachwycić.

– Nie, nie… Miałem – spostrzegłem się w końcu.

– Wie pan, tak w ogóle to… – Założyła ręce na piersi i lekko zacisnęła usta; machnąłem już prawie ręką, oczekując odmowy, ale wtedy na jej masce jeszcze raz pojawiło się delikatne pęknięcie. Tym razem pewnie dlatego, że źle wytłumaczyła sobie zachwyt malujący się na mojej twarzy.

– …niech pan się postara wykonać zlecenie szybko i sprawnie, zobaczymy, jak panu pójdzie – do początku zdania przyfastrygowała niepasujące zakończenie, potwierdzająco potrząsnęła grzywką, podeszła do regałów z jednakowymi czarnymi plastikowymi teczkami, zdjęła jedną z nich i mi wręczyła.

Podpisałem się na specjalnym formularzu, zainteresowałem się kwestią stawek (okazały się znacznie wyższe, niż się spodziewałem) i z wdzięcznością uśmiechnąłem się do pracownicy biura. Widmo bankructwa odsunęło się w czasie. Za pomocą olbrzymich hiszpańsko-rosyjskich słowników, które kupiłem z wiadomej okazji, zamierzałem rozprawić się z tym zleceniem, jak najszybciej się dało; noworoczna choinka, świeże jedzenie i prezenty dla moich postarzałych uniwersyteckich przyjaciół – wszystko to zaczęło znowu nabierać realnych kształtów. Byłem jej zobowiązany za to, że mój Nowy Rok mógł tym razem choćby odrobinę przypominać prawdziwe święto. Ale jak wyrazić tej celuloidowej dziewczynie swoją wdzięczność? Obiecać, że do końca swych dni będę ścierać z niej kurz i zmieniać baterie?

– Dziękuję pani… Bardzo. Naprawdę. – Nie spuszczając z niej wzroku, zacząłem się wycofywać, ale potknąłem się o próg i poleciałem na podłogę, wciąż nie wypuszczając teczki z rąk.

– Ostrożnie! – zawołała z przestrachem, podbiegła i pomogła mi się podnieść. – Nic pan sobie nie zrobił?

Starając się nie patrzeć w jej stronę, żeby nie zauważyła mojej czerwonej

twarzy, niezgrabnie się uwolniłem i burknąwszy coś na pożegnanie, pospieszyłem do wyjścia.

– Proszę na siebie uważać! – zawołała dziewczyna w ślad za mną.

Ostatnią sylabę zniekształciły zamykające się błyszczące drzwi windy, przez co wydało mi się, że słyszę: „Uwaga!”.

Po drodze do metra, zagryzając zęby, wciąż i wciąż rozpamiętywałem swój idiotyczny upadek, niezgrabną rozmowę i łączyłem lekki i w jakiś sposób przyjemny ból fizyczny ze swędzącym bólem wywołanym poczuciem własnej nicości. W taką prostrację prawie zawsze wprawiały mnie moje niezręczne próby kontaktu z pięknymi dziewczynami.

Na tej pustyni samoponiżenia i amatorskiego samookaleczania kiosk z gazetami wydał mi się oazą zapomnienia z arabskich baśni. Oderwać się od własnych problemów dla problemów innych ludzi, zakleić nieprzyjemne przeżycia wycinkami z czasopism i gazet – oto, czego mi było trzeba. „Moskiewski Komsomolec” nadawał się do tego celu idealnie.

Wydrukowany ogromnymi literami nagłówek oznajmiał, że ofiary huraganów w USA i krajach Ameryki Środkowej trzeba liczyć w setkach tysięcy. W Gwatemali i Nikaragui razem z tajfunami nadeszły ulewne deszcze, niezwykłe o tej porze roku. Największe rzeki regionu wystąpiły z brzegów, gigantyczne osuwiska pogrzebały pod milionami ton ziemi dziesiątki wiosek. Władzom nie starczało sił i środków, by rozkopać zawaliska, nie było już nadziei na odnalezienie żywych ludzi, dlatego podjęto decyzję, by ogłosić zasypane wsie masowymi grobami i je porzucić. Setki zamieszkanych miejscowości zostały całkowicie odcięte od cywilizacji, a co stało się z ich mieszkańcami, nie było wiadomo.

Stany Zjednoczone jeszcze nie zdążyły się otrząsnąć z poprzednich uderzeń żywiołu, gdy nad wybrzeżem rozszalały się nowe huragany. Władze postanowiły ściągnąć w rejony dotknięte żywiołem oddziały Gwardii Narodowej z całego kraju, lecz było już za późno: w zalanym Nowym Orleanie i zniszczonym Houston zaczęły się epidemie, sprawiając,

że masowa ewakuacja ocalałych stała się praktycznie niemożliwa.

Z pewnym niepokojem czytałem nazwy regionów, które ucierpiały od cyklonów i powodzi. Co dziwne, nazw znanych mi z książki Jagoniela i wyuczonej na pamięć stronicy atlasu geograficznego wśród nich nie było. Rozszalała natura na razie się nad Jukatanem zlitowała.

W rubryce *Z ostatniej chwili* nie zauważyłem tym razem niczego interesującego. W środku gazeta mieniła się od materiałów z kroniki towarzyskiej; między relacją z kolejnego bizantyjskiego wesela niepotrafiącej przyznać się do starości diwy pop i smutnym materiałem o dziesiątej rocznicy śmierci Walentiny Knorozowej, aktorki Teatru Lalek (znanej na scenie pod swoim panieńskim nazwiskiem Anisimowa), rozciągał się szeroko duży artykuł o wręczeniu nagród zwycięzcom III Dorocznej Olimpiady Państwowej w dziedzinie kryptografii i lingwistyki. Medale wręczał osobiście prezydent Rosji, a uroczysta ceremonia odbyła się w Sali Marmurowej Kremla przy licznym udziale prasy i dostojników.

W artykule zamieszczono cytat z przemówienia prezydenta do laureatów olimpiady: „Dla nikogo nie jest tajemnicą, że we współczesnym świecie to właśnie wiedza, informacja, jest jedną z najważniejszych części dorobku każdego narodu, każdego kraju. Wypadło nam wszystkim żyć w niełatwych czasach, w których nasze naukowe i intelektualne osiągnięcia mogą wpaść w ręce pewnych określonych sił – tak na Zachodzie, jak i na Wschodzie – i musimy tych osiągnięć bronić. Przy tym to właśnie lingwistyka pozwala nam lepiej rozumieć nie tylko języki, lecz i mentalność innych narodów, z którymi chcemy podtrzymywać dobrosąsiedzkie i partnerskie stosunki. Jestem przekonany, że umiejętność szyfrowania i odczytywania informacji jest dziś kluczowa dla sukcesu naszego kraju na arenie międzynarodowej. Zdradzę Państwu mały sekret: wielu finalistom tej olimpiady, nawet tym, którzy nie stoją dziś na tej scenie, zaproponowano już dobre stanowiska w wiodących instytucjach o znaczeniu państwowym…”.

Jak się zdawało, pozostawałem jedynym czytelnikiem, który nie pojmował wagi tego wydarzenia. Pora było wysiadać i bez żalu wrzuciłem gazetę do kosza przy bramkach na stacji.

Nalałem sobie herbaty, usiadłem przy biurku i położyłem przed sobą czarną plastikową teczkę ze zleceniem, pozbierawszy przedtem poustawiane już na półkach hiszpańskie słowniki. Moich nowych pracodawców świetnie można było sobie wyobrazić, oceniając ich właśnie po tej teczce, która, tak jak i firma, była porządna i poprawnie bezosobowa. Zamykała się z boku na dwa zatrzaski, a dokładnie na środku okładki umieszczono naklejkę z numerem zamówienia. Zapewne takim właśnie biurom dają do tłumaczenia kontrakty na dostawę broni, statuty tajnych stowarzyszeń i warunki przetargów, w których decydują się losy wielomiliardowych transakcji. Jeśli droga, której konstrukcja jest omawiana w przekazanych mi dokumentach, okaże się kolejną obwodnicą komunikacyjną Moskwy czy nawet udoskonaloną wersją Kolei Transsyberyjskiej – nawet brew mi nie drgnie, pomyślałem. Czego innego mam oczekiwać po zawartości takiej teczki?

Zgrzytnąłem zatrzaskami, otworzyłem ją…

I natychmiast zamknąłem na oba zapięcia, zrobiłem głęboki wdech, przetarłem oczy i znów zajrzałem do środka. Rzecz jasna, zawartość nie zamierzała nigdzie znikać. Grzmot się nie odezwał, za oknem, tak jak wcześniej, był dzień – nie działo się absolutnie nic, co sprawiłoby, żebym zwątpił w realność tego, co zobaczyłem. Wewnątrz leżały, spokojnie czekając, aż skończę histeryzować i wyciągnę je wreszcie z ciasnej teczki, zapisane od góry do dołu pożółkłe ze starości kartki, z których pierwsza miała napisane tytułowym krojem: „Capítulo V”.

Zerwałem się z krzesła i zacząłem chodzić wokół stojącego pośrodku pokoju owalnego stołu obiadowego z karelskiej brzozy.

To się w żaden sposób nie mogło zdarzyć… A mimo to dziennik konkwistadora sam mnie odszukał, choćbym nie wiem jak usilnie starał się

o nim zapomnieć. Czy to mógł być przypadek? Czy to z własnej woli zatrzymałem się właśnie przy tym biurze tłumaczeń podczas przeglądania notesu z adresami? Kiedy kończyłem już trzydzieste kółko wokół żałośnie skrzypiącego stołu, nawet idea światowego spisku, po mistrzowsku zawiązanego przez kogoś przeciwko mnie, nie wydawała mi się śmieszna i głupia. Coraz mniej wierzyłem w zbiegi okoliczności i z coraz silniejszym przekonaniem starałem się znaleźć niewidzialne dla postronnego oka, ukryte pod banalnymi codziennymi wydarzeniami ogniwa złowieszczego łańcucha, przykuwającego mnie do tej dziwnej historii.

Potem, kiedy oprzytomniałem, znów usiadłem za biurkiem i wystarczyło mi raz spojrzeć na karty dziennika, żeby szalejąca w moim mózgu burza ucichła, a na horyzoncie zabłysło wschodzące słońce. Jaka to różnica, czy podłożyli mi te kartki, czy też rzeczywiście znalazły się tam przez kaprys teorii prawdopodobieństwa? Być może któraś z nich mogła dać odpowiedzi na wszystkie pytania, zajmujące mnie tak długo. Miałbym teraz odrzucić szansę na ich poznanie tylko z powodu swoich paranoicznych obaw?

Ręce wciąż jeszcze lekko mi się trzęsły; wypiłem łyk stygnącej herbaty, odstawiłem kubek jak najdalej, żeby nie nachlapać przypadkiem na drogocenne kartki, i pogrążyłem się w lekturze.

Iż pozostawszy z jednym ledwie przewodnikiem, od którego zależał teraz los mój i wszystkich tych, co byli pod moją pieczą, postanowiłem nie odłączać się od niego, dopóki nie zakończy się, na chwałę Pana, nasza wyprawa.

Iż po wyruszeniu z owego popasu, gdzie odbierając sobie życie, Hernán González skazał się na wieczne męki w piekle, poszliśmy nieco na wschód i poczęliśmy zagłębiać się dalej w owe lasy, gdzie drogi nie położono i nie było nawet ścieżki; i że Juan Nachi Cocom wiódł nas, odgadując drogę jedynie podług gwiazd i innych znaków, jemu dostępnych, lecz ukrytych przed oczyma Hiszpanów.

Iż, na przekór trudom, które musiał znosić oddział, żołnierze byli w przepięknym stanie ducha, i miało to dwie przyczyny: *primo*, wszyscy niezmiernie radzi byli temu, iż straszne bagna, w których zginął Rivas, Ferre i inni, zostały już poza nami; *secundo* zaś, między żołnierzami chodziły słuchy o tym, że prawdziwym celem naszej wyprawy jest skarb, ukryty w podziemiach piramidy świątynnej; że przeor posłał nas tam wyłącznie po to, byśmy ów skarb zabrali i przekazali Królowi oraz Kościołowi Świętemu, lecz czwarta

część kosztowności przypadnie temu, kto je wydobędzie; mówili też, jakoby ci, co przeżyją, mieli podzielić tę dolę między sobą sprawiedliwie i choć szlachetnie urodzonym według prawa przypada po trzykroć więcej niż prostym żołnierzom, to i trzeciej części tego, co miało należeć do oficerów, wystarczy, by wzbogacić się ponad wszelką miarę.

Iż wskazywali nawet, jakie dokładnie bogactwa ukryte są w łonie sekretnych piramid: były pośród nich rozliczne zdobienia i odlane ze szczerego złota posążki indiańskich bogów i rzadkie kamienie. Iż sam byłem tymi szczegółami niemało zdziwiony, jednak mimo starań nie zdołałem się rozeznać, kto owe plotki rozpuszcza; mnie zaś samemu ojciec de Landa o niczym takim nie mówił, stąd też uwierzyć w to nie potrafiłem, choćbym i nawet chciał.

Iż kiedy wypytywałem Juana Nachiego Cocoma o ukryte bogactwa, ten odpowiadał mi, że o kosztownościach nic mu nie wiadomo, nigdy jednak nie chciał mi dać wszystkich objaśnień, których pragnąłem, sprawiając tym, iżem zaczął podejrzewać, że plotki o skarbie mogą się okazać prawdziwymi.

Iż rozmyślając o jego słowach i postępkach, powoli się upewniałem, że Nachi Cocom wie o kosztownościach wiele więcej, niż mówi, a być może i lęka się nas do skarbu doprowadzić. Iż wspomniałem wówczas o jego towarzyszu, który się powiesił, i spytałem Indianina wprost, czy to aby nie po to Hernán González życie sobie odebrał, aby przeszkodzić nam w dotarciu do złota i zawładnięciu nim na chwałę Króla, Kościoła Świętego i dla własnego wzbogacenia.

Iż przewodnik upierał się, choć groziłem mu mieczem, i obstawał przy swoim, zapewniając, że ni złoto, ni szlachetne kamienie nie są dla niego ważne, i on nie pocznie życia swego wystawiać na niebezpieczeństwo tak dla takiego skarbu odszukania i zawłaszczenia, jak i by go bronić przed zakusami Korony i Kościoła. Potem zaś, po długich wahaniach, których nie przerywałem, uznawszy, że ma zamiar rzec mi co ważnego, powiedział ów Juan Nachi Cocom, że błądzę, uznawszy mieszańca Gonzáleza za grzesznika i samobójcę.

I że więcej o śmierci Hernána Gonzáleza nie rzekł ani słowa; i że bić Nachiego Cocoma, aby prawdę poznać, nie począłem w obawie, iż stracę jego zaufanie, które miałem nadzieję zdobyć, ażeby wypełnić swą misję.

Tłumaczony dziennik zdawał mi się czasem niekończącymi się schodami, wiodącymi do głębokiej, ciemnej piwnicy. Na każdym stopniu były wyryte słowa opowiadające określoną część wciągającej historii, napisanej tak, że po przeczytaniu kolejnego rozdziału stajesz się zakładnikiem własnej ciekawości. Światło latarki rozjaśnia jeden tylko stopień i trzeba zejść niżej, aby poznać rozwiązanie rebusu widzianego na poprzednim stopniu. Gra, jak

się zdaje, uczciwa: dolny stopień odpowiada na pytania górnego, jednak uzyskana odpowiedź sama przekształca się w nową łamigłówkę, której nie da się rozwiązać, nie schodząc jeszcze krok niżej. Z kawałków mozaiki tworzy się obraz, pojawia się coraz więcej szczegółów – lecz dopóki nie zbierze się ich wszystkich, nie da się pojąć sensu całości. Trzeba iść dalej, coraz niżej i niżej, a kiedy się odwrócisz – wejścia do podziemi już nie widać, co zaś czeka na końcu schodów, jeśli takowy istnieje, nie wiadomo. Pozostaje tylko oświetlić kolejny stopień, odczytać, co na nim napisano, i ostrożnie iść dalej.

Pierwsze trzy pochłonięte przeze mnie stronice niby pomagały zrozumieć to, co wydarzyło się w poprzednich rozdziałach. A więc było za wcześnie, bym odrzucał przypuszczenia co do legendarnych kosztowności, kryjących się w zagubionych w selwie starożytnych świątyniach. Najwidoczniej sam autor dziennika dopuszczał taką możliwość i wcześniej, ale dopiero w piątym rozdziale postanowił wspomnieć o niej na papierze – czy nie dlatego, że wkrótce jego domysły się potwierdzą?

Miała też swoją kontynuację historia z powieszeniem się przewodnika. Tak jak konkwistador, zdający relację ze swojej ekspedycji, i ja nie mogłem być na razie pewny, czy Juan Nachi Cocom mówił prawdę, odmawiając uznania Hernána Gonzáleza za samobójcę. Jak tylko przeczytałem o jego śmierci, podejrzewałem, że płacąc tak straszną cenę, próbował ocalić od rozgrabienia dorobek swojego ludu. Co, jeśli González rzeczywiście ktoś po prostu z zimną krwią zlikwidował? Ale kto, będąc przy zdrowych zmysłach, mógł pozbyć się przewodnika, gdy dotarło się do samego serca selwy?

Jeśli pamięć mnie nie myliła, w poprzednim rozdziale na biednego Gonzáleza rzucił się drugi oficer Vasco de Aguilar. Autor dziennika wspominał o tym zajściu mimochodem, ale to mi wystarczyło. Przed dalszym czytaniem koniecznie musiałem wrócić do tamtych wydarzeń.

Zapaliłem światło w pokoju (gdy odczytywałem pierwsze trzy strony, na

dworze zrobiło się już ciemno), otworzyłem drzwi i klapiąc kapciami, wyszedłem na korytarz. Torba z książkami leżała nienaruszona przy zsypie, w tym samym miejscu, w którym ją zostawiłem. Najwidoczniej żaden z sąsiadów nie połakomił się na potężne tomiszcze Jagoniela, na widok którego nieobeznanemu człowiekowi nuda ściskała policzki. A na wywalenie takiej księgi do śmietnika nikt się nie odważył.

No cóż, próbę woli szlag trafił, ale stojąc nad zsypem, nie zamierzałem się nad tym zastanawiać: miałem ważniejsze sprawy. Nie wiedzieć czemu rozejrzałem się na boki, poczłapałem z powrotem do siebie i dwukrotnie przekręciłem klucz w drzwiach. Potem przeszedłem do kuchni i otrzepawszy torbę z nagromadzonego kurzu, zacząłem wykładać na stół swoje zakazane skarby.

Obie książki z zakładkami, którymi oznaczyłem potrzebne stronice, broszury z krzykliwymi okładkami, dorzucony w ferworze słowniczek terminów historycznych i archaizmów – w torbie było wszystko, oprócz kopii przepisanych przeze mnie na maszynie kartek z tłumaczeniem pierwszych trzech rozdziałów. Skonfundowany, przeszukałem jeszcze raz broszurę za broszurą, potem przejrzałem Jagoniela i wytrząsnąłem wszystko z Kummerlinga – bez skutku. Koło zsypu, obok torby z książkami, też nic nie było; leżącą oddzielnie stertę papierów zauważyłbym od razu. Tłumaczenie zniknęło i nie było sensu nawet próbować odgadnąć, kiedy się to mogło zdarzyć: przez wszystkie dni, które minęły, odkąd wyrzekłem się Majów, ani razu nie zaglądałem do torby.

A zatem jedyną rzeczą, która wzbudziła zainteresowanie moich sąsiadów z klatki, były mało udane ćwiczenia z przekładu, w których laik i tak się nie połapie? Ale kto powiedział, że tłumaczenia znalazły się w rękach sąsiadów? Posłuszny natychmiastowemu impulsowi, podszedłem do drzwi, sprawdziłem zamek i na wszelki wypadek nacisnąłem klamkę. Potem obmyłem się zimną wodą i wróciłem do pokoju. Nawet jeśli tłumaczenie drugiego, trzeciego i czwartego rozdziału przepadło, mogłem na razie

oprzeć się na swojej pamięci: odbiły się w niej na długo, choćbym nie wiem jak zmuszał się, by je zapomnieć.

Iż nazajutrz oddział nasz dosięgło utrapienie: przed wieczorem trzej na każdych czterech żołnierzy, a prócz nich i señor Vasco de Aguilar, zaczęli lekko niedomagać, o czym w tamtym czasie tylko dwaj powiedzieli głośno, pozostali jednak naśmiewali się z nich, wyrzucając im słabość ducha i brak męstwa, z jakim wojownicy winni znosić podobne trudy.

Iż tejże nocy stan tych, co ośmielili się poskarżyć na zdrowie, i innych, którzy uznali swoją niemoc za rzecz niewartą uwagi, znacznie się pogorszył. Iż u wszystkich zaczęła się gorączka, a z nią obfite poty i wielka słabość w członkach. I że brat Joaquín, pełniący powinności lekarza w szpitalu w Maní, stwierdził u wszystkich gorączkę błotną (*la fiebre*), lecz nie umiał powiedzieć, co było jej przyczyną.

Iż oznaki tej niemocy, która kilka dni powstrzymała nas przed pójściem dalej i zawiodła do grobu najlepszych i najmężniejszych z naszych żołnierzy, były następujące: ogień rozpalający ciało i zaćmiewający rozsądek ciężar w piersi, niedający swobodnie oddychać, od czego wszyscy chorzy dzień i noc zapewniali nas, że się duszą, i ciężko charczeli.

Iż ani ja, ani przewodnik Juan Nachi Cocom, ani brat Joaquín chorobie tej nie ulegliśmy i czuliśmy się doskonale, choć znajdowaliśmy się stale w bliskości chorych, jedliśmy z nimi z jednej miski i pili z tych samych bukłaków. Iż gorączka nie ogarnęła też paru innych żołnierzy; i że choćbym nie wiem jak długo się z tym borykał, nie mogłem pojąć, dlaczego jedni zachorowali, inni zaś nie.

Iż niektórzy chorzy uznali wobec tego, że próbują ich otruć właśni towarzysze, pragnący dzięki takiemu spiskowi pozbyć się zbędnych uczestników przyszłego podziału skarbów, który mamy jakoby odnaleźć w porzuconych świątyniach. I że odmawiali oni wpierw dotykania wody i jedzenia, obawiając się nowej próby otrucia, i przekonywali tych chorych, co w to nie wierzyli, by tak czynili. I że bardzo tym utrudnili leczenie, i wywołali gniew brata Joaquína i jego pomocników, starających się pomóc im wyzdrowieć i nabrać sił.

Iż inni zaczęli obwiniać o ten atak choroby ostatniego pozostałego z nami przewodnika, a byli też tacy wśród zdrowych, którzy uwierzyli im i pragnęli Indianina torturować, by dowiedzieć się od niego prawdy, czy nie sprowadził gorączki na tych nieszczęśników. Należał też do nich Vasco de Aguilar, który będąc człowiekiem niezwyczajnie silnym i krzepkim, jako jedyny potrafił znosić straszną tę chorobę na nogach, ta jednak zaćmiła jego rozum. I że Vasco de Aguilar miotał się po naszym obozie jak bawół raniony, poszukując Indianina i klnąc się na Przenajświętszą Dziewicę Maryję, że własnoręcznie się z nim rozprawi za jego śmiercionośne czary.

Iż brat Joaquín czynił mądrze i leczył chorych, jak następuje: puszczał im krew i nakładał na ich rozgrzane czoła mokre okłady. Iż puszczanie krwi wyraźnie im z początku pomagało, pożytek z tego trwał jednak niedługo. I że kiedy przewodnik nasz Juan Nachi Cocom zaoferował bratu Joaquínowi swą pomoc i odnalazł w lesie pewne trawy, które należało chorym podawać, by zmniejszyć ich cierpienia i uleczyć, ten przegnał go jednak precz, zabraniając też mówić o tym pozostałym.

Iż z tej przyczyny Juan Nachi Cocom poprosił mnie, bym wziął go pod swą opiekę i nie wydawał żołnierzom. I że posłuchawszy go, bojąc się utracić ostatniego przewodnika, który mógł nas jeszcze zawieść z powrotem do Maní, uczyniłem tak, skryłem go i ochraniałem, póki Vasco de Aguilar nie osłabł na tyle, że przestał wstawać. Iż sam w udział Juana Nachiego Cocoma w otruciu żołnierzy nie wierzyłem, gdyby bowiem był zabójcą, z łatwością mógłby ukryć się w lesie po tym, co zrobił, pozostawiając nas samych i skazując na pewną zgubę.

Iż większość tych, co zapadli na gorączkę zmarło, a przeżyć zdołał tylko jeden na pięciu; iż pośród ocalałych był też señor Vasco de Aguilar. Iż potężnego tego męża zaraza na pięć dni uczyniła bladym cieniem o pożółkłym obliczu. Iż rozum leczył się z choroby wolniej jeszcze niż ciało i długo jeszcze chorym zwidywały się straszne sny, na jawie zaś byli nieufni i wszystkiego się bali, nie zapominając też swych dawniejszych podejrzeń co do otrucia; diabelska gorączka złamała ich ducha.

Iż któregoś dnia Juan Nachi Cocom ośmielił się rzec mi, że zna przyczynę choroby; iż nakazałem mu natychmiast wyjawić, co jest mu wiadome, w nadziei, że pomogę chorym wrócić do zdrowia. Usłuchał i przypisał zarażenie gorączką tym samym drobnym muszkom, które dopadły nas na popasie kilka dni wcześniej, gdy nocowaliśmy na bagnach.

Iż uniknęli niedomagania tylko ci spośród nas, co nie brzydzili się danego przez Indian środka o wstrętnym zapachu; pozostali zaś, którzy pogardzili nim, tym samym wydali na siebie wyrok. I że spytałem Juana Nachiego Cocoma, czemuż to nie uprzedził wszystkich o tym niebezpieczeństwie wcześniej i czemuż nie powiedział, w czym tkwi źródło choroby, kiedy ta poczęła już kłaść ludzi pokotem. I na swe usprawiedliwienie oznajmił, że wcześniej nie miał pewności co do zarażania przez owe insekty, mazi zaś starczyłoby tylko dla niewielu. Co do niechęci zaś, aby wyjawić cierpiącym przyczynę ich niemocy, nie odważył się tego uczynić, sądząc, iż wówczas natychmiast oskarżą go o zamierzone doprowadzenie ich do zguby, jak to się stało i bez tego.

Iż prosząc, bym tajemnicę tę zachował, za uratowanie go z rąk oszalałych od gorączki żołnierzy i, przede wszystkim, Vasco de Aguilara, Indianin ten odpłacił mi sprawiedliwie, zawierzając coś, o czym dawniej on sam i jego współplemieńcy nie chcieli mówić nawet pod groźbą spalenia na stosie.

Chociaż miałem ochotę przerwać lekturę jeszcze przy opisie pierwszych

symptomów zagadkowej gorączki, która zaatakowała oddział, w końcu nie zdołałem oderwać się od tekstu, póki nie skończyłem poświęconego jej ustępu. Dopiero potem, opuściwszy powieki, zacząłem wspominać tamtą chorobę, która przytrafiła się mnie samemu. Żar wykręcający ciało jak ścierkę i wyżymający z niego ostatnią kroplę potu, koszmary rywalizujące z rzeczywistością w realizmie i słabość, która pozbawia woli tak mięśnie, jak i umysł, sprawia, że są miękkie, jak nie swoje…

Objawy były takie same; winiłem o to zimną ulewę, w której znalazłem się, błądząc w otumanieniu po arbackich zaułkach. Ale tak naprawdę mogłem złapać zarazę nieco wcześniej – razem z całym oddziałem, na bagnach Campeche. Lecz ja mogłem przeciwstawić temu rzekomemu przeziębieniu pięć stuleci rozwoju medycyny, końskie dawki środków na obniżenie gorączki i ciepłe łóżko. Pozostali uczestnicy ekspedycji musieli się zadowolić nic niedającym puszczaniem krwi, wilgotnymi kompresami, nagrzewającymi się w ciągu kilku sekund i przestającymi przynosić ulgę, oraz ciężkim, wilgotnym powietrzem tropikalnego lasu, które tak trudno wdychać odrętwiałą piersią. Mnie udało się pokonać widmową gorączkę szybciej i z mniejszymi konsekwencjami, jednak wątpliwe, czy zdołałbym się jej oprzeć, gdybym został pokąsany przez insekty bagienne czterysta pięćdziesiąt lat temu.

Dywagując tak, uwierzyłem już w pełni w to, że moja choroba była rzuconym na nasz świat cieniem choroby z czytanej przeze mnie książki, i nawet nie zadawałem sobie pytania, jak to możliwe. Zaraziłem się, trzymając w rękach kartki, na których mogły pozostać zasuszone i uśpione przez wieki zarazki? Zdarzało mi się słyszeć, że w sprzyjających warunkach przenoszące wąglika zarodniki mogą czekać na swoją godzinę dziesiątki lat; chociaż niewykluczone, że znowu coś mylę.

Albo żeby uspokoić swój zraniony rozsądek, przypuśćmy przynajmniej, że na ludzi takich jak ja, z podatną psychiką, dziennik może wywierać pewne hipnotyczne działanie. W każdym razie trzeba się było zebrać na

odwagę i przyznać, że oto miałem do czynienia z nie całkiem zwyczajną książką…

Czy świadomie dokonałem wyboru, kiedy stało się jasne, że książka zmusiła mnie, bym zagrał *va banque*? Czy rozumiałem, że wśród wielobarwnych żetonów wyłożonych przeze mnie na zielone sukno w tej hazardowej grze, której reguł nie znałem, jeden krążek oznacza zdrowy rozsądek, drugi – wiarę w realność otaczającego nas świata, a trzeci – życie? Raczej nie. Tak byłem pochłonięty samą grą, tak podekscytowany możliwością wygranej, która obiecywała *katharsis* i oświecenie jednocześnie, że nie zastanawiałem się nad stawką. I chociaż rosła ona z każdą przeczytaną stronicą, nie mogłem się już zatrzymać.

Iż kiedy ludzie nasi ginęli od owej przeklętej gorączki jeden za drugim, spieraliśmy się, co zrobić z ich ciałami. Iż byli wśród nas tacy, którzy żądali mszy i pochówku chrześcijańskiego; inni zaś mówili, że trupy należy spalić jak w czasie dżumy, ażeby ustrzec się zarażenia. Iż sam brat Joaquín, który ich leczył, nie wiedział, jak postąpić, albowiem zakonnik w nim tkwiący chciał dla nieszczęsnych modłów i ludzkiego pochówku, lekarz zaś – oddać ciała na żer płomieniom, aby wybawić zdrowych.

Iż niektórzy umierający, przychodząc do przytomności, zaklinali nas, by ich ciał nie palić, mówiąc, że czyniąc tak, odmawiamy im wskrzeszenia po Powtórnym Przyjściu Pana naszego Jezusa Chrystusa; jednak każdego wieczora śmierć przychodziła do kilku i lekarz w duszy brata Joaquína przeważył w końcu nad duchownym. I że kiedy kolejny żołnierz oddał duszę Bogu, brat Joaquín odprawił nad nim nabożeństwo, a potem sam spalił ciało, płacząc i modląc się do Najwyższego, by przebaczył mu wielki ten grzech.

Iż trupy paliliśmy z dala od obozu, aby nie trwożyć chorych, lecz kiedy wiatr zawiał z tamtej strony, gdzie się to odbywało, wielki niepokój ogarniał chorych i wielu z nich krzyczało i płakało, błagając Pana, by ominął ich straszliwy los.

Iż po tygodniu z naszego oddziału zostało jedynie dziewięciu, wśród których był señor Vasco de Aguilar, brat Joaquín, przewodnik Juan Nachi Cocom i ja, a także pięciu żołnierzy; wszyscy pozostali zaś umarli. I że jeden z żołnierzy imieniem Juanito Jimenez pytał, czy gorączka ta nie była aby znakiem i czy nie winniśmy zawrócić, dopóki nie zginęliśmy wszyscy; jednak nikt go nie posłuchał, gdyż tliła się jeszcze w oddziale nadzieja na znalezienie kosztowności, których teraz przy podziale przypadałoby na każdego aż nadto.

Iż kiedy zapytałem przewodnika, czy długa jeszcze droga przed nami, ten odparł, że teraz pozostało już do przebycia niewiele i że wkrótce powinna nam się ukazać droga,

którą będziemy mogli iść o wiele szybciej.

Iż Juan Nachi Cocom trzymał się odtąd blisko mnie i nigdzie sam nie odchodził, i że porzucał mnie, tylko wyprawiając się na polowanie. Iż z tej przyczyny szliśmy razem na czele oddziału, gdyż powinien był wskazywać drogę; pozostali zaś szli z tyłu. Iż ten małomówny Indianin zaczął z wdzięczności dużo ze mną rozmawiać, objaśniając mi życie lasu, opowiadając czasem zadziwiające i niepojęte dla Hiszpana legendy swego ludu, z którymi, mimo nauki w szkole przyklasztornej, zapoznał się bardzo dobrze. I że razu jednego, kiedy pozostali porządnie od nas odstali, zapytał mnie, co jest mi wiadome o kronice przyszłości.

Iż dziwne to wyrażenie wziąłem za przejęzyczenie i złożyłem na karb jego hiszpańskiego, który, choć był dobry, mógł go czasem zawieść. Iż kiedy uczyniłem mu uwagę, Juan Nachi Cocom nie poprawił się, lecz obstawał przy swoim i oznajmił szeptem, że po tę właśnie kronikę został wysłany nasz oddział, nie zaś po skarb, którego, być może, w świątyni wcale nie ma.

Iż w tym momencie dogonił nas brat Joaquín i począł wypytywać Indianina o niektóre znalezione przez siebie trawy i ich właściwości, tak że nasza tajemna dysputa została przerwana.

Przez kartkę, na której było kilka ostatnich akapitów, pomimo jej grubości i koloru, jakiego papier nabrał przez wieki, widać już było coś ciemnego – wydrukowanego czy też narysowanego. Biorąc to za ilustrację, stłumiłem w sobie ciekawość i nie wybiegałem naprzód, żeby obejrzeć ją przed czasem. Skupiłem się na tłumaczeniu, wkrótce zapomniałem o prześwitującym przez papier niejasnym kształcie i bez trudu wytrzymałem do końca strony.

Lecz po odwróceniu jej po słowach „została przerwana” zastygłem: to, co wziąłem za grafikę lub rysunek, okazało się brunatną plamą o dziwacznym kształcie i złowieszczym wyglądzie. Nie wątpiłem ani sekundy: to była krew, i sądząc po charakterystycznym rdzawym odcieniu, przelana nie tak dawno.

Kiedy czasem w szkole krew szła mi z nosa, miałem okazję zaobserwować, jak takie plamy wysychają stopniowo na kartkach w kratkę czy linie. Po gładkiej powierzchni takich kartek ślizgają się nawet długopisy kulkowe, a skapujące na papier jaskrawoczerwone krwawe krople będą samotnie wysychać, powoli tracąc kolor w miarę, jak duszą się

i giną erytrocyty. Barwa tych plam w szkolnych zeszytach rozkłada się nierównomiernie: pod wpływem siły ciążenia i ruchów cząsteczek krew zbiera się w jednym punkcie, gdzie ostatecznie papier zyska ciemniejszy odcień.

Ta dygresja może się wydać nie na miejscu, ale dopóki przyglądałem się krwawemu kleksowi na następnej stronicy, starając się uspokoić serce, które zaczęło mi nagle łomotać, nie udawało mi się myśleć o niczym innym. Cała plama była jednakowo zabarwiona. Stary papier nie odkształcił się, tylko chciwie wypił krew – jak pękająca od lipcowej suszy ziemia, którą choćbyś nie wiem ile podlewał, wypije całą wodę do ostatniej kropli.

Szkolnym zeszytom nie jest właściwe takie wampiryczne pragnienie; potwory postsowieckiego przemysłu papierniczego, z których wnętrzności wychodzą setki ton brulionów, nie potrafią tchnąć życia w papier. Natomiast kartki hiszpańskiego dziennika były wyczuwalnie żywe…

Znajdowała się na dole niezapełnionej do końca tekstem stronicy – prawie w tym samym miejscu, gdzie przy końcu „Capítulo II” mieścił się rysunek maszkary Chaka; pewnie wziąłem ją za obrazek również z tego powodu. W kleksach, tak jak i w obłokach, można bez końca odgadywać wszystkie możliwe kształty, wie o tym każdy, komu psycholog choć raz pokazywał swoje podstępne plansze z testami Rorschacha. To, co dla jednego pacjenta jest motylkiem, drugiemu wydaje się grzybem atomowym, a trzeciemu – bliźniętami syjamskimi z profilu. Wynalazek Rorschacha to kamerton dla stroicieli ludzkich dusz.

Moja była widocznie porządnie rozstrojona. Z jednej strony doskonale zdawałem sobie sprawę, że brunatna plama na papierze to taki sam bezmyślny kleks jak rozlany tusz na blankietach z testami; z drugiej – widziałem, że jej kontury jednoznacznie tworzą sylwetkę jakiegoś fantastycznego zwierzęcia. Równomiernie wyschnięta krew sprawiała, że rysunek był dwa razy straszniejszy i trudno było uwierzyć, że powstał samoistnie: a nikt jej nie rozmazywał, by uzyskać to złowieszcze

podobieństwo; krew jakby sama spłynęła w ten sposób na papier, który natychmiast wessał całą ciecz.

Nie od razu zauważyłem wydrapane ołówkiem ślady. Wszystkie pozostałości po graficie starannie wytarto za pomocą gumki, a plama przykrywała większą część napisu. Spod jej powierzchni wystawał tylko ogonek litery „ą” i nie zwróciłbym na niego uwagi, gdybym nie zaczął pilnie studiować konturów kleksa. Nie bardzo rozumiejąc, dlaczego to robię, też złapałem za ołówek i pokryłem plamę delikatnymi kreskami. Konspiracyjna sztuczka z mojego dzieciństwa zadziałała: przez skośny grafitowy deszcz przebiły się rowki czterech napisanych po rosyjsku słów: „oni idą za mną”.

Jakkolwiek dziwne i głupie może się to wydawać, pierwszym uczuciem, jakie się we mnie obudziło, jeszcze przed nadejściem lęku, była zazdrość. A zatem nie byłem pierwszym człowiekiem, który czytał dziennik w tym miejscu przecięcia płaszczyzn czasu i przestrzeni? Czy to znaczy, że pozbawiono mnie przywileju nadzwyczajnego dostępu do tajemnic Majów i zaszczytnego tytułu tłumacza, przewodnika nieznanego zleceniodawcy po tropikalnych lasach Jukatanu? Ołówek w mojej dłoni zatrzeszczał i pękł na dwie części.

Ocknąłem się, z niedowierzaniem wpatrując się w zaciśniętą i zbielałą od napięcia pięść, wypuściłem kawałki ołówka i do mojej duszy powoli zaczął sączyć się strach. Ktokolwiek tłumaczył przede mną relację z ekspedycji, zakończyło się to dla niego fatalnie. W ślad za nim zapuszczałem się coraz dalej w podziemia tej historii, a wokół panowała już całkowita ciemność: świetlisty kwadrat wejścia gdzieś wysoko i daleko za moimi plecami, który wcześniej dodawał mi odwagi, stwarzając możliwość ucieczki, był już niewidoczny.

Pozostało mi tylko kontynuować schodzenie. Od końca rozdziału dzieliły mnie ledwie dwa akapity i podczas tych paru chwil lektury nic bardziej przerażającego nie mogło się już przydarzyć.

Iż już następnego dnia dobra rzecz nas spotkała: oddział nasz wyszedł na skraj lasu, od którego z pustego miejsca poczynała się doskonała droga wysadzana wspaniałym białym kamieniem; podobne drogi przychodziło mi oglądać i w innych miejscach, lecz zawsze dokądś wiodły i wszystkie były w fatalnym stanie, zarośnięte lasem. Ta zaś droga zdawała się położona ledwie rok temu, bądź dwa, i drzewa oraz krzewy omijały ją, tak że miała i pobocze.

Iż Juan Nachi Cocom nazwał tę drogę sakb i rzekł, że dla Indian jest ona święta i zwie się Drogą Przeznaczenia. I że nim oddział na nią wkroczy, musimy wiedzieć, że powrócić nią nie zdołamy.

Gdy tylko doczytałem ostatnie wersy, rozległ się hałas, który w ciszy mojego mieszkania zabrzmiał jak uderzenie pioruna. Ktoś natarczywie i skandalicznie mocno walił w moje drzwi wejściowe.

Odruchowo spojrzałem na zegarek.

Wskazówki pokazywały wpół do trzeciej w nocy.

La Intrusión

(La intrusión)

Przez kilka sekund siedziałem sparaliżowany tym, jak zaskakujące i niezrozumiałe było to, co się dzieje, wsłuchując się w przejmującą ciszę, która nastąpiła po hałasie, i zapewniając siebie, że pukania nie było albo przynajmniej, że pukano nie do mnie, tylko do sąsiadów.

Trzy kolejne wyraźne uderzenia, które spadły na moje – właśnie moje – drzwi, wyrwały mnie z apatii. Schowałem kartki z hiszpańskiego dziennika pod stertą maszynopisów i zmusiłem się, by stanąć na nogi i zrobić pierwszy niepewny krok. Drogę do drzwi wejściowych pokonałem z trudem: przesycone strachem powietrze w moim mieszkaniu stało się gęste niczym woda, nie puszczało mnie i ciągnęło do tyłu.

Znalazłem się wreszcie przy wejściu i zanim popatrzyłem przez wizjer, przylgnąłem uchem do drzwi i znieruchomiałem. Świetnie słyszałem pracowite szemranie licznika prądu nad moją głową, pluskanie kropel kapiących z kranu do zalanego wodą garnka w zlewie w kuchni, szczekanie i wycie psów gdzieś daleko na ulicy… Zza drzwi nie dochodził jednak żaden dźwięk: nikt nie rozmawiał, nie przestępował z nogi na nogę, nie pokasływał, gotując się do wyjaśnienia gospodarzowi mieszkania powodu tak późnej wizyty. W nadziei, że usłyszę choćby czyjś oddech, wstrzymałem swój własny i zamknąłem powieki…

I natychmiast odskoczyłem ogłuszony. Kolejne trzy uderzenia trafiły chyba dokładnie w miejsce, do którego przycisnąłem ucho.

– Kto tam…? – głos mnie zawiódł, załamał się i przeszedł w histeryczny pisk.

Czekałem na odpowiedź co najmniej minutę. Do głowy przychodziły mi myśli o tym, że jeśli spojrzę przez wizjer w drzwiach, mogą przez niego do mnie strzelić, jak to robią zabójcy w filmach. Niewiarygodny, zdawałoby się, idiotyzm, ale przestroga prześwitująca przez krwawą plamę na ostatniej stronie tekstu przygotowywała mnie właśnie na takie niespodzianki.

Psy na dworze zawyły głośniej i tym razem jakoś wyjątkowo tęsknie. Teraz już bym nie powiedział, że znajdują się tak daleko od mojej klatki.

Dziwne: bezdomnych psów na naszym podwórku wcześniej nie było, a komu przyszłoby do głowy spacerować ze swoim psem w środku nocy? Poza tym, czy na spacerze ze swoim panem jakikolwiek pies zaczyna wyć? Nigdy o czymś takim nie słyszałem… Gotów byłem myśleć o czymkolwiek, byleby nie pamiętać, że kulę się pod własnymi drzwiami, podczas gdy na zewnątrz ktoś na mnie czeka.

Pomogła mi nie odwaga, ale wstyd. Wstyd z powodu niezręczności mojego położenia; tego, że byłem zmuszony grać według cudzych, narzuconych mi reguł; tego, że inni uczestnicy nieznanej mi gry sprawili, że zapomniałem, iż to wszystko nie jest na poważnie, że to rozgrywka. Czy będę dalej tak pełzać po podłodze, kryjąc się przed własnymi lękami jak pięcioletni chłopczyk?

Kiedy miałem pięć lat, przydarzyła mi się ciekawa historia. Rodzice zostawili mnie samego w domu, jak to robili dość często – w dzieciństwie byłem spokojny, samodzielny, a przy tym przewidywalny, moja zaś samowystarczalność może nie graniczyła z autyzmem, ale w pełni pozbawiała matkę i ojca moralnych wątpliwości i normalnego w przypadku innych dzieci niepokoju. Chłopczyk zachowuje się zupełnie jak dorosły, nie zacznie psocić, będzie cichutko bawił się klockami albo czytał książeczkę – istny aniołek; nie to, co ten od sąsiadów. W kwestii nieznajomych dorosłych, którzy mogą zadzwonić do drzwi, byłem szczegółowo poinstruowany. Jeśli w wizjerze widać było obcego, otwieranie było zabronione; milicjanci, strażacy, hydraulicy, jakkolwiek by wyglądali i cokolwiek by mówili – nie wolno mi było nawet pytać kto tam ani rozmawiać z obcymi na ulicy czy odpowiadać na ich pytania. Rodzice zapewnili mnie, że ten prosty kodeks w pełni uchroni mnie przed dowolnym niebezpieczeństwem, a w najgorszym razie pozostawał telefon w pokoju rodziców, w którym można było wykręcić napisany wprost nad nim numer rejonowego komisariatu milicji. Nie miałem nigdy okazji, by to zrobić.

Jednak w przypadku, o którym opowiadam, zaszło coś nieprzewidzianego. Zaczynało się już ściemniać i poszedłem chyba do kuchni, żeby zrobić sobie kanapkę.

Ten dźwięk rozległ się w sąsiednim pokoju – drzwi do niego były przymknięte, więc nie mogłem zobaczyć z przedpokoju, co się dzieje w środku. Dźwięk był głośny i wyraźny; pomylić go z czymkolwiek było niemożliwością, a jedyne, co mogłoby mnie zastanawiać, to właśnie jego wyjątkowa głośność. Na wszystko można jednak znaleźć wyjaśnienie.

Tak czy inaczej, w sąsiednim pokoju, gdzie oczywiście nikogo nie było i być nie mogło, ktoś ciężko oddychał.

Historiami o duchach nigdy się nie interesowałem, chociaż w wieku sześciu lat czytałem już dość biegle: troszcząc się o moje wychowanie, rodzice podsuwali mi książki absolutnie materialistyczne i bliskie życiu, w rodzaju bajek Gianniego Rodariego i Christiana Pineau. Dopiero gdy dorosłem i przejrzałem moją ulubioną książeczkę z dzieciństwa, odkryłem nie bez zdziwienia i pewnej zjadliwości, że Christian Pineau był przewodniczącym francuskiej partii komunistycznej. Może i jego rosyjskie przekłady dawały się wytłumaczyć względami przyjaźni między narodami, ale bajki pan przewodniczący pisał naprawdę magiczne – w każdym znaczeniu tego słowa. Jednak stanowisko kierownicze nie mogło nie nakładać na bajkopisarza określonych obowiązków: duchów, wiedźm i innych głupot w jego utworach nie było. Zresztą bez nich można się było świetnie obyć. Tak samo było z Rodarim, Aleksiejem Tołstojem, Stepanem Pisachowem i Tove Jansson. Cały ten wykaz autorów dobrych książek dla dzieci, który przeszedł przez surową selekcję redaktorów Literatury Dziecięcej, przytaczam tylko w jednym celu: by wyjaśnić, na ile nie byłem przygotowany na spotkanie z duchami.

Przyuczano mnie do ochrony mieszkania przed zagrożeniem pochodzącym z zewnątrz. Dla moich rodziców drzwi były przeszkodą na drodze hipotetycznych rabusiów – nawet jeśli nie taką zupełnie nie do

pokonania, to już na pewno absolutnie namacalną i realną. Byłem owym założeniem w pełni usatysfakcjonowany i istnienie innych możliwości nie przyszło mi do głowy.

Nie umiałem sobie wyobrazić, że do naszego domu można było wniknąć, mijając drzwi wejściowe: o fantomach nie wiedziałem prawie nic, a przy tym byłem całkowicie pewny, że żaden ze znajomych mi ludzi nie może być w mieszkaniu. W efekcie usiadłem na podłodze w przedpokoju i nie odważywszy się w końcu uchylić szerzej drzwi, rozbeczałem się ze strachu. Kiedy w przerwach między długimi zawodzeniami ucichałem, żeby nabrać powietrza, z pokoju wyraźnie słychać było ludzki oddech.

W ciągu dziesięciu minut, które spędziłem na wykładzinie w przedpokoju, pogodziłem się z faktem, że na świecie jest miejsce dla nadnaturalnych zdarzeń, i na zawsze rozstałem się z poczuciem spokoju i wiary we własne bezpieczeństwo. Zrozumiałem też, że trzeba zadawać sobie i innym pytania, nawet kiedy zamiast odpowiedzi zostanę poczęstowany – w najlepszym razie – pełnym niedowierzania spojrzeniem. Przez kolejne pięć minut nauczyłem się przezwyciężać własny strach, pokonywać instynkt samozachowawczy i wreszcie – śmiać się z siebie.

Kiedy zalany łzami wstałem z podłogi i chlipiąc jeszcze, popchnąłem z całej siły drzwi, zobaczyłem, że jakimś sposobem otworzyło się okno; krótkie porywy wiatru wpadającego do środka i lawirującego między otwartymi okiennicami i meblami wydawały ten dziwny dźwięk, który wziąłem za ludzki oddech. Natychmiast zamknąłem okno, a drzwi do pokoju rozwarłem na oścież i zastawiłem krzesłem, żeby więcej się nie zamykały. Potem włączyłem światło w całym mieszkaniu. Na tym zakończył się egzorcystyczny rytuał.

Tak doszło do mojego pierwszego spotkania z demonami. Po trzydziestu latach wróciły, i co? Znów usiadłem na podłodze gotowy się rozpłakać!

Nogi same mi się wyprostowały i zapominając o ostrożności i czyhających na mnie z tamtej strony zabójcach z pistoletami zaopatrzonymi w tłumiki,

przylgnąłem okiem do wizjera i powtórzyłem: „Kto tam?!”. Tak jak poprzednio, tamten mi nie odpowiedział.

Widać było dość marnie: żarówka na korytarzu przed moimi drzwiami była przepalona. Pozostała, co prawda, jeszcze jedna – pół piętra wyżej, ale miała tylko ze czterdzieści watów. Żeby przyjrzeć się jak należy strasznemu gościowi, musiałem zgasić światło w przedpokoju. Zrobiłem to z jakiejś obrzydliwej, natrętnej ciekawości, z jaką ludzie oglądają horrory lub obserwują egzekucje wykonywane na skazańcach. Zdrowy rozsądek podpowiadał coś zupełnie innego: jak najszybciej zamknąć drzwi na wszystkie pozostałe zamki i zasuwę, zabarykadować się, wezwać milicję! Zamiast tego nacisnąłem wyłącznik w sieni i w gęstym mroku zacząłem chciwie studiować postać nieruchomo stojącą na klatce schodowej parę kroków od moich drzwi.

Była nienormalnie wielka, miała ponad dwa metry wzrostu, przez co korciło mnie, żeby się uspokoić: to nie na poważnie, to po prostu jakiś żartowniś zawinął się w płaszcz i wlazł na taboret… Ale na serio przeraziły mnie jego bary – nieproporcjonalnie szerokie, sprawiające, że niewyraźna sylwetka w wizjerze była niemal kwadratowa jak u jakichś postaci z amerykańskich kreskówek. Właśnie, zupełnie jak w kreskówkach: fakt, że ten ktoś pozbawiony był normalnych dla oka ludzkich proporcji, nie pozwalał wierzyć w jego autentyczność, realność. Umacniało się we mnie przekonanie, że śnię albo mam halucynacje.

Pomimo wystającej ponad ramiona szerokiej guli, która, jak się zdawało, powinna być głową, to, co widziałem, zdecydowanie nie wywoływało wrażenia ludzkiej postaci. Nawet gdyby się okazało, że nie ma głowy, mój gość nie mógłby stać się jeszcze straszniejszy. Złe oświetlenie i szybko zaparowujący – przez moje zdenerwowanie – wizjer przeszkadzały mi dokładnie się przyjrzeć jego sylwetce, jednak i to, co mogłem zobaczyć, całkowicie wystarczało, żeby wyciągnąć jedyny słuszny wniosek: na klatce schodowej czekał na mnie stwór, dla którego zdecydowanie nie było

miejsca w tym, co nazywamy rzeczywistością. Wyrażenie „nie z tego świata” nabierało dla mnie nowego, nieprzyjemnego sensu.

To zadziwiające, ale była we mnie pewna podświadoma gotowość na takie spotkanie. Już od pewnego momentu czułem, że rzeczywistość jest tuż-tuż od wygięcia i zniekształcenia jak twarz odwiedzającego komnatę śmiechu (nigdy nie znajdowałem niczego śmiesznego w tych nieprzyjemnych miejscach) – na tyle niezwykły był dokument, który trafił do moich rąk, i wszystko, co się z nim wiązało. Jakby to lepiej wyrazić? Poświęciwszy całe życie badaniu UFO, zaczynasz nie tylko wierzyć w przybyszów, ale i obrażać się na nich za to, że właśnie ciebie omijają szerokim łukiem.

Kiedy moje rozszerzające się źrenice zdołały zaczerpnąć wystarczająco dużo światła, żeby mu dokładniej się przypatrzeć, zacząłem wyróżniać niektóre szczegóły: to coś było, zdaje się, ubrane w ciemny, szeroki płaszcz, ogromną zaś głowę ciężko opuściło na pierś – żebym nie zobaczył twarzy? Czy też jej braku?

Stało ono absolutnie nieruchomo, nie wydając najmniejszego dźwięku, zupełnie jakby było nie żywym stworzeniem, ale mechanizmem, który wykonał część swojego programu i zamarł, czekając na nowe polecenia.

Może to naprawdę był głupi żart? Jakkolwiek by patrzeć, nadchodzi Nowy Rok, ludzie już świętują. Nie mamy przypadkiem jakieś ludowej tradycji, by tuż przed świętem straszyć ludzi niemal na śmierć marnymi sztuczkami? Było niby coś związanego z Wigilią – tylko ile jeszcze czasu do tej cholernej Wigilii? Zrobili z drutu szkielet, narzucili brezent, zapukali do drzwi – a sami siedzą na schodach, usiłując tłumić śmiech. W tej całej kukle na klatce schodowej nie ma zupełnie nic, nawet idiota zrozumie, że to nie jest żywe stworzenie. Zaraz wyjdę na zewnątrz i ich ochrzanię!

Tak się rozzuchwaliłem, że naprawdę złapałem za klamkę i pociągnąłem ją w dół. Nie trzeba dodawać, że gdyby drzwi nie były zamknięte, nie byłbym tak odważny. Drzwi zamykam zawsze po wejściu do domu, ruchem, który stał się już automatyczny: dwa obroty w lewo, potem trzask

– zasuwka w środku wędruje do góry. Wszystko to nie zajmuje nawet sekundy. Zdarzało mi się oczywiście z rzadka o tym zapominać, wynosząc kubeł ze śmieciami albo schodząc do skrzynki pocztowej po gazety, ale dzisiaj na pewno je zamknąłem. Prawda?

Jak tylko klamka zatoczyła pełny łuk, języczek się schował i drzwi pod ciężarem mojego ciała powoli zaczęły ustępować…

Od dawna zamierzałem naoliwić zawiasy – od kurzu i rdzy skrzypiały niemiłosiernie, przejeżdżając papierem ściernym po nerwach słuchowych za każdym razem, gdy nie dość szybkim ruchem otwierałem drzwi. Ale nie wolno polewać zawiasów olejem słonecznikowym, tak będzie tylko gorzej – ktoś autorytatywnie mi o tym opowiadał – smar maszynowy zaś trzeba jeszcze było specjalnie zdobywać; w rezultacie zamiast rozwiązać problem raz na zawsze, nauczyłem się leciutko podnosić drzwi i otwierać je mierzonym błyskawicznym rzutem, którego mogłaby mi pozazdrościć każda mangusta. Za to zgrzyt był wtedy nie tak męczący.

Gdyby zawiasy były naoliwione, ugrzązłbym w tym hipnotycznym półśnie i oczywiście zdałbym sobie sprawę z tego, co się dzieje, zbyt późno, kiedy zmaterializowany za drzwiami koszmar wślizgnąłby się już bezszelestnie do mojego domu, i skończyłoby się tak, że sam wpuściłbym go do środka. Lecz nagłe przeciągłe skrzypnięcie zawiasów otrzeźwiło mnie.

W tym ułamku sekundy, kiedy się spostrzegłem i przestałem już popychać drzwi do przodu, ale jeszcze nie zdążyłem pociągnąć ich do siebie, wyraźnie poczułem, jak z drugiej strony za klamkę miękko, ale władczo złapało ono… przestraszone zawiasy umilkły, ale drzwi uparcie kontynuowały ruch, otwierając się…

Żeby je zatrzasnąć, musiałem zaprzeć się o podłogę i co sił popchnąć obiema rękami – było niewiarygodnie ciężko, jakbym był siłaczem z *Księgi rekordów Guinnessa* i przyciągał do siebie załadowany wagon kolejowy. Języczek zgrzytnął i wskoczył na swoje miejsce.

Nie dając mu się opamiętać, od razu utrwaliłem sukces – w pół sekundy zdjąłem zabezpieczenie i zamknąłem na klucz jeden zamek, opuściłem sprężynę drugiego, zaciągnąłem zapadkę, potem huknąłem wysuwaną zasuwą i dopiero wtedy zaczerpnąłem tchu. Przyłożyłem oko do wizjera – ciemna machina stała dokładnie tam gdzie wcześniej, nie ruszyła się z miejsca nawet na centymetr.

Ogłuszony i zahipnotyzowany, starałem się okiełznać galopujące serce, wczepiwszy się w wypolerowaną gałkę zasuwy w drzwiach, wciąż jeszcze zapierając się nogami i nie odrywając wzroku od postaci na klatce. Nie było zupełnie czasu, żeby przemyśleć to, co się ze mną działo: akurat w tym momencie, kiedy myślałem nad wycofaniem się do kuchni po nóż do mięsa, ono zrobiło krok do przodu.

Ten jeden krok wystarczył, żeby zrozumieć, jak głupie i naiwne były nadzieje na racjonalne objaśnienie tych wydarzeń. Stworzenie poruszało się dość ociężale: powoli oderwało nogę od ziemi (dolna część jego ciała pozostawała dla mnie niewidoczna, za to górna, prawie w całości wypełniająca pole widzenia wizjera, przechyliła się), lewa strona podniosła się jakoś tektonicznie niespiesznie i monumentalnie, a potem zbliżyła do wizjera. Potem z takim samym wysiłkiem potwór (nic nie mogłoby mnie teraz przekonać, że stoi przede mną człowiek) przesunął również drugą połowę swojego kolosalnego ciała. Najstraszniejsza wydała mi się całkowita, niemożliwa cisza, z jaką się przemieszczał. Po zbliżeniu się do drzwi ciemna sylwetka wypełniła sobą całą widzialną przestrzeń. Dosłownie odrzuciło mnie do tyłu; wtedy wolałem spisać ten mimowolny ruch na karb instynktu samozachowawczego, jednak później, gdy analizowałem swoje odczucia, zrozumiałem, że otaczało je pole strachu, które odpychało wszystko, co żywe… niczym jakiś diabelski magnes na opak. I tu rozległo się walenie do drzwi – dokładnie takie jak wcześniej: trzy niespieszne, ciężkie uderzenia.

W gardle mi zaschło i nijak nie mogłem przełknąć śliny. Gra wyraźnie

zaszła za daleko; ale najważniejsze, że ruch mieli teraz inni uczestnicy, tacy, których istnienia wcześniej się domyślałem, lecz uparcie nie chciałem w nich wierzyć.

Na szczęście telefon stoi u mnie na stoliku w przedpokoju, mogłem więc wykręcić numer, nie oddalając się zbytnio od drzwi. Dziesięć sekund, żeby pognać do kuchni po nóż (tak jakby mógł mnie uratować!), po powrocie szybkie sprawdzenie wszystkich zamków – tak, niby wszystko zamknięte… Potem, cofając się ostrożnie, nie odwracając się plecami do drzwi wejściowych, dobrnąłem do telefonu. Stawiać kroki jak najciszej – skrzypienie parkietu nie może zagłuszyć nawet najmniejszego szmeru, jaki mógłby dojść z tamtej strony. Teraz pozostaje tylko wykręcić właściwy numer.

Dzwonek w słuchawce był ochrypły i lekko przygłuszony. Arbacka centrala telefoniczna jest pewnie ostatnim punktem oporu starych analogowych przewodów – wszystkie pozostałe padły już pod niepowstrzymanym naporem współczesnych technologii komunikacyjnych. Jakość połączeń była bardzo wątpliwa: nawet głos sąsiada mieszkającego dwa piętra wyżej brzmiał w mojej słuchawce tak słabo, jakby musiał się tu przedzierać z zachodniej półkuli po położonym na dnie oceanu transatlantyckim kablu. Zdarzało się, że w stacji coś nawalało, wtedy łączyli mnie zupełnie nie z tymi abonentami, co trzeba; bywało i tak, że w szwedzkim sprzęcie telefonicznym z początków minionego stulecia, który zamontowano, przełączały się niewiadome kontakty i do mojej rozmowy niespodziewanie włączało się jeszcze dwoje postronnych ludzi.

Nie pamiętam już, kiedy musiałem dzwonić na milicję, ale przez ostatnie dziesięć lat z pewnością nic takiego się nie wydarzyło. Nie miałem zielonego pojęcia, ile trzeba czekać, zanim na drugim końcu kabla jakiś nieustraszony, rodem z filmu detektyw o mocnym podbródku powie: „Słucham?”. Dlatego gdy wybrałem sakramentalne „02” i w napięciu wysłuchałem pięciu długich sygnałów, po których wciąż jeszcze nikt nie

podnosił słuchawki, zaniepokoiłem się.

Sześć… dziesięć… siedemnaście… dwadzieścia pięć… Przy trzydziestym czwartym dzwonku znów rozległo się łomotanie do drzwi – tak silne, że w odpowiedzi zadrżały naczynia w kuchennym kredensie. Spróbowałem też dodzwonić się do straży pożarnej i pogotowia – bezskutecznie. Wydawało się, że w tym świecie zostałem sam na sam z potwornym wysłannikiem z czyichś nocnych koszmarów, oblegającym moje mieszkanie i cierpliwie oczekującym mojej kapitulacji.

Słuchawka przeleżała na stoliku całą noc, w równych odstępach wydając cienki i niepewny pisk. Trząsłem się ze strachu i zmęczenia jeszcze dwie godziny, aż wreszcie nie wytrzymałem i zapadłem w głuchy, ołowiany sen. Kiedy się ocknąłem, na dworze był dzień. Na klatce schodowej nie było nikogo, ale uspokoiłem się dopiero po trwającej jakieś dziesięć minut obserwacji przez wizjer, kiedy zobaczyłem zbiegającą w podskokach schodami córeczkę sąsiadów.

Podszedłem do stolika, odłożyłem słuchawkę, ale po chwili z czystej ciekawości wykręciłem „02”. Nie wiem już, co chciałem sobie przez to udowodnić. Już po dwóch sygnałach w głośniku coś łagodnie szczęknęło i odezwał się niski męski głos:

– Milicja, słucham?

Co w takiej sytuacji można powiedzieć człowiekowi w mundurze? Pod moimi drzwiami przez całą noc sterczał golem, przyjeżdżajcie jak najprędzej? Nie bacząc na przestrogi, kontynuowałem lekturę rękopisu sprzed pięciuset lat, a teraz siły ciemności starają się mnie zmusić, bym przestał, obrońcie mnie przed nimi? Wahanie trwało kilka sekund, ale w końcu nic nie powiedziałem i rozłączyłem się. Potem otworzyłem wszystkie zamki i wyszedłem na zewnątrz.

Na półpiętrze nie było żadnych śladów stworzenia, które w nocy widziałem przez wizjer. Przez pokryte szronem okno pośrodku klatki schodowej znów przebijały się promienie słońca, pogoda na dworze była

wspaniała. Z dołu dochodziły radosne dziecięce głosy, winda bez ustanku krążyła między piętrami, co jakiś czas trzaskały drzwi do budynku. Wczorajsze strachy wydały mi się nagle śmieszne. To ze zdenerwowania? Zasnąłem za biurkiem, a potem w lunatycznym śnie dobrnąłem do przedpokoju? Na wszelki wypadek wyszedłem na środek półpiętra i rozejrzałem się.

Odwróciłem się za siebie i zamarłem. Na obiciu ze skaju moich żelaznych drzwi wejściowych było coś napisane. Przymknąłem je starannie i z niedowierzaniem przyjrzałem się czarnym literom, zdaje się napisanym sadzą. Napis był po hiszpańsku – niby bez błędów, ale mimo to cały czas nie umiałem pozbyć się wrażenia, że słowa te były pierwszymi, jakie ich autor napisał w swoim życiu, tak dziwnie i koślawo były narysowane litery.

el conocimiento es una condena

Co mogłem przetłumaczyć nawet bez słownika…

„Wiedza jest wyrokiem”.

– Całkiem się już rozwydrzyli! – ktoś z oburzeniem zasapał za moimi plecami.

Odwróciłem się, pospiesznie próbując zetrzeć z twarzy kredowoblady ślad przestrachu. Ująwszy się pod boki, przed windą stała moja bezkompromisowa sąsiadka z mieszkania naprzeciwko. Drugi podbródek, zakrywając szyję, wchodził prosto w kołnierz futra z nutrii. Pod naciśniętą na czoło okrągłą futrzaną czapką posępnie płonęły głęboko osadzone oczy.

Czyżby miała mi teraz wyrzucać późnych gości, którzy po pijaku walili przez całą noc w moje drzwi i obudzili cały dom?

– O, niech pan popatrzy, co oni tu robią! I u Leonida Arkadiewicza z siódmego też tak napisali, i to jeszcze gorzej, o jego córce. To oczywiście nikt od nas. Tu wiecznie na klatce licho wie kto się szlaja, pierwsze piętro zawsze zaśmiecone petami! Jak następnym razem zobaczę – wezwę dzielnicowego, mam już dość! Po to ich uczą angielskiego, żeby potem drzwi ludziom niszczyli?! – Dotykając przeznaczonej dla mnie

złowieszczej wiadomości swoim grubym palcem, w cudowny sposób zmieniła go w chuligański wybryk.

– To po hiszpańsku – poinformowałem ją w zaufaniu, ale napotkałem świdrujące podejrzliwe spojrzenie.

– A pan to też jest artysta – odcięła się sąsiadka.

– Serafimo Antonowno… A pani nic wczoraj w nocy nie słyszała? Hałas na klatce był taki, że budziłem się kilka razy!

Też spochmurniałem, całym sobą pokazując, że twardo stoję po stronie praworządnych mieszkańców i jestem nastawiony zdecydowanie przeciwko chuliganom, alkoholikom z piątego i rodzince piętro wyżej, która ciągle wierci w ścianach po dziesiątej wieczorem. Nie mówiąc już o golemach.

– Walili, walili! Na czwarte piętro milicja przychodziła, takie burdy tam urządzali. Swietłana Siergiejewna mi opowiadała. Czas najwyższy ich wreszcie eksmitować, pijaków jednych. Trzeba zacząć zbierać podpisy. – Potrząsnęła gniewnie podbródkiem, przez co tłuszcz na twarzy i szyi poruszył się i lekko zafalował.

Serafima Antonowna zaczęła rozpinać guziki futra, wyraźnie licząc na dłuższą dyskusję o uciążliwościach, ale przezornie zrejterowałem za drzwi.

– Całkowicie się solidaryzuję. Proszę wybaczyć, muszę pracować, klient czeka.

– Ale co pan, nie będzie pan ścierał tych bluzgów? I tak cała klatka zapaskudzona! Zapraszam, dam panu płyn do mycia, pan przecież, jako kawaler, na pewno nie ma?

I kiedy drzwi już się zatrzasnęły, dobiegło mnie przytłumione: „Cham…”.

„Wiedza jest wyrokiem”. Jaśniej się nie da… Nie po prostu jakaś tam abstrakcyjna wiedza, ale właśnie ta, o której wszyscy teraz pomyśleliśmy – ten, kto to napisał, nie na darmo użył przedimka określonego. Ta wiedza, po którą wyprawiono ekspedycję w nieprzebytą gęstwinę obecnego meksykańskiego stanu Campeche. Ta, której tak strzegł Juan Nachi Cocom i mieszaniec Hernán González. Ta sama, której ocalenie i przekazanie

żywym stanowiło być może cel napisania tego dziennika.

Całkiem prawdopodobne, że nocna wizyta była ostatnim ostrzeżeniem; na dalszą wyrozumiałość nie mogłem liczyć. Potwierdzał to nie tylko los mojego poprzednika, któremu wpadł w ręce pierwszy rozdział, ale i straszna śmierć pracownika biura tłumaczeń.

Jednak działo się ze mną coś niezwykłego. Zamiast sprawić, bym odciął się od tej sprawy i zaszczepić lęk przed kontynuacją pracy, napis na drzwiach rozpalał moją ciekawość. Kiedy o nim myślałem, to nie słowo *condena* było na pierwszym planie – mój wewnętrzny wzrok przyciągało tylko magiczne *conocimento*.

W imię czego pokonałem wraz z oddziałem konkwistadorów całą niełatwą drogę przez selwę i arbackie zaułki, przez niebezpieczeństwa, choroby i pokusy? Czy jestem gotowy rzucić wszystko i wrócić tam natychmiast, gdy tylko w oddali pokazała się prosta droga? Jeśli próby i zagrożenia nie przestraszyły Hiszpanów, którzy stracili dziewięć dziesiątych swoich towarzyszy, to czy i mnie starczy odwagi, by iść dalej ich śladem, choćby w gąszcz istniejący tylko w wyobraźni? Nagroda za męstwo i konsekwencję była wciąż taka sama po pięciuset latach. Tak zresztą jak i stawka – ale o niej starałem się nie myśleć.

Dalszy ciąg dziennika po prostu musiał skrywać coś niewyobrażalnego. Sekret przemiany ołowiu w złoto? Przepis na środek dający nieśmiertelność? Przepowiednię? Rozwiązanie zagadki upadku cywilizacji Majów? Mając na uwadze, jakie cerbery strzegły tej wiedzy, nie przystałbym na nic skromniejszego.

Być może domyślał się tego i jego autor, nie przelewając na papier wszystkich swoich myśli. Bo czy wiódłby swój oddział dalej z takim uporem, nie zważając na ciężkie straty? Jeśli wiedza była warta, aby poświęcić z zimną krwią czterdzieści ludzkich istnień, to czy stojąc na progu jej poznania, miałem prawo okazać małoduszność i nie rzucić na szalę ledwie jednego życia – choćby nawet należało ono do mnie?

Zamknąłem drzwi na oba zamki i zasuwkę, pospiesznie się umyłem i bez śniadania zacząłem przepisywać tłumaczenie na czysto.

Pracowałem tak szybko, że uwinąłem się ze wszystkim w kilka godzin, choć z pośpiechu kilka razy myliłem klawisze, po czym trzeba było wykręcać kartkę, zamazywać literówkę, dmuchać na nią jak szalony, żeby szybciej podeschła, a potem poruszając dźwignią wózka maszyny z dokładnością zegarmistrza, umieszczać w niej kartkę – jeszcze, nie daj Boże, litery będą nie na tym poziomie.

Popędzało mnie nie tylko pragnienie, by wreszcie dowiedzieć się, co znajdowało się w punkcie docelowym hiszpańskiej ekspedycji, ale i przebijający przez nie lęk, że nie zdążę tego osiągnąć. Teraz pracowałem jakby na wyścigi z ponurym cieniem za moimi drzwiami. Wciąż jeszcze odstawał ode mnie o pół długości, a jeśli dotrę do mety jako pierwszy, będę mógł choć przez kilka sekund popatrzeć na główną nagrodę. Nawet jeśli ostatecznie wszystko przegram.

Już po czterech godzinach wszystko było gotowe. Pisałem jak zwykle przez kalkę. Ukryłem swój egzemplarz przekładu w komodzie między prześcieradłami i poszewkami, narzuciłem palto, spojrzałem przez wizjer, pchnąłem drzwi i nacisnąłem przycisk wzywający windę. Jeśli wszystko dobrze się ułoży, zdążę wrócić do domu za dnia.

Pomysł, by pojechać trolejbusem, nie był mój – szepnął mi go do ucha siedzący na lewym ramieniu diabełek. Wczoraj tak cudownie szybko dojechałem do biura metrem, więc tym bardziej niepojęte, że teraz przyszło mi do głowy, by dostać się tam transportem naziemnym. Sadowe Kolco było niezwykle puste, a trolejbus akurat podjeżdżał na przystanek; przylutowane do rdzenia kręgowego każdego moskwianina maleńkie urządzonko, błyskawicznie wyliczające najkrótszą drogę przez miasto z uwzględnieniem pogody, korków i najświeższych wiadomości, zmusiło mnie, by wskoczyć na stopień, wpychając głębiej niezadowolonego faceta w czapie z psiej sierści.

Tej decyzji pożałowałem już pięć minut później, kiedy trolejbus stanął na amen między Krasnopriesnieńską i Majakowską. Kierowca oznajmił tonem nieznoszącym sprzeciwu, że z przyczyn technicznych przejazd ulegnie chwilowej przerwie. Niecierpliwym ruchem otworzył przednie drzwi, ale jeszcze zdążył solennie zapewnić, że rozwiąże problem w ciągu dziesięciu minut.

Prawie nikt się nie zdecydował na opuszczenie pojazdu: dojście do najbliższej stacji metra po oblodzonym trotuarze na pewno nie zajęłoby mniej niż te dziesięć minut, które miała trwać naprawa usterki. W rezultacie kierowca trudził się ponad pół godziny, ale większość pasażerów i tak nadal siedziała na swoich miejscach: jak już się przeczekało piętnaście minut, człowiek zaczyna się bać, że trolejbus ruszy, gdy tylko się z niego wysiądzie.

Ciepłym oddechem wytopiłem na pokrytej szronem szybie okrągły otwór obserwacyjny. Widać było przez niego niewiele: fragment budynku i niedawno postawiony na specjalnie utworzonym skwerku jeszcze jeden pomnik bohaterów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. W tym roku z okazji kolejnej, zresztą niezbyt okrągłej rocznicy Zwycięstwa, postawiono ich w całym kraju wyjątkowo dużo, wliczając w to posąg wprost niewiarygodnych rozmiarów i bardzo wątpliwej wartości artystycznej. Całe miasto było obklejone afiszami koncertów pieśni z lat wojny, kina wyświetlały retrospektywy czarno-białych filmów o partyzantach i zdobyciu Reichstagu, modne galerie fotografii z pompą otwierały wystawy typu „Twarze bohaterów” albo „Ci, którzy…”.

Powrót tematu Zwycięstwa z archiwów na ulice był dla mnie zagadką. Jak pamiętam, dwadzieścia lat temu przywiązywano do tego wydarzenia znacznie mniejszą wagę. Ludzi, którzy podczas tamtej wojny nie tyle sami z bronią w ręku kroczyli po spływających krwią polach śmierci, tak że ziemia nie zdołała wypić jej całej, ile pamiętali chociaż rozrywające zasłonę dziecięcego snu wycie syren alarmowych, było wśród żywych coraz mniej.

Ale z jakiegoś powodu właśnie teraz Dzień Zwycięstwa nabrał nieoczekiwanie takiego znaczenia, jakie miał pewnie tylko w pierwszych dziesięciu, piętnastu latach po zakończeniu wojny.

Być może było to ostatnie podziękowanie dla nielicznych żywych kombatantów? A może państwo czerpało natchnienie z ich podretuszowanych przez historyków bohaterskich czynów i miało nadzieję, że obywatele pójdą za dobrym przykładem? I Zwycięstwo nagle zaczęło zajmować coraz więcej miejsca w świadomości narodowej. Wydało mi się to nienaturalne: uszminkowane staruchy kiepsko wychodzą na plakatach propagandowych. Siedemdziesięcioletniej Marlenie Dietrich nie da się powierzyć zadania uwiedzenia narodu.

Historia to gorgona Meduza; pod jej uważnym spojrzeniem wszystko obumiera i kamienieje. Żywi ludzie, zdolni kiedyś wyrazić ból, radość, namiętność, strach, zastygają z jednakowymi bohaterskimi minami. Prawdziwe kolory – różowy, zielony, niebieski, piwny, rudy, pszeniczny – giną, ustępują miejsca dwóm martwym barwom: oślepiającej bieli marmuru – dla wodzów, szarości granitu – dla wykonawców ich woli.

Porozrzucani po całym kraju bojownicy Wielkiej Wojny Ojczyźnianej są jak zasuszone motyle nakłute na szpilkę – lecz te zostały powołane, by zachować przed rozkładem piękno i wdzięk, podczas gdy tamci, by ocalić od zapomnienia heroizm i ofiarę życia. Stanu duszy jednak nie da się zakonserwować w formalinie. Dzieci, nauczone mówić „Chwała bohaterom”, słabo pamiętają, o co w tych słowach chodzi. Autentyczna pamięć o każdej wojnie żyje ledwie trzy pokolenia: żeby poczuć, co znaczyła dla tych, którzy ją przeżyli, trzeba o wojnie usłyszeć od nich samych – siedząc im na kolanach. Praprawnukom żołnierzy, którzy nie poznali swych dziadków za ich życia, pozostaną tylko nudne podręczniki, ckliwe, jednostronne filmy i groźnie patrzące w wieczność puste oczy bez źrenic, wykute w granicie pomników.

Tak jak chyba niemal wszystkim łzy napływają mi do oczu, kiedy

zasłużony śpiewak mocnym barytonem intonuje: „Ten Dzień Zwycięstwa…”. Ja też wyrosłem na filmach o czołgistach i wyczynach zwiadowcy Kuzniecowa. Do dziś każdy lubiący rysować chłopiec potrafi nabazgrolić w zeszycie swastykę – symbol zła – i gwiazdkę – godło „dobrych” – na fladze czy wieżyczce czołgu. Sam poświęciłem temu nieprzemijającemu tematowi nie mniej niż dziesięć bloków rysunkowych. Raz na rok, widząc staruszka z baretkami na piersi, mam ochotę powiedzieć mu „dziękuję”, chociaż przez pozostałe dni jego zanudzanie i z roku na rok coraz bardziej nieznośny charakter sprawiają, że życzę mu wszystkiego najgorszego.

Ostatecznie słowo „zwycięstwo” piszę wielką literą. I widocznie moje odczucia związane z ostatnią wojną i ludźmi, którzy w niej zwyciężyli, są takie same jak większości. Ale nie rozumiem, dlaczego z każdym rokiem staje się ona coraz ważniejsza, a pozostali chyba wcale się temu nie dziwią.

Pomniki i tablice pamiątkowe na każdym rogu wydają mi się swego rodzaju urnami – ale nie na prochy, tylko na wyswobodzone dusze zmarłych staruszków z baretkami odznaczeń. Rzeźbiarze wykuwający bohaterów wielkiej wojny pracują po prostu na honoraria, politycy wygłaszający mowy na ceremonii odsłonięcia pomnika tak naprawdę myślą o swoich kochankach, a dzieci składające kwiaty u jego podnóża denerwują się, obawiając potknięcia, kiedy będą wracać, bo przecież to bardzo ważne święto, chociaż nie wiadomo dlaczego. Rozpoznać w granicie ślad znajomej twarzy, widzianej po raz ostatni przed walką sześć czy siedem dziesięcioleci temu, i zapłakać mogą tylko weterani. Wkrótce wcale ich już nie będzie, a miasto ostatecznie zamieni się w bezsensowny i bezużyteczny ogród kamieni…

Trolejbus konwulsyjnie szarpnął, zaterkotał i pojechał, a ja dalej siedziałem ze wzrokiem przyklejonym do kurczącego się przezroczystego krążka w białej szybie.

W poczekalni (inna nazwa dla tego miejsca nie przeszłaby mi przez gardło)

biura tłumaczeń Akab Tzin tym razem siedziała nie ta czarująca, zrobotyzowana dziewczyna, która uratowała mnie i jednocześnie wydała na mnie wyrok, przekazując mi nowy rozdział, ale wyjęty z reklamy w połyskliwym żurnalu dla wyższej klasy średniej nowoczesny młody człowiek w nienagannym garniturze z prawie niezauważalną nutką niefrasobliwości, charakterystyczną dla pracowników banku na imprezie koktajlowej.

Zęby miał białe jak alpejskie szczyty, i dobrze o tym wiedział. Serdeczny uśmiech był porażająco trwale przyklejony do jego twarzy. Oczy nie wyrażały absolutnie niczego. Taki nawyk wyrabia się pewnie dopiero po długich latach specjalnego treningu.

Wziąwszy teczkę z wykonanym zleceniem, pracownik podziękował mi i zapytał, bezbłędnie wymieniając moje imię i otczestwo, czy życzę sobie dalej pracować z tym samym klientem. Potu, który wystąpił na moje czoło, i lekko drżących rąk, wyciągniętych z chciwością i niecierpliwością heroinisty, taktownie nie zauważył. Standardowa plastikowa teczka z następną częścią do tłumaczenia i honorarium w białej kopercie z logo biura Akab Tzin znalazły się na ladzie. Pracownik nie zadawał żadnych pytań, a wymiana dwóch jednakowych czarnych teczek i przekazanie koperty z szeleszczącymi banknotami dopełniły zabawnego podobieństwa z jakąś operacją szpiegowską albo transakcją dotyczącą wspomnianej heroiny.

– A kiedy pan zdążył to dostać? – Wskazałem na otrzymaną przeze mnie teczkę. – Przecież w sumie dopiero wczoraj wziąłem poprzednią część do tłumaczenia. Czy dostaliście od razu kilka? To ja mógłbym…

– Nie, nie, skąd. – Tamten uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Oczywiście dalibyśmy wtedy panu wszystko naraz. Byłoby o wiele efektywniej. Tekst przyniesiono tuż przed pana przyjściem. Jakieś czterdzieści minut temu.

– A… nie mógłby mi pan powiedzieć, kto go przyniósł? Jak wyglądał i w ogóle…

– Bardzo mi przykro, ale nie udzielamy informacji o naszych klientach. – Życzliwy wyraz jego twarzy zmienił się niemal niezauważalnie: to, co błędnie wziąłem za uśmiech, zdawało się teraz groźnym szczerzeniem zębów drapieżnika, ostrzegającego intruza, który wkracza na zakazane terytorium.

– Tak, rozumiem, proszę wybaczyć…

– Może pan oddać zlecenie w dowolnym czasie, jak tylko będzie gotowe – ciągnął jak gdyby nigdy nic. – Pracujemy bez przerw. Miłego dnia.

Ściemniło się zadziwiająco szybko, zupełnie jakby ktoś wyłączył światło. Kiedy wchodziłem do budynku, w którym znajdowało się biuro, ulice kąpały się jeszcze w mlecznej mgle. Ale zaledwie piętnaście minut później powietrze tak intensywnie ktoś zabarwił atramentem, że gdyby nie latarnie, z całej Ziemi zostałby tylko krążek o promieniu dwudziestu kroków ze mną w środku.

Postanowiłem nie kusić losu i pojechałem metrem. Wraz z nastaniem ciemności poczułem się o wiele mniej pewnie i ani przedsmak nowej podróży w czasie, ani myśli o coraz wyraźniej rysującym się w słownej mgle wyjaśnieniu ostatecznego celu ekspedycji nie pomagały mi już oderwać się od obrazu potwora, który przez całą noc czekał na mnie pod drzwiami mieszkania. W przejściach podziemnych kilka razy wydawało mi się, że na mnie i idących przede mną ludzi pada cień ogromnej postaci, zasłaniającej nawet lampy na suficie. Odwracałem się tylko po to, by wyrzucać sobie słabość i pobłażanie swoim głupim lękom. Poczucie, że ktoś mnie śledzi, sprawiało, że fizycznie odczuwałem swędzenie na plecach i nieprzyjemne łaskotanie w potylicę. Kiedy stojąc na samym końcu peronu, doczekałem się pociągu, ustąpiłem sobie raz jeszcze i roztrącając wysiadających z metra pasażerów, zdążyłem przed odjazdem przebiec dwa wagony, zanim wskoczyłem do środka. Nikt za mną nie pognał i zanim wyszedłem na zewnątrz, strach nieco zwolnił swój uścisk.

Chociaż mógłbym sobie skrócić drogę, idąc z metra pustymi wieczornymi

zaułkami, nogi poniosły mnie na Arbat – tam było jeszcze tłumnie, czyli prawdopodobieństwo ataku malało – w każdym razie tak chciałem myśleć. Coraz trudniej było mi się powstrzymywać i choć udawało mi się jeszcze iść miarowym krokiem – odliczając potrójne arbackie latarnie – żeby nie przyciągać uwagi, to kiedy wszedłem na swoje podwórko, co sił rzuciłem się do drzwi wejściowych. Na drugim końcu podwórka znów dało się słyszeć ujadanie – ewidentnie to miejsce rzeczywiście upodobała sobie sfora bezdomnych psów.

Ale kiedy wstukiwałem już kod wejściowy w domofonie, wieczorną arbacką kakofonię – mieszaninę warkotu silników, szumu głosów, dzwonków i szczekania psów – przecięło długie straszne wycie, mrożące krew w żyłach i jakieś nietutejsze.

Psy błyskawicznie umilkły, jakby udławiły się swoim szczekaniem, a potem jeden za drugim rozpaczliwie zawyły. Szarpnąłem za klamkę drzwi, zamykając je za sobą, i w ciągu sekundy wbiegłem na piętro. Zaszczutym wzrokiem rozejrzałem się na boki, i dopiero kiedy znalazłem się w mieszkaniu i zamknąłem wszystkie zamki, wyczerpany oparłem się o ścianę w przedpokoju i spróbowałem złapać oddech.

Na klatce było spokojnie. Nie zdejmując nawet palta, przeszedłem do pokoju i położyłem teczkę na biurku. Spod błyszczącego czarnego plastiku mignął mi uspokajająco stary papier koloru piasku. Otarłem pot z czoła i odchyliłem się na krześle.

Iż znaczenie indiańskiego słowa sakb, jak nazywali tę zadziwiającą, wyłożoną białym kamieniem drogę, po której zdecydowaliśmy się podążać dalej, było mi dane odkryć dopiero później. I że moje życie to odmieniło, a ja nigdy już po tym nie byłem taki jak dawniej.

Przemiany te były zaś związane ze zdarzeniami podczas mojej podróży sakbem i z tym, co było mi dane odkryć na końcu drogi. Z ową wiedzą, o której opowiem niżej i o której pisałem już w przedmowie do tej relacji, zamieszczonej w Rozdziale Pierwszym tego dziennika…

La Iniciación

•La Iniciación•

Iż owym sakbem ruszyliśmy dalej i szliśmy, jeśli wierzyć gwiazdom, na południowy wschód, i że w pierwszych godzinach szło nam się niezwyczajnie łatwo, po raz pierwszy bowiem od wielu dni znalazła się brukowana droga, nie zaś zdradliwe mokradła.

Iż owa łatwość, z którą szliśmy naprzód na początku, była jednak złudna; i teraz, kiedy tę przeklętą drogę widzę jako żywe stworzenie, to myślę, że celowo mamiła tak podróżnych, przyciągając swym równym brukiem i wolnym od lian niebem nad głową. Już wcześniej powinniśmy się byli domyślić powodów, dla których rośliny i zwierzęta nie ośmielały się na nią wstępować, przez co sakb pozostawał wciąż pusty i czysty.

Iż po upływie pewnego czasu z oddziałem naszym poczęło się dziać coś złego: ludzie szli z coraz większym trudem, a każdy krok kosztował wiele wysiłku, jak gdyby sakb wypijał z nas życie za każdym razem, gdy stopa dotykała bruku.

Iż gdy to wyczułem, zwróciłem się do przewodnika Juana Nachiego Cocoma, by mi to objaśnił, i ten, nie kryjąc przede mną prawdy, odparł, że droga ta jest zaklęta przez starożytnych czarowników z jego ludu, i rzekł jeszcze, że w lasach tych nie przychodziło mu dawniej bywać, i wiedzie nas tylko wedle wskazań starców, z którymi mówił przed wyruszeniem w drogę. I że ci uprzedzali go o czarodziejskich właściwościach Drogi Przeznaczenia, lecz wtedy, pomodliwszy się do Przenajświętszej Dziewicy Maryi, nabrał siły, by pokonać wątpliwości i strach; teraz jednak obawia się, że hiszpańscy bogowie jeszcze w tej gęstwie nie zawitali i silniejsi są tu jej odwieczni panowie.

Iż przyszło mi znów pocieszać go i grozić mu, i zapewniać o bezgranicznej potędze Pana naszego Jezusa Chrystusa i Bogurodzicy oraz upominać, że w ich obliczu tubylcze idole to jedynie drewniane bałwany, które rozsypią się w proch i zostaną zapomniane. Iż słowa moje wywarły na nim pewne wrażenie, stąd ucichł i błagał mnie tylko, bym indiańskich bogów nie obrażał, póki znajdujemy się na ich ziemi, a nie w Maní, pod ochroną grubych murów i klasztornych krzyży.

Iż wraz z zapadnięciem ciemności wszystkimi nami zawładnął strach, którego przyczyn odkryć nie było można, a którego opisanie uważam za niemożliwe. I że strach ten taką władzę zdobył nad wszystkimi żołnierzami, a nawet i nade mną, i Vasco de Aguilarem, i bratem Joaquínem, że zgodziliśmy się milcząco w jednej chwili, by w tym miejscu stanąć i rozbić obóz; dalej zaś wyruszyć dopiero o brzasku.

Iż ową noc przeżyliśmy w wielkiej trwodze i nie zważając na to, jak znużeni byliśmy długą drogą, nie zdołaliśmy zamknąć oczu i pogrążyliśmy się jedynie w ciężkim półśnie, ale wracaliśmy do przytomności, słysząc dziwne hałasy dochodzące z lasu.

Iż najwięcej trwożył nas przedziwny i straszny krzyk nieznanego dzikiego zwierza, przypominający nieco ryk jaguara, rozlegający się w zaroślach nieopodal naszego obozu.

I że wspomniałem, jak taki sam krzyk słyszałem przez sen o świcie, kiedy to drugi nasz przewodnik, mieszaniec Hernán González, skończył ze sobą.

Odłożyłem tekst na bok i potarłem skronie. Zacząłem już stopniowo przywykać do myśli, że między opisywanymi w dzienniku wydarzeniami a moim życiem tworzy się pewien niewyjaśniony związek, i ta dziwna synchronizacja stale się nasila. Gotów byłem więc uwierzyć, że grobowe wycie, usłyszane na podwórku, to nic innego, jak echo krzyków rozbudzonych przez konkwistadorów duchów selwy.

Jaguar w Moskwie? Na moim podwórku? Może warto zajrzeć do jakiegoś brukowca z ostatniego tygodnia – a nuż mignie mi notka o zbiegłym z zoo drapieżniku? Jeśli książka rzeczywiście miała takie magiczne właściwości, jakie jej przypisywałem, i potrafiła zniekształcać rzeczywistość, projektując na nią wydarzenia opisane na swoich stronicach, to dlaczego nie dopuścić myśli, że sprawiła, iż jakiś opiekun zapomniał zamknąć drzwi jednej z klatek ogrodu zoologicznego na Krasnopriesnieńskiej?

Doprawdy, należycie ocenić budowane przeze mnie chybotliwe konstrukcje logiczne mogliby tylko inżynierowie z Zagorodnoje szose*, ale jakoś nie zbijało mnie to z tropu. Na razie nie zamierzałem dzielić się swoimi przypuszczeniami z kimkolwiek, mając świadomość, że zarówno znajomi, jak i milicja uznają, że wygnać dręczące mnie demony pomoże mi kuracja fenazepamem, a w razie uporczywych symptomów jeszcze wpakują do szpitala. Jednak pomimo wszystkich prób, na jakie wystawiał mnie los w ostatnich tygodniach, wciąż jeszcze wierzyłem, że mój rozum pozostał niezmącony.

Miałem na to aż nadto niezbitych dowodów: bagienna gorączka, którą przeszedłem, pozostawiła po sobie do połowy opróżnione opakowanie środków przeciwgorączkowych i wysuszyła moje ciało.

Własnymi rękami dotykałem plomb sekcji kryminalnej, którymi śledczy zapieczętowali wejście do biura tłumaczeń po strasznej i niewątpliwie pełnej ukrytego znaczenia śmierci jego pracownika. (Tak jakby milicjanci z właściwym im zadufaniem i naiwnością chcieli zakleić tymi żałosnymi taśmami otwarte – prawdopodobnie przeze mnie – wrota do majańskiego

piekła!)

I wreszcie – ostrzeżenie wyrysowane na moich drzwiach… Groteskowa karykatura tak ukochanej przez Borgesa róży, którą zabrał ze swojego snu Lao-cy… Niezaprzeczalne świadectwo materializacji demonów z indiańskich podań – bo skąd jeszcze mógł się wziąć w naszym świecie ten potwór? Nie ja jeden widziałem napis, a raczej nie da się podejrzewać o skłonność do paranormalnych fantazji moją sąsiadkę z mieszkania naprzeciwko, kobietę z żelazną psychiką niczym szyna tramwajowa, hartowaną jeszcze za Sowietów.

Przywołując te argumenty raz za razem, stopniowo udało mi się udowodnić własną normalność choćby przed samym sobą. Przy tym nie odważyłem się już wyjść na klatkę schodową, żeby sprawdzić, czy napis nadal widnieje na drzwiach.

Zamiast tego poszurałem do wejścia: jeszcze raz pomacałem wszystkie zamki i na wszelki wypadek ponownie nacisnąłem klamkę. Potem, przycisnąwszy ucho do chłodnawego obicia ze skaju, z obawą wsłuchiwałem się w zgrzyt starej windy, z wysiłkiem sunącej w szybie. Obejrzałem okna, na wszelki wypadek zamknąłem lufcik, zapaliłem światła w całym mieszkaniu i dopiero wtedy poczułem się względnie bezpiecznie.

Ściany mojej stalinowskiej kamienicy grubością nie ustępowały pewnie fortecznym murom otaczającym hiszpański klasztor w Maní, a stalowe drzwi, na które poświęciłem kiedyś dwie miesięczne wypłaty, wytrzymałyby i uderzenie tarana. Po krótkim wypadzie – oczywiście za dnia – do najbliższego spożywczaka mógłbym znosić nieprzyjacielskie oblężenie tygodniami.

Ale Juan Nachi Cocom, jak się zdaje, bardziej liczył na krzyże klasztoru Świętego Michała Archanioła niż na cały garnizon Maní, wliczając kawalerię, armaty i arkebuzy. Siłom, przed którymi wypadło mi bronić twierdzy, nie były straszne ani stal, ani ołów, nie mówiąc już o tępych sztućcach czy budzących śmiech nierdzewnych nożach – a tyle tylko

mogłem tym mocom przeciwstawić.

Jestem niewierzący. W cerkwi bywałem ledwie raz na dziesięć lat, a i wtedy tylko po to, by na przekór oburzonym sykom sług klasztornych popstrykać aparatem fotograficznym, nie kupując przy tym świeczek nawet dla czystego sumienia. Od zapachu kadzidła kręci mi się w głowie i mam ochotę wyjść na świeże powietrze, a od nadmiaru złota ciągnie do niestosownych myśli o grubych na palec gangsterskich łańcuchach i nuworyszowskim upodobaniu do luksusu na pokaz. Co mogę jeszcze powiedzieć? Szczerze chciałem przeczytać Stary i Nowy Testament, ale, ku swojemu wstydowi, znudziłem się i ugrzęzłem. Nigdy nie malowałem jajek na Wielkanoc, a już tym bardziej nie pościłem. Święci z ciężkich prawosławnych ikon dawno machnęli na mnie ręką i więcej nie zaglądają mi badawczo w oczy, kiedy z roztargnienia lub ciekawości zajrzę jednak do jakiejś cerkiewki.

Gdybym stchórzył i kupił sobie krucyfiks albo ikonę Michała Archanioła, w moich rękach tak czy owak pozostałyby bezużytecznymi drewienkami lub kawałkami plastiku; skończyłyby jak statuetka Buddy z brązu, która kurzy się u mnie na szafie w dużym pokoju. Prosta figurka Chrystusa, już trzecie tysiąclecie umierającego w mękach na dwóch drewnianych deskach, przemienia się w magiczny artefakt tylko wtedy, kiedy wchłonie emanującą ludzką radość, nadzieję, cierpienie i rozpacz, nasłucha się błagań i podziękowań.

Wychodząc z założenia, że rozładowana broń może tylko rozdrażnić przeciwnika, postanowiłem nie kupować żadnych symboli religijnych. Cóż począć, z wiarą jak z miłością: albo jest, albo jej nie ma. W duchy – proszę bardzo. W magiczne książki – jak najbardziej. Ale właśnie z Biblią miałem kłopot: akurat w tę historię nijak nie udawało mi się uwierzyć, chociaż parę razy szczerze próbowałem. Nieprzekonujące i tyle.

Czasem jakiś duchowny, napotkawszy moje sceptyczne spojrzenie, ukrywał uśmieszek wyższości w bujnej brodzie i rozpoczynał ze mną

nawracającą dyskusję. Kiedy miałem czas i byłem w nastroju, słuchałem go i odpowiadałem, ale na koniec rozmowy każdy z nas nieodmiennie pozostawał przy własnym zdaniu. Osładzając moją kwaśną minę wszystko wybaczającym uśmiechem, ojczulek mówił mi wtedy, że po prostu jeszcze nie przejrzałem, że nie jestem gotowy, by otworzyć oczy i zrozumieć.

Cóż, możliwe, że tak właśnie jest. Ale patrząc na gorliwie żegnające się babcie, czytając o czepiających się religii chorych, z ciekawością antropologa wypatrując w tłumie parafian wygolonych bandytów z masywnymi amuletami ochronnymi na swoich szyjach zapaśników, myślałem sobie, że szybko nie przejrzę. Wiara jest podporą, której chwyta się ten, kto wątpi w swoje jutro. A moje życie było całkowicie przewidywalne dzięki rutynie i pracy, która radziła sobie z tym zadaniem nie gorzej niż święte horoskopy Majów. Aż do niedawna.

Zastanawia mnie, jak państwo, siedemdziesiąt lat z kawałkiem poświęcające na wytrzebienie wiary i wykarczowanie z ludzkich dusz samej potrzeby jej posiadania, zaczęło nagle się żegnać i bić czołem o podłogę z gorliwością, której pozazdrościłyby mu najbardziej pobożne ze staruszek. Czy to państwo wierzy w swoje jutro? Po co mu te podpory?

O czym myślą ministrowie podczas mszy wielkanocnej, z poważną miną kreślący znak krzyża, starający się omijać wzrokiem dziesiątki kamer telewizyjnych, jakby to nie dla telewizji rozgrywali to przedstawienie, jakby cała ta ich gorliwość płynęła z serca? Czy to nie ci sami ludzie z twarzami rozjaśnionymi uśmiechem przechodzili inicjację w partii komunistycznej zaledwie kilkadziesiąt lat wcześniej? To nie oni przyciskali do serca drogocenne książeczki z legitymacją partyjną i modlili się do ikon, na których widniało chytre, a zarazem dobroduszne oblicze Lenina? Nie oni ćwiczyli się w ateistycznej retoryce na zebraniach Komsomołu, żeby pozostać w dobrej formie ideologicznej?

Setki budowanych w całym kraju cerkwi mogłyby świadczyć o odrodzeniu jego duchowości, gdyby stawiająca je organizacja nie

zajmowała się bezcłowym wwozem alkoholu i papierosów; wszystkie nowe świątynie powinny zostać nazwane Soborami na Krwi**. Ale bardziej niż cokolwiek innego działa na wyobraźnię gigantyczny sobór w centrum Moskwy, bez ostrzeżenia przywrócony z tamtego świata. Zaopatrzona w trzypiętrowy płatny parking podziemny, zdolna pomieścić dziesiątki tysięcy wiernych, ta fabryka łaski bożej z jakiegoś powodu sprawia, że przychodzą mi do głowy myśli o wielkich czarnoksiężnikach potrafiących wskrzeszać umarłych i zmuszać ich, by im służyli.

Oby te złośliwości były mi wybaczone podczas rozpatrywania mojej sprawy na Sądzie Ostatecznym. Bóg przecież widzi: formalnie należę do nowego pokolenia, lecz wciąż widocznie pozostaję *homo sovieticus* z niewydolnością gruczołu odpowiedzialnego za emisję wiary, niemniej z szacunkiem odnoszę się do prawosławia i chrześcijaństwa w ogóle, tak samo jak do innych religii. Nie wiem, co obraża tego i innych bogów bardziej – mój otwarty ateizm i etnograficzna wyniosłość, a może cały ten pompatyczny teatr, w którym miliony ludzi kiepsko odgrywają wiarę – czy to oglądając się na niebiosa, czy to na siebie nawzajem…

I wtedy ono zawyło raz jeszcze – nie w oddalonym zakątku podwórka, ale wprost przed wejściem do kamienicy; zawyło tak, że po raz pierwszy mogłem wyraźnie ten głos usłyszeć.

Ułamek sekundy przed tym, nim lekko zadrżała szyba w oknie kuchennym, próbowałem jeszcze ujmować wszystko racjonalnie, znaleźć choć w miarę rozumne i możliwe do przyjęcia wyjaśnienie całej historii. Zapewniałem sam siebie, że jacyś zakulisowi organizatorzy tej skomplikowanej, wielopiętrowej i posiadającej im tylko znany sens intrygi mogli urządzić to nocne pajacowanie pod moimi drzwiami i odegrać wycie tropikalnych drapieżników na podwórku. Umieszczony na szalce Petriego mojej wyobraźni, pełnej odżywczych substancji z wiekowej kroniki, przelotny przestrach, wywołany przez te niewinne chuligańskie wybryki, wyrósł, spęczniał jak kolonia drożdży i zaczął się z niej wylewać.

Ale usłyszane przeze mnie wycie ostatecznie ustawiło wszystko na swoich miejscach. Ludzka pamięć jak fala przyboju zmiękcza ostre krawędzie przeżyć: bledną kolory, detale giną w zapomnieniu. Zgubione kawałki mozaiki zastępowane są przez wymyślone wspomnienia, żeby nie niepokoiły nas czarne plamy zatartych okoliczności. Ale jak w ciągu zaledwie kilku godzin zdołałem zapomnieć ten dziwny tembr, nieprzypominający ani głosu człowieka, ani zwierzęcia? Fakt, wcześniej nie miałem okazji słyszeć go z tak małej odległości…

Wydaje się, że wycie zaczęło się od jakiejś nuty poza skalą, niedostępnej dla ludzkiego ucha, lecz ten bezdźwięczny dźwięk był na tyle silny, iż zagłuszył wszystkie pozostałe: zdawało się, że świat na ułamek sekundy ucichł. A potem głos uderzył w szyby w oknach, napiął je jak wiatr żagle hiszpańskich karawel, i te zabrzęczały w sprzeciwie. Nakryła mnie jakby fala uderzeniowa: zabolały bębenki, zatkały się uszy i miałem ochotę otworzyć usta jak przy wybuchu bomby albo we wznoszącym się samolocie. W końcu, wchodząc w słyszalną część spektrum, nabrał objętości, wypełniając moją głowę, mieszkanie, podwórko, a potem całe miasto. Z tęsknego wizgu stopniowo przeobraził się w głęboki, groźny bas, niczym piekielna – i żywa, nie miałem co do tego wątpliwości – odwrotność syreny przeciwlotniczej. Koszmar ten trwał nie mniej niż dwie minuty, i licho wie, jak musiało wyglądać stworzenie, którego płuca i gardło były w stanie to wytrzymać.

Usiadłem na parapecie i spróbowałem spojrzeć w dół, ale sprawa była beznadziejna: wejście do budynku (a to właśnie tam ono się kryło) znajdowało się na tej samej ścianie co wszystkie moje okna, tak że choćbym nie wiem ile przyciskał policzek do szyby i zezował, w pole widzenia wchodził tylko skrawek blaszanego daszku nad drzwiami wejściowymi.

Porażona, ogłuszona wieczorna Moskwa wpadła w odrętwienie: po wyciu nastąpiła grobowa cisza, zupełnie jakby w promieniu wielu kilometrów

wszyscy umilkli, nie wierząc w to, co usłyszeli, i przeżywają na nowo zapomniane od wieków uczucie strachu – przed tym, że człowiek przestaje być panem powierzonej mu części świata.

Jednak stan ten nie trwał długo – nie minęło pół minuty, a trzasnęła okienna rama i rozległ się pijacki męski głos:

– Jeszcze raz usłyszę ten alarm, to wam opony poprzebijam, gnoje!

Cóż, przynajmniej nie tylko ja to coś słyszałem.

Umywszy się w zimnej wodzie, poddałem kolejnej inspekcji zamki i zasuwy, co na kilka minut przyniosło mi uspokojenie. Na klatce schodowej panowała cisza, na podwórku słychać było spokojne odgłosy parkowanego samochodu, odezwały się dziewczęce głosy. Było jeszcze niezbyt późno; mieszkańcy okolicznych domów wymyślili pewnie dla tego, co usłyszeli, takie wyjaśnienie, jakie się komu podobało, odegnali dreszcze, które przeszły im po plecach, i wrócili do swoich spraw.

Nie od razu mogłem dotknąć dziennika – wciąż jeszcze okropnie trzęsły mi się kolana i nie umiałem się pozbyć uczucia, że im dalej posuwałem się w lekturze, tym bardziej namacalne i materialne stawało się wiszące nade mną zagrożenie.

Ścisnęło mnie w żołądku i postanowiłem zrobić sobie przerwę. Tak czy inaczej, do obrony przed szturmem kuchnia nadawała się o wiele bardziej niż pokój: niewielka, dobrze oświetlona przestrzeń, żadnych ciemnych kątów ani starych luster, a do tego, bądź co bądź, zapasy prowiantu. Postawiłem czajnik na ogniu, włączyłem radio i natrafiłem na wieczorne wiadomości.

„Trzęsienie ziemi w Pakistanie, według niepotwierdzonych danych, pochłonęło sto trzydzieści tysięcy istnień ludzkich. Prezydent kraju Pervez Musharraf ogłosił stan wyjątkowy. Górzyste obszary Pakistanu leżą w ruinach, dokładna liczba ofiar w miastach i wsiach odciętych przez kataklizm od świata jest nieznana…”

Głos lektora był obojętny, z lekką nutką powściągliwego, profesjonalnego

niepokoju: było jasne, że sto trzydzieści tysięcy śmiertelnych ofiar nie poruszyło go do żywego. Pracując w serwisie informacyjnym, człowiek pewnie przyzwyczaja się do trupów nie mniej niż patolodzy – nieomal każde wydanie rozpoczyna się od katastrof, wojen i aktów terrorystycznych. Tyle że nie trzeba oglądać nieboszczyków z bliska. Za to jest ich o wiele więcej. Sto trzydzieści tysięcy… Nie umiem sobie wyobrazić takiej liczby żywych ludzi, a co dopiero mówić o martwych? Zresztą pozostawali dla mnie taką samą krwawą abstrakcją jak dla prowadzącego: mimo wszystko trudno było szczegółowo wyobrazić sobie zburzone pakistańskie wioski, przepełnione szpitale z ułożonymi w rzędach setkami martwych ciał, chmary natrętnych, tłustych much, pasących się na trupach; a przede wszystkim – nie było takiej potrzeby. Łatwiej jest myśleć o swoich sprawach, póki prowadzący monotonnym, usypiającym głosem wylicza zniszczenia i podaje najnowsze dane dotyczące liczby odkrytych ciał.

Jednak ten rok wyróżnia się obfitością rozmaitych kataklizmów, pomyślałem. Trzęsienia ziemi, powodzie i huragany przychodziły kolejno, zamieniając się miejscami w wieczornych wiadomościach i rywalizując o miejsce na pierwszych stronach gazet. Potężnie zniszczona przez żywioł Azja wycierała korytarze ONZ, domagając się nowych zastrzyków pomocy humanitarnej i szybkich przelewów finansowych. Ale wolontariusze z organizacji Lekarze bez Granic i ratownicy z krajów rozwiniętych, których wiecznie rzuca się w najgorsze piekło pod pretekstem filantropii – a w rzeczywistości po prostu dla treningu – byli rozrywani między Ameryką Łacińską, Bliskim Wschodem, Karaibami i Indonezją. Europa walczyła z deficytem budżetowym i strukturalnym kryzysem gospodarki, a Wall Street i tak rozbiła już swoje wszystkie skarbonki, wyciągając Biały Dom z kolejnej widowiskowej awantury wojennej.

Chociaż pewnie nie mniej było plag i katastrof w zeszłym roku. Po prostu nie zwracałem na nie uwagi albo, powiedzmy, rzadziej włączałem radio.

Przyciszyłem odbiornik i zacząłem nasłuchiwać – na dworze nadal było cicho. Wyciągnąłem drewnianą deskę do krojenia, pociachałem jak leci kilka dużych ziemniaków, wstrzymując oddech, poszatkowałem cebulę i rozpaliwszy ogień pod zakopconą niczym brytyjski czołg pod El Alamein patelnią, rozgrzałem na niej łyżkę przejrzystego oleju słonecznikowego. Kiedy kartofle skwierczały i pryskały tłuszczem, co chwilę porzucałem łopatkę, żeby podkraść się bojaźliwie pod drzwi i wyjrzeć przez wizjer albo dowlec się do okna, uchylić na moment lufcik i wystawić ucho na mroźny przeciąg, łowiąc w jego oddechu odpryski tego szatańskiego wycia.

Kiedy nie patrzyłem, kartofle wybrały odpowiedni moment i się przypaliły, a cebula odwrotnie, dostała się na wierzch i była niedosmażona. Ale popijając całe to świństwo, do którego kiedyś nawet bym się nie zbliżył, wystygłą przesłodzoną herbatą, smakowałem je jak hiszpańscy żeglarze, wymęczeni stęchłą wodą i pokruszonymi sucharami przemieszanymi ze szczurzymi odchodami, kiedy wyszli wreszcie na ląd i delektowali się świeżym mięsem jeleni i ptaków, którym, na swoją zgubę, poczęstowali ich gościnni Majowie. W ostatnich dniach odżywiałem się przeważnie kanapkami i zeschły ser kostromski na pokrytym pleśnią borodińskim chlebie porządnie mi się już znudził. Dzięki niech będą Przenajświętszej Dziewicy Maryi, że pod zlewem odkryłem siatkę z zeschniętą cebulą i kiełkującymi bulwami ziemniaków. Ścierając ze stołu okruszki, dałem sobie słowo, że jutro w najbliższym sklepie spożywczym kupię zapasy przynajmniej na tydzień. Kto wie, kiedy będzie następna szansa, żeby to zrobić.

Po chwili wahania przytaszczyłem do kuchni kartki książki, maszynę do pisania i słowniki. Zagrzałem sobie jeszcze herbaty, wsadziłem do Olimpii świeżą kartkę, przesunąłem na prawo wózek i nabrałem pełną pierś powietrza, gotując się do zanurzenia.

Iż nazajutrz, choć obawiałem się, że nie doliczę się żołnierzy lub też pozostałych członków naszego oddziału, wszyscy okazali się być cali, lecz odpocząć nikomu z nas się

nie udało. Iż niektórzy szemrali i prosili, byśmy zostali, i odłożyli wyjście, aby wyspać się choćby jeden dzień, lecz przewodnik nasz po tej propozycji popadł w wielki niepokój i radził, byśmy bez zwłoki ruszyli z miejsca i szli dalej.

Iż Vasco de Aguilar wystąpił przeciwko kontynuowaniu wyprawy i skarżył się na zmęczenie, a kiedy dowiedział się, że jednak pójdziemy naprzód za radą Juana Nachiego Cocoma, spojrzał na niego złym okiem i przyrzekł wkrótce odpłacić Indianinowi za wszystko; brat Joaquín zaś – przeciwnie, z pokorą poparł przewodnika, starając się ukrócić gniew señora de Aguilara łagodnymi słowy.

Iż kiedy zwinęliśmy obóz i ponownie ruszyli białą drogą, zapytałem Juana Nachiego Cocoma, czy nie myśli, że towarzysza jego, mieszańca Hernána Gonzáleza mógł zabić Vasco de Aguilar. Iż Indianin zafrasował się i miał kłopot ze wskazaniem zabójcy, mówił zaś jedynie, iż Hernán González nie podniósł na siebie ręki.

Iż po namyśle i chwili milczenia Juan Nachi Cocom powrócił do naszej dysputy, dodając do tego, co zostało powiedziane, że obwinia nie kogoś z naszego oddziału, lecz jakowegoś człowieka jaguara. Objaśnić jednak, cóż to za bestia i dlaczego mogła targnąć się na życie jego współplemieńca, przewodnik nie potrafił. Iż z poplątanych słów jego wyrozumiałem jedynie, iż dziwnego tego wilkołaka Indianie poczytują za jednego z najpotężniejszych i najbardziej niebezpiecznych demonów, i że w oddalonych wioskach położonych w selwie często porywa on nocami dzieci; obronić się przed nim, a tym bardziej zabić go, jednak nie sposób.

Iż wspomniawszy zwierzęce wycie, która mnie przeraziła, zapytałem Juana Nachiego Cocoma, czy to nie jaguar krzyczał w okolicy obozu minionej nocy, na co ten zaprzeczył. Iż, wedle jego słów, ryk zwykłego kota potrafiłby odróżnić bez żadnego kłopotu i obawy przed pomyłką. Tamten zaś dźwięk, co poprzedniego dnia doszedł naszych uszu z selwy, najbardziej mu przypominał ryk słyszany we wczesnym dzieciństwie – słysząc go, matka skrywała dziecko w najgłębszy kąt i zastawiała drzwi, ojciec zaś wychodził na zewnątrz z pochodnią i magiczną włócznią, która porażała nie tylko ludzi i zwierzęta, lecz także duchy.

Iż najbardziej byłem skłonny uznać, że Hernán González, jeśli sam się nie powiesił, to prędzej udusił go Vasco de Aguilar, niż padł ofiarą indiańskich bożków. I że dalsze wydarzenia wskazały, kto z nas był prawy, a kto zbłądził.

Iż szliśmy tak naprzód przez cały dzień, lecz pokonać zdołaliśmy bardzo niewielki dystans ze względu na zmęczenie, które nas ogarnęło. I że na końcu następnego dnia oddział nasz ugodziło nowe utrapienie: dwaj żołnierze, Francisco Balbona i Felipe Alvarez, ci, co osłabli bardziej niż inni, poczęli majaczyć, mówiąc, iż widzą przed sobą dwie ogromne, straszliwe postaci, które, jak to rozumieli, były strażnikami jakiegoś przejścia.

Iż ani ja, ani brat Joaquín, ani Vasco de Aguilar, ani nasz przewodnik niczego podobnego dojrzeć nie zdołaliśmy, stąd rozkazaliśmy żołnierzom iść dalej pod groźbą

surowej kary. I że jeden z nich, Felipe Alvarez, uległ, choć Vasco de Aguilar musiał go w tym celu bić; drugi zaś, Francisco Balbona, rzucił się do ucieczki tam, skąd przyszliśmy, krzykiem błagając Przenajświętszą Dziewicę Maryję o pomoc. Iż biegł on z niemałą szybkością i zatrzymać go nie było możliwe, tak że w ciągu paru minut skrył się za zakrętem sakbu. I że po chwili rozległ się z tamtej strony ogłuszający ryk, od którego nawet pode mną nogi się ugięły, błagania zaś Francisca Balbony, jak też i odgłos jego kroków, urwały się.

Iż Juan Nachi Cocom powstrzymał tych, co chcieli rzucić się na pomoc Franciscowi Balbonie, mówiąc, że sakbem można podążać tylko w jedną stronę – naprzód; powrót zaś jest niemożliwy, a tych, co się zawahają, pożerają demony.

Miałem ochotę przerwać tłumaczenie i wziąć głęboki oddech już przy tym fragmencie, w którym dziennik opisywał nowego bohatera, najprawdopodobniej tego samego, który czaił się właśnie pod moimi oknami. Ale mając nadzieję, że napotkam choć jeszcze jedną wzmiankę o człowieku jaguarze w następnych wersach, zmogłem jeszcze kilkanaście zdań. I dopiero ostatnie słowa, niczym postawiona dla mnie przez autora latarnia wysyłająca ostrzegawcze sygnały, zbiły mnie z nóg i zmusiły do oderwania się od książki.

Nie wiem, w której dokładnie chwili – czy wtedy, gdy po raz pierwszy ujrzałem te stronice i zgodziłem się podjąć ich tłumaczenia, czy dopiero później, kiedy dano mi do zrozumienia, jak niebezpieczna jest gra, w którą się wplątałem, i radzono, bym wycofał się z udziału w niej – to, co było pracą, zaczęło zamieniać się w namiętność, w życie, w jego sens, w wybrukowany białymi kamieniami majański sakb, wiodący mnie do nieznanego celu i odejmujący mi sił z każdym krokiem, jaki na tej drodze uczyniłem.

Czy człowiek piszący ten dziennik rozumiał, że stworzona przez niego książka będzie posiadać magiczną siłę, która niczym macki legendarnego krakena oplata nieostrożnego czytelnika i pogrąża jego bladą rzeczywistość w nasyconych Marquezowskimi kolorami odmętach fantastycznej narracji?

Czy też autor sam obdarzył swoje dzieło tą siłą? Miałem nadzieję znaleźć w zakończeniu dziennika odpowiedź na dziesiątki pytań, które

niespokojnie, jak pszczoły w ulu, roiły mi się w głowie. A on podpuszczał mnie, podsycał ciekawość, rozmieszczał między słowami przynęty obietnic, lecz kiedy dawałem się skusić, wpadałem tylko w nowe sidła, trzymające mnie jeszcze ściślej, podczas gdy miraże obiecanych odpowiedzi nadal majaczyły gdzieś na horyzoncie i ani myślały się zbliżać.

Możliwe zresztą, że to wieczne odwlekanie otwartej rozmowy było po prostu jedną z przeznaczonych mi prób. Przezwyciężając rozczarowanie i przestając szemrać, szybko miałem zasłużyć na wyjaśnienie – jeśli nie wszystkich, to wielu wydarzeń.

Przestrzegając swój oddział przed powrotem tą samą drogą, Juan Nachi Cocom w rzeczywistości zwracał się do mnie. Patrzył mi w oczy – poprzez pięć stuleci, poprzez książkowy kurz i rozkład, poprzez industrializację, freudyzm i rozwinięty socjalizm, poprzez tony głupawych, ulotnych książek w miękkiej oprawie o niewiarygodnych przygodach piersiastych blondynek w amerykańskich dżunglach; poprzez wszystko, co powinno było ukształtować mój obraz świata i miejsca, jakie zajmowali Majowie. Poprzez wszystko, co mogło sprawić, bym spojrzał na rozwijający się przede mną dramat jak na jarmarczne widowisko, bym zwątpił w prawdziwość tej opowieści. Zmęczonym, lecz badawczym wzrokiem Juan Nachi Cocom, ocierając pot z czoła, patrzył na mnie z piaskowożółtych kart, i zrozumiałem: to dla mnie przeznaczone są jego słowa o duszach, które się zawahały i zostały pochłonięte przez demony.

Jest za późno, by się wycofać. Gdzieś daleko za moimi plecami z hukiem zatrzasnęły się drzwi, od których zaczęło się to moje schodzenie do podziemi. Zapomniałem się w grze i zlekceważyłem ostrzeżenia, w jakie obfitował dziennik. I teraz, jeśli wierzyć Juanowi Nachiemu Cocomowi, jedyny ratunek tkwił w kontynuacji rozpoczętej drogi.

Mimo to, zanim skończyłem ten krótki popas i zanim, rozcinając maczetą zdradliwe sploty majańskich zabobonów i uknutych przez braci franciszkanów intryg, których nie powstydziliby się i jezuici, ponownie

rzuciłem się głową naprzód w gąszcz zawiłych starohiszpańskich zwrotów imiesłowowych, postanowiłem lepiej poznać mojego nowego przeciwnika. Kto to taki człowiek jaguar?

Kummerling wzruszył tylko bezradnie ramionami. W rozdziale „Religia i mity Majów” drań ograniczył się tylko do uwagi, iż najważniejsi bogowie majańskiego panteonu mieli po kilka postaci i imion, a także posiadali sobowtóry i przeciwieństwa, przez co niezagłębiającym się w szczegóły Europejczykom zdawało się, że tubylcy mają tych bóstw niezliczone zastępy. By to zobrazować, dorzucił kilka zerżniętych z czyjejś poważnej monografii rysunków bogów, wśród których rozpoznałem patrona uczonych i piśmiennictwa – Itzamnę, nieodłącznych Chaków, a także boginię księżyca Ix Chel.

Człowiek jaguar, widocznie będący wystarczająco istotną osobistością w mitologii Majów, był mimo wszystko wspomniany, lecz tylko mimochodem, wśród innych demonów i demiurgów. Sądząc, że statystycznemu czytelnikowi to absolutnie wystarczy, Kummerling w charakterystycznej dla siebie sklerotycznej manierze przeskoczył na inny temat.

Cóż, niczego innego się po nim nie spodziewałem. Pozostało mieć nadzieję, że E. Jagoniel nie zmarnuje szansy, by na tak jaskrawym przykładzie zademonstrować zdumionej publice, czym różni się autentyczna magia od jarmarcznej szarlatanerii. On to już na pewno nie pozwoli sobie zignorować tak ciekawego stworzenia. Byłem pewny sukcesu, więc wyruszyłem na poszukiwania człowieka jaguara w indeksie.

Pod „C” go, rzecz jasna, nie było. Przyczaił się pod literą „J”, dokładnie pod słowem „jaguar”, wyróżniony jednocześnie wytłuszczeniem i kursywą: „*człowiek jaguar* (mit.) – str. 272–275”. I proszę, sukces! Od razu trzy strony wypełnione skrupulatnie dobranymi informacjami, śmiałymi hipotezami, a jak się poszczęści, to i opatrzone ilustracjami!

267, 269, 271, 277, 279… Zaraz, to niemożliwe! Z początku uznałem, że

w pośpiechu przegapiłem szukane miejsce albo że sklejone z upływem lat strony grają mi na nerwach. Zamknąłem i otworzyłem oczy, próbując w ten sposób rozwiać przywidzenie, wróciłem do dwieście sześćdziesiątej siódmej strony i powoli pokonałem całą krótką drogę do dwieście osiemdziesiątej pierwszej, gdzie, ku swojemu przerażeniu, odkryłem widziany już przeze mnie mroczny portret Diega de Landy.

Potrzebnych mi dwóch kartek nie było. Zostały usunięte z książki w możliwie najdokładniejszy sposób, jednym idealnie prostym cięciem. Cieniutkie paski papieru – wszystko, co pozostało z kartek między stroną dwieście siedemdziesiątą pierwszą a dwieście siedemdziesiątą szóstą – świadczyły o tym, że winna nie była pomyłka typograficzna. Na książce popełniono zamierzoną zbrodnię.

Kartki, wycięte dokładnie w taki sam sposób z innej książki, leżały na biurku wprost przede mną. Nie dało się zaprzeczyć: informacje o osławionym majańskim wilkołaku, które mogły okazać się dla mnie bezcenne, zostały usunięte z nabytej przeze mnie przypadkowo książki tą samą ręką, która dawała mi do tłumaczenia nowe rozdziały dziennika.

Czy te strony wycięto z pracy Jagoniela, jeszcze zanim trafiła do moich rąk? Czy też nieznani sprawcy okaleczyli książkę, kiedy leżała, zdradzona przeze mnie, czekając na swój los koło zsypu na śmieci? Bardziej prawdopodobne było to drugie; innego sensu nabierało w takim wypadku również zniknięcie moich tłumaczeń początkowych rozdziałów.

Przez moment poczułem się szczurem zamkniętym przez uczonych w zmyślnym labiryncie, wyposażonym w specjalne urządzenia podnoszące i opuszczające drzwiczki, które otwierają nowe przejścia i prowadzą na wolność bądź w pułapkę, odcinają drogi odwrotu, stale zmieniają kształt labiryntu, przez co zapamiętanie pierwotnej trasy staje się z góry skazane na porażkę.

Nie, nie biegałem sam, z klapkami na oczach, po jego niekończących się korytarzach; ktoś mną kierował, otwierając i zamykając drzwiczki

możliwości, podsuwając mi potrzebne informacje, usuwając ze sceny postaci, które odegrały już swoją rolę, żeby znów pozostawić mnie sam na sam z labiryntem. Czyli nie było wyboru, lecz jedynie jego iluzja? I co było na końcu tej jedynej ścieżki, jaką mi wytyczono?

Wróciłem do Jagoniela. Porwany przez wir moich – miejmy nadzieję, schizofrenicznych – odkryć i domysłów, już prawie uznałem, że zmaterializowany pośrodku opublikowanej dziesiątki lat temu pracy naukowej portret Diega de Landy zacznie równie spontanicznie błądzić po jego stronicach, pojawiając się w rozdziałach, na które powinienem zwrócić szczególną uwagę. Ale nie – jukatański biskup był, jak się zdawało, w pełni zadowolony ze swej pierwotnej lokalizacji. Zanim je wycięto, ustępy poświęcone człowiekowi jaguarowi sąsiadowały po prostu z uwagami o składaniu ofiar z ludzi, włączone przez autora do rozdziału „Wierzenia i obrzędy Majów”. Jednak teraz trudno mi już było ocenić, przed czym konkretnie ostrzegał czytelnika biskup.

Najgorsze było to, że dotąd nie umiałem powiązać wszystkich osobnych wydarzeń, z których składała się – i obecnie, i w szesnastym wieku – ta dziwna i coraz bardziej mroczna historia. Być może sam wziąłbym też w niej aktywniejszy udział, gdyby zasady były mi zawczasu znane.

Na razie jednak nie pozostało mi nic innego, jak pójść za radą Juana Nachiego Cocoma: zwalczyć pokusę, by pobiec z powrotem, i znów dobić do ariergardy hiszpańskiego oddziału.

> Iż paręset kroków od owego miejsca, gdzie na swoją zgubę uciekł od nas Francisco Balbona, ujrzeliśmy dwa wyciosane z kamienia, niewielkich rozmiarów idole – a każdy ledwie sięgał mi do pasa; jednak oblicza tych kamiennych karzełków były straszliwie drapieżne, oczy krągłe i wyłupiaste, paszcze zaś pełne olbrzymich kłów. Iż Felipe Alvarez, nie zbliżywszy się jeszcze na dwadzieścia kroków do nich i patrząc nie na bożki, lecz wysoko ponad nie, popadł w taką trwogę, iż utracił dar mowy i mocz oddał bezwiednie.
>
> Iż ciosami pięści i kopniakami Vasco de Aguilar przeprowadził go obok tych idoli, przezwyciężając jego najbardziej rozpaczliwy opór. I że, pomimo łagodności i dobrotliwości anielskiej, z jaką obchodził się z nieszczęsnym brat Joaquín, biorąc go

pod opiekę, ów Felipe Alvarez więcej już do siebie nie przyszedł. Iż z dźwięków jedynie muczenie z siebie wydawał, z ust zaś jego stale ciekła ślina, a oczy były rozwarte szeroko i wpatrzone w pustkę.

Iż następnej nocy na popasie Felipe Alvarez został zabity ciosem kindżału w serce. I że tego, kto tej zbrodni dokonał, nie udało się odnaleźć; nikt jednak tego nie pragnął, albowiem swym nieustannym porykiwaniem nieszczęśnik ten czynił u wszystkich taki smutek i lęk, że tak ja, jak i pozostali w duchu wdzięczni byliśmy jego zabójcy.

Iż przewodnik nasz Juan Nachi Cocom, ufając mnie bardziej niż innym, powiedział potem, że pośród nas jest człowiek, który wie o celu naszej wyprawy więcej od niego samego. Iż ten oto człowiek mógł też zakłuć Felipe Alvareza, czyniąc wedle tajemnych swych racji.

Iż wówczas nie pojąłem, o czym mówił ze mną przewodnik, jednak zdecydowałem, że przy sposobności ponownie zapytam o to, co o tym celu wiadomo samemu Indianinowi. Iż tym razem ten nie począł się opierać i tylko upewniwszy się, że inni nas nie słyszą, opowiedział mi rzecz przedziwną.

Iż, wedle jego słów, nieopodal miejscowości o nazwie Calakmul, dokąd prawdopodobnie prowadził sakb, mieściła się starożytna świątynia skrywająca niewielki skarbiec z najświętszymi księgami jego przodków. Iż o świątyni tej mieszkający z nim dziad mówił, że przechowuje się w niej także pewien manuskrypt, który przyjęto nazywać kroniką przyszłości, albowiem wiek za wiekiem odkrywa przyszłość Majów i świata całego, i prorokuje jego nieunikniony koniec, nazywając dokładnie dzień, kiedy niebiosa spadną na ziemię.

Iż manuskrypt ów opisuje i znaki, wedle których można będzie poznać zbliżającą się apokalipsę, ażeby dać wtajemniczonym czas, aby obwieścili to, co zamierzone pozostałym Majom, tak aby lud ten miał czas na modlitwy i inne konieczne przygotowania. Iż wiedza ta jest tajemna, i tajemnica owa chroniona jest na równi przez ludzi, demony i bogów. I że wiedza ta jest przeklęta, jak przeklęci są wszyscy wtajemniczeni.

Iż, wedle słów przewodnika, sam słyszał o tym tylko stąd, że matka jego pochodziła ze starożytnego rodu, którego najdostojniejsi synowie władali w czasach odległych wszystkimi tymi ziemiami, i że królewska krew płynie w jego żyłach. Opowiedział mi także, iż w dzieciństwie żył w ich domu pewien starzec, którego uznawał wówczas za dziada swego, i że starzec ów nie pracował i w domu niczego nie robił, a tylko bawił się z malcem i opowiadał mu bajki, wymagając, by ten je zapamiętał. I że pewnego dnia starzec wyszedł za próg i więcej nie wrócił.

Iż wiele jego klechd Juan Nachi Cocom zdołał zapamiętać, a pośród nich także historię o świątyni w Calakmul. I że nad sensem owych opowieści i ich znaczeniem zastanawiał się i domyślił ich dopiero całe dziesięciolecia później.

Iż kiedy spytałem go, czemuż to nie chciał mówić mi o tym wcześniej, a rzekł to teraz,

odparł mi Juan Nachi Cocom, że czas jego upływa i wkrótce wyprawi się do świata podziemnego; ja zaś, wedle jego rozumienia, byłem tym człowiekiem, któremu powinien był przekazać to przesłanie. Iż o wielu rzeczach, kiedy opuszczał Maní, nie wiedział sam, jednak ukazały mu się w drodze poprzez sny i widzenia. Iż niewidzialną ręką byłem prowadzony i ja sam, stąd chroniłem przewodnika przed zabójcami i gniewem towarzyszy. Iż przesłanie to stanie mi się pewnego dnia wiadome i że zostanie na mnie nałożony obowiązek, by przekazywać je dalej.

---

* Zagorodnoje szose – ulica w Moskwie, przy której mieści się znany szpital psychiatryczny (przyp. tłum.).

** Sobór Zbawiciela na Krwi – cerkiew w Petersburgu zbudowana w miejscu, gdzie został otruty car Aleksander II (przyp. tłum.).

La Revelación

(La Revelación)

Muszę się przyznać, że zdecydowanie nie od razu zdołałem sobie uświadomić cały sens tego, co przeczytałem, ten wprost kosmiczny rozmach opisywanych w dzienniku wydarzeń i ogrom wprawiających je w ruch starożytnych mechanizmów pokrytych tysiącletnim nalotem.

Stopniowo wznosząc chybotliwą wieżę zrozumienia tego, co mnie spotkało, wciąż jeszcze nie byłem gotów oderwać się od pracy skromnego murarza, kładącego jedna za drugą cegiełki zakazanej wiedzy, by wzrokiem architekta objąć całość i ujrzeć kształt przyszłej budowli.

Prawie wszystkie cegły były już wypalone i leżały u moich stóp, pozostawało tylko umocować każdą z nich na swoim miejscu, wejść na balkon wybudowanej wieży i spojrzeć na świat z nowej, wcześniej niedostępnej perspektywy. Jednak z jakiegoś powodu odwlekałem ten moment, przedkładając nad to zapamiętałe mieszanie zaprawy i wyrównywanie po raz setny ułożonych już cegieł. Patrząc tylko sobie pod nogi, byłem spokojniejszy, niż gdybym zastanowił się w końcu, dokąd prowadzi obrana przeze mnie droga.

I choć autor dziennika stracił wiarę w moją przenikliwość i przeszedł już od półaluzji i rebusów do prostych wyjaśnień, ja dalej chowałem głowę w piasek i udawałem, że mimo to nic nie rozumiem.

W pierwszej chwili przepełniły mnie po prostu szczęście i duma: a więc, jak widać, z godnością przeszedłem wszystkie próby i autor relacji postanowił wreszcie uchylić zasłonę skrywającą główną tajemnicę. Teraz wiedziałem: to nie tony złotych ozdób, nie drogocenne klejnoty kusiły Diega de Landę, to nie w celu zdobycia zapomnianych majańskich skarbów biskup Jukatanu rzucił selwie na pożarcie dziesiątki hiszpańskich konkwistadorów. Nie, on pragnął zawładnąć skarbem o wiele cenniejszym: to właśnie starożytny rękopis był tym magicznym artefaktem, a w każdym razie franciszkanin musiał w to wierzyć.

Wejść w posiadanie najświętszego z proroctw Majów, przykrywając tę zuchwałą operację teatralnym polowaniem na czarownice – oto co planował

przeor klasztoru Świętego Antoniego. Być może wiedział o zaginionym rękopisie coś takiego, czego nie domyślał się indiański przewodnik, nawet pomimo swoich olśnień. Tak czy inaczej, siły, których Diego de Landa nie zawahał się wysłać z ekspedycją do Calakmul (uwierzyłem Juanowi Nachiemu Cocomowi, który uważał, że oddział idzie właśnie tam), były wystarczającym dowodem wagi misji powierzonej autorowi sprawozdania.

Po co? Przyszła mi do głowy tylko jedna przyczyna.

Władza! Przepowiednia dotycząca nadchodzącej apokalipsy była z pewnością niejedyną informacją ukrytą w kronice. Sądząc, że będzie mógł posiąść tajemnice przyszłości, biskup de Landa mógł mieć nadzieję na uzyskanie odpowiedzi na wiele pytań dotyczących hiszpańskiego podboju Jukatanu i tego, co czeka cały świat. Co więcej, sprawa zagarnięcia manuskryptu pachniała też polityką: posiadacz jedynego prawdziwego proroctwa może odkrywać je po kawałku lub w całości, w wersji zgodnej z oryginałem bądź nie, może je interpretować w wygodny dla siebie sposób, manipulując wierzącymi bezwarunkowo Indianami. Czy można sobie wyobrazić potężniejszy instrument podporządkowania niepokornych innowierców niż ustanowienie monopolu na objaśnianie ich świętej księgi?

Urywając kolejny rozdział na słowach drażniących ciekawość czytelnika i rozpalających jego wyobraźnię, autor dawał do zrozumienia, że historia się nie zakończyła. Chociaż w ostatnim przeczytanym przeze mnie fragmencie nie było bezpośrednich wskazówek mówiących o tym, że treść manuskryptu stała się później znana piszącemu dziennik, to nie wiedzieć czemu, zdawało mi się, iż tak właśnie się stało.

Odtąd miałem po prostu obowiązek doczytać tekst do końca. To, co mi się przydarzyło, dawno już wyszło poza ramy zajmującej kanapowej przygody, która miała ubarwić rutynę mojej codzienności, ale dopiero teraz zaczynałem się domyślać, dlaczego stawki w tej grze tak urosły.

Jeśli rzeczywiście stałem na progu wyjaśnienia jednej z największych tajemnic starożytnych Majów, jeśli mogłem razem z konkwistadorami

w Calakmul usłyszeć przeznaczone tylko dla wybranych przepowiednie i – kto wie? – zajrzeć za zasłonę stuleci nie tylko w przeszłość, ale i w przyszłość – to czy miałem prawo się wycofać?

Wreszcie nie miałem drogi odwrotu chociażby dlatego, że sam nie zgodziłbym się już wrócić do swojego zwykłego życia. Życia? Czy można było nazwać tym cudownym, wielkim słowem moją żałosną wegetację, egzystencję od zlecenia do zlecenia, które pozwalały mi tylko na kupno czegoś do jedzenia i opłacenie rachunków za wodę i prąd. I po co? – żeby dociągnąć do następnych zleceń, do emerytury, do śmierci.

W dzieciństwie wolałem książeczki o marynarzach i kowbojach od zabaw na podwórku z dziećmi sąsiadów – nie wiem, czy to przez moją chorobliwą nieśmiałość, czy przez to, że wzbijanie końskimi kopytami pyłu prerii i obrona podupadających fortów przed czerwonoskórymi wydawały mi się znacznie bardziej zajmujące niż wybijanie z procy cudzych okien i robienie nieszczęsnym bezdomnym kotom zastrzyków z wody kolońskiej Krasnaja Moskwa, w co zabawiali się podwórkowi chuligani.

Minęło ponad trzydzieści lat – i co się zmieniło? Fenimore Cooper i Juliusz Verne wciąż jeszcze zajmowali uprzywilejowane miejsca na moich zakurzonych regałach z książkami. Była to już cześć bardziej nominalna, pokrewna honorowaniu emerytowanych kombatantów – przy okrągłych datach ozdabia się ich jak należy błyszczącymi medalikami z tanich stopów niklu, lecz ich morałów nikt już nie słucha, a wspomnienia o dawnym wojennym bohaterstwie są przyjmowane jak opowieści o taaakiej rybie.

Wyrosłem z nich, ale to nie znaczyło, że poczułem się przytulniej w realnym świecie i że jako dorosły zacząłem preferować popijawy z przyjaciółmi, karierę i uganianie się za kobietami – wszystko, czym wypada się zajmować w wolnym czasie twardo stąpającym po ziemi mężczyznom. Nie, tak jak wcześniej rozpaczliwie próbowałem schować się w wymyślonych światach, które podczas lektury podnosiły się i dawały pozór głębi jak kartonowe figurki ze stron takich specjalnych dziecięcych

książeczek – wiecie, o czym mówię? Tylko akurat w światy Verne’a już nie wierzyłem: teraz już widziałem, że za ich pokolorowaną powierzchnią nie ma nic.

Wystarczyło jednak, bym zaangażował się w historię z hiszpańskim dziennikiem, tak wiarygodnym, tak autentycznym, że nieprzekonującą kartonową dekoracją zaczął mi się wydawać otaczający mnie świat. I gdy zanurzyłem się w magicznej rzeczywistości, powrót do bezbarwnego, płaskiego, tak zwanego prawdziwego życia stał się dla mnie czymś nie do pomyślenia.

W towarzystwie surowych, zarośniętych po oczy konkwistadorów było mi teraz lepiej niż z nielicznymi cudem zachowanymi przyjaciółmi ze studiów. Ochoczo dzieliłem z Hiszpanami wszystkie trudy ich wyprawy i nie uciekałem przed grożącymi im niebezpieczeństwami, trafiającymi rykoszetem i w moje życie. Uwierzyłem w ich dążenia, po czym stały się one również i moimi dążeniami. Razem z nimi łamałem sobie głowę nad zagadką rzeczywistego celu ekspedycji i spotkał mnie zaszczyt, by poznać go jako jeden z pierwszych.

Ostatni fragment musiałem przestudiować na nowo co najmniej trzy razy. Czułem się jak prowincjonalny turysta, który aż do znudzenia tłukł się w starym, rozpadającym się autobusie, w ślad za ogorzałym, żylastym przewodnikiem przedzierał się przez wąskie i śliskie ścieżki, klął na czym świat stoi i żałował, że uległ obiecankom biura podróży. Ale mimo to wdrapał się jednak na jakąś tajemną górę. I oto przewodnik zezwala na postój i odpoczynek, a sam z zagadkowym uśmiechem odsuwa rozłożyste gałęzie i przed turystą otwiera się widok tak nieprawdopodobny, że brak mu tchu, gubi się i nie wie, na czym zatrzymać wzrok; a twarz owiewa chłodny wiatr, osuszając pot, usuwając zmęczenie i przywracając zdolność postrzegania.

Przenika cię świadomość własnej przemijalności, kruchości, daremności w porównaniu ze spokojnym, niemal wiecznym ogromem tego, co widzisz

przed sobą. Potem próbujesz uwięzić i wsadzić do złotej klatki choć cząstkę tego przeżycia, zrobić fotografię. Wyjmujesz swój idiotyczny tani aparacik, ustawiasz go i stwierdzasz z zakłopotaniem, że obiektyw obejmuje tylko maleńki prostokącik bezgranicznej przestrzeni, jaka się przed tobą rozpościera. Przesuwasz bezradnie celownik z jednego szczegółu na drugi, ale gdzie tam! – temu wspaniałemu obrazowi jest ciasno nawet w polu twojego widzenia, a dziesięć na piętnaście, rozmiary standardowej pocztówki, będą na tyle małe, że nie warto nawet próbować go tam wcisnąć.

Usiłowałem ująć w kadr swojego rozumienia całe to ogromne płótno, z którego twórca ściągnął wreszcie zasłonę, przedstawiając je do oceny widzom. Obrzęd inicjacji się dokonał, ale czy byłem gotów na otwierającą się przede mną wiedzę? Sądzę, że nawet samemu autorowi dziennika nie było łatwo uwierzyć w to, co usłyszał – a przecież w jego czasach anioły i diabły chodziły jeszcze wolno po świecie, a nie były uwięzione i zarezerwowane dla specjalistów od *delirium tremens*.

> Iż wiedza ta jest tajemna, i tajemnica ta jest chroniona na równi przez ludzi, demony i bogów. I że wiedza ta jest przeklęta, jak przeklęci są i wszyscy wtajemniczeni… I że zostanie na mnie nałożony obowiązek, by przekazywać ją dalej…

Przekazywać dalej? A zatem dziennik pisano po to, aby zachować i przekazać innym otrzymaną przez autora wiedzę?

Czyżbym rzeczywiście był nie przypadkowym czytelnikiem starych notatek z podróży, lecz adresatem przesłania, nadanego na *poste restante* poprzez stulecia i kontynenty? Ta wersja wydawała się absolutnie nieprawdopodobna, fantastyczna, a jednak tylko ona wytrzymywała krytykę. Tylko w niej było miejsce dla wszystkich zadziwiających zdarzeń, które wstrząsnęły moim życiem w ostatnich miesiącach. Jako jedyna wyjaśniała je i dawała wyobrażenie, czego powinienem oczekiwać w przyszłości.

Ale myśląc o tym, że byłem wybrańcem, wciąż jeszcze nie rozumiałem

przerażającego znaczenia wszystkich przeczytanych przeze mnie wersów. Zachłannie połknąłem przynętę w całości, nie czując nawet stalowego haczyka, na który była nabita. Ten dał o sobie znać dopiero pół godziny później.

Wsłuchując się w daleki szum samochodów i dochodzący z Arbatu słabnący gwar tłumu, z ożywieniem spacerowałem wokół owalnego stołu obiadowego w dużym pokoju i starałem się połączyć wszystko, co mi się przydarzyło, w jedną całość.

A więc przypuśćmy, że przetłumaczony przeze mnie dziennik z całą jego przygodową otoczką był zaledwie wprowadzeniem, przygotowaniem do jakichś objawień, proroctw, zawartych w dalszych rozdziałach. Załóżmy, że opisywana w nim historia jest prawdziwa i, co więcej, najdziwniejsze jej fragmenty należy rozumieć dosłownie, a nie jak jakąś metaforę. Zatem jeśli wspominane są demony ochraniające święte budowle przed ciekawskimi, to lepiej w nie uwierzyć i posłuchać ostrzeżeń. Czyli co teraz? Spróbowałem odtworzyć całą historię od samego początku…

…Wysłany na wyprawę po jakieś majańskie księgi i idole hiszpański szlachcic wspólnie ze swoimi towarzyszami i podwładnymi okazał się marionetką w rękach sił o wiele potężniejszych niż Korona czy Kościół, choć sam na początku sądził, że to właśnie ich wolę spełnia. Nie informując go o prawdziwym zadaniu ekspedycji, Diego de Landa pokazał, że sam jest niezależną partią w tej grze, której cel i sens rozumiał tylko on sam.

Przyszły jukatański biskup uzasadnił użycie tak znaczących środków w jakże mglistej misji obawą przed rebelią Indian. Nawet jeśli takie zagrożenie rzeczywiście istniało, intuicja podpowiadała mi, że de Landa wykorzystał je raczej jako pretekst do realizacji własnych mrocznych planów. Obmyślił je już na wiele miesięcy przed wypadkiem z psem klucznika, który zaprowadził go do pogańskiej świątyni w podziemiach klasztoru w Maní. Dzięki informatorom dowiedział się o istnieniu pewnego starego zwoju z mrocznymi i groźnymi przepowiedniami, których

posiadanie da mu bezgraniczną władzę nad umysłami Majów, nad losem półwyspu, a może i nad czymś o wiele większym.

Czy wiedział, gdzie szukać manuskryptu? Choć wysyłał z Maní lotne oddziały na wszystkie strony Jukatanu, największy z nich wyruszył prosto do Calakmul. Pozostałe były prawdopodobnie tylko przykrywką, a zniszczenie tysięcy ksiąg podczas wielkiego w swym barbarzyństwie *auto de fé* – próbą ukrycia, że najważniejsza z nich zaginęła. De Landa chciał zawładnąć zwojem bez względu na cenę, i wypełniający jego rozkaz konkwistadorzy nie cofali się przed niczym. Ani zagadkowe zniknięcie i przypuszczalna śmierć połowy oddziału w czasie niezwyczajnej burzy, ani ostrzeżenia przestraszonych Indian (wieść o planach przeora jakimś sposobem dotarła do starszyzny Majów), ani ataki rozwścieczonych dzikusów, ani wybuch gorączki bagiennej, ani opór, z jakim, jak się zdawało, sama selwa przyjmowała obcych – nic nie zachwiało ich zdecydowaniem. Tak, żołnierze szemrali, ale wszelkie próby buntu były tłumione w zarodku przez dowódców oddziału. Indiański przewodnik mówił, że jeden z członków grupy doskonale wiedział, jaki łup czeka ich u kresu drogi, czego właściwie trzeba szukać, żeby dostarczyć tę rzecz spragnionemu wieści przeorowi. A mnie czekało jeszcze wyciągnięcie zamiarów tego człowieka na światło dzienne…

Jeśli są jednak siły dążące do złamania pieczęci i poznania zakazanej wiedzy, to zgodnie z przestrogą Juana Nachiego Cocoma powinny się ujawnić i takie, które będą się im przeciwstawiać i tę wiedzę chronić. Wiedząc o tym, czy nadal można było uważać wszystkie te ataki na ekspedycję za zwykły przypadek i zrezygnować z poszukiwania ukrytego ich znaczenia? Nie, nieszczęścia raz za razem dziesiątkujące oddział nie mogły być niczym innym jak rezultatem demonicznej czy wręcz boskiej ingerencji.

Przypomniałem sobie wieczór, w który przeczytałem rozdział, gdzie dopiero co rozpoczynający wyprawę konkwistadorzy stracili połowę

oddziału, pozostawioną na straży obozu. Jedyna ilustracja w tej części – odrażający potworek przedstawiony na samym końcu, na niezapisanej stronicy – nazywał się Chac. Chak, jedno z najpotężniejszych majańskich bóstw. A więc zarówno burza rozświetlająca ślepe czarne niebo rozłożystymi błyskawicami, jak i ulewa, która spadła na selwę, zmywając wszystkie ślady zaginionych ludzi i koni, mogły być klątwami i łzami boga deszczu? Czy aby inne fatalne zdarzenia również nie zawierały tajemnych znaków, których nie umiałem odczytać przez swój brak doświadczenia?

Uczestnicy ekspedycji wystawili się na niebezpieczeństwo od razu, gdy weszli na drogę, która mogła zaprowadzić ich do wspomnianej przez Juana Nachiego Cocoma wiedzy… Wiedzy zawartej najprawdopodobniej w ostatnich rozdziałach zapisków… A to znaczy, że wystarczyło zrobić pierwszy krok po wiodącej do niej ścieżce…

Papierek, który poustawiał wszystko na swoim miejscu, wsunęła mi w ręce opatrzność. Zwykle nie zastanawiałem się ani sekundy i wyrzucałem do śmietnika pokwitowania, które wręczano mi w biurze przy odbiorze gotowego tekstu. Ale to jakimś cudem uniknęło tego losu, skrywszy się w tylnej kieszeni spodni i przetrzymawszy kilka prań.

To, co wczoraj wydałoby mi się niepotrzebnym strzępkiem papieru z czyimś niedbałym podpisem i rozmazanym granatowym stemplem, dziś zmieniło się w bezcenny dokument; w tę na pierwszy rzut oka niczym się niewyróżniającą, lecz najcenniejszą kostkę domina, która przewraca się jako pierwsza i pociąga za sobą tysiące innych, odkrywając przed graczem nowe wzory i zaszyfrowane obrazy.

„Biuro tłumaczeń Abecadło”, i dalej, odręcznie: „zlecenie wykonane, przyjęto. Wypłacono 970 rubli 00 kopiejek Siemionow I.”. Zabawna, jajowata litera „o” wzbudziła już we mnie niespokojne wspomnienia, ale niezwykłe „j” z zawijasem długości niemal dwóch liter nie pozostawiało żadnych wątpliwości.

Dokładnie wiedziałem, gdzie widziałem taki charakter pisma, zbyt długo

i zbyt uważnie wpatrywałem się w tamte cztery słowa; tańczyły mi przed oczyma do tej pory, niczym wypalony w siatkówce oka nieostrożnego robotnika oślepiający język płomienia spawarki.

„Oni idą za mną”. Porzucony w panice na końcu jednego z rozdziałów napis ołówkiem, wytarty i zatopiony we krwi, sporządziła ta sama ręka, która wydawała mi rachunki za wykonane tłumaczenia w dawnej bibliotece dla dzieci.

Teraz rozumiałem, kto czytał dziennik przede mną, jakie obietnice, sprawiające, że zabierał mi spod nosa kolejne okruchy tej wiedzy, ujrzał w przeczytanych przez siebie stronach, czemu starał się przetłumaczyć przede mną nowe rozdziały dziennika, a przy tym ukrywał zarówno ich zawartość, jak i swoją pracę. I wiedziałem, jaką cenę przyszło mu za to zapłacić. Było jednak niejasne, do ilu rozdziałów zdążył dotrzeć udający obojętność pracownik mojego starego biura i co właściwie wywołało gniew zleceniodawcy, jeśli to on stał za zabójstwem. Rozprawili się z nim za to, że wyciągnął rękę po nie swoje tajemnice, czy też taki los czekał każdego, kto ma styczność z hiszpańskim dziennikiem? I to właśnie w tym miejscu przewróciła się ta właściwa kostka domina.

Istoty, które zlikwidowały ciekawskiego pracownika, dobrały się prawdopodobnie i do pierwszego tłumacza, dręcząca mnie choroba, nocny gość nie z tego świata, wycie jukatańskiego leśnego diabła na moim podwórku – wszystko to były ogniwa tego samego łańcucha. Łańcuch ów prowadził w ciemną otchłań i była do niego przymocowana baśniowa szkatułka. Próbując ją wydostać, sam wyciągałem z ciemności ogniwo za ogniwem, a każde następne było straszniejsze od poprzedniego.

Odtwarzałem losy nienazwanego hiszpańskiego oficera, razem robiliśmy każdy nowy krok, przeczuwając czyjś rosnący opór, jakby napinając coraz mocniej niewidzialną taśmę, uparcie posuwając się naprzód, jednocześnie – on w szesnastym wieku, ja – w dwudziestym pierwszym. Nie byłem już obserwatorem, niezauważalnie dla siebie samego stałem się częścią tej

historii, ugrzęzłem w niej po pas i dalej – teraz już dobrowolnie – zatapiałem się jeszcze głębiej.

To, co mi się przydarzało, było cieniem, powtórzeniem tego, co stało się pięć stuleci wcześniej. Ale możliwe, że jedno i drugie było echem, reinkarnacją pewnych pierwotnych objawień, pierwszego przekazu Wiedzy, do którego doszło niewyobrażalnie dawno temu. Wiedzy, która następnie przechodziła od jednego jej posiadacza do drugiego – czasem wprost, od nauczyciela do ucznia, czasem przez pośredników, przepadając na długie stulecia i znów wracając do naszego świata z niebytu, przywodząc za sobą hordy demonów i potworów… Z pokolenia na pokolenie, z epoki na epokę, z ust do ust, z pergaminu na papier, od narodzin wszechświata do jego ostatniego tchnienia, które zresztą sama Wiedza wieszczy i opisuje.

Jeśli tak, to w tej właśnie chwili przechodziłem obrzęd wtajemniczenia i w najbliższym czasie powinienem wziąć na siebie obowiązki strażnika tajemnicy – przyswoić ją sobie, chronić dopóty, dopóki starczy mi wytrwałości, a potem znaleźć następcę, któremu będę mógł ją przekazać. Czy przewidziano nagrodę za uczciwe wypełnienie tej ciężkiej powinności? Jeśli silni tego świata pożądali ukrytych w rękopisie tajemnic, to czy sekrety obdarzały swoich powierników władzą i potęgą, na co liczył de Landa? Niestety, wątpliwe…

Franciszkanin nie mógł wiedzieć wszystkiego. Nie wydaje mi się, że pod progiem jego celi zjawiał się nocami milczący golem: wielu śmiałkom wystarczyłoby jedno takie ostrzeżenie, żeby na zawsze stracili ochotę na zdobycie legendarnego rękopisu. Ale to ja otrzymałem tę przestrogę i zrozumiałem teraz, że dobrze mi to nie wróży.

Napis „*el conocimiento es una condena*” był kolejnym elementem mozaiki, który skrupulatnie ułożyłem obok drugiego:

> Iż wiedza ta jest tajemna, i tajemnica ta jest chroniona na równi przez ludzi, demony i bogów. I że wiedza ta jest przeklęta, jak przeklęci są i wszyscy wtajemniczeni…

Zdarza się, że kiedy konstruujemy w umyśle skomplikowane schematy,

starając się uporządkować pojedyncze zdarzenia i dostrzec w nich prawidłowości, prowadząca nas nić logiki wyślizguje się z rąk i dopóki znów się jej nie odnajdzie, system, pozornie harmonijny, nagle wygląda jak nagromadzenie niezwiązanych z sobą nawzajem elementów, z których połowa jest w ogóle zbędna. Lub też, zbyt urzeczeni najbardziej eleganckim rozwiązaniem, zaczynamy zamykać oczy na należące do konstrukcji detale, tylko dlatego, że nie ma dla nich miejsca w tym pięknym schemacie, te zaś mogą go zawalić i będzie trzeba budować wszystko od nowa.

Godząc między sobą wszystkie fragmenty historii z dziennikiem, nie pomyślałem tylko o jednym: co, jeśli emisariusz de Landy zdołał wypełnić swoje zadanie? Co, jeśli wbrew zapewnieniom indiańskiego przewodnika starożytny rękopis nigdy w końcu nie trafił do rąk autora zapisków, lecz został znaleziony przez kogoś innego, komu udało się potem dostarczyć go przeorowi klasztoru Świętego Antoniego w Izamal? Przecież doszło w końcu do *auto de fé*! Jaki był sens jego organizacji, jeśli główny punkt złożonego, wielopiętrowego planu, za jaki uważałem całą intrygę wokół kroniki przyszłości, zakończył się fiaskiem i Diegowi de Landzie nie udało się zdobyć manuskryptu? Czy mogło się zdarzyć, że jednak faktycznie położył na nim rękę? Sądząc ze wszystkiego, powinno to było pociągnąć za sobą jakieś przełomy w jego drodze życiowej… Były takie? Tak, były. Skandal z *auto de fé*, wezwanie do Hiszpanii, usunięcie ze stanowiska i proces wytoczony przeciwko niemu za domniemane przekroczenie uprawnień.

A potem – osobiste wstawiennictwo generała zakonu franciszkanów, cudowne uniewinnienie na rozprawie w Madrycie i triumfalny powrót na Jukatan, aby wkrótce zająć zwolnione miejsce biskupa. Przez historię z kroniką nie tylko nie ucierpiał, lecz przeciwnie, awansował. Sceptycy powiedzą: biskup to nie papież, a nawet nie kardynał, tak wysoko spokojnie można zajść i bez pomocy siły wyższej. Ale kto powiedział, że sam de Landa koniecznie chciał dla siebie papieskich insygniów? Nie trzeba

spoglądać na świat z balkonu Bazyliki Świętego Piotra, by decydować o jego losach…

Nie, jeszcze nie pora, żeby wyciągać wnioski. Tak jak wcześniej potrzebowałem nowych rozdziałów dziennika podróży, żeby ostatecznie wszystko zrozumieć.

Za oknem była już głęboka noc, ale zupełnie nie chciało mi się spać. Tak na dworze, jak i na klatce schodowej panowała całkowita cisza, i to nie napięta, skrywająca coś, ale zwyczajna, pusta. Czułem: cokolwiek ścigało mnie zeszłego wieczora na moim podwórku, odeszło, wycofało się, choćby na jakiś czas. Ale nie przyniosło mi to spokoju: zbyt byłem zdenerwowany swoimi ostatnimi odkryciami, żeby zasnąć.

Trzecia czterdzieści… Stacje nadające na falach krótkich o tak późnej porze puszczają tylko lekki jazz, prowadzący dosypiają ostatnie godziny przed porannymi audycjami. A mnie tak nagle zachciało się posłuchać najnowszych wiadomości! Niech to będą pożary, wojny, rozboje, byleby to było coś realnego, współczesnego, jakiekolwiek koło ratunkowe, które nie da mi ostatecznie utopić się w gęstej mieszance starych kronik, mistycznych podtekstów i własnych domysłów…

Na wszelki wypadek przymknąłem za sobą drzwi kuchenne i zacząłem kręcić gałką strojenia w radioodbiorniku, dopóki ponurego wycia pustego eteru, perlistego deszczu fortepianu i melancholijnego solo na saksofonie nie zastąpiły ludzkie głosy.

„…oczywiście, Andrieju Waleriewiczu, absolutnie się z panem zgadzam. Ostatnie wydarzenia nie mogą nie wzbudzać pewnego niepokoju, szczególnie u tych z naszych słuchaczy, którzy uważnie śledzą wiadomości. Powstaje wrażenie, że rozliczne katastrofy naturalne zdarzają się coraz częściej. Weźmy choćby ostatnie trzęsienie ziemi w Pakistanie. Mowa tu, z tego, co wiemy, o setkach tysięcy ofiar, zniszczenia są wprost gigantyczne. Nie trzeba chyba przypominać o niedawnym tsunami w Azji Południowo-Wschodniej, które pochłonęło życie ponad dwustu tysięcy

ludzi. Ani też o huraganach, które jeden za drugim przechodzą nad Stanami Zjednoczonymi – zauważmy, że o wiele częściej niż dawniej, i są na to dowody meteorologów. Nowy Orlean, Houston, nie mówiąc o dziesiątkach mniejszych miast, po dziś dzień nie mogą się podnieść po ostatnich atakach żywiołu, a według prognoz czekają ich nowe sztormy. Mam więc do pana takie pytanie: czy to my, mam na myśli ludzi śledzących doniesienia mediów, mamy po prostu takie wrażenie, a tak naprawdę statystycznie sytuacja zawsze wyglądała podobnie, czy też zachodzą jednak jakieś globalne zmiany, powiedzmy, związane z efektem cieplarnianym? Przypominamy naszym szanownym radiosłuchaczom, że dziś w nocy gośćmi w naszym studiu są: Andriej Waleriewicz Suzi, szef Rosyjskiego Centrum Hydrometeorologicznego, Marat Zinowiewicz Gotlib, geolog, specjalista od tektoniki, i Siergiej Koczubiejewicz Szajbu, szef Ministerstwa do spraw Sytuacji Nadzwyczajnych. Proszę bardzo, Andrieju Waleriewiczu…”

Z niedowierzaniem wgapiłem się w odbiornik. Czyżby o wpół do czwartej w nocy minister i szef Centrum Hydrometeorologicznego, zamiast spać, brali udział w jakiejś popularnonaukowej audycji radiowej o katastrofach naturalnych? Nie, to niemożliwe. Pewnie odtwarzają po prostu nagranie starego programu…

„Dziękuję. Uważam, że globalne zmiany klimatyczne jeszcze się nie rozpoczęły. Weźmy, prawda, huragany, o których pan mówił, w Zatoce Meksykańskiej, w USA. Więc, na razie, prawda, nie ma wystarczających podstaw, by twierdzić, że są one związane, na przykład, z efektem cieplarnianym. To jest, w przyszłości, jeśli emisja dwutlenku węgla do atmosfery się nie zmniejszy i będzie się ona dalej nagrzewać, to na przykład za jakieś dwadzieścia lat, tak, możemy się spodziewać takiego efektu. Co do trzęsień ziemi, to mi się wydaje, że to w ogóle pytanie do szanownego Marata Zinowiewicza, ponieważ nie jest to w żaden sposób związane z procesami klimatycznymi. To jest, jeśli pana interesuje moja opinia,

o globalnej tendencji nie można jeszcze mówić. Prędzej osobne wydarzenia, tak to po prostu się zdarza, że następuje jedno po drugim, i wszystko to ciągle jest w telewizji, więc się wydaje, że Bóg wie co”.

„No dobrze, przejdźmy w takim razie do pana, Maracie Zinowiewiczu. Tsunami, trzęsienia ziemi, wybuchy wulkanów – czy aby nie słyszymy o nich zbyt często ostatnimi czasy?”

„Często? Ależ słyszymy o tym praktycznie cały czas! I wie pan co? Wszystko to jest przecież całkowicie naturalny proces, a do tego całkiem nieźle już zbadany. Po prostu tam, w Azji, akurat w pobliżu wybrzeża Indonezji, odbywa się, jak by to panu najprościej wyjaśnić, zderzenie płyt tektonicznych. One, mam na myśli te płyty, znajdują się w nieustannym ruchu i są dwa punkty pęknięcia. Pod Oceanem Atlantyckim jest jeden – tam płyty się rozchodzą, jakby rozjeżdżają, a drugi akurat w Azji Południowo-Wschodniej, właśnie ten. Stąd, przez to zderzenie, są i trzęsienia ziemi, i tsunami. I powiem panu więcej – ten proces dopiero się rozpędza, region pozostanie niestabilny sejsmicznie, tak że jeśli słuchają nas w tym momencie osoby, które chciałyby pojechać na urlop do Tajlandii czy na Bali, niech biorą to ryzyko pod uwagę. A co do huraganów, powodzi i innych rzeczy – z moją dyscypliną nie ma to nic wspólnego, tu Andriej Waleriewicz ma rację”.

„Dziękuję, Maracie Zinowiewiczu. Jeśli szanowni goście pozwolą mi na małą dygresję, chciałbym opowiedzieć o mojej niedawnej dyskusji z pewnym dość znanym ekologiem, którego nazwiska nie będę teraz wymieniał. Ma on bardzo ciekawą teorię, mówiącą, że cała Ziemia, cały świat, że tak powiem, ogół stworzeń i materii, jest rodzajem nadistoty, być może tym ostatecznym, fizycznym wcieleniem Boga, które ludzie zawsze starali się objąć i pokazać. Według tej koncepcji człowiek jest jednym z rodzajów jej komórek. Ludzka cywilizacja zaś jest swego rodzaju guzem nowotworowym. Rak to właściwie niepożądana zmiana zachowania komórek ciała ludzkiego, nieprawdaż? Zaczynają bez żadnej kontroli się

rozrastać, unicestwiać pozostałe komórki, rozsiewać przerzuty po całym organizmie, z których każdy ma się stać nowym guzem, i wszystko to jest podporządkowane prymitywnej, niszczącej logice ekspansji i pożerania. Cywilizacja jest taką właśnie chorobą, taką usterką w kodzie genetycznym komórki, która przekształca wspaniałego, spokojnego człowieka jaskiniowego, absolutnie niegroźnego dla ekosfery, w nowy gatunek zwierzęcia, w zaczątek przyszłego nowotworu. Porażona cywilizacją ludzkość zaczyna gwałtowną działalność, doświadczając przemian na tych samych zasadach, na których rozwija się nowotwór. Niepomierny i niekontrolowany wzrost liczebności, przerzuty epoki wielkich odkryć geograficznych i kolonizacji, Kolumb i Vasco da Gama, Afanasij Nikitin, to najmniej, co można przytoczyć. No i analogia ta idzie, rzecz jasna, dalej i odnosi się do industrializacji, globalizacji, wyrębu lasów Amazonii i Syberii, emisji dwutlenku węgla do atmosfery, wyczerpywania się zapasów paliw kopalnych, spuszczania toksycznych odpadów do rzek i oceanów, wybuchów w elektrowniach atomowych i tym podobne. A wszystkie te klęski i kataklizmy są po prostu skutkiem tego, że ludzkość prawie już ten żywy superorganizm zatruła, i on stopniowo umiera. Dość mizantropiczna teoria, trzeba przyznać, ale coś w niej jest, nieprawdaż? To oczywiście nie znaczy, że sam w nią wierzę.

No, a teraz, wracając do naszego tematu, pytanie do pana ministra: Siergieju Koczubiejewiczu, czy ma pan do dyspozycji środki techniczne, za pomocą których można monitorować groźne procesy naturalne, przepowiadać je, żeby…”

Przy słowie „przepowiadać” zrobiło mi się ciemno przed oczami. Odpowiedzi ministra nawet nie słyszałem: zagłuszył ją potworny łomot, z jakim w mojej głowie przesuwały się na swoje miejsca tektoniczne płyty sensu. Sam zacząłem już zwracać uwagę na coraz częstsze kataklizmy, które w ogóle przestały schodzić z pierwszych stron gazet i czasopism. Ale przerzucić mostu między tym, czego dowiedziałem się z ostatniego

rozdziału dziennika, a wiadomościami o nabierających tempa katastrofach naturalnych nie dałem rady, zresztą nie odważyłbym się.

Nie wiedzieć czemu, nabrałem pewności, że cierpienia mieszkańców pakistańskich górskich wiosek i rozpostartych w dolinach nędznych brudnych miast bezpośrednio są związane z desperacją ocalałych obywateli indonezyjskich wysp, których domy i rodziny porwały gigantyczne fale. Ich krzyki i płacz to echa pełnych rozpaczy lamentów mieszkańców Nowego Orleanu, którzy też stracili dach nad głową i bliskich, utracili wiarę w najlepszy rząd na Ziemi i ostatnimi siłami samodzielnie bronili ruin swoich domów przed szabrownikami.

Wszystkie te wydarzenia tylko wydawały się oddzielne, i fakt, że działy się na różnych kontynentach i miały różną naturę, tylko potęgował to błędne wrażenie. Bo tak naprawdę istniała pewna łącząca je nić, zszywająca wszystkie te pstrokate strzępki w jedną całość, a igła, przez której ucho ta nić przechodziła, ani na sekundę nie przerywała swej szatańskiej roboty, doczepiając do powstającego płótna kolejne fragmenty. I teraz zaczynałem rozumieć, że w najbliższym czasie konwulsje, które ogarnęły planetę, nie tylko nie ustaną, ale przeciwnie, będą narastać, rozprzestrzeniając się też na nowe, dotąd niedotknięte katastrofami kraje.

Gdy widzi się na podwórku swojego domu zdechłe szczury, można z obrzydzeniem ominąć trupki lub też pożałować martwych zwierzaków, ale można też ujrzeć w tym jasną zapowiedź nadchodzącej epidemii dżumy. Do tej pory, czytając gazety czy słuchając radia, albo współczułem Meksykanom, albo ze znużeniem przewracałem stronę, nie będąc na siłach przez trzeci tydzień kopać razem z ratownikami w przybrzeżnych piaskach Jawy i wyciągać nabrzmiałe, rozpadające się w rękach ciała miejscowych i turystów.

Bez podpowiedzi suflera, szepczącego do mnie ze stron starej księgi, za nic nie wpadłbym na to, by w echach pakistańskich trzęsień ziemi, azjatyckich tsunami, amerykańskich tornad i meksykańskich powodzi

usłyszeć strojenie instrumentów przed koncertem trąb apokalipsy. Od dawna już go słuchałem, ale dopiero teraz nauczono mnie prawidłowo rozumieć i odnosić się do tych wiadomości. Czy nie za późno?

Pomyślałem jeszcze, że nawet jeśli jest mi sądzone zostać następcą bezimiennego konkwistadora, od którego otrzymam wiedzę o majańskich proroctwach, to przekazać jej przyszłym pokoleniom prawdopodobnie już mi się nie uda. Ponieważ owa przepowiednia dotyczy nie jakiegoś odległego punktu, trudno dostrzegalnego poprzez zamgloną przyszłość, lecz dni, których doczeka większość z nas, w tej liczbie najwidoczniej i ja. Czy to nie dlatego tak zaostrza się opór demonów, ludzi i bóstw broniących tych starych kart, które przez zachciankę jednej ze stron wciąż do mnie trafiają? Ale jaką rolę przydzielono mnie w tym dramacie napisanym kilka tysiącleci temu i teraz dopiero zbliżającym się do rozwiązania? Jeśli nie mogę się stać zwykłym strażnikiem tajemnicy, to co jeszcze mogę zrobić i czy jest sens, żebym w ogóle próbował?

Bezsilnie opadłem na kanapę i wcisnąłem się w sam kąt, przytłoczony, porażony, oniemiały. Gdyby nad moją głową dopiero co otworzyły się niebiosa i ktoś grzmiącym głosem odezwał się stamtąd, wymawiając moje imię, nie byłbym wstrząśnięty bardziej, niż po tym, co aluzyjnie odkryła przede mną ta dziwna nocna audycja. Powoli zaczął mi wracać słuch: minister Szajbu wciąż jeszcze niespiesznie mruczał o sukcesach swojego resortu.

„…rzecz jasna, wszystko jest pod pełną kontrolą. Przez ostatnie lata, jak panu wiadomo, nakłady na MSN wzrosły. Pojawiły się środki na zabezpieczenie pełnego funkcjonowania wszystkich naszych struktur. Rząd prawidłowo ocenia stopień zagrożenia i jest gotów je powstrzymać. Nasze oddziały ratowników stale przechodzą ćwiczenia i szkolenia. Ministerstwo dysponuje najnowocześniejszym sprzętem. Takich zagrożeń jak trzęsienia ziemi, powodzie, huragany na razie nie da się zawczasu przewidzieć. Ale współpracujemy z wiodącymi instytutami naukowymi, które prowadzą

prace w tym kierunku. Został przygotowany mechanizm ewakuacji ludności z miejsca klęski żywiołowej. Obecnie nasze oddziały posiadają wysoką mobilność i są gotowe przybyć do rejonu, który ucierpiał, w czasie poniżej dwudziestu czterech godzin. Generalnie rzecz biorąc, na dzień dzisiejszy możemy sobie poradzić praktycznie z dowolną niespodziewaną sytuacją. I jeśli na terenie Federacji Rosyjskiej dojdzie do takich kataklizmów naturalnych jak te, które występują teraz w Azji i Ameryce Łacińskiej, to sądzę, że poradzimy sobie z sytuacją nie gorzej, a może i lepiej od naszych zagranicznych kolegów" – drewnianym wojskowym językiem raportował Szajbu.

„Dziękuję, Siergieju Koczubiejewiczu. A teraz, szanowni słuchacze, mają państwo szansę zadać własne pytanie szefowi MSN-u. Przypominamy nasz telefon…"

Byłem przekonany, że audycja jest odtwarzana, i słuchawkę wziąłem do ręki po prostu machinalnie, wciąż jeszcze zajęty własnymi myślami, bardzo odległymi od tego, co mówił minister Szajbu. Jednak po kilku długich dzwonkach w głośniku coś miękko szczęknęło i łagodny kobiecy głos zainteresował się, jak się nazywam i skąd jestem, a potem oznajmił, że przełącza mnie na antenę.

Kto wie, czy wszechpotężny minister nie był, tak jak i ja, pionkiem w zbliżającej się do końca kosmicznej partii szachów? Inaczej jakie licho zmusiłoby go, żeby późną nocą, zamiast odsypiać nieustanne przeloty między dotykanymi katastrofą rejonami, telepać się do studia radiowego na audycję, którą nadawano specjalnie dla mnie i wątpliwe było, czy mogła się pochwalić innymi słuchaczami? Kto mógł mi odpowiedzieć na dopiero co sformułowane pytanie lepiej niż główny urzędnik, w którego obszar kompetencji wchodzą epidemie, katastrofy, głód, huragany i trzęsienia ziemi? Dało się w tej sytuacji wyczuć i kunszt, i ironię siedzących nad szachownicą graczy. Skłoniłem głowę, pokazując, że doceniłem ten mały zabawny manewr.

Ale teraz była kolej na mnie.

„A więc mamy pierwsze pytanie od naszego słuchacza z Moskwy. Proszę, jest pan na antenie!”

Kaszlnąłem, słysząc ze zdziwieniem, jak echo dociera do mnie z głośnika radioodbiornika, oblizałem wyschłe wargi i niezbyt głośno, ale wyraźnie powiedziałem:

„Proszę mi powiedzieć, Siergieju Koczubiejewiczu, nie wydaje się panu, że wszystkie wasze wysiłki są absolutnie bezużyteczne, bo po prostu zbliża się koniec świata?”.

La Condena

-La Condena-

Wbrew moim oczekiwaniom minister nie zmieszał się, nie zdziwił i nie odmówił odpowiedzi na tak absurdalne pytanie. Tym samym beznamiętnym głosem powiedział:

„Oczywiście rząd posiada informacje na ten temat. Inaczej jaki byłby sens tych wszystkich przygotowań, które są teraz prowadzone? My…”

„Co to? Co się dzieje?!” – przerwał mu nagle głos prowadzącego. „To przecież…” – transmisja została przerwana, odbiornik cicho zaszumiał i wyłączył się.

W kredensie lekko zadrżał serwis do herbaty, z szafki kuchennej zaczęły dobiegać fałszywe tony brzęczących talerzy, lampa zakołysała się kilka razy, jak nabierająca rozpędu dziecięca huśtawka, i zgasła. Nieliczne jasne okna w domu naprzeciwko zrobiły się czarne, zgasła girlanda latarni ulicznych na podwórku i wszystko pogrążyło się w całkowitej, nieprzeniknionej ciemności. Dzwonienie naczyń w szafkach osiągnęło nieprzyjemny, histeryczny ton, podłoga pod nogami konwulsyjnie zawibrowała, dał się słyszeć delikatny szelest – coś posypało się na moją głowę.

Trzeba było jeszcze kilku sekund, żebym z zakurzonej komórki skrytej gdzieś w zakamarkach pamięci wyciągnął urywki prasowe pod krzyczącym tytułem *Encyklopedia sytuacji ekstremalnych*, którą publikowała kiedyś jedna z bezpłatnych moskiewskich gazet. Potrzebowałem rozdziału „Co robić w przypadku trzęsienia ziemi”. Stanąć we framudze drzwi: tam szanse przeżycia pod zwałami gruzu były optymalne, zapewniał artykuł. O mało nie przewróciłem stołu, zaczepiając o niego kolanem, zwaliłem się na podłogę i w ciemności próbowałem wymacać drzwi. Jednak parę chwil później wszystko się skończyło: fizycznie poczułem, jak spazm uwolnił naprężoną z wysiłku ziemię; brzęczenie talerzy i szklanek ucichło, ożywione meble znów się zatrzymały. Wciąż jeszcze nie decydowałem się wstać, bojąc się, że ten spokój jest tylko chwilowy. I w tym momencie stało się ze mną coś dziwnego: czy to przez nawarstwione przez ostatnie dni

straszne zmęczenie, czy przez przebyty dopiero co wstrząs, wpadłem w odrętwienie, bardziej podobne do utraty przytomności niż do snu.

We śnie niespodziewanie znów zjawił się mój pies, chociaż byłem pewny, że po wszystkim, co mi się zdarzyło, nie uniknę lepkich i duszących widzeń sennych nasłanych przez rozsierdzonych majańskich bogów. Pamiętam, że byłem niezwykle rad go widzieć: miałem teraz dość koszmarów na jawie, i sen dawał mi rzadkie momenty psychicznego odpoczynku. Jednak wszystko poszło nie tak: chciałem, jak zwykle, wyjść z nim na dwór, pospacerować po parku i dać biedakowi rozprostować łapy, zdrętwiałe przez wszystkie te tygodnie, kiedy nie mogliśmy się widywać, ale pies stanowczo odmawiał pójścia za mną na klatkę schodową. Choćbym nie wiem jak łagodnie go przekonywał, wabił do drzwi, nie wstawał ze swojego dywanika w kuchni, wtulał się w podłogę i skomlał z przestrachem, a kiedy próbowałem podnieść go siłą, zaczynał głucho warczeć i szczerzyć kły.

Zaskoczony jego uporem, podchodziłem kilka razy do drzwi wejściowych i zerkałem w wizjer – na klatce panował spokój. Było to dziwne i nietypowe: za życia mój pies nigdy nie przepuszczał możliwości wyjścia na dwór, nawet jeśli dopiero co wrócił ze spaceru. I nawet jeszcze kilka dni przed tym, jak choroba, na którą przez niedbalstwo zapomniałem go zaszczepić, wpędziła go do grobu, merdał słabo ogonem i starał się podnieść na rozjeżdżających się łapach, kiedy ktoś nieostrożnie wymówił przy nim słowo „spacer”. A już ani razu, ma się rozumieć, nie było tak, żeby odrzucał takie zaproszenie w moich snach.

Pewnego razu znajomy myśliwy podarował mi skórę rysia upolowanego niedawno gdzieś na Dalekim Wschodzie. Skóra ta spędziła w moim domu równo dwie godziny: na jej widok, czy raczej zapach, pies miał taki atak paniki, że postanowiłem nie męczyć dłużej biednego stworzenia. Zwykle spokojny i cichy, zamarł w drzwiach pokoju, w którym zostawiłem trofeum myśliwskie, i zaczął szczekać ile sił. Nie umilkł ani na sekundę przez całe te dwie godziny, aż kompletnie ochrypł, a przy tym trząsł się, jakby poraził

go prąd elektryczny. Seter, jak już mówiłem, jest rasą myśliwską, ale nigdy nie wyjeżdżałem na dłużej poza miasto i pies nie miał okazji widzieć dzikich zwierząt; jednak jego pamięć, dziedzictwo tysięcy pokoleń seterów, bezbłędnie rozpoznała zapach rysia. Skórę trzeba było zwrócić wraz z prośbą o wybaczenie, a z psem jeszcze dość długo układać stosunki na nowo: po takim numerze odnosił się do mnie ze zrozumiałą nieufnością.

Opowiadam to wszystko dlatego, że kiedy we śnie wróciłem od drzwi wejściowych do kuchni, zastałem tam obrazek bardzo podobny do tamtej sytuacji: pies znieruchomiał wciśnięty w kąt, sierść na karku stanęła mu dęba, łapy się trzęsły, a pysk otwierał się i zamykał, wydając tylko ledwie słyszalne popiskiwanie. Wzrok utkwił w pustej przestrzeni nieopodal miejsca, w którym stałem. Musiał widzieć coś, co moim oczom było niedostępne… Drapieżnika znacznie bardziej przerażającego niż syberyjski ryś, takiego, który mógł go przestraszyć nawet po śmierci… I dopiero kiedy odwróciłem się w stronę psa, wydało mi się, jakbym kątem oka zauważył jakiś ponury, półprzeźroczysty cień, który podchodził powoli coraz bliżej i bliżej… Wtedy psu udało się wreszcie zaszczekać i diabelskie widmo rozwiało się niczym kłąb mgły rozerwany porywem wiatru.

Ocknąłem się i usiadłem, patrząc przez nocny półmrok w stronę korytarza, w to samo miejsce, gdzie chwilę wcześniej spoglądał mój pies. I jeszcze przez kilka długich sekund nie opuszczało mnie wrażenie, że tam rzeczywiście ktoś jest i on, albo ono, równie uważnie jak ja patrzy stamtąd w moją stronę, lecz z jedną różnicą: ja jestem ślepy, a ono mnie widzi…

Sen bardzo nieprzyjemnie mną wstrząsnął i długo jeszcze tkwił w głowie. Przede wszystkim nie spodziewałem się tak bezceremonialnego wtargnięcia indiańskich duchów do mojego sanktuarium, tak bezczelnego zamachu na mój azyl. Ponadto udział w tym niedorzecznym koszmarze mojego psa w dziwny sposób dodawał mu wiarygodności, wskazywał na powagę sytuacji. Po raz pierwszy przez cały ten czas wpław przepłynął Letę, aby uprzedzić mnie o niebezpieczeństwie, i nie miałem prawa pozostać głuchy

na te przestrogi.

…

– Dmitriju Aleksiejewiczu, jest pan w domu? U pana też światło wysiadło? Czyżby trzęsienie ziemi? Coś strasznego! Dmitriju Aleksiejewiczu… – przytłumiony przez stalowe drzwi, doszedł mnie z klatki schodowej głos sąsiadki – tej samej, co parę dni wcześniej pod moimi drzwiami wypominała mi chuligańskie napisy.

Ostrożnie, na oślep, podniosłem się i zgięty wpół, z rękami wyciągniętym przed siebie, jakbym liczył, że w ten sposób osłonię się przed czyhającymi na mnie bezcielesnymi potworami, ruszyłem naprzód. Choć jedna żywa osoba w tym królestwie mroku! Niczego nie pragnąłem teraz bardziej, niż po prostu zobaczyć albo chociaż usłyszeć gdzieś blisko zwykłego człowieka z krwi i kości, wymienić z kimś kilka słów, obgadać to, co się stało, po prostu poczuć, że nie jestem sam, że to wszystko przydarzyło się nie tylko mnie…

– Już, już! Cholerny prąd, nic nie widać. – Znów prawie straciłem równowagę, uderzając ramieniem o futrynę drzwi.

Kapcie zgrzytały nieprzyjemnie, rozcierając na proszek tynk, który opadł z sufitu na podłogę. Moje oczy zbyt wolno przywykały do ciemności, kontury przedmiotów pojawiały się niespiesznie, jak kształty przyszłej fotografii na zanurzonej w roztworze odbitce.

– Dmitriju Aleksiejewiczu, jest pan w domu?

– Jestem! – krzyknąłem, wyplątując się z sideł kabla od telefonu. – Już otwieram, Serafimo Antonowno!

– U pana też światło wysiadło? Czyżby trzęsienie ziemi?

– W całym budynku nie działa, i to nie tylko w naszym! Co najmniej cztery stopnie w skali Richtera! – palnąłem na chybił trafił, macając drzwi obite skajem w poszukiwaniu zasuwy.

– Coś strasznego! Dmitriju Aleksiejewiczu…

Spróbujcie kiedyś znaleźć włącznik światła w ciemnym pokoju – choćbyście nie wiem jak dobrze znali wszystkie odległości w swoim mieszkaniu, nie wiem ile dziesiątków tysięcy razy naciskali pstryczek, zapalając czy gasząc lampę – w egipskich ciemnościach nie od razu udaje się go wymacać. To samo jest z zamkiem u drzwi, niech go cholera weźmie…

– Dmitriju Aleksiejewiczu, jest pan w domu? – spytała trwożliwie przez drzwi sąsiadka.

– Tak, jestem, jestem! – zawołałem, rozdrażniony czy to na nią, za jej nagłą głuchotę (a przecież tyle razy widziałem, jak podsłuchiwała sąsiadów, przyciskając ucho do czyjejś dziurki od klucza, tak tym pochłonięta, że nie zauważała nawet, jak wchodziłem po schodach!), czy to na siebie, za niezdarność i powolność.

– U pana też światło wysiadło?

Trwożliwie? Czy dokładnie z taką samą intonacją jak za pierwszym razem? Co u licha… Umilkłem i przylgnąłem do obicia drzwi, nasłuchując.

– Czyżby trzęsienie ziemi?

To był nie tyle domysł, nie tyle przeczucie, nie tyle podejrzenie – po prostu jakby ktoś wlał we mnie jak w puste naczynie jakąś gęstą, mrożącą krew w żyłach ciecz. W jej skład wchodziło błyskawiczne uzmysłowienie sobie tego, co się dzieje, pół na pół z instynktownym pragnieniem, by natychmiast uciec, schować się gdzie bądź – w szafie, za kanapą – i trząść się tam w nadziei, że niebezpieczeństwo minie, nie czyniąc mi większej krzywdy.

– Coś strasznego! Dmitriju Aleksiejewiczu…

W końcu, zanim zdążyłem otworzyć, odskoczyłem do tyłu i zacząłem się wycofywać do kuchni, słysząc jak ten, kto przyczaił się na klatce schodowej, wciąż i wciąż puszczał tę samą koszmarną płytę.

– Dmitriju Aleksiejewiczu, jest pan w domu? U pana też światło wysiadło? Czyżby trzęsienie ziemi? Coś strasznego! Dmitriju

Aleksiejewiczu!… U pana też światło wysiadło? Czyżby trzęsienie ziemi? Coś strasznego! Dmitriju Aleksiejewiczu… U pana też światło wysiadło? Czyżby trzęsienie ziemi?

Czas się rozciąga… Z zewnątrz dochodzi cichy, ohydny zgrzyt, jakby ktoś próbował zarysować gwoździem metalowe okucie drzwi. Potem dźwięk staje się silniejszy, bardziej natarczywy.

– Coś strasznego! Dmitrrr… – Drżący głos sąsiadki przeradza się nagle w zwierzęcy ryk, i wtem na drzwi spada uderzenie tak potężne, że dźwięczą jak dzwon klasztorny, a z sufitu znów sypie się tynk. Padam na podłogę i pełznę na czworakach do kuchni, ślizgając się w pyle, marząc, by stać się niezauważalnym, maleńkim, by zamienić się w karalucha i wcisnąć w szczelinę za listwą przy podłodze – może chociaż tam nie będzie można mnie dosięgnąć…

– Dmitriju Aleksiejewiczu! – Kolejne uderzenie; stalowa sztaba jęczy, wkrótce padnie pod tym nieludzkim naporem i wyleci z ramy, posypią się iskry, metal rozerwie się na strzępy i potwór wedrze się do mojego domu…

– Jest pan w domu? – W drzwi wali jakby taran, tak że uszy zatykają się od huku i trzęsie się podłoga; potem następuje sekunda ciszy, w której słyszę własny szept: „proszę, proszę, proszę…”, a tymczasem to coś bierze pewnie krótki rozbieg, żeby znów rzucić się swym gigantycznym cielskiem na moje drzwi.

– U pana też światło wysiadło? – I od razu przełącza się w ryk, do jakiego nie jest zdolne żadne ze znanych mi zwierząt – władczy, rozwścieczony, ogłuszający. Zapiera od niego dech w piersi – nie książkowo, ale dosłownie – tak że nie da się wciągnąć powietrza do płuc, kolana i ręce trzęsą się jak u epileptyka, a między nogami robi się mokro i gorąco.

– Czyżby trzęsienie ziemi?!

Nagle niemrawo mruga żarówka, jakby sama mrużyła oczy nieprzyzwyczajona do własnego światła, tak jasnego po tych długich minutach spędzonych w półmroku, potem zanosi się kaszlem

radioodbiornik i niewyraźnie, przebijając się przez zakłócenia, jak przypadkiem złapane na tyłach wroga ojczyste Sowieckie Biuro Informacyjne, referuje:

„…w niektórych dzielnicach odnotowano przerwy w dostawach prądu. Według najświeższych informacji siła podziemnych wstrząsów wyniosła ponad pięć stopni w skali Richtera. W dzielnicach Odincowo, Strogino i Mitino częściowo zawaliło się kilka czteropiętrowych budynków z wielkiej płyty. Są ofiary…”.

Przez szybę widać, jak zapalają się światła w oknach sąsiednich domów, ich ciemne sylwetki ze świecącymi kropkami przypominają gigantyczną perforowaną kartę, przez którą ktoś świeci ogromną latarką…

Siedzę na podłodze, cały biały od opadłego tynku, z głową zakrytą poduszką z kanapy, wprost pode mną na posadzce ciemnieje wstydliwa plama.

Na klatce schodowej, jak się zdaje, ucichło.

…Sił starczyło mi tylko na to, by ze wstrętem ochlapać się pod prysznicem. I pomimo dwóch puchowych kołder, pod którymi miałem nadzieję się ogrzać i skryć przed koszmarami, przez całą noc targały mną dreszcze.

Obudził mnie przeciągły, pewny siebie dzwonek do drzwi: z jakiegoś powodu przyszło mi do głowy, że tak dzwonić może tylko milicja. Na dworze było już zupełnie jasno i to dodawało mi spokoju. Zawinąłem się w kołdrę i szurając, powlokłem się, żeby otworzyć drzwi. Meble i podłoga były pokryte grubą warstwą tynku; wyglądało to tak, jakby w mieszkaniu spadł śnieg. W środku poczułem dławiące zimno, jakbym zaczynał zjazd ze szczytu kolejki górskiej – prosto w przepaść: wczoraj wszystko działo się naprawdę.

Na progu stał, wpatrzony wprost w wizjer, niewysoki, mocno zbudowany mężczyzna w długiej skórzanej kurtce w chińskim stylu. Czując, że patrzę na niego, zasłonił się czerwoną książeczką z napisem „Główny Urząd

Spraw Wewnętrznych”. Westchnąłem z miną skazańca i otworzyłem drzwi.

– Major Nabatczikow – odezwał się, jakby mówił: „Nazywam się Bond”.

Uświadomiłem sobie, że czuję do majora irracjonalną antypatię. W ciągu następnych minut zrobił wszystko, żeby ją umocnić.

– Co to takiego? – zapytał tonem pana karcącego kota, który narobił mu do kapci, i wskazał na zewnętrzną stronę drzwi wejściowych.

Ocierając pot z czoła i domyślając się już, co tam zaraz zobaczę, wyszedłem ostrożnie na klatkę schodową, przymknąłem skrupulatnie drzwi i przyjrzałem się im.

Całe były poorane głębokimi bruzdami, które wyglądałyby kropka w kropkę jak ślady jakichś ogromnych pazurów, gdyby tylko uznać materiałoznawstwo za pseudonaukę i dopuścić, że zrogowaciałe tkanki naskórka mogą być twardsze od stalowej płyty.

W milczeniu rozłożyłem ręce, starając się przybrać stropiony wyraz twarzy i tym samym zyskać jeszcze trochę na czasie. Nie umiałem wynaleźć ani jednego, choćby w najmniejszym stopniu wiarygodnego wyjaśnienia stanu moich drzwi, zresztą jakoś obawiałem się kłamać milicjantowi w żywe oczy.

Nabatczikow wysunął z paczki papierosa, szczęknął metalową zapalniczką i zaciągnął się, badając mnie wzrokiem. Oczy miał niesympatyczne, głęboko osadzone, a grubo ciosane łuki brwiowe potęgowały jeszcze ich podobieństwo do szczelin obserwacyjnych w pancerzu czołgu. Major wypuścił chmurę dymu, rozpiął kurtkę i przeszedł do ofensywy.

– Jak się spało? – Przeciągle splunął w biały pył na ziemi.

– Niespokojnie. Strasznie trzęsło – poskarżyłem się.

– A nic więcej pan nie słyszał? Na przykład krzyki? Jakieś dziwne dźwięki?

– Na dworze chyba ktoś krzyczał, ale nie zwróciłem na to specjalnej uwagi. Wiadomo, trzęsienie ziemi. Widzi pan – na ramieniu wreszcie siadła

mi muza i poczułem przypływ natchnienia – w ostatnich dniach kiepsko spałem i wczoraj pomyślałem, że wezmę coś na sen. No i chyba przedobrzyłem, bo jak zatrzęsło, to nie mogłem się zmusić do wstania z łóżka, tak że wszystko czułem przez sen. Póki się właśnie z pana pomocą nie obudziłem, miałem nadzieję, że mi się to w ogóle wszystko przyśniło. Wziąłem dimedrol – uściśliłem na wszelki wypadek.

Tu major, który zasłaniał prowadzące w dół schody, cofnął się, a ja konwulsyjnie nabrałem powietrza: na półpiętrze, wśród białego pyłu ciemniała ogromna purpurowa plama.

– Pańska sąsiadka – kiwnął głową na plamę Nabatczikow, strzepując popiół. – Rozerwana na strzępy, otwarta klatka piersiowa. Pikantny szczegółik: serca brak. To przypadkiem nie pan? Żartuję, żartuję – dodał, nie siląc się na uśmiech.

– Boże… – Przetarłem dłonią oczy i dopiero wtedy zorientowałem się, że sam też pokryty jestem tynkiem. Zaschło mi w gardle.

Drzwi mieszkania sąsiadki uchyliły się, pokazał się w nich jeszcze jeden śledczy, wysoki, czarniawy, z wydatną grdyką – z zewnątrz zupełnie niepodobny do Nabatczikowa, a jednak nieuchwytnie go przypominający. Pomyślałem sobie, że GUSW, i w ogóle wszystko to, co w naszym kraju przyjęło się z anatomiczną ironią nazywać „organami”, najpewniej traktuje aurę swoich funkcjonariuszy jakimś rodzajem sztancy, na skutek czego nie muszą nawet pokazywać obywatelom legitymacji – ci i tak sami to wyczuwają na poziomie astralnym.

– Nic nie rozumiem – cicho zwrócił się ten drugi do majora. – Drzwi otwarte, mieszkanie nieruszone. W pyle widać ślady prowadzące do wyjścia. Sam widziałeś to, co było tutaj, zrobiliśmy zdjęcia – odciski jej kapci na klatce schodowej i ta smuga na schodach, jakby ją ciągnęli. Więcej śladów nie ma. Co pan słucha, to pana nie dotyczy! – Spojrzał na mnie, mrużąc oczy.

– To ja na razie wezmę prysznic, jeśli panowie pozwolą.

Puściłem wodę w kranie najcieńszym strumyczkiem, żeby nie zagłuszała dochodzących przez otwarte drzwi urywków rozmowy:

„…mi to przypomina… tygrys w cyrku rozszarpał tresera… jeździłem, jak jeszcze pracowałem w… tutaj to nie człowiek… do cyrku zadzwonić, do zoo… niektórzy bogaci dziwacy w mieszkaniach trzymają…”

„…żadnych śladów… babka wszędzie odciski zostawiła, a ten… tylko pazury na drzwiach… czemu u niego?… coś wie…”

Kiedy naciągnąłem spodnie od dresu i wróciłem na klatkę, tamci zdążyli już opracować taktykę.

– Na razie nie będziemy pana niepokoić. Proszę się zastanowić, wytężyć pamięć. Dimedrol też w końcu przestanie kiedyś działać. Proszę nam zostawić swój telefon i zapisać nasz. Z Moskwy na razie proszę nigdzie nie znikać. I jeszcze jedna rzecz: odnosimy takie wrażenie, jakby pana też próbował dorwać. Jednak, rozumie pan, jak to się mówi: „Moja milicja strzeże mnie”. Niech pan nie myśli, że nam wszystko jedno, przecież nam też wykrywalność spada. A dwa niewyjaśnione zabójstwa w jednym domu to dla nas gorzej niż jedno. Szczęśliwego Nowego Roku – podsumował major, rzucając mi pod nogi niedopałek.

Zamykając drzwi, pomyślałem ze smutkiem, że sam bym się cieszył, gdybym nie musiał znikać z Moskwy, ale nie mogłem niczego obiecać.

…Nie byli dalecy od prawdy: to nie był tygrys, lecz jaguar. Ale nie podzieliłem się z nimi swoimi przypuszczeniami, które przechodziły w pewność. Nawet gdyby ich dotknięte znieczulicą mózgi zdołały je zaakceptować, a nawet uwierzyć w moją historię, to co z tego? Instrukcje służbowe Wydziału Kryminalnego nie opisują sposobów walki z majańskimi wilkołakami… Wobec nich bezsilne są pewnie nawet srebrne kule i pozostałe ludowe metody, o których wspomina europejska mitologia.

Zagrożenie było teraz bardziej realne niż kiedykolwiek. Moja nieszczęsna sąsiadka zapłaciła życiem tylko za to, że pierwsza wyszła ze swojego mieszkania po trzęsieniu ziemi, które zbiegło się w czasie z przyjściem

potwora nasłanego tu, by mnie zabić. Moja przygoda kosztowała życie niewinnego człowieka, i samo w sobie było to podstawą, żeby się zastanowić, czy mam prawo ją kontynuować.

Wreszcie… zwyczajnie się bałem. Raz mi się zdawało, że przekroczyłem już granicę, kiedy można jeszcze było wybierać, jakbym chcąc ponapawać się widokiem rwącej górskiej rzeki, spadł z mostu sznurowego i teraz unosił mnie prąd; kiedy indziej zaczynałem sobie nagle mówić, że wszystko jeszcze można odkręcić, przemyśleć, wycofać się, uratować.

Nie udało mi się już zasnąć, mimo że spałem tylko kilka godzin. Cały poranek spędziłem z miotłą i szmatką, zamiatając podłogi i wycierając pył z mebli, czyszcząc mieszkanie z opadłego tynku z takim pedantyzmem, jakbym chciał za jednym zamachem zatrzeć ślady trzęsienia ziemi w pamięci, żeby dalej można było zamykać oczy na najbardziej oczywiste dowody moich hipotez, wybłagać przebaczenie u demonów i powrócić do mojej zwykłej egzystencji.

Do chwili kiedy mój dom znów przybrał poprzedni wygląd (pozostało tylko podmalować sufit), prawie udało mi się po raz setny umówić z samym sobą, że przerywam pracę nad książką. I wtedy w przedpokoju przymilnie zakwilił telefon.

– Dmitrij Aleksiejewicz? – Głos należał do młodej dziewczyny.

Z jakiegoś powodu od razu uznałem, że musi być bardzo piękna; taki właśnie poruszający wyobraźnię tembr posiadają spikerki porannych audycji radiowych. Chyba specjalnie wyszukują je po całym kraju i dają im niełatwe, odpowiedzialne zadanie: z delikatnością i ostrożnością sapera budzić niewyspanych, wczorajszych współobywateli. Nie zdążyła jeszcze niczego powiedzieć, a ja byłem już gotów na wszystko się zgodzić.

– Dzwonię do pana z biura tłumaczeń Akab Tzin. Mamy dla pana nowe zlecenie. Czy mógłby pan do nas podjechać, jak tylko skończy pan poprzednie? I proszę się postarać być przed trzydziestym pierwszym, w Nowy Rok nie pracujemy ze względu na rytuały.

– Dobrze – odparłem mechanicznie.

– Doskonale. A więc czekamy na pana. – Jej głos brzmiał życzliwie, prawie czule, jakbym zadzwonił na numer telefonu zaufania.

Jeszcze z pół minuty po tym, jak odłożyła słuchawkę, słuchałem krótkich sygnałów, próbując sobie przypomnieć, czy zostawiałem w tej dziwnej agencji swój numer domowy. Oczywiście w dzisiejszych czasach o każdym można znaleźć dowolną informację, a jednak…

Nie doszedłszy w końcu do żadnego konkretnego wniosku, wróciłem do pokoju, wsunąłem do Olimpii nową kartkę papieru i zabrałem się do przepisywania na czysto tłumaczenia ostatniego rozdziału. W głowie miałem błogą pustkę, nie traciłem czasu na wahania i wątpliwości i ledwie po paru godzinach praca była ukończona.

Tak pewnie narkomani, którzy podjęli już twardą i ostateczną decyzję, by skończyć z tym, przełamać się, rozpocząć nowe życie, w ułamku sekundy jakby o tym zapominają i, nie napotykając w sobie żadnego oporu, jak idący za podszeptem Księżyca somnambulicy, zrywają się z miejsca i jadą po kolejną działkę. Nie myślą też o niczym, kiedy wciąga ich już wir słodkiego zapomnienia; dopiero następnego dnia, wraz z konwulsyjnym głodem, przychodzi skrucha.

Spiąłem klamerką czystopis, ubrałem się ciepło i bojaźliwie wyjrzałem przez wizjer. Na klatce schodowej nikogo już nie było; ale zapieczętowane mieszkanie sąsiadki, ślady pazurów i napis na moich drzwiach, którego w końcu nie zdążyłem wyczyścić, przypominały o tym, jak blisko przepaści stałem. Nie mając odwagi przejść po rozmazanej przez sprzątaczkę plamie krwi, przywołałem windę, a po wyjściu na dwór od razu złapałem taksówkę.

Szyby umazanego błotem WAZ-a „szóstki” pokrywał szron, wóz trząsł się jak zziębnięty pies łańcuchowy, a kierowca rodem z Kaukazu w obłażącej dwustronnej puchówce w kolorach kolaży Andy’ego Warhola milczał zasępiony, jakby bojąc się, że razem z parą wodną z jego ust ucieknie

drogocenne ciepło i castanediańska siła życia.

Na zaśnieżonych moskiewskich ulicach nie było widać zniszczeń po nocnym kataklizmie, ale wszędzie roiło się od żółtych mrowisk – robotnicy miejscy naprawiali ukryte przewody, które widocznie ucierpiały podczas podziemnych wstrząsów.

– W Leninakanie było gorzej – rzucił ochryple taksówkarz.

– Mnie i tego wczorajszego starczyło, żeby się na śmierć przestraszyć – odparłem szczerze.

– Pół rodziny mi wtedy zginęło. Dom przepadł. Jak przenosiłem się do Moskwy, to myślałem, że przynajmniej tutaj nie będzie trzęsło…

– Wie pan, mnie to się wydaje, że teraz już nigdzie nie da się przed tym ukryć – powiedziałem ni to do niego, ni do siebie.

– W gazecie pan to wyczytał? – nachmurzył się tamten.

– W książce.

Kierowca skinął głową i znów zamilkł pogrążony we własnych myślach. Do końca trasy ciszę przecinały tylko monotonne przekleństwa, które posyłał w przestrzeń kosmiczną, kiedy na drodze tworzyła się szczególnie trudna sytuacja.

Ochroniarz przy wejściu do budynku, w którym mieściło się biuro Akab Tzin, poznał mnie i bez pytania sam wypisał mi przepustkę. Pomimo świąt i katastrof naturalnych na korytarzach było sporo ludzi: globalny kapitał, którego ten lśniący gmach był maleńką forpocztą, nie dawał wolnych dni. Dwóch malarzy w porządnych pomarańczowych kombinezonach bieliło sufity.

Na aluminiowym panelu windy wcisnąłem jak zwykle guzik z cyfrą cztery, przymknąłem oczy i odetchnąłem pełną piersią. W środku unosił się nieuchwytny aromat: coś między szlachetnym starym drewnem i delikatnymi męskimi perfumami, jakimi muszą pachnieć podstarzali, ale dobrze zakonserwowani miliarderzy stojący za sterami swoich śnieżnobiałych jachtów.

Tym razem przyjęła mnie zadbana brunetka w średnim wieku, najwyraźniej amatorka solarium. Z miłym uśmiechem przyjęła teczkę z gotowym tłumaczeniem, podeszła do sejfu w głębi biura, wyjęła z niego identyczną, różniącą się tylko numerem na naklejce.

– Dziękujemy panu za operatywność. To bardzo ważne przy wykonywaniu tego zlecenia.

Od razu poznałem jej głos: to ona dzwoniła do mnie dziś rano. Przyjmując kopertę z honorarium, po pewnym wahaniu zadałem jednak pytanie, chociaż nie byłem pewny, czy podczas rozmowy telefonicznej zwyczajnie się nie przesłyszałem:

– Proszę mi powiedzieć: o jakich rytuałach pani mówiła?

– Słucham? – Wygięła brew w kształt, który bardzo dokładnie nadawał jej twarzy wyraz „życzliwego zainteresowania”.

– No, przez telefon… Mówiła pani, że w Nowy Rok biuro będzie zamknięte z powodu rytuałów.

– Ach tak… Całkiem trywialne rytuały. Sałatka Olivier, obrane w zygzaki pomarańcze, szampan. Film *Ironia losu*. Noworoczne orędzie prezydenckie. Spotkanie całego zespołu.

– Impreza korporacyjna? – Pokiwałem głową.

– Tak, można to i tak nazwać. Impreza korporacyjna. – W środku zdania nagle przestała się uśmiechać, jakby zapomniała, że podczas rozmowy z klientem nigdy nie wolno tego robić; natychmiast zrobiło mi się jakoś nieprzytulnie, jakby ze studia, w którym kręcono film, znikły nagle wszystkie barwne dekoracje i wokół pozostały tylko szare betonowe ściany.

– To kiedy będzie wam teraz można przynieść gotowe tłumaczenie? – spytałem przymilnie, wycofując się w kierunku wyjścia.

– Proszę się nie denerwować, dostanie pan wiadomość – spostrzegła się i znów przybrała swój życzliwy uśmiech, ale to tylko pogłębiło mój przestrach.

Na ulicy było jeszcze jasno: dzięki milicji mój dzień rozpoczął się znacznie

wcześniej niż zwykle. Postanowiłem zaryzykować i przejść się kawałek pieszo, licząc na to, że mroźne grudniowe powietrze otrzeźwi mnie i przywróci jasność umysłu.

Gdyby wesoły detektyw i uprzejma dama z biura nie wspomnieli o zbliżającym się święcie, może i sam bym o nim zapomniał: co za głupawy pomysł świętować obecny Nowy Rok w maju tysiąc pięćset sześćdziesiątego drugiego roku? Jednak oprócz mnie chyba nikt w niego nie wątpił: lodowaty wiatr nadymał kołyszące się nad ulicami płachty z życzeniami, w witrynach sklepów wabiąco mrugały plastikowe choinki i epileptycznie podrygiwały nakręcane czerwonogębe Święte Mikołaje.

Ludzie nosili obwiązane błyszczącymi wstążkami kolorowe pudełka i torebki z prezentami, wokół było niezwykle dużo uśmiechniętych twarzy. Przechodząc obok straganów z choinkami, mimo wszystko nie wytrzymałem i ustawiłem się w kolejce. Trudno wyjaśnić, czemu to zrobiłem. Najpewniej dlatego, że gdy postawi się żywą choinkę u siebie w domu, ozdobi ją błyszczącymi bombkami, które na razie czekają na swoją godzinę zawinięte w stare gazety w pudełku w pawlaczu, i włączy lampki, można się ogrzać w jej świetle, ratując przed zaciskającymi się wokół smutkiem i samotnością, tak mocno odczuwanymi w urodziny i przed Nowym Rokiem… który, do tego, może być ostatni.

Zanim wepchnąłem kupioną choinkę do bagażnika taksówki, wziąłem w kiosku parę najnowszych gazet. Ogromne nagłówki biły na trwogę, prawie całą pierwszą kolumnę zajmowały zdjęcia zawalonych podczas trzęsienia ziemi czteropiętrowców; okazało się też, że moskiewskie wstrząsy były zaledwie słabym echem o wiele straszniejszej katastrofy, która potwornym młotem zmiażdżyła Iran. Dziesiątki tysięcy śmiertelnych ofiar w Teheranie, setki w całym kraju…

Moloch nabierał mocy, nikt nie był w stanie go powstrzymać, ale mogłem chociaż zrozumieć jego naturę, objaśnić to, co się działo, dowiedzieć się, czego należy się spodziewać i czy można się jeszcze uratować. I pomyśleć

tylko – być może tajemny klucz był właśnie teraz w moich rękach!

Rzecz jasna, kiedy dotarłem do domu, nie starczyło mi już cierpliwości, by zajmować się bombkami i lampkami. Wstawiłem tylko choinkę do wanny, opłukałem ręce i rzuciłem się do biurka. Nowy rozdział przypominał powieść przygodową i dopóki tłumaczenie nie było gotowe, nie mogłem się od niego oderwać.

Iż pierwszą otwartą dysputę moją z przewodnikiem Juanem Nachim Cocomem przyszło nam przerwać, gdyż w pobliskich zaroślach posłyszeliśmy podejrzany szmer. Iż kiedy tam poszedłem i obnażyłem klingę rapieru, gromkim głosem wezwałem tego, kto się w nich czaił, by pokazał się i odpowiedział. Iż zza zarośli wyszedł Vasco de Aguilar i że był on na mnie bardzo zły, na twarzy zaś czerwony ze wściekłości i wstydu. Iż powiedział mi, jakoby w zaroślach tych był za potrzebą, a rozmowy naszej z przewodnikiem wcale nie słyszał. I że słowom jego nie uwierzyłem, jednak nie oskarżyłem o kłamstwo, nie chcąc go zmuszać do obrony honoru, lecz udałem, że przyjąłem jego wyjaśnienia.

Iż droga nasza sakbem tego dnia wyprawy, który stał się ostatnim, była wyjątkowo trudna, ponieważ wszyscy w oddziale do granic osłabli na ciele. Iż, tak jak wcześniej, szedłem obok Juana Nachiego Cocoma, pozostali zaś kroczyli w pewnej od nas odległości, cicho rozmawiając, tak że nie mogłem słyszeć słów ich dysput, jednak wiatr wiał w ich stronę, i stąd lękałem się mówić z przewodnikiem o rzeczach tajemnych.

Iż gdy dzień miał się ku końcowi, ujrzeliśmy przed sobą prześwit, a potem i biały wierzchołek indiańskiej świątyni, co wznosił się nad koronami drzew. I że zanim jeszcze zaszło słońce, droga przywiodła nas na okrągły plac wycięty pośród selwy i wyłożony białym kamieniem, na którym to placu mieściła się właśnie dostrzeżona przez nas z oddali świątynia. Iż w miejscu tym kończył się sakb i ze wszystkich stron okalały je wysokie drzewa rosnące jedno obok drugiego, i przejść przez nie nie było możliwości.

Iż sama świątynia, jak mówił mi Juan Nachi Cocom, rozmiarami była niewielka, lecz pięknością przewyższała wszystkie starożytne budowle, które dotąd na Jukatanie widziałem.

Iż kształtem świątynia przypominała piramidę, po jej czterech stronach na szczyt wiodły kręte schody o wysokich stopniach, prowadzące najpierw do szerokiej półki opasującej budowlę mniej więcej w połowie wysokości, a potem wyżej, na mały placyk położony na samym jej szczycie. Iż wedle owej świątyni stało jeszcze kilka mniejszych budowli, a pośród nich i sucha studnia, głęboka tak, że co najmniej siedmiu ludzi by w niej stanęło, podobna do tych, które mieszczą się w innych porzuconych miastach. I że, wedle słów Juana Nachiego Cocoma, studni owej, zwanej przez Majów *cenote*, używali jego ojcowie i dziadowie, zbłąkani poganie, aby składać ofiary, pośród których były

i ludzkie.

Iż choć ani w samej świątyni, ani w jej okolicach nie było śladów ludzkiej bytności, gmach wyrastał swym świetnym stanem ponad te, które przyszło mi widzieć wcześniej. Iż tamte pokryte były mchem i najczęściej rozgrabione, ta zaś była wolna od roślinności i tak biała, jakoby wzniesiono ją ledwie wczoraj.

Iż przewodnik nasz nie chciał zbliżyć się do piramidy, odmówił też przechadzek po brukowanym placu. Iż cały ten czas, kiedyśmy błąkali się pośród opisanych przeze mnie budowli i badali je, on oczekiwał nas przy drodze, z rzadka jedynie dając mi wyjaśnienia, kiedym się do niego o nie zwracał; przestrzegł nas przed nadmierną ciekawością przy badaniu gmachów, a specjalnie zaklinał nas, abyśmy nie wchodzili do świątyni.

Iż byłem jedynym spośród nas wszystkich, kto go usłuchał, mając w pamięci to, co rzekł mi wcześniej; pozostali zaś nie zwrócili uwagi na jego namowy. Iż wedle polecenia brata Joaquína żołnierze wspięli się po schodach do półki na piramidzie, gdzie odnaleźli zamurowane kamieniami wejście. Iż wszyscy oni zaczęli wspólnie się przez nie przebijać, wzywając i mnie, bym im pomógł, a brat Joaquín przynaglał ich i mówił, jakoby wewnątrz niezmierzone bogactwa mogły się znajdować, których każdy z pracujących dostanie część; lecz że wymówiłem się niedomaganiem i uchyliłem się, gdyż miałem pewne złe przeczucia. Iż odmowa moja wzbudziła u pozostałych niezadowolenie i szyderstwa, jednak zmuszać mnie nikt się nie ośmielił.

Iż przewodnik Juan Nachi Cocom, widząc, że namowy jego i przestrogi nie mają mocy, postradał nadzieję, iż ich powstrzyma, i zaczął wówczas płakać i modlić się do Najwyższego, aby ten obronił go przed gniewem indiańskich bogów.

Iż żołnierz Pedro Lasuen był pierwszym, któremu udało się wybić w zamykającej wejście ścianie niewielki otwór, o czym obwieścił wszystkim radosnym wołaniem. I że po upływie paru godzin udało im się poczynić w ścianie pokaźny wyłom, lecz z powodu nadejścia nocy pracę przyszło nam przerwać.

Iż na nocleg zebraliśmy się jednak wszyscy pośrodku placu, przy czym przewodnik nasz sprzeciwiał się temu. Lecz że na rozkaz Vasco de Aguilara, nie bacząc na mój sprzeciw, Juana Nachiego Cocoma przywiązano, aby nie zdołał w ciemności uciec, porzucając oddział.

Iż w tym miejscu sen mieli wszyscy krótki i ciężki: i ja, i przewodnik, i wartownicy. Iż pośród nocy ocknąłem się na krótką chwilę, gdyż zdało mi się, jakoby w pobliżu padały z hukiem kamienie, a potem, przez sen, posłyszałem jeszcze drugi łoskot, także jakby kamieni, lecz tym razem całkiem blisko nas. Iż nie udało mi się podnieść z posłania; ciężko było nawet otworzyć oczy, i uczyniłem to z przeogromnym trudem. I że poprzez mrok zdało mi się, jakobym widział na samym skraju kręgu światła uchodzącego od dogasającego ogniska niewiarygodnie wysoką i szeroką ciemną postać, zarysem podobną ludzkiej, lecz z dziwacznie spłaszczoną głową, jakby wyrastała wprost z ramion.

Iż nazajutrz znaleźliśmy Pedra Lasuena martwego w miejscu, w którym zasnął; czaszka

jego była zmiażdżona na miazgę, jakby przetoczył się po niej ogromny kamień młyński, i prócz krwi i owej miazgi nic zupełnie nie zostało. I że broni, którą mu zmiażdżono głowę, bądź śladów złoczyńcy, co to uczynił, nie udało się nikomu odnaleźć.

Iż miast niewielkiej dziury wybitej poprzedniego dnia przez żołnierzy w ścianie świątyni ziała teraz ogromna wyrwa, przez którą mógł przejść wyprostowany i wielce wysoki człowiek. Iż po tym, co stało się z Pedrem Lasuenem, nikt nie odważył się wejść do środka; tylko brat Joaquín, wyrzucając innym tchórzostwo, wspiął się na schody.

Iż tymczasem pozostali, rozmawiając między sobą, domagali się, byśmy porzucili owo przeklęte miejsce. Iż brat Joaquín nie pojawił się w ciągu godziny, jednakże nikt z oddziału, wliczając nawet señora Vasco de Aguilara, słynnego ze swej lwiej śmiałości i brawury, pójść za nim się nie zdecydował.

I że kiedy wszyscy gotowi byli już ruszać w drogę powrotną, do czego i ja ich zachęcałem, na schodach pojawił się brat Joaquín Guerrero, cały i zdrowy; iż w jednej ręce dzierżył płonącą pochodnię, w drugiej zaś kilka zwojów. Zwoje te okazały się indiańskimi manuskryptami napisanymi na korze i wygarbowanej skórze.

Iż na widok owych zwojów Juan Nachi Cocom rzucił się ku bratu Joaquínowi ze straszliwym krzykiem, lecz Vasco de Aguilar zbił go z nóg i skrępował; zabijać jedynego przewodnika brat Joaquín jednak zakazał.

Iż następnie brat Joaquín rzekł, że we wnętrzu piramidy jest skarbiec pełen złotych sztabek i kunsztownych wyrobów zdobnych drogimi kamieniami i że ze wszystkich tych bogactw każdemu należy się taka dola, jaką tylko zdoła unieść, i że skarbu starczy dla wszystkich. Lecz zanim weźmiemy to, na co zasłużyliśmy, rzekł brat Joaquín, trzeba pomścić zabójcę Pedra Lasuena.

I że w tym samym momencie uderzono mnie z tyłu w głowę; i że padłem ogłuszony, a gdy doszedłem do siebie, moje ręce i nogi były już związane. Iż zdradziecki ten cios zadał mi Vasco de Aguilar, będący w zmowie z bratem Joaquínem, o czym ów oznajmił mi później.

Iż, wziąwszy mnie do niewoli, brat Joaquín ogłosił, jakobym wspólnie z przewodnikiem Juanem Nachim Cocomem wszedł w zmowę z diabłem, aby do zguby przywieść cały nasz oddział, a korzystając z otrzymanej od niego mocy, przeciwstawiłem się wypełnieniu woli Kościoła i zabiłem najlepszych żołnierzy, a także drugiego przewodnika – Hernána Gonzáleza.

Iż wściekli żołnierze chcieli skończyć ze mną na miejscu, lecz brat Joaquín powstrzymał ich, napominając, że przelew krwi jest wstrętny Panu naszemu Jezusowi Chrystusowi i Stolicy Apostolskiej, tak że w zwyczajnej sytuacji należałoby spalić mnie na stosie, lecz ze względu na pośpiech, z którym trzeba było wracać teraz do Izamal, postąpią ze mną inaczej. I że po tym jak to powiedział, nakazał wrzucić mnie związanego do wyschłej studni, tam gdzie Maya trzymali przeznaczonych na stracenie.

Iż rozkaz jego został wykonany natychmiast; i choć myślałem, że z pewnością

roztrzaskam się o dno studni, tak się nie stało, ponieważ zdołałem spowolnić swój upadek, czepiając się ścian, na dole zaś cenote była miękka ziemia. Iż przy tym mocno się jednak potłukłem i złamałem sobie nogę, przez co ucieczka ze studni stała się nie do pomyślenia. I że wokoło siebie wiele ludzkich kości ujrzałem i całe szkielety pozostałe po złożonych w ofierze Indianach.

Iż choć lękałem się, że rozprawią się i z Juanem Nachim Cocomem, przewodnika postanowili nie zabijać, potrzebując go, aby znaleźć drogę powrotną do Izamal. Iż w krótkim czasie świątynia została rozgrabiona, o czym mogłem sądzić z okrzyków zadowolenia, które z góry do mnie dochodziły. Iż w ślad za tym głosy ich poczęły się oddalać, przez co uwierzyłem, że zostanę w tym strasznym miejscu sam, póki nie zginę z głodu i pragnienia.

Lecz że gdy głosy niemal ucichły, na górze ujrzałem brata Joaquína i pomyślałem, iż ten wrócił, aby oszczędzić mnie bądź też ze mną skończyć, choćby i takim sposobem okazując miłosierdzie. Jednak ten został w tyle, aby się ze mną rozmówić, w miejsce odpuszczenia grzechów przeprowadzając ostatnie przesłuchanie.

Iż opowiedział mi, jak podsłuchiwał sam i wysyłał innych, by podsłuchiwali wszystkie moje sekretne dysputy tak z Hernánem Gonzálezem, jak i z Juanem Nachim Cocomem, i przyznał się z uśmiechem, jak zadusił we śnie mieszańca, potem zaś powiesił go na gałęzi, by przeląkł się jego współplemieniec i ja, lecz ja nie usłuchałem ostrzeżenia. Iż zakłuł też Felipe Alvareza, który rozum postradał, a sam przecie sprawował nad nim opiekę, tak aby ten swym wyciem nie straszył pozostałych i nie był im przeszkodą w drodze do celu. Ode mnie zaś brat Joaquín chciał się dowiedzieć, czemuż to wyrzekłem się wiary Chrystusowej i umiłowania ojca Diega de Landy w zamian za tubylcze zabobony i przyjaźń niemytego Maya.

I że odparłem mu, iż postępowałem nie wedle rozumu, ale wedle serca, i uznałem, że indiańskie zwoje, które chciał zdobyć przeor, powinny były zostać na miejscu, w ukryciu, dopóki nie nadejdzie ich dzień, i nie mnie mieszać się w ich losy. I że kronika przyszłości, której pożąda ojciec de Landa, nie dla niego jest przeznaczona.

Iż przez słowa moje, mnich wpadł w nieopisaną wściekłość, plunął mi na głowę, przezwał upartym osłem i zapewnił, że wśród zdobytych manuskryptów jest i ten, którego poszukiwał, gdyż rozesłani przez przeora zaufani ludzie przeczesują cały Jukatan i zbierają wszelkie diabelskie pisma, ażeby unicestwić je, i żadne im się nie wyślizgnie. I że przeklął mnie i życzył mi śmierci długiej i w mękach, na którą, wedle jego przekonania, w pełni zasłużyłem, po czym zostawił mnie samego, bym zdychał jak pies.

Feliz Año Nuevo

(Feliz Año Nuevo)

Drżącymi rękami odsunąłem od siebie stertę zapisanych pospiesznym pochyłym pismem kartek i przetarłem załzawione z napięcia i zmęczenia oczy. Na dnie ofiarnej studni, gdzie podstępny mnich umieścił mojego konkwistadora, mogliśmy zginąć obaj. Urzeczywistniał się najmroczniejszy ze scenariuszy, jakie sobie wyobrażałem: dziennik okazał się przedśmiertnymi zapiskami nieszczęsnego awanturnika, umierającego powoli z głodu i pragnienia w sercu selwy.

Ktokolwiek znalazł je pośród ruin wiele lat czy stuleci później i jakkolwiek żmudne musiało być odtworzenie rękopisu, praca ta była daremna. Z kroniki przyszłości dziennik ten zmieniał się w kronikę zwyczajną, dokument nie magiczny i dlatego ponadczasowy, lecz najbardziej tuzinkowy, historyczny, nieomal rodzajowy, a więc przemijający i próżny. Piszący go człowiek, mając nadzieję, że to zajęcie odegna natrętne myśli o rychłej śmierci, rojące się w jego umyśle jak muchy nad trupem, nie odkrył zasłony skrywającej wielką tajemnicę końca świata, lecz jedynie na krótką chwilę zajrzał przez powstałe w niej rozdarcie.

Byłem niemal zupełnie pewny, że jeśli kolejny rozdział w ogóle istniał, to składał się tylko z rozpaczliwego i poplątanego opisu ostatnich godzin życia tracącego świadomość konkwistadora. Był równie bezsilny i żałosny jak ja. Wyruszyłem na wyprawę śmiertelnym labiryntem, idąc jego śladami, i wierząc mu bezgranicznie, zakończyłem swoją drogę w ślepej uliczce, gdzie wciąż bielały jego kości. I nie było komu wskazać mi drogi powrotnej, a żelazne kroki zbliżającego się Minotaura stawały się coraz wyraźniejsze…

Jak on mógł dać się tak złapać?! Jak mógł pozwolić sobie na taką lekkomyślność? Dlaczego nie przewidział głównego zagrożenia, pozostał głuchy na ostrzeżenia, nie przejrzał zdradzieckich knowań brata Joaquína i jego, podobnego do byka, pomocnika Vasco de Aguilara? Czy nie rozumiał, że odpowiada nie tylko za własne życie?!

Z wściekłością zrzuciłem z biurka kartki ze wstępnym tłumaczeniem i stronice starej księgi, a potem z rozmachem gruchnąłem pięścią w blat, tak że nadwerężone drewno stęknęło.

Cała ta historia wydała mi się diabelską grą, wszczętą przez senne demony i zakurzone bożki z pierwszym nadarzającym się śmiertelnikiem, aby uchronić się przed wielowiekową nudą. Wyciągając rękę po to, co boskie, podczas gdy nie należało mi się nawet to, co cesarskie, prawdopodobnie solidnie rozśmieszyłem całą niebiańską lożę, wnosząc niezbędny element komiczny do zbliżającej się ku końcowi kosmicznej tragedii.

Patrząc na porozrzucane po podłodze stronice, z trudem powstrzymałem się, by na nie nie plunąć. Niech licho weźmie martwych Indian i ich nierozwiązywalne szarady! Splunąć chciałem też na wszystkie te ich piramidy, leśne wilkołaki, śmierdzących siarką franciszkanów i rębajłów w pancerzach! Na stos z kronikami, przepowiedniami, księgami z kory i idolami!

Złość wypchnęła ze mnie strach, więc naciągnąłem na głowę uszankę i wyszedłem na dwór: jutro Nowy Rok, a w lodówce pusto jak w prowincjonalnym muzeum krajoznawczym.

Kartofle, gotowana kiełbasa, jajka, kiszone ogórki i majonez – każde z osobna to jedynie produkty spożywcze, lecz jest to akurat taki przykład domowej alchemii, w którym ogół składników przewyższa ich arytmetyczną sumę. Olivier dla każdego postsowieckiego człowieka nie jest po prostu sałatką, lecz kulturowym symbolem, znakiem, ciągiem skojarzeń dłuższym od murów Kremla. Dla mnie jednak, razem z tradycyjnym szampanem, słoiczkiem czerwonego kawioru i mandarynkami miał się stać kotwicą, którą moja stargana sztormami karawela zamierzała rzucić w przystani rzeczywistości. Rejs był skończony. Wracałem.

I teraz znów chciałem poczuć się zwykłym mieszczuchem, który krzątając się wesoło, gotuje się do uczczenia Nowego Roku. Udać, że ostatnich tygodni w moim życiu nie było. Chciałem poczuć niewinną obawę o to, że

nie zdążę kupić prezentów przyjaciołom – zamiast gęstniejącego strachu przed rychłą i nieuniknioną apokalipsą, radość z przedsmaku świąt – zamiast radości z tego, że znów udało mi się umknąć przed nasłanymi na mnie zabójcami, i noworoczną samotność kawalera – zamiast kosmicznej samotności Noego, który nie wiedzieć od ilu dni wpatruje się w nieprzeniknioną toń za burtą swojej arki.

Było już około dziewiątej; jeszcze wczoraj o tej godzinie za nic w świecie nie odważyłbym się pokazać nawet na klatce schodowej. Ale teraz coś we mnie pękło. Z niepodobną do mnie naiwnością stwierdziłem, że jeśli ja wychodzę z gry, to ta sama z siebie się kończy.

Na dworze rzeczywiście było cicho, tylko z pobliskiej budki spożywczej dochodziła jedna z bożonarodzeniowych piosenek Binga Crosby'ego. Ogromnymi płatami powoli padał śnieg, puszyste niby z waty zaspy rosły w oczach, a niebo przybrało tak nieprawdopodobnie nasycony odcień granatu, że wydało mi się, iż urzeczywistniło się jedno z moich śmiesznych dziecięcych marzeń – trafić do środka szklanej kuli z idyllicznym zimowym krajobrazem, nad którym, gdy porządnie nią potrząsnąć, wirują styropianowe śnieżynki. Domy wokoło były jak posklejane z *papier mâché* i jeśli w zwykłej, zaaferowanej, brudnoszarej Moskwie dobroduszny staruszek Crosby byłby co najmniej nie na miejscu, to w tym zaczarowanym i przesłodzonym mieście ze świątecznej pocztówki, do którego nieoczekiwanie trafiłem, jego ckliwe kompozycje brzmiały jak hymn narodowy.

Tak czy owak, nie ma lepszego święta niż Nowy Rok. I choćby ktoś uważał go za bolszewicki erzac Bożego Narodzenia, dla mnie ten surogat jest o wiele przyjemniejszy od oryginału. Wszystkie jego *quasi*-tradycje, te same sowieckie zwyczaje, które zastąpiły rytuały chrześcijańskie, wydają mi się nie toporne, ale miłe i wzruszające – być może dlatego, że sam jestem jednym z dzieci minionej epoki. Nowy Rok jest dobry właśnie przez swoją bezmyślność, brak jakichkolwiek korzeni – etnicznych czy

religijnych. Jest to święto o niczym i dlatego dla wszystkich. Przywiązany tylko do pustej kalendarzowej daty, pozbawionej historycznego, moralnego czy jakiegokolwiek innego sensu, może być równie szczerze obchodzony przez prawosławnych i buddystów, Rosjan i Tatarów. Oto prawdziwy dzień międzykulturowego, międzynarodowego pojednania…

Bezlitośnie wypatroszyłem swój portfel w sąsiednim uniwersamie i wróciłem do domu objuczony torbami z wiktuałami. W mieszkaniu było ciepło i przytulnie, więc wziąłem kąpiel i zabrałem się do robienia kolacji. Radio cicho mruczało coś amerykańskiego z lat czterdziestych albo pięćdziesiątych, zdaje się: Glena Millera.

A jutro, z samego rana, oddam ostatni przetłumaczony rozdział do biura, myślałem, sącząc białe wytrawne wino i pałaszując z apetytem spaghetti carbonara. Tak czy owak, nie będą mieli następnego, ale nawet jeśli się znajdzie, starczy mi sił, żeby odmówić tłumaczenia. A potem obdzwonię przyjaciół z uniwersytetu i dowiem się, czy nie jest za późno, żeby wprosić się do któregoś w gości.

Przed pójściem spać przez jakieś pół godziny przeczytałem przy świetle zielonej lampki na biurko kilka rozdziałów *Mistrza i Małgorzaty*, a potem oczy zasnuł mi lekki i ciepły jak dobrze ubita puchowa kołdra bożonarodzeniowy sen.

To był cudownie spokojny wieczór.

Ostatni taki wieczór w moim życiu.

…

Wszystko zaczęło się od Olimpii. Niezawodny niemiecki mechanizm z czterdziestego dziewiątego roku, który służył trzem pokoleniom naszej rodziny bez jednej skargi (nie licząc profilaktycznego smarowania olejem maszynowym i wymiany zużytych taśm), nagle odmówił pracy. Tak więc z samego rana przyszło mi taszczyć to piętnastokilogramowe monstrum do jedynego cudem wciąż otwartego warsztatu, gdzie obiecano mi zreperować

maszynę w najbliższych dniach, unikając podania konkretnej daty. Na poszukiwania tego miejsca zmarnowałem dobrą połowę dnia, a po dalszych wydarzeniach nie było już nawet mowy o tym, żeby świętować Nowy Rok z przyjaciółmi.

Za to o Olimpię byłem spokojny. Właściciel warsztatu, miły staruszek w zatłuszczonym granatowym fartuchu, z takim szacunkiem odnosił się i do mnie, i do maszyny do pisania, że do głowy od razu przychodziło określenie „inteligencja techniczna”. Pieszczotliwie pogładził klawisze, wsłuchał się w delikatne terkotanie jeżdżącego wózka i spodziewałem się już, że za moment wyciągnie stetoskop i powie do Olimpii: „No, proszę opowiadać, co się pani przydarzyło”.

Zamiast tego zapewnił mnie, że „maleństwu” nie stało się nic strasznego, mimo to trzeba się będzie nad nim napracować, „I do tego, sam pan rozumie, święta…”, dlatego przed trzecim nie ma sensu dzwonić. Suma, na jaką wycenił naprawę, była dość pokaźna, ale kłócić się w mojej sytuacji byłoby po prostu głupio: nie mogłem oddać tłumaczenia napisanego ręcznie, a poza tym maszynę tak czy inaczej trzeba było naprawić. Kiedy obgadaliśmy wszystkie sprawy, uraczył mnie rozmową o niczym – coś jak to cygaro, które tuzy finansowe w filmach zawsze wypalają, żeby scementować zawartą umowę.

– Ale trzęsło, co? Połowa naczyń mi pospadała z półek… I tynk całymi płatami odpadał. Sąsiad z góry dostał zawału, nie do wiary, a przecież jest w moim wieku… Sam musiałem validol zażyć.

– U mnie też był potem taki chaos, że pół dnia sprzątałem.

– A niech pan mi powie – zapytał nagle, uśmiechając się niezgrabnie. – Wierzy pan w koniec świata?

Już chciałem kiwnąć głową twierdząco, ale nie wiedzieć czemu rozmyśliłem się i tylko w nieokreślony sposób wzruszyłem ramionami, patrząc wyczekująco na majstra.

– Czytałem gdzieś w gazecie, że niby jacyś tam Indianie to

przepowiedzieli… Zdaje się, Inkowie? Czy może Aztekowie? – Nie podnosił na mnie wzroku, przebierając między tymi jawnie nieprawidłowymi odpowiedziami, jakby popychając mnie do tego, bym go poprawił.

– Niczego takiego nie słyszałem – pokręciłem głową. – A poza tym, wie pan, w gazetach co roku piszą o końcu świata. Przed dwutysięcznym, pamięta pan, ile było artykułów? To nic, trzymamy się mocno – ostrożnie się uśmiechnąłem.

– Majowie! O nich mi chodziło. Majowie! Naprawdę nic pan nie słyszał? – Podniósł w końcu wzrok i wpił się nim we mnie tak przenikliwie, że zrobiło mi się zimno.

– Jak Boga kocham, od pana pierwszego słyszę. Szczęśliwego Nowego Roku! Muszę lecieć, mam jeszcze dużo spraw, dzieciom trzeba kupić prezenty – łgałem już przez ramię, wychodząc po schodach z sutereny, w której mieścił się warsztat.

– Majowie, właśnie Majowie. – Zatrzaskujące się żelazne drzwi ucięły jego mamrotanie; westchnąłem z ulgą.

…

Do domu miałem dość daleko, i zanim zszedłem do kolejki podziemnej, podszedłem do stojaka z gazetami. Prawie wszystkie gazety były upstrzone fotografiami z Iranu lub zdjęciami rannych z moskiewskich szpitali, przy czym większość była kolorowa, przez co cały stojak przypominał ogromny tropikalny kwiat – jeden z tych, które roztaczają zapach gnijącego mięsa, żeby przyciągnąć muchy. I dokładnie w środku tego makabrycznego pąka widniała „Niezawisimaja Gazieta” z przypiętym na wierzchu zbiorem krzyżówek „Od teściowej”.

Wydrukowanego ogromnymi literami nagłówka „Niezawisimej” nie dało się nie zauważyć: „MAJA WCIĄŻ NAS OBSERWUJĄ”.

Gwar tłumu przycichł, zagłuszony łomotem uderzeń mojego serca.

Oparłem się plecami o słup i błagalnie popatrzyłem w niebo, ale tego dnia zasnuły je gęste pasma chmur, znad których nie było mnie widać. Kiedy nabrałem odwagi i znów zerknąłem na stragan, złowieszcza gazeta wciąż jeszcze tkwiła na swoim miejscu.

Zdobyłem się, by podejść do sprzedawcy i poprosiłem „Niezawisimą". Spojrzał na mnie z pewnym zdziwieniem – choć może tak mi się tylko wydawało – i ulegając chwilowemu atakowi wstydu, jak wyrostek, który pierwszy raz kupuje prezerwatywy, dołożyłem od razu mnóstwo innych pism, w nadziei, że to jedyne, którego potrzebuję, skryje się wśród nich, zamiast, budząc uśmieszki, sterczeć na najbardziej eksponowanym miejscu.

Otworzyłem gazetę, dopiero gdy usiadłem wygodnie na poszarpanym siedzeniu z tworzywa sztucznego w wagonie metra i upewniłem się, że żaden z moich sąsiadów nie przejawia w stosunku do mnie nadmiernej ciekawości.

Jakże stałem się śmieszny i żałosny, przeżarty swoją indiańską schizofrenią niczym sekwoja przez korniki! Artykuł był zatytułowany: *Maja Plisiecka i KGB: Wiedziałam, że wciąż nas obserwują*.

Łamanie okładki było zrobione tak, że nieszczęsny zbiór krzyżówek skrywał pół nagłówka i fotografię wielkiej baleriny. Na wszelki wypadek skrupulatnie przeanalizowałem każde zdanie: o piramidach, kapłanach i konkwistadorach nie było tam, rzecz jasna, ani słowa. Tylko ustęp z przygotowanych do publikacji wspomnień Plisieckiej, poświęcony jej stosunkom z Rodionem Szczedrinem i bezpieką w okresie, kiedy gwiazdorska para dopiero zaczęła wyjeżdżać na zagraniczne występy.

Uspokojony i zarazem rozczarowany, zabrałem się do przeglądania pozostałych gazet. Pośród niezliczonych reportaży z miejsc dotkniętych trzęsieniami ziemi w Rosji, Europie i na Bliskim Wschodzie, komentarzy zbitych z tropu sejsmologów, drukowanych seansów hipnotycznych ministrów i merów starających się uspokoić ludność oraz aktualnych interpretacji czterowierszy Nostradamusa natknąłem się na parę notatek,

których autorzy jakby spadli z Marsa i zupełnie nie byli zaniepokojeni ostatnimi wydarzeniami.

Pierwszy z nich poświęcił całą rozkładówkę w „Kommiersancie” projektowi gigantycznego pomnika zaaprobowanego w ostatnich dniach przez władze Moskwy. Trzystumetrowy spiżowy samolot Ła-5 z czasów Wielkiej Wojny Ojczyźnianej postanowiono postawić na tarasie widokowym na Worobiowych Górach, by upamiętnić bohaterskich lotników broniących stolicy przed faszystowskimi sępami podczas bitwy pod Moskwą. Faszystowskie sępy nie były nawet ujęte w cudzysłów, co sprawiło, że zamrugałem i przeczytałem zdanie jeszcze raz. Unikalna konstrukcja pomnika zaproponowana przez czołowego brytyjskiego rzeźbiarza wyglądała tak, że brązowy myśliwiec mógł prawie w całości unosić się nad spokojnie śpiącym miastem. Artykuł szczególnie podkreślał, że cień jego gigantycznych skrzydeł miał pokrywać kilka kilometrów kwadratowych, w kadłubie zaś była przewidziana wielka sala wystawowa, a nawet kilka sal wykładowych dla studentów uniwersytetu, gdzie prowadzone będą zajęcia z historii drugiej wojny. Wzniesienie monumentu było planowane w ciągu roku, a niezbędne środki zebrano już wśród patriotycznie nastawionych przedstawicieli wielkiego biznesu.

Drugi artykuł opowiadał o wczorajszej uroczystej ceremonii otwarcia muzeum biograficznego Walentiny Anisimowej (Knorozowej), na potrzeby którego w miejsce zburzonych zabytkowych kamienic przy jednej z moskiewskich uliczek, według specjalnego projektu, zbudowano imponujący gmach.

Z początku niedbale pominąłem notatkę, wolałem chciwie przeczesywać gazetę w poszukiwaniu ukrytych oznak Ragnaroku, jednak szybko ścisnęło mnie w dołku z niepokoju i palce same zaczęły przewracać strony w przeciwnym kierunku.

Nazwisko „Knorozowa” stanowczo napotkałem wcześniej… Aktorka teatru lalek, która „ofiarnie poświęciła całe swoje życie twórczości

i rodzinie”, wnioskując z opublikowanej fotografii, dziesięć lat po śmierci doczekała się mauzoleum nieco tylko skromniejszego od grobowca Ho Chi Minha w Hanoi. Z chorobliwą ciekawością przeczytałem artykuł, by upewnić się, czy ciało Knorozowej nie spoczywało aby w kryształowym sarkofagu pośrodku muzeum, które reporter bez śladu wahania nazwał „świątynią pamięci wielkiej aktorki”; i bez tego pachniało tu już kultem jednostki.

Wśród części otwartych dla zwiedzających mieściła się obszerna ekspozycja lalkowych postaci, „w które Anisimowa potrafiła tchnąć życie”, zbiory fotografii „Szkoła” i „Młode lata”, oraz „Archiwum rodzinne”, doskonale dokumentujące jej wieloletnie małżeństwo z niejakim Jurijem Knorozowem, uczonym etnologiem zajmującym się ludami Mezoameryki. Historia jej życia wydała mi się do bólu banalna, i choćbym nie wiem jak rozpaczliwie skrobał się w głowę, nie udało mi się zrozumieć, czym właściwie Anisimowa zasłużyła na taką uniżoność ze strony władz Moskwy.

Nie opuszczało mnie przy tym wrażenie, że notatka o muzeum Anisimowej nieprzypadkowo przykuła moją uwagę. Z niepokojem i uwagą, jakby poruszając się na oślep w ciemnym pokoju, czytałem ją wciąż i wciąż, aż doszedłem do wniosku, że rzecz tkwi w absurdalnym „Archiwum rodzinnym”, a dokładniej: w mężu Knorozowej. Okazało się, że zajmował się kulturami Majów i Azteków. Czyżby był tym właśnie przesmykiem, który łączył dawne tereny Ameryki Łacińskiej i dzisiejszą, trzeszczącą w szwach Eurazję? A może, otumaniony rękopisem, wszędzie widziałem czających się Majów – jak w przypadku Plisieckiej? Gdzie znajdowała się cienka granica między szaleństwem a realnością i czy mogłem być jeszcze pewny, że już jej nie przekroczyłem?

Pamiętam, że olśnienie było już wtedy całkiem blisko; mogło do niego dojść jeszcze przed końcową stacją Linii Sokolniczeskiej (moją, Bibliotekę im. Lenina, oczywiście przegapiłem, pochłonięty konspiracyjnymi

poszukiwaniami).

Przeszkodził ten chłopczyk.

Pewnie już od dłuższego czasu patrzył na mnie w ten sposób: ze złością, spode łba, a do tego uważnie, tak że moją pierwszą myślą było: jak mogłem nie poczuć na sobie wcześniej jego ciężkiego spojrzenia?

Na oko nie dałbym mu więcej niż pięć lat, ale na rumianej twarzyczce nie było nawet śladu tej beztroskiej radości i spontaniczności, w której bawiący się z dziećmi dorośli znajdują zwykle odpoczynek i pociechę. Przeciwnie, zdawało się, że z siedzenia naprzeciwko patrzy na mnie badawczo mądry mądrością lat starzec, znużony życiem i dawno już nim rozczarowany. Natychmiast pomyślałem o wędrówce dusz, choć do tej pory powstrzymywałem się przed pokusą wiary w tę teorię.

Był prawie nieruchomy, kołysał tylko flegmatycznie zwisającą z siedzenia nóżką. Wyglądało to tak, jakby ktoś, kto wszedł w jego ciało, próbował nadać jego zachowaniu naturalności, ale wszystko było niezdarne, szarpane, jak u drewnianych marionetek Knorozowej.

Kiedy pochwyciłem spojrzenie jego niemrugających oczu, dziwny chłopiec wcale się nie zawstydził, lecz zamiast tego leciutko skinął głową – nie mnie, lecz samemu sobie, jakby zauważając z zadowoleniem, że jednak osiągnął to, czego chciał. Z początku odwróciłem wzrok, postanawiając nie obrażać się na dziecko za brak taktu, ale potem nie wytrzymałem i znów na niego spojrzałem – żeby przypatrzyć się jego zmrużonym oczom, których ani myślał odwracać. Poczułem się nieswojo i zawierciłem się na siedzeniu, jak chowający ściągę kiepski uczeń, któremu uważnie przygląda się nauczyciel.

Dlaczego nie doprowadzą go do porządku jego rodzice? Bezsilnie pokręciłem głową, starając się stwierdzić, kto ze znajdujących się obok chłopca dorosłych może kazać mu przestać atakować mnie wzrokiem. Ale ten siedział osobno od sąsiadów tak z lewej, jak i prawej strony, i ani jedni, ani drudzy chyba nie tylko nie mieli z nim żadnego związku, lecz w ogóle

go nie zauważali.

Wstyd mi było uciekać, ustępując pola takiemu niepoważnemu przeciwnikowi, i postanowiłem przynajmniej nie zrywać się z miejsca w jednej chwili, ale wziąć się na odwagę i poczekać na następną stację, żeby statecznie wstać i opuścić wagon.

Przystanek wydłużył się co najmniej czterokrotnie; nigdy jeszcze nie oczekiwałem z taką niecierpliwością, aż pociąg się zatrzyma. Gotów już byłem zrezygnować nawet z tego drobnego manewru, wywiesić białą flagę i skryć się w dalszym końcu wagonu; pozbierałem już nawet swoje gazety, szykując się do powstania, kiedy chłopczyk przemówił.

Zwracał się niewątpliwie do mnie. Przez stukot kół i huczenie powietrza w tunelu nie można było zrozumieć ani słowa i nie umiałem się nawet domyślić, co do mnie mówił. Wyraz jego twarzy pozostawał niezmienny i tylko usta bezdźwięcznie się otwierały i zamykały: nie próbował przekrzyczeć hałasu jadącej kolejki. Nagle poczułem pragnienie, by go usłyszeć, i wskazałem na uszy, dając do zrozumienia, że nic nie rozumiem, ale chłopiec w żaden sposób nie odpowiedział na mój proszący gest.

Kiedy metro wleciało na stację Uniwersytet i zaczęło być nieco lepiej słychać, doszedł mnie wreszcie jego głos: niespodziewanie niski, dorosły, nawet z lekką chrypką. Na jego dźwięk przeszedł mnie dreszcz; jednocześnie na chłopca ze zdumieniem popatrzyli wszyscy będący w pobliżu pasażerowie.

„…znajdź go. Gdyż nieszczęście świata w tym, że chory jest Bóg jego, stąd i świat choruje. W gorączce jest Pan, i jego dzieło gorączkuje. Umiera Bóg, i stworzony przez niego świat umiera. Lecz nie jest jeszcze za późno…”

Ostatnie słowa zagłuszył ożywiony głos lektora wzywający, by nie zostawiać swoich rzeczy w wagonie. W tym samym momencie siedząca obok chłopczyka staruszka, wpatrzona z roztargnieniem w pustkę, jakby się obudziła, wzięła go za rękę, rzuciła surowo: „Alioszka, bądź grzeczny!”,

i zdecydowanym ruchem pociągnęła go w stronę wyjścia. Nie sprzeciwiał się, ale jakby wiedząc, że będę wodzić za nim wzrokiem, przy samym wyjściu odwrócił się, zerknął na mnie przez ramię i jeszcze raz skinął głową – ale tym razem już do mnie, jakby potwierdzając, że wszystko, czego dopiero co byłem świadkiem, nie przywidziało mi się, lecz zdarzyło się w rzeczywistości.

Nie odważyłem się pójść za nimi. Roztrzęsiony, zostałem w wagonie przygwożdżony do siedzenia, zamknąłem oczy i wciągnąłem do płuc zanieczyszczone, zużyte powietrze metra. Który to już raz w ciągu ostatnich dni pomyślałem o fenazepamie z tą samą małodusznością i lękliwą nadzieją, z jaką Bułhakowowski prokurator marzył o czarce z trucizną. Pokusa, by zatracić się i zapomnieć o wszystkim, była na tyle silna, że mijając po drodze do domu dyżurną aptekę, zatrzymałem się przed wystawą i kilka długich minut walczyłem z samym sobą z głową przytkniętą do brudnego, zimnego szkła i wzrokiem rozpływającym się w choinkowych anielskich włosach, spowijających neon z napisem „24 godziny”.

W pierwszej rundzie poniosłem klęskę i zdołałem okiełznać samego siebie dopiero przy ladzie, kiedy naburmuszony farmaceuta, co chwila spoglądający na zegarek, zapytał mnie, jak długo jeszcze zamierzam wstrzymywać kolejkę i niczego nie kupować. Skonfundowany poprosiłem o aspirynę, przemknąłem do kasy i wybiegłem z apteki.

Nie wiem, czy dobrze zrobiłem, rezygnując z powitania Nowego Roku w oparach zapomnienia. Nie mam pewności, czy pomogłoby mi to zatrzymać się na skraju przepaści, choć pewnie zdołałbym uratować parę włosów, które mi tej nocy posiwiały.

…

Ubrać choinkę! Wdrapałem się na rozchybotane krzesło, wyciągnąłem z pawlacza kartonowe pudełko z ozdobami, ostrożnie przetarłem granatowe

i bordowe bombki, zdmuchnąłem kurz z przysypanych chropowatym śniegiem szyszek, sprawdziłem sznur lampek. Jak zwykle trzeba było porządnie namęczyć się nad krzyżakiem do choinki, ale tylko się z tego cieszyłem. W radiu puszczali jakieś aktualne przeboje, ale zamiast skrzywić się i przełączyć na inną stację, wyśpiewywałem z playbacku wspólnie z pozbawioną głosu silikonową blondynką o pseudonimie przypominającym imię psa. Dziesięć byle jak skleconych koślawych słów o ziemskiej miłości powtarzałem ze starannością buddyjskiego mnicha śpiewającego sekretną mantrę, przebierając w kółko wytarte już do połysku bombki niczym paciorki różańca, i krok po kroku uspokajałem się, uspokajałem…

Pierwszy raz w ciągu ostatnich lat szczerze pożałowałem, że nie mam telewizora. Z tej samej przyczyny, dla której nigdy nie chciałem go kupić: urządzenie to potrafi skutecznie zastąpić ludzką świadomość – krytyczne myślenie podmienia na programy publicystyczne, zamiast własnych emocji oferuje błyszczące szczęście i nieprzekonująco zdubbingowaną histerię bohaterów oper mydlanych, ciekawość zatyka wiadomościami. Teraz, w ślad za całym krajem, chciałem zamknąć swój umysł w tym pudełku. I niech czyjeś nafaszerowane ukrytą reklamą fantazje zagłuszą moją własną rozpaloną wyobraźnię, tak jak nadajniki KGB w czasach ZSRR z przekonaniem zagłuszały wdzierające się z zagranicy głosy krajów kapitalistycznych. Chciałem, żeby włączyły w mojej głowie błogą ciszę i pustkę. Żeby wyłączyły ten przeklęty strach i ssanie samotności.

Zatknąłem na czubku czerwoną gwiazdę, jeszcze raz sprawdziłem, czy drzwi są zamknięte, pogłośniłem radio i zabrałem się do szatkowania warzyw na noworoczną sałatkę. Ale kojące informacje o tym, że Dziadek Mróz wyruszył z Wielkiego Ustiuga i podjeżdża już na swoich saniach do Moskwy, były przerywane serwisami specjalnymi o podwodnych wstrząsach o niewiarygodnie niszczącej sile u wybrzeży Tajwanu. Na kilka nadbrzeżnych miast spadło tsunami, a prawie całe Chiny kontynentalne

zostały bez internetu – trzęsienie ziemi uszkodziło położone na dnie oceanu kable.

Przy trzeciej takiej informacji w ciągu półtorej godziny drgnąłem, chociaż dotąd za pomocą lampek, bombek i bezmózgich piosenek udawało mi się trzymać myśli na temat dzisiejszych wydarzeń zatrzaśnięte w jednej z ciemnych piwnic mojej pamięci. Te jednak skrobały do drzwi coraz głośniej, coraz natrętniej, żądając uwagi, obiecując, że mnie wynagrodzą, że otworzą mi oczy, wyjawią tajemnice…

Mogłem do woli zatykać uszy, mrużyć oczy i jak trzyletnie dziecko krzyczeć: „Nic nie widzę! Nic nie słyszę!”. Koszmar trwał niezależnie od tego, czy zgadzałem się brać w nim udział i prawidłowo rozumiałem wyznaczoną mi w nim rolę. Sucha, pełna kurzu ziemia Iranu nasiąkła już krwią, ale mogła pić dalej. Ocean, który w kilka chwil zmył setki tajwańskich drapaczy chmur i zabrał z sobą, niczym otoczaki podczas odpływu, życie dziesiątek tysięcy ludzi, dopiero budził się z trwającego cały okres geologiczny snu. Wprawione w ruch płyty tektoniczne, te koła zębate w mechanizmie apokalipsy, nabierały rozpędu, uruchamiając potworne żarna miażdżące w pył całe miasta, kraje i narody. Czy to następował koniec świata, czy jedynie koniec kolejnej epoki w historii planety, wątpliwe, by człowiek był na to bardziej gotowy niż w swoim czasie dinozaury. Przeczucie zbliżającego się krachu świata wisiało w powietrzu i przeświecało przez histeryczne nagłówki gazet. Śnieżna kołdra, która otuliła Moskwę przed Nowym Rokiem, wydawała mi się białym całunem pogrzebowym, i nawet wszechobecny świąteczny nastrój, starannie kreowany u obywateli przez władze i menedżerów od sprzedaży, jeśli się mu przyjrzeć, był przesadny, wysilony. Czy miałem dalej biesiadować przy wspólnym stole, jeśli, w odróżnieniu od pozostałych, byłem trzeźwy i wyraźnie widziałem na ich ciałach ślady zarazy?

Czterej jeźdźcy nie zjawili się o wyznaczonej porze i zamiast ostatniej bitwy Dobra ze Złem porwani postmodernizmem bogowie postanowili, że

koniec świata będzie pozbawiony znaczenia i twarzy. Sąd Ostateczny, którego posiedzenie bez końca odraczano pod różnymi pretekstami, jak się zdawało, został w ogóle uchylony, i pochowani na Górze Oliwnej – najdroższym cmentarzu świata – na próżno zajmowali miejsca w pierwszym rzędzie. Nie będzie trąby archanioła, nie będzie procesu, nie będzie uniewinnionych i skazańców, nie będzie wskrzeszonych i raju ni piekła; wszystkich czeka tylko jednakowa dezintegracja.

Zwodzili, zwodzili biblijni prorocy. Zbłaźnili się, wierząc im, brodaci muzułmańscy mędrcy, skompromitowali się chrześcijańscy teologowie. Wszystko wydarzy się zupełnie zwyczajnie.

Po prostu konwulsje, w których wije się teraz Ziemia, będą się stawać coraz straszniejsze, aż któryś z kolei kataklizm okaże się na tyle potężny, że ocean zatopi kruszące się pod stopami oniemiałych z przerażenia ludzi kontynenty.

Dzieci bawiące się w piasku nad brzegiem morza mogą do woli umacniać swoje zamki, kopać kanały odprowadzające wodę i przynosić kamyki, żeby wznieść mur obronny. Wszystkie te inżynieryjne sztuczki przetrwają tylko do pierwszego przypływu, który obojętnie zmyje je wszystkie, tak jak zmywa tajwańskie drapacze chmur. Człowiek jest jak wesz w obliczu potęgi oceanu i amerykańskie miasta rozpuszczą się w słonej wodzie dokładnie tak samo jak miasta japońskie, niemieckie czy rosyjskie. I bezsilnie rozłoży ręce wszechpotężny Siergiej Koczubiejewicz Szajbu, drugi po Bogu.

Złamią się i spadną w otchłań bliźniacze Petronas Towers w Kuala Lumpur, trzasną zmęczone kratownice wieży Eiffla, obrócą się w marmurowy pył i zginą istniejące przez setki pokoleń pałace i świątynie Wiecznego Rzymu, pod opadającymi falami błyśnie na pożegnanie, niczym wrzucona w nie na pamiątkę złota moneta, Kopuła na Skale, skryta pod nią skała pęknie i razem z białymi karteczkami zawierającymi prośby Żydów do Jehowy wodny żywioł o niebywałej sile pogrąży gigantyczne bloki

Ściany Płaczu.

Może i na razie mało kto w to wierzy, ale z każdym kolejnym trzęsieniem ziemi, tsunami, erupcją wulkanu tych, którzy się domyślają, będzie coraz więcej. Nie wiem, czy starczy im czasu, by wszystko sobie uzmysłowić i wyrazić skruchę (choć nie będzie to już miało żadnego sensu), by pocieszyć się nadzieją, zwątpić, i wreszcie wszystkiego się wyrzec. Czy też wszystko stanie się na tyle szybko, że większość z nich zdąży się tylko przestraszyć.

Może i milczą o nadciągającym końcu muezini doglądający swych niespokojnych wiernych ze strażniczych wieżyczek minaretów, może i milczą zasnuwający *ratio* dymem kadzideł prawosławni popi. Może i katoliccy duchowni nie zwiększyli jeszcze swoich obrotów, podnosząc cenę odpustów dla pragnącej przystąpić do komunii ludzkości. Będzie jeszcze czas – pojawią się i fałszywi prorocy, i sekciarze, i cudowne plany ratunku wraz z późniejszą demaskacją, i orgie, i błagalne modły, i masowe samobójstwa tych, którzy się spieszą i nie chcą czekać. Chociaż osobiście wolę gilotynę od Madejowego łoża i mam nadzieję – dla naszego wspólnego dobra – że śmierć cywilizacji przyjdzie szybko.

A zresztą, co czuł Noe, patrząc za burtę arki? O czym myślał Lot, uciekając z trawionej piekielnym ogniem Sodomy, nie śmiejąc odwrócić się za siebie? Jaka burza będzie szaleć w głowie ostatniego tybetańskiego mnicha, gdy pozornie beznamiętnie będzie spoglądał na ruiny wszechświata z wioseczki w pogrążających się w odmętach Himalajach, które nie stały się jednak nową górą Ararat? Co będę czuł ja?

Jakże głupio byłoby, gdyby jedyne znaki końca świata były zesłane właśnie mnie – człowiekowi rozczarowanemu i zjadliwemu, ograniczonemu i niewykształconemu, tchórzliwemu i pełnemu wątpliwości, niezdolnemu, by stać się wybawcą czy nawet prorokiem… Mnie, który miałem boże objawienia za paranoidalne bzdury! Który byłem gotowy dobrowolnie oddać się na pastwę psychiatrów, ledwo usłyszę opisywane

w literaturze naukowej o schizofrenii głosy, nawet gdyby dochodziły do mnie z gorejącego krzewu!

I jakże dziwne byłoby, gdyby nieprawdziwe okazały się eschatologie chrześcijańska, judaistyczna i muzułmańska, właściwym zaś scenariuszem końca świata zostałby ten, który przepowiedzieli pogańscy kapłani z półwyspu Jukatan! Gdyby zaspokajane wyrwanymi z piersi, wciąż bijącymi ludzkimi sercami żądne krwi majańskie bożki były bardziej szczere ze swoimi wyznawcami niż wszechprzebaczający Jezus, oświecony Budda i dumny Mahomet…

…

Znów stałem na rozstaju dróg i jeszcze raz potrzebowałem rady. Po zastanowieniu zdecydowałem się zwrócić do swojego wypróbowanego, choć niesfornego mentora – E. Jagoniela. Bez trudu odszukałem w indeksie nie najbardziej przecież oczywisty dla takiej książki termin „apokalipsa” i trafiłem na stronę czterysta trzecią.

I Jagoniel nie zawiódł – od razu wziął byka za rogi.

„Dla religii Mezoameryki charakterystyczne są wyobrażenia powtarzających się cykli tworzenia i niszczenia. Zarówno Aztekowie, jak i Majowie byli przekonani, że wszechświat przeszedł już cztery takie cykle i znajduje się obecnie w piątym, w którym świat ma zginąć z powodu trzęsień ziemi.

Niemało kopii skruszyli współcześni uczeni, starając się wyliczyć dokładną datę majańskiego Armagedonu – i ich ciekawość jest w pełni zrozumiała. Zgodnie z najbardziej wiarygodnymi danymi, jakimi dziś dysponujemy, rachunek będzie wyglądał następująco. Długość każdego cyklu tworzenia i niszczenia wynosiła trzynaście baktunów – tj. około 5 200 lat. Sam Armagedon zaś, niosący śmierć zwyrodniałym ludom i wszelkim żywym stworzeniom na Ziemi, powinien nastąpić ostatniego dnia trzynastego baktuna.

Wiara Majów w cykliczność mechanizmu tworzenia świata była absolutna, tak jak i ich przekonanie co do nieodwracalności nadchodzącej apokalipsy. Polegając całkowicie na swoich astrologach i wieszczbiarzach, Indianie Mezoameryki przekształcili całą historię cywilizacji w jeden wielki samospełniający się horoskop. Pod dyktatem astrologii znalazło się nie tylko życie poszczególnych przedstawicieli plemion, ale i los całej kultury. Bezwarunkowa, nieznosząca sprzeciwu wiara w to, że świat skazany jest na zagładę i dokładną datę jego końca mogą wyliczyć śmiertelnicy, stała się swego rodzaju machiną piekielną z zapalnikiem zegarowym, podłożoną pod cywilizację Majów.

Wiara ta niewątpliwie dawała Majom i Aztekom pewną przewagę w porównaniu z innymi ludami, a konkretnie: czas, by przygotować się na Armagedon. I jeśli z Majami klasycznymi sprawa jest mniej więcej jasna, to wyobrażenia końca świata u Azteków, a także Tolteków i, odpowiednio, podbitych i znajdujących się pod ich wpływem późnych Majów wzbudzają duże zainteresowanie.

Chodzi o to, że plemiona tych kultur, tak jak i Majowie, stosowały kalendarz kołowy z pięćdziesięciodwuletnim cyklem. Mieszczą się w nim trzy przyjęte u Majów systemy rachuby czasu – system oparty na roku 260-dniowym (*tzolkin*), 360-dniowym (*tun*) i 365-dniowym (*haab*). Dokładnie co pięćdziesiąt dwa lata, czy raczej *haaby*, upływały 73 *tzolkiny*, kończyły się też wszystkie trzy rodzaje tygodni: dziewięciodniowy, trzynastodniowy i dwudziestodniowy. Jednym słowem, zamykał się krąg, po czym odliczanie zaczynało się na nowo. Właśnie w ostatnich dniach tego wielkiego pięćdziesięciodwuletniego cyklu u Azteków i Tolteków następował okres oczyszczeń i przygotowań do prawdopodobnego Armagedonu. Te obyczaje i tradycje są bardzo ciekawe i mogą się okazać przydatne również dziś.

Tak więc w ostatnich pięciu dniach wielkiego cyklu świat zastygał na skraju przepaści. W tamtych czasach mało kto żył ponad sześćdziesiąt lat,

dlatego za pamięci prawie wszystkich Indian, którym przyszło trafić na te przeklęte dni, coś takiego działo się po raz pierwszy. Jednak w możliwie najprecyzyjniejszy sposób odtwarzali wszystkie ukształtowane przez przodków rytuały, w końcu dla każdego z nich groźba końca świata była nie tylko realna, ale i bardziej niż prawdopodobna.

W przededniu apokalipsy świat wypełniał się złymi duchami. Wychodziły z lasów, przenikały przez szczeliny w ziemi, wynurzały się na powierzchnię z mrocznych głębin, wypływały z dna rzek i jezior. Mogły pozostawać niewidzialne lub przyjmować tak ludzką, jak i zwierzęcą postać. Spotkanie z grasującymi na wolności demonami bezbronnemu człowiekowi groziło ranami, poważną chorobą, a nawet śmiercią.

Aby uchronić się przed duchami, Indianie na pięć długich dni przekształcali swoje osady i miasta w swego rodzaju astralne twierdze. Wszyscy mieszkańcy kryli się po domach i w ciągu tych pięciu dni pod żadnym pozorem ich nie opuszczali, przy czym zakaz szczególnie dotyczył dzieci i brzemiennych kobiet. Na zewnątrz wychodzili tylko doświadczeni wojownicy uzbrojeni w specjalne czarodziejskie włócznie zaklęte przeciw demonom. Na zmianę bronili swoich miasteczek, obchodząc puste ulice dniem i nocą i odstraszając biesy. Na samym początku tego dziwnego okresu trzeba było wygasić wszystkie ognie, gdyż światło i ciepło płomieni mogły przyciągać duchy. Koniecznie należało rozbić wszystkie znajdujące się w domu naczynia. Całe pięć dni trzeba było spędzić na przygotowaniach do końca świata: w strachu, w pokorze i na modlitwie.

Ostatniej, piątej nocy mężczyźni wspinali się na dachy swych domostw, rozsiadali się na nich i kierując wzrok na wschód, cierpliwie oczekiwali wschodu słońca. Bojąc się nawet szeptać między sobą, nieskończenie długo wpatrywali się w pusty czarny horyzont. Nikt nie wiedział, czy gwiazda znów się wzniesie nad pokornie gotującym się na stracenie wszechświatem. Każdy Indianin rozumiał, że słońce może już nigdy więcej nie wzejść i na świecie na zawsze zapanuje ciemność, zapowiadając jego rychły rozpad,

jak też zostało zapisane w świętych księgach.

I dopiero wtedy, kiedy wreszcie rozświetlało odległe ciemne wzgórza i korony drzew, schodzili na dół i ogłaszali swoim bliskim radosną wieść: mrok się rozproszył, świat został oszczędzony – przynajmniej na kolejne pięćdziesiąt dwa lata".

Urzeczony namalowanym przez Jagoniela obrazem, zastygłem pośrodku kuchni z książką w rękach. Te opisane przez niego pięć strasznych dni tuż przed końcem świata przypominało mi moje własne życie w ostatnich tygodniach. Nie mając doświadczenia w obronie przed złymi duchami, które przez swoją tysiącletnią historię nagromadzili Indianie, znalazłem się w takiej samej sytuacji, lecz byłem o wiele bardziej narażony na ciosy. Nie miałem zaczarowanej włóczni i nie wiedziałem, że zapalone światło może przyciągnąć duchy. Nawet teraz nie zacznę tłuc rodzinnego wenecjańskiego szkła i czeskiej porcelany, i wszystko, co mi zostaje, to po raz setny podkraść się do wizjera w drzwiach, bojaźliwie przez niego wyjrzeć, nacisnąć klamkę i wrócić do siebie do kuchni, jedynego miejsca na świecie, w którym czuję się względnie bezpiecznie. Za moim progiem kłębi się ciemność, po moim podwórku chodzą obudzone przez nieostrożnych konkwistadorów demony selwy i nie wolno mi zejść z tej widmowej ścieżki, chociaż nie rozumiem, po co nią idę i dokąd wiedzie…

„Do Nowego Roku pozostała jedna minuta!" – oznajmił lektor i umilkł, dając słuchaczom szansę, by w wesołym popłochu zadbali o kieliszki do szampana, zapalili bengalskie ognie, zgasili światło i rozluźnili drucik na tej właśnie butelce.

Rzuciłem się do lodówki, złapałem szampana i zdążyłem wystrzelić korkiem w sufit równo z dwunastym uderzeniem kurantów. Potem nalałem sobie do kieliszka słodkiej piany, otworzyłem szeroko okno, wziąłem mały łyczek i wystawiłem twarz na porywy mroźnego wiatru o przyjemnym, lekkim zapachu spalenizny, jak gdyby gdzieś obok palono drewnem. Prosto do kieliszka spadła mi ogromna ażurowa śnieżynka i uśmiechnąłem się,

czując, jak do oczu napływają mi łzy.

Było dla mnie bardzo ważne, żeby zdążyć. Kiedy wiesz, że nawet najbardziej pospolite rzeczy robisz po raz ostatni, to nabierają one wyjątkowej słodyczy i nowego sensu.

„Szczęśliwego Nowego Roku!” – wrzeszczało radio…

El Encuentro con el Destino

(El Encuentro con el Destino)

Jagoniel tylko po raz kolejny umocnił moje własne wnioski, potwierdził obiektywność i fatalność wszechświatowych procesów, które przypadkiem przyszło mi podejrzeć. Ale choćbym dostał jeszcze i dziesięć dowodów mojego zdrowego rozsądku, nic to nie zmieniało: pozostając bez towarzysza pracy i bez nadziei na poznanie, czym zakończyła się jego ekspedycja przed pięciuset laty, straciłem jedyny klucz do szyfru, którym było zakodowane to, co działo się ze mną i z całym światem.

Przyniosłem z sąsiedniego pokoju ostatni rozdział i skubiąc widelcem Olivier, dokładnie go przeczytałem. Szukałem teraz tylko jednego: jakiejkolwiek wzmianki o wydarzeniach późniejszych niż te, którym był poświęcony rozdział. W dzienniku dość często napotykałem takie odsyłacze do odkryć czy wniosków, których jego autor dokonał później; sprawiały wrażenie, że wyszedł szczęśliwie ze wszystkich opisywanych opresji, a sam tekst powstał o wiele później, kiedy znał już całą historię od początku do końca.

Jednak w ostatnim rozdziale, choćbym nie wiem jak skrupulatnie go badał, nic nie wskazywało na to, że wrzuconemu do studni konkwistadorowi udało się ujść z niej żywemu. Być może cały czas robiłem sztuczne oddychanie zsiniałemu i opuchłemu topielcowi. A niech idzie do diabła, powiedziałem do siebie. Choćby nie wiem jak trudno mi było podjąć tę decyzję, trzeba było dać mu spokój. Jest martwy, tak jak martwy jest tłumacz iberysta, pracownik biura Abecadło, moja nieszczęsna sąsiadka. Daj, Panie, ukojenie jego niespokojnej duszy czy co tam mówili w takich wypadkach duchowni w szesnastym wieku.

I tu, zupełnie jakby żegnały się ze zmarłym, na dworze gwałtownie zawyły psy.

Serce podskoczyło mi w piersi i runęło w dół: bezdomne psy stały się dla mnie heroldami gości z zaświatów, obwieszczającymi swoim wyciem ich przybycie do naszego znieruchomiałego ze strachu świata. Czyżby wracali?

Co teraz? Bogowie, co teraz? Zrobić tak, jak zalecał Jagoniel? Wyłączyć światło, spróbować stać się niewidzialnym dla duchów? Rozbić któreś z naczyń? Jeśli już nie mogę odeprzeć ich ataku, to spróbuję się chociaż ukryć…

Podkradłem się do przedpokoju, szczęknąłem wszystkimi zasuwkami naraz, wykręciłem korki, znów sprawdziłem drzwi, opuściłem zapadkę, potem po omacku wróciłem do kuchni, duszkiem wypiłem pozostałego na dnie kieliszka szampana i na ślepo rzuciłem nim o kafelki nad blatem. Kieliszek wydał cienki wizg, na podłogę posypały się szklane okruchy. Przysiadłem na skraju kanapy i zamarłem, cały zamieniając się w słuch.

Psy uspokoiły się i na jakiś czas na ulicy zrobiło się zupełnie cicho. Potem ktoś pijany zaryczał pieśń o zamarzającym woźnicy, za nią podążyła ciężka kanonada fajerwerków i petard i znów nastąpiła cisza. Na klatce schodowej i w korytarzu chyba też wciąż było spokojnie. Choć oczy nieco przywykły mi już do ciemności, bez światła i tak było trochę strasznie. Jeśli jednak indiański sposób ochrony przed demonami działał, to zaniechać go w takim momencie byłoby niewybaczalnym brakiem rozwagi.

Nie wytrzymałem ciemności i wyczekiwania i po dziesięciu minutach pozwoliłem sobie jednak zapalić stojącą na stole świecę, czego natychmiast pożałowałem.

Z pokoju – a dokładniej: nie z samego pokoju, lecz przez otwarte w nim okno – dał się słyszeć daleki przytłumiony krzyk. Słów nie dało się zrozumieć, ale zdawało mi się, że słyszę urywki hiszpańskich słów. Może coś w rodzaju *vien aqui*, ale nie mogłem za to ręczyć: w tamtej chwili myślałem o czymś zupełnie innym. Okno w pokoju było dokładnie zaklejone na zimę, a lufcik zamknięty na zasuwkę; dokonując wieczornego obchodu umocnień, sprawdziłem ją jak należy. Czyżby jednak się otworzyła? Ale jak? Albo też, co o wiele gorsze, dźwięk nie dochodził wcale z zewnątrz?

Nawet przy moim bezgranicznym szacunku dla autorytetu E. Jagoniela nie

miałem odwagi pójść do pokoju bez światła. Ryzykując zdemaskowaniem, podniosłem wysoko podstawkę z obrosłą woskowymi naciekami świeczką i powoli ruszyłem naprzód. W uszach głucho biły mi ogromne indiańskie bębny bojowe: bogowie mi świadkami, że w tym momencie byłem gotów na wszystko – i na atak rozwścieczonego jaguara, i na spotkanie twarzą w twarz z beznamiętnym strażnikiem majańskich grobowców…

Nikogo tam jednak nie było; spodziewałem się, że zobaczę chociaż wydętą jak żagiel zasłonę – to by oznaczało, że lufcik jednak się otworzył i dziwne dźwięki dobiegały z podwórka. Ale w pokoju panowała całkowita flauta, i choć moje nerwy były już mocno napięte, nie zdołałem zauważyć niczego bardziej przerażającego niż bawiące się ze mną w chowanego cienie wymyślnych zabytkowych mebli. Tylko stare lustro wiszące na przeciwległej ścianie lekko się przekrzywiło.

Lustro to było częścią spadku, który trafił do mnie po babci. Ogromne, prawie równe wzrostem człowiekowi, było oprawione w masywną złoconą ramę zdobioną przemyślną snycerką. Bóg jeden wie, ile miało lat – babcia sama dostała je w spadku po swoich rodzicach, razem z kredensami i krzesłami z karelskiej brzozy. Na pewno nie mniej niż sto pięćdziesiąt, zapewnił mnie zaproszony przeze mnie rzeczoznawca.

Prawie z niego nie korzystałem: przez te wszystkie lata lustro porządnie zmętniało. Czy to zmatowiał amalgamat rtęci, czy to porysowała się powierzchnia szkła. Prawdę mówiąc, niespecjalnie je lubiłem. Odbicie było w nim zawsze lekko mętne, niepewne, a czasem – jeśli spojrzeć w nie pod określonym kątem – również zniekształcone, ale nie zabawnie, jak w gabinecie krzywych luster, lecz jakoś nieprzyjemnie, mdląco, jakbym patrzył na zakonserwowanego potworka w panoptikum. Nie dało się skupić wzroku na swoim odbiciu i po pół minucie starań zaczynały boleć oczy. Rodzinny kodeks honorowy nie pozwalał mi sprzedać lustra do antykwariatu, dlatego ograniczyłem się do tego, że przewiesiłem je na najdalszą ścianę, prawie w kąt, żeby najrzadziej, jak to możliwe, wchodzić

w jego pole widzenia. Tam właśnie sobie wisiało, jak stary pająk, rozciągnąwszy nitki odbić wszędzie, dokąd mogło sięgnąć. Jeśli zdarzało mi się znajdować w jego zasięgu, lustro chciwie przyciągało mój wzrok i wtedy, widząc się w nim kątem oka, poddawałem się jego woli i na kilka sekund podchodziłem bliżej – by popatrzeć na siebie jego wyblakłym starczym spojrzeniem i podkarmić je.

Rama była przy tym znakomicie wykonana i pomimo imponującego wieku lustro trzymało się całkiem mocno. Kiedyś zbutwiały drewniany kołek, który trzymał je w ścianie, nie wytrzymał jego solidnej wagi i lustro runęło na podłogę z wysokości metra. Od ramy odpadł jedynie niewielki kawałek, który został bez większych problemów przyklejony z powrotem, jednak stolarz surowo mnie napomniał, że kolejny tego typu wstrząs może zakończyć się dla lustra w opłakany sposób.

I to dlatego zauważyłem całkiem niewielkie, zdawałoby się, przekrzywienie w jego położeniu. Trzeba było starannie je poprawić, żeby nie kusić losu. I czy przypadkiem nie wziąłem ze strachu skrzypienia drewna za dźwięk dalekich głosów? Biorąc pod uwagę to, co miałem okazję przeżyć w ostatnich dniach, wszystkiego można się było po mnie spodziewać.

Ale ledwie minutę później nawet rozpalonym żelazem nie zmusiłoby się mnie, bym chociaż tknął to diabelskie lustro. Metamorfoza, której uległo, była poza granicami mojego rozumienia i zanim jeszcze się przestraszyłem, przez kilka długich sekund stałem przed nim, czując, jak powoli robi mi się zimno, i wciąż rozpaczliwie, lecz bezskutecznie szukałem w nim swojego odbicia…

Szklana tafla była zupełnie ciemna. Nie ujrzałem w lustrze ani swojej twarzy, ani płomyka równo palącej się świecy. Speszony, z początku wodziłem nią w górę i w dół, jakby lustro było oknem, za którym ktoś czekał na moje tajne znaki, potem podniosłem płomień do samego szkła. Było nadal na swoim miejscu, jednak niewiadomym sposobem całkowicie

utraciło swoje zwykłe właściwości.

Ogarnęło mnie śliskie, lodowate podejrzenie: a co, jeśli nie chodzi o lustro? Gwałtownie, tak że prawie zgasła świeca, obróciłem się do okna. Z głębi nocnych ciemności za szybą wynurzyła się moja twarz: purpurowa, wydobyta z mroku przez kopcący w ekscytacji płomień, przypominała wykrzywioną strachem grecką maskę teatralną. Cóż, przynajmniej pozostałem w swoim ciele i wciąż odbijałem się w lustrach. W każdym razie, w większości z nich.

Poczułem się nieco ośmielony i nabrałem ochoty, by rozwiązać tę zagadkę.

Gładkie czarne szkło, jak się zdawało, pochłaniało całe padające na nie światło i ani odrobiny nie wypuszczało z powrotem. Z początku byłem pewny, że w lustrze nie było widać zupełnie nic, jednak kiedy spędziłem przed nim pięć czy sześć minut, wytężając do bólu wzrok, jakbym rozpoznał gdzieś w oddali przed sobą niejasny zarys. I kiedy przesunąłem świecę na bok, w nadziei, że oświetlę ów cień lepiej, wydało mi się, że zmienił kształt, tak jakby tam, w środku, ktoś się ruszał…

Strach walczył we mnie z ciekawością. Korciło mnie, żeby spróbować dotknąć ciemnej powierzchni; zdawało się, że dotyk wzbudzi na niej kręgi, a ręka się zanurzy… I im dłużej stałem przed lustrem, tym bardziej byłem przekonany, że dziwna odległa sylwetka mi się nie przywidziała. Stopniowo ożywała, zaczynała coraz szybciej się ruszać, a w końcu rzucać szaleńczo na różne strony, jakby próbując pokonać jakąś niewidoczną przeszkodę, wyrwać się na swobodę.

Wystraszony, zabrałem rękę i odskoczyłem do tyłu; nie udało mi się jednak przyjrzeć postaci: wystarczyło odejść od lustra, żeby tajemnicza plamka przygasła i rozmyła się w ciemności. Nie zdążyłem jednak podjąć kolejnych prób obserwacji, bo w przedpokoju zadzwonił telefon.

Po tym, co się stało, nie myślałem już oczywiście o Nowym Roku, więc dzwonek, który w panującej w mieszkaniu napiętej ciszy zabrzmiał sto razy

głośniej i ostrzej niż zwykle, sprawił, że dosłownie podskoczyłem. Rzuciłem oszalałym wzrokiem na zegarek (jeśli wierzyć wskazówkom, było wpół do drugiej w nocy), lękliwie zbliżyłem się do rozwrzeszczanego telefonu i dopiero w przedpokoju, kiedy poczułem zapach igliwia z mojej małej choinki, pomyślałem, że jeszcze nikt nie składał mi życzeń. Podniosłem słuchawkę dopiero po uprzednim odchrząknięciu, zamierzając brzmieć najspokojniej i najweselej, jak to tylko możliwe, kiedy znajomy, przypomniawszy sobie o mnie, zacznie podpitym głosem wyrzucać mi, że żyję jak pustelnik.

– Wszystko z panem w porządku? – bez powitania zakrakał niespokojnie z drugiej strony przewodu mgliście znajomy głos.

– T-tak… – Byłem tak zaskoczony, że zachłysnąłem się własnymi słowami. – A z k-kim mam przyjemność?

– Major Nabatczikow, Wydział Kryminalny. Dmitriju Aleksiejewiczu, proszę, żeby pan został w domu i nigdzie nie wychodził. Niech pan nie otwiera nikomu drzwi. Pańskie życie może być w niebezpieczeństwie.

Gdzie się podziały te cyniczne, lekceważące nutki, które tak kłuły mnie w uszy podczas mojej ostatniej rozmowy z majorem? Teraz mówił zupełnie inaczej – skrajnie poważnie, lakonicznie. Było jasne, że właśnie teraz Nabatczikow nie udaje, być może dlatego, że odkrył jakieś nowe szczegóły tej sprawy, której całej powagi wcześniej nie rozumiał.

– Słyszy mnie pan, Dmitriju Aleksiejewiczu? Niech panu przez myśl nie przejdzie opuszczać swojego mieszkania! Proszę na mnie czekać. Będę u pana jutro, z samego rana.

– Rozumiem, rozumiem, panie majorze… Czy coś się stało? – Jeśli Nabatczikow miał powód, by tak się denerwować, to lepiej, żebym poznał go od razu, nie czekając do jutra.

– Grupowy mord rytualny. Sekciarze. Być może ofiara z ludzi… Czy wyście zwariowali, w takim stanie chcecie ich wrzucać do karetki?! Porozkładajcie do worków i hermetycznie zamknijcie! – Ostatnie dwa

zdania były wyraźnie adresowane nie do mnie; major krzyczał w bok, do tego widocznie przykrywał słuchawkę dłonią.

– A jaki to, przepraszam, ma związek ze mną? – zaniepokoiłem się.

– Czemu nic mi pan nie powiedział o końcu świata? – z wyrzutem odpowiedział pytaniem tamten.

– Jak… To pan wie?! – Nie zamierzałem się teraz wypierać; czułem bezgraniczną, nieludzką ulgę, że mój sekret jest znany komuś jeszcze, że jest żywa dusza, z którą mogę teraz, nie obawiając się szpitala psychiatrycznego, poważnie przedyskutować sytuację, w której się znalazłem. – Ale skąd? I wierzy pan w to?!

– To nie rozmowa na telefon, Dmitriju Aleksiejewiczu, sam pan powinien rozumieć – przerwał mi sucho. – Proszę, by pan był tak uprzejmy i na nas zaczekał.

Słuchawka szczęknęła i zaczęła wydawać smutne jęki. Dobrą minutę słuchałem krótkich sygnałów, aż wreszcie odwiesiłem ją i włączyłem bezpieczniki. Wróciłem do pokoju i ostrożnie obejrzałem lustro: żadnych śladów czegokolwiek nadnaturalnego. Magia rozwiała się widocznie w momencie, w którym rozległ się dzwonek telefonu od Nabatczikowa. Chciałem myśleć, że jego przyziemność zdoła obronić mnie przed niewyjaśnionymi zjawiskami, a uścisk szczęk milicyjnego buldoga okaże się silniejszy niż śmiertelne objęcia macek wciągających mnie w jukatańską topiel.

Nie wtajemniczałem majora w swoje sekrety, ale coś było mu wiadomo; cóż, byłym gotów wiele mu opowiedzieć. Ciężar, którym mnie obarczono, był zbyt wielki dla mnie samego i o niego nie prosiłem. Czy on wie, jakie to może mieć dla niego konsekwencje? Musi się domyślać, inaczej wątpliwe, czy tak natarczywie by mnie ostrzegał.

Natychmiast położyłem się do łóżka, licząc na to, że przybliży to jutrzejszy poranek, ale ze zdenerwowania przewracałem się z boku na bok przez całą noc, szamocząc się w płytkich wodach snu, ale i tak nie udało mi

się porządnie wyspać. Za to usłyszałem majora, jeszcze kiedy wchodził po schodach, i stałem już w progu, kiedy tylko sięgnął do dzwonka u moich drzwi.

Nabatczikow miał w rękach służbowo wyglądającą teczkę z taniej sztucznej skóry. Nie zdejmując butów niczym gospodarz, przeszedł do kuchni i umieścił teczkę na stole, spojrzawszy na mnie wieloznacznie. Czekałem.

– Czyżby myślał pan, że pański udział w tej historii pozostanie dla organów tajemnicą? – Uśmiechnął się z dobrodusznością inkwizytora.

– Rozumie pan – zacząłem nerwowo – po prostu okoliczności są tak niezwykłe, że wątpiłem we własne zdrowie psychiczne. Sam pan widział ślady jaguara, ale to nie wszystko, był jeszcze golem…

– Nie ma żadnego golema, tak jak i nie ma jaguara. – Zmarszczył brwi major. – Przecież jest pan dorosły. I nie ma potrzeby kierować rozmowy w stronę, która nie ma żadnego związku ze sprawą.

– Jak to nie ma?! – zaprotestowałem, ale tamten machnął ręką niecierpliwie.

– Dlaczego nie powiedział pan, że wie, w jaki sposób zginęła pańska sąsiadka? Zdaje pan sobie sprawę, że staje się pan pierwszym podejrzanym?

– Ja? Ale przecież sam pan widział, mnie też atakowano… – wybełkotałem zmieszany. – Co więcej, to właśnie mnie atakowano… Jaguar… Czy też wilkołak…

– Co pan tak w kółko z tym swoim jaguarem? – rzucił major z rozdrażnieniem. – Podsłuchał pan naszą rozmowę na klatce schodowej i brzytwy się pan chwyta? I dlaczego nie powiedział pan o najważniejszym?

– Najważniejszym?

– Przecież od samego początku świetnie pan wiedział, że cała ta historia kręci się wokół pana i pańskiej pracy!

– Ale skąd pan…

Wtedy ruchem rzeźnika rozpruwającego brzuch prosiakowi rozpiął suwak swojej teczki, wsunął rękę do jej wnętrza i wyciągnął z niej stertę zbryzganych krwią stronic.

– Poznaje pan?!

Tak, poznałem je od razu – te same kartki z tłumaczeniem pierwszych kilku rozdziałów, które skopiowałem przez kalkę na własny użytek, skradzione przez kogoś, kiedy porzuciłem je przy zsypie w jednym z napadów małoduszności. Ale skąd wzięły się u majora?

– Dawał je pan przecież do przeczytania pańskiej sąsiadce? Niech pan tak na mnie nie patrzy, wyjaśnienie, do kogo należały, nie stanowi dla organów najmniejszego problemu. Notatki na marginesach są zrobione tym samym charakterem pisma, jakim napisane przez pana skargi do administracji na sąsiadów alkoholików. Oczywiście, jeśli te donosiki też nie są pisane ręką golema. – Skrzywił się w czymś na podobieństwo uśmiechu.

– To one były u sąsiadki? – Na próżno usiłowałem połączyć wszystko w całość.

– Pańskie wprawki – Nabatczikow potrząsnął kartkami przed moim nosem – nie zostały przez nią sprawiedliwie ocenione, wsadziła je na szafę, razem ze starymi gazetami. Zabójca, szukając tych papierów, nawet nie pomyślał, żeby tam zajrzeć.

– Zapewniam pana, za nic w świecie bym nie… Nie byliśmy tak blisko, żeby…

Nie umiałem nawet sensownie dokończyć zdania: moje myśli pobiegły już w innym kierunku. Biedna Serafima Antonowna… Obwiniałem o kradzież tłumaczenia demony i wilkołaki, ale jak się okazuje, uprzedziła je moja ciekawska sąsiadka. I pewnie zdążyła je nawet przeczytać, nim z resztą papierowych śmieci umieściła je w kolejce do wyrzucenia. Czyli jej straszna śmierć w noc trzęsienia ziemi nie była przypadkowa? „Oni” przyszli po nią, zupełnie tak jak przyszyli wcześniej po pracownika dawnego biura tłumaczeń? Tak jak przychodzili po mnie?

Major bez pytania odgadł, o czym myślę.

– Wątpię, czy zwrócilibyśmy uwagę na te papiery, gdyby nie podejrzane zniknięcie niejakiego obywatela Siemionowa, pracownika biura Abecadło. Charakter pisma ten sam, nie trzeba tęgiej głowy, żeby powiązać oba zabójstwa. Po obywatelu Siemionowie zostało, co prawda, tylko pięć litrów krwi, nierównomiernie rozlanych na dwudziestu metrach kwadratowych powierzchni biurowej. Zadziwiającym zbiegiem okoliczności obywatel Siemionow przyjmował od pana gotowe tłumaczenia z języka hiszpańskiego, o czym świadczą zapiski w dzienniku zleceń.

Znalazłem w sobie siłę, tylko żeby kiwać głową w takt jego wywodów.

– I akurat wczoraj, zaledwie kilka minut po wybiciu północy, muszę porzucić rodzinę i przyjaciół i jechać na Bibiriewo, bo w noworoczną noc na dachu jednego z nowych budynków grupa niezidentyfikowanych sprawców rozcina klatki piersiowe innym osobom, wyrywa ich serca i odrąbuje im głowy. Tyle krwi, poinformuję pana, to dawno nie widziałem. – Zatrzymał się, żeby posmakować mój wstręt i przerażenie z miną, z jaką złe dzieci obserwują męki torturowanych przez nie owadów.

– I co znajdujemy na miejscu zbrodni? – rzekł dramatycznym tonem major, kiedy upewnił się, że osiągnął pożądany efekt. – Dalszy ciąg pańskiej pracy, Dmitriju Aleksiejewiczu. A także pewne jeszcze bardziej niejasne zapiski o nadchodzącym końcu świata.

– Jaki ciąg dalszy? – spytałem oszołomiony.

– Już, już… – Znów wsunął rękę do teczki, pogrzebał w niej i wyciągnął inne kartki, też całe w krwawych plamach. – Tak, tak… gdzie ja to miałem? Aha… „Wiek za wiekiem odkrywa przyszłość Majów i świata całego i prorokuje jego nieunikniony koniec, nazywając dokładnie dzień, kiedy niebiosa spadną na ziemię” – wymamrotał, wodząc palcem po linijkach, i ciągnął dalej: – O, tu jest: „… Zbliżającą się apokalipsę, ażeby dać wtajemniczonym czas, aby obwieścili to, co zamierzone pozostałym Majom, tak aby lud ten miał czas na modlitwy i inne konieczne

przygotowania. Że wiedza ta jest tajemna, i tajemnica ta jest chroniona na równi przez ludzi, demony i bogów!” – zakończył triumfalnie i położył kartki na stole. – Tak więc odkrywamy pańskie tłumaczenie (lub jego ślady) na miejscu wszystkich trzech zabójstw, z których jedno, proszę nie zapominać, jest zbiorowe. Aż się prosi o wyciągnięcie wniosków…

Oparłem się o futrynę drzwi, starając się uspokoić, zebrać myśli, na czas znaleźć argumenty, żeby odeprzeć jego napór.

– Opowiem teraz panu, co się dzieje, a pan wyjawi mi swoją rolę w tej historii, umowa stoi? W Moskwie działa jakaś pogańska sekta, która pod wpływem przepowiedni rozmaitych Indian uroiła sobie, że wkrótce nastąpi koniec świata. Podbudowując swoje przekonania tłumaczonymi przez pana, Dmitriju Aleksiejewiczu, tekstami – chociaż niewykluczone, że po prostu sam pan je produkuje – dokonuje szeregu rytualnych zabójstw. Czasem na ofiary wybiera się ludzi, którzy stają im – lub wam – na drodze, albo po prostu przypadkiem, niczego nawet nie podejrzewając, mają kontakt z waszymi świętymi pismami – tu podniósł ironicznie brwi. – Podobne przypadki zdarzają się u nas na każdym kroku, zagranicą też są znane. Jacyś sataniści, czciciele kogoś tam, staroobrzędowcy… Przestępcy przeważnie uważają siebie za wybranych przez Boga i wierzą, że po Armagedonie dostaną nagrodę. Tak… Odciski paluszków już zdjęliśmy, przeprowadzane są wszystkie ekspertyzy, niedługo będą wyniki. A dopóki jeszcze ich nie ma, tak jak nie ma jeszcze aktu oskarżenia przeciwko panu, może się pan dobrowolnie przyznać, że jest pan przywódcą i przewodnikiem duchowym tej sekty.

Rozpaczliwie pokręciłem głową, niczym związany za ręce i nogi wisielec z kneblem w ustach, dla którego jest to ostatni sposób na wyrażenie swojej niezgody na wyrok.

Ale ponieważ tym razem Nabatczikow zjawił się bez kolegi, rolę tak złego, jak i dobrego policjanta musiał odegrać w pojedynkę. Zły grymas na jego nieogolonej fizjonomii zastąpiła inna mina, przekonująco wyrażająca

zrozumienie, a nawet współczucie.

– A może sam pan jest ofiarą? Wykorzystali pana? Został pan zmuszony, by pracować nad tym tekstem? A teraz jest za późno, żeby się wycofać i obawia się pan o swoje życie?

– Nie wiedziałem, do kogo się zwrócić – wyszeptałem. – Milicja nie zajmuje się mistyką…

– Gdyby pan wiedział, czym to się u nas nie zajmuje milicja. – Ciężko westchnął i nie wiedzieć czemu poklepał się po brzuchu. – I mówię panu, nie ma w tym żadnej mistyki. Widział pan na własne oczy te pańskie tygrysy czy diabły? Nie! I nikt ich nie widział. Przestępcy po prostu próbują zmylić ślad. A może to część obrzędów? Ale wróćmy do sprawy. Twierdzi pan, że tłumaczy pan te dzieła z hiszpańskiego. Może pan pokazać oryginał?

– Oczywiście. Proszę chwilkę poczekać. – Zostawiłem go w kuchni, poczłapałem do pokoju i wróciłem z wyciętymi ze starej księgi stronicami.

– Ten materiał zostaje włączony do sprawy – oznajmił kategorycznie i kartki zniknęły w jego teczce.

– Zaraz, ale ja muszę oddać je agencji tłumaczeniowej…

– Proszę się nie denerwować, oddamy je za pana. Ale na początek musi nam pan podać nazwę samej agencji. – Uśmiechnął się po jezuicku. – Nazwę i adres.

– Akab Tzin. – Trzeba było podyktować ją litera po literze.

Zapisawszy wszystko w notatniku okrągłymi, starannie nakreślonymi literami, Nabatczikow zamknął go i pogroził mi ołówkiem.

– W ciągu najbliższej doby proszę pozostać w domu. Za parę godzin odwiedzimy pańską firmę, a stamtąd już niedaleko do rozwiązania. Ale jeśli jest pan śledzony – a najprawdopodobniej tak jest – nie będzie panu tak łatwo dożyć finału tej historii. – Zebrał ze stołu wszystkie papiery i skierował się do wyjścia. – Musieli właśnie teraz to robić? – zaczął się żalić, zapinając kurtkę. – Tak się wczoraj dobrze siedziało… A dziś

wieczorem mieliśmy iść z dziećmi do teatru, na benefis Anisimowej…

– Jakiej Anisimowej? – zaniepokoiłem się.

– Walentiny Anisimowej. Do teatru lalek. Podobno świetny spektakl, zresztą zdaje mi się, że to o podboju Ameryki Łacińskiej. Wcześniej byliśmy na *Przygodach Pietruszki*, dzieci były zachwycone…

– Niech pan zaczeka… Czy ta Anisimowa nie umarła jeszcze dziesięć lat temu? – zapytałem z zakłopotaniem.

– Co za bzdura! Oczywiście, że nie. Skąd pan to wytrzasnął? Dwa tygodnie temu byłem z rodziną na przedstawieniu, wychodziła na scenę.

Nagle opuściło mnie poczucie realności i żeby upewnić się, że nie śpię niczym Castaneda, popatrzyłem na dłonie, a potem jeszcze uszczypnąłem się ukradkiem w nogę.

– No, co złego, to nie ja. – Wyszedł za próg. – Niech pan będzie grzeczny, to jutro zobaczymy się jeszcze raz.

– Jeśli nie będzie końca świata – burknąłem pod nosem, ale major i tak usłyszał.

– Czyżby pan wierzył w podobne głupoty? – Major pokręcił głową z rozczarowaniem. – Niech pan się obudzi, nic się nie stanie!

Jako wyraz sprzeciwu na dworze zajazgotał alarm samochodu, potem dołączył do niego jeszcze jeden i w ciągu paru chwil, niby zarażone ekscytacją, całe podwórko zaniosło się tą spontaniczną samochodową histerią. Z kuchni dał się słyszeć znajomy już przytłaczający brzęk naczyń i uświadamiając sobie, co się dzieje jako pierwszy, krzyknąłem do Nabatczikowa:

– Tutaj! Pod futrynę! Trzęsienie ziemi!

Kształty ścian i przypominającego siatkową pończochę szybu windy, oślepiające kontury okien zamazały się, straciły ostrość; zdawało się, jakby wszystko wokół pokryło się drobnymi zmarszczkami, jakby nie składało się z twardej materii, a z drżącej miękkiej galarety. Ten dreszcz, idąc przez schody, przez zaciśnięte na futrynie drzwi ręce, przeszedł na nas i jeszcze

przez kilka niekończących się minut trzęsło nami tak bezlitośnie, że pomyślałem: to już…

Słyszałem, jak jęknął cały dom – solidny, rzetelnie i pod przymusem zbudowany przez niemieckich jeńców wojennych, pod lufami skrupulatnych funkcjonariuszy NKWD, opierał się, wrośnięty w ziemię na amen, jak wiekowy dąb. Po suficie rozbiegały się kręte pęknięcia, całymi płatami opadał tynk, pękały cegły; na jednym z górnych pięter z dzikim hukiem runęło coś wielkiego. Podwórko przed wejściem wypełniły przerażone krzyki i piski kobiet. W windzie, która z diabolicznym zgrzytem utknęła piętro wyżej, ktoś wył ze strachu.

Ten atak trwał o wiele dłużej niż pierwsze trzęsienie ziemi – wtedy nie zdążyłem sobie nawet porządnie uzmysłowić, co się dzieje, a już wszystko się skończyło. Za to teraz, kiedy ziemia wreszcie się uspokoiła, nijak nie mogłem uwierzyć, że koszmar minął i wszyscy dostaliśmy jeszcze jedno odroczenie wyroku.

Przetarłem oczy, kaszlnąłem, wyrzucając z płuc sproszkowane wapno. Nabatczikow, z twarzą białą jak u aktorów teatru *kabuki*, stał już wyprostowany i pracowicie się otrzepywał.

– Wszystko pozostaje w mocy – poinformował mnie. – Niech pan się nie da zastraszyć!

– Ale przecież… – Chciałem zaprotestować, ale tamten już raźno zbiegał po schodach; odprowadzając go wzrokiem, zawołałem w ślad za nim: – Całe plecy ma pan białe…

…

Należy wyjaśnić, dlaczego zatem złamałem zakaz majora i sam wyprawiłem się do biura Akab Tzin. Moje spotkanie z nim przebiegło zupełnie nie tak, jak się spodziewałem. Zamiast uważnego słuchacza i obrońcy znów stanął przede mną cyniczny śledczy; niepojęte było nawet, z jakiej racji miałem nadzieję na jego cudowne przeobrażenie po sprawie

z rytualnym zabójstwem.

Nic dziwnego, że poczułem się zdradzony, kiedy ten po złodziejsku wyrwał mi dziennik, a potem obojętnie wydał na pastwę – wszystko jedno: wilkołaków czy sekciarzy zabójców – wykręcając się poradą, żebym „był grzeczny”.

W moim wnętrzu szalała burza; teraz, kiedy zdałem sobie sprawę, że po prostu mnie wykorzystano, decyzja, by otworzyć się przed majorem, pomóc mu w śledztwie, wydawała mi się żałosna, nieprzemyślana, podyktowana jedynie moją naiwnością i samotnością. Zdawało mi się, że zdradziłem tych, którzy zawierzyli mi tajemnice wszechświata. I tylko pragnieniem, by za wszelką cenę okupić swoją winę przed nimi, można wyjaśnić to, z jaką pasją przez następne dwadzieścia minut wykręcałem numer Akab Tzin. Na próżno: po wysłuchaniu kilkuset długich, smutnych sygnałów, zwaliłem wszystko na uszkodzenia kabla telefonicznego, szybko się ubrałem i wybiegłem na dwór. Musiałem koniecznie dotrzeć do biura wcześniej niż milicjanci, żeby ich uprzedzić, żeby wyrazić skruchę i może wybłagać jeszcze przebaczenie.

Wszędzie wyły syreny; pośrodku podwórka karetka pogotowia migała porozumiewawczo do milicyjnego łazika, sanitariusze w kurtkach założonych na białe kitle uwijali się wokół leżących na ziemi noszy. Nic dziwnego, że komuś nie wytrzymało serce, pomyślałem, niewiele brakowało, a ja sam mógłbym się znaleźć na miejscu tego biedaka…

Kilka arbackich domów wyraźnie osiadło; niedawno oddanemu do użytku nuworyszowskiemu wieżowcowi, położonemu obok metra, trzęsienie ziemi jakby wyrwało kręgosłup i budynek wprost na naszych oczach rozłaził się w szwach, okrążony zatrwożonym rojem wozów strażackich i pomarańczowych karetek.

Sadowe Kolco, o tej godzinie nawet w zwykłe dni zaczopowane skrzepami korków samochodowych, dziś nie wytrzymało trzęsienia ziemi i ostatecznie stanęło na wszystkich pasach. Tutaj nie dało się już w niczym

pomóc: pacjent robił się zimny i stwierdziwszy jego zgon, ruszyłem na piechotę. Metro, sądząc ze wszystkiego, znajdowało się w stanie agonalnym: wszystkie dębowe drzwi zostały konwulsyjnie otwarte na oścież, wyrzucając spieniony strumień pokrytych ziemią, potykających się, mrużących oczy pasażerów.

Na ulicach był niewyobrażalny tłum, przy czym większość ludzi stała w miejscu lub niczym lunatycy błąkała się tam i z powrotem: widocznie w panice porzucili swoje mieszkania i oczekując nowych wstrząsów, obawiali się do nich wrócić. Wśród równych rzędów gmachów czerniały wyrwy zapadniętych budynków: na gruzach jednego z nich dwie umazane ziemią staruszki uparcie szturchały swoimi laskami kupę kamieni, zdaje się, próbując odnaleźć swojego zaginionego kota, i nie chciały odejść pomimo nakazów ratowników.

Milicyjni kadeci w czapkach uszankach niezdecydowanie odpędzali co bardziej bezczelnych szabrowników od rozbitych w drobny mak witryn eleganckich sklepów, brzuchaci funkcjonariusze drogówki sprawnie oczyszczali pas ruchu dla pojazdów specjalnych, przeciskające się przez zaułki pogotowie zabierało rannych z klatek schodowych.

Z wczorajszego przedświątecznego zimowego przepychu nic nie zostało: przez noc mocno się ociepliło, zaspy ściemniały i roztopiły się jak rozmiękające na spodeczku z herbatą kawałeczki cukru. Pod stopami chlupało błoto, po którym nie dałoby się przejść nawet stu kroków, nie brudząc sobie beznadziejnie butów i nie ochlapując spodni. Powietrze było nienormalnie ciepłe i wilgotne.

Dopóki starczyło sił, biegłem, potem, kiedy zabrakło mi tchu, szedłem i wreszcie brnąłem wyczerpany – mijając zburzone budynki, które roiły się niczym mrowiska, mijając płaczące kobiety i zawodzące dzieci, mijając zepsute samochody i wyrastające miasteczka namiotowe, rzędy strasznych czarnych plastikowych worków i dorosłych mężczyzn, którzy z tymi workami rozmawiali, jakby to były ich żywe córki, ojcowie, żony…

Moskwa zmieniła się nie do poznania: jeden potworny cios zabrał cały jej blichtr, cały jej świąteczny, syty błogostan; mieszczanie, zwykle patrzący wokół z pewnością siebie i poczuciem wyższości, teraz oglądali się na wszystkie strony bezradnie i bojaźliwie. Girlandy i transparenty noworoczne zwisały porwane na strzępy, i ciężki, pachnący rozkładem wiatr nieprzyjemnie nimi trzepotał, maczał w brunatnych kałużach i znów wznosił w powietrze.

Preludium zostało odegrane.

Głupiec, miernota! Żeby pokornie odstąpić dziennik temu pozbawionemu wiary cynicznemu draniowi, tak tanio sprzedać duszę organom śledczym, kolejny raz chowając głowę w piasek! Dać się nabrać na sztampowe milicyjne sposoby i dyżurne słowa współczucia… Co powiem, kiedy przyjdę do biura z pustymi rękami, bez przetłumaczonego rozdziału, bez oryginału, spocony i żałosny, skruszony Judasz?

Jednak najbardziej bałem się, że Nabatczikow uprzedzi mnie i zanim dotrę do budynku, w którym znajduje się Akab Tzin, będzie on już otoczony przez milicję. Ale ta miała dziś oczywiście wystarczająco dużo trosk i bez tłumaczy sekciarzy; nie zauważyłem żadnych śladów przygotowywanej operacji specjalnej. Żywo trzaskały drzwi wejściowe, uwijali się wchodzący i wychodzący z budynku ludzie: kipiąca w jego pomieszczeniach aktywność biznesowa mimo kataklizmu nie ostygła nawet o jeden stopień.

Prześlizgnąłem się obok zajętego czym innym strażnika, skryłem się w windzie i nacisnąłem przycisk z cyfrą „cztery”. Drzwi się nie zasunęły i winda została w miejscu, chociaż oświetlenie działało. Testując jej sprawność, wcisnąłem inny guzik i po kilku sekundach stałem na drugim piętrze, gdzie mieściła się jakaś firma finansowo-analityczna. Jednak i stamtąd nie udało mi się wjechać na czwarte: przeklęta winda odmawiała reakcji. Znów zjechałem na parter i bezskutecznie próbowałem znaleźć schody ewakuacyjne, po czym zmuszony byłem jednak zdać się na łaskę

strażnika. Tego akurat tu wcześniej nie widziałem, ale uniform miał na sobie taki jak zwykle.

– Coś się stało z windą – oznajmiłem z miejsca, chcąc go zaskoczyć.

– Co takiego? A pan to w ogóle do kogo? – Nastroszył wąsy i wyprostował się.

– Do biura tłumaczeń Akab Tzin, na czwarte piętro. A w waszej windzie nie działa przycisk i nie jedzie na czwarte.

– Kpi pan czy co? – Nachmurzył się tamten. – Jakie znowu biuro tłumaczeń? U nas to bankier na bankierze. Nie ma tu żadnego biura tłumaczeń i odkąd pamiętam, nie było. A siedzę tutaj już od dwóch lat.

– Nie, to pan kpi! – zaperzyłem się. – Jak to nie ma, jeśli dopiero parę dni temu w nim byłem, przynosiłem zlecenie? Mówię panu, jest na czwartym piętrze!

– Jakim znowu czwartym?! Wyjdźcie na dwór, towarzyszu, i popatrzcie – to jest trzypiętrowy budynek! A przycisk nigdy nie działał, tak go po prostu wmontowali, bo nie znaleźli innych paneli kontrolnych. Wszystkiego dobrego! – Popchnął mnie w kierunku wyjścia swoim imponującym brzuchem.

Budynek rzeczywiście miał trzy piętra. Jak ja wcześniej nie zwróciłem na to uwagi?

Przeliczyłem je co najmniej dziesięć razy, obszedłem gmach dookoła i na wszelki wypadek przeliczyłem jeszcze raz. Budynek był niewątpliwie ten sam, tylko jakoś nigdzie nie znalazłem napisu „Biuro tłumaczeń Akab Tzin”. W pełni zdając sobie sprawę, jak głupio musi to wyglądać z boku, potarłem nawet każdą z mosiężnych tabliczek rękawem – a nuż to jakiś pospieszny kamuflaż albo iluzja optyczna? Na próżno robiłem z siebie pośmiewisko: ani jedna z nich się nie poddała; co więcej wszystkie były nieco porysowane, lekko zmatowiałe i całkowicie widoczne wisiały w tym miejscu już nie pierwszy miesiąc.

Splunąwszy z irytacją, cofnąłem się i wpadłem na niewysokiego

chudziutkiego staruszka w nomenklaturowej futrzanej furażerce, stojącego za moimi plecami. Mrużąc krótkowzroczne oczy w okularach o rogowej oprawie, tak jak i ja przeglądał tabliczki z nazwami firm.

– Podpowie mi pan, czy to nie tutaj mieści się biuro tłumaczeń? – zapytał.

– Dwa dni temu jeszcze tu było… Chyba… – odparłem bez przekonania.

– Ach tak. No tak, oczywiście… Cóż, w takim razie będę musiał jakoś inaczej… – ciągnął w zadumie. – Dziękuję, bardzo mi pan pomógł. – Kuśtykając reumatycznym krokiem pingwina staruszek opuścił mnie.

Pewnie bardzo się spieszył i dlatego nie zauważył, jak z kieszeni wyfrunął mu i wylądował w błocie kawałek papieru.

– Proszę zaczekać! Upuścił pan coś! – Ale zanim dobiegłem do miejsca, w którym wypadła mu karteczka, przygłuchy starszy pan zdążył już się skryć za rogiem.

Otrzepałem ją z błota i rozwinąłem. Był na niej pisany wiecznym piórem rozmakający adres – powoli zmieniająca się w dwa kleksy nazwa ulicy i numer domu: „ul. Itzamny 23”.

El Fin del Mundo

(El fin del Mundo)

Zbieg okoliczności? Nie może być!

Imię Itzamny było mi znane lepiej niż jakiegokolwiek innego indiańskiego bóstwa. Najwyższy z bogów, zwieńczenie majańskiego panteonu, wynalazca pisma, opiekun uczonych i astrologów, małżonek świetlistej Ixchel…

Moje myśli mknęły z prędkością, od której kręciło się w głowie. Zupełnie jakbym jechał w wagoniku kolejki górskiej Pętla Śmierci, przelatując obok urywków obrazów, niedokończonych i niewypowiedzianych domysłów, usiłując się w niej utrzymać, kiedy tory konkluzji szczególnie ostro zakręcały…

Staruszek szukał tego samego co ja – biura tłumaczeń, którego, jak zapewniał strażnik, tam nie ma i nigdy nie było, chociaż osobiście nieraz tam przychodziłem. Nieważne, czy Akab Tzin unosi się gdzieś w delikatnym eterze, czy po prostu mieści się w piwnicy, ale zostało głęboko zakonspirowane tuż przed milicyjnym balem maskowym.

Liczy się tylko jedno: biuro to musi istnieć dla dokładnie dwóch osób. Dla tego, kto przynosi tam nowe rozdziały dziennika, i dla przekładającego je z hiszpańskiego na rosyjski, który oddaje mu przetłumaczone strony. A jeśli biuro jest tylko skrzynką pocztową na korespondencję między tymi dwoma ludźmi?

I przecież parę chwil wcześniej rozmawiałem z człowiekiem, który, tak jak ja, był przekonany o istnieniu Akab Tzin! Związek między nim a moją pracą byłby może nie całkiem jasny i chęć, by go odkryć, można by było zrzucić na moją desperację i schizofrenię, gdyby na domiar wszystkiego staruszek nie upuścił notatki z imieniem majańskiego boga. Czy wszystko to mogło być po prostu dziwacznym splotem przypadkowych zdarzeń?

Z góry znając odpowiedź, zerwałem się z miejsca i mocno ściskając w ręku karteczkę, rzuciłem się w pogoń za staruszkiem, który tymczasem skręcił za róg. Coś mi mówiło, że nie trafię już więcej do Akab Tzin. Mogłem się tylko domyślać, co się z nim stało, dlaczego wejście było

zamknięte, a samo metafizyczne biuro odcumowało z naszego wymiaru; lecz jego zniknięcie było widocznie nieodwracalne.

Czy to dlatego, że nie przetrzymałem zesłanych na mnie prób, okazałem się niegodny zaoferowanej mi wiedzy, przez tchórzostwo i własne ograniczenie wydałem to, co pochodzi z nieba, na pastwę ziemskim siłom? Czy też dlatego, że to stronice dziennika konkwistadora, które przetrwały stulecia, były tym właśnie czarodziejskim biletem do innych sfer wszechświata, bez którego przejście było zamknięte dla zwykłych śmiertelników?

Załóżmy nawet, że Akab Tzin zupełnie banalnie ewakuowało się po telefonie z milicji – z pewnością nie miałem już cienia nadziei na zdobycie nowego zlecenia po tym, jak zdradziłem biuro moskiewskiemu Wydziałowi Kryminalnemu i straciłem oryginał jednego z rozdziałów.

Tak czy inaczej, ginący w nieprzeniknionej mgle jedyny most linowy przeciągnięty między mną a zleceniodawcą urywał się; zostałem pozbawiony możliwości dokonania wyboru samodzielnie. Pewnie właśnie dlatego zdawało mi się teraz, że nie ma większej tortury niż zostać zrzuconym z boskiego rydwanu i skazanym, by do końca swoich dni wlec się po zakurzonym poboczu pospolitego w swym bezsensie ludzkiego życia – chociaż jeszcze poprzedniego dnia sam zamierzałem zrezygnować z dalszej pracy nad dziennikiem.

I oto los – przez niedopatrzenie bądź z litości – podarował mi jeszcze jedną, ostatnią niewiarygodną szansę: możliwość poznania tego właśnie tajemniczego zleceniodawcy lub chociaż jego kuriera. Nie miałem po prostu prawa wypuścić jej z ręki!

Przez nieco ponad dwie minuty staruszek zdążył się oddalić na całkiem sporą odległość i gdyby nie staromodna czapka, przyczepiona niczym spławik do ciężarka jego kulejącego kroku, wynurzająca się szarpnięciami z morza głów, nieuchronnie straciłbym go z oczu.

Wcinając się w bezwładną masę ludzką, roztrącając ją ze złością łokciami,

nadeptując ludziom na stopy i ignorując protesty i groźby, przebijałem się w stronę celu. Barankowa czapka, wynurzając się i nurkując, płynęła po prostu z prądem tłumu, gdy tymczasem ja robiłem dobre sześć, a nawet siedem węzłów, w pełni godnych zawziętego rekina. Ale – zadziwiająca rzecz! – dystans między nami nie zmniejszał się przy tym ani o metr. Choćbym nie wiem jak wściekle pracował rękami, napotykając absolutnie zasłużone kuksańce i obelgi, choćbym nie wiem jak mocno wiosłował, nie potrafiłem zbliżyć się do staruszka. Uczucie to nie należało do przyjemnych: było tak, jakbym znalazł się w jednym z tych koszmarnych snów, które wysysają z mięśni całą siłę – starasz się w nich biec, ale tylko na próżno przebierasz ociężałymi nogami jak z galarety i nie ruszasz się z miejsca.

Wtem, ostrym szarpnięciem, jakby haczyk połknęła ogromna ryba, spławik zaczął sunąć w prawo i całkiem szybko zniknął. Starałem się zapamiętać miejsce, w którym utonął w tłumie, wyskoczyłem na jezdnię, o mało nie wpadając pod ryczącą basem ciężarówkę, i pomknąłem wzdłuż chodnika, jak latająca ryba, która wyskoczyła ponad powierzchnię wody, żeby się rozejrzeć. O, to jest właśnie ten billboard, przy którym zniknął! Od alei wypełnionej po brzegi ludźmi odchodził tu w bok niewidocznym dopływem kręty zaułek; czy przypadkiem nie w niego skręcił staruszek?

Znów wbijając się klinem w tłum i rozpychając go ramionami, przedarłem się w poprzek szerokiego chodnika i potargany, spocony, wypadłem na wąską pustą uliczkę, zabudowaną oblazłymi dwupiętrowymi domami. Najwyraźniej tego dnia miałem niewiarygodne szczęście: zaledwie trzysta metrów dalej zobaczyłem znajomą kuśtykającą postać. Gdybym znalazł się tam tylko kilka sekund później, mógłbym stracić staruszka z oczu: akurat dotarł do następnego skrzyżowania i na moich oczach skręcił w lewo.

– Stać! Proszę zaczekać! – krzyknąłem ile sił, ale ten nie zwrócił na mniej najmniejszej uwagi.

Zaułek, w który dał nura na skrzyżowaniu, wyglądał jeszcze bardziej

podejrzanie: stara brukowana nawierzchnia drogi, brudne domy z zatrzaśniętymi na głucho okiennicami, żadnego zaparkowanego samochodu, żadnej żywej duszy.

Jednak nawet przez myśl mi nie przeszło, by zaprzestać pościgu: przecież jeśli staruszek rzeczywiście jest tym, za kogo go biorę, będę mógł otrzymać od niego odpowiedzi na wszystkie pytania. Wszystkie! Kto, jak nie on, ma wiedzieć, jak ekspedycja w selwie zakończyła się dla konkwistadora, który uwierzył w indiańskie podania i proroctwa i został za to wrzucony do studni ofiarnej Majów? Przecież on też musi mieć pozostałe rozdziały dziennika, jeśli te tylko w ogóle istnieją. Czy zachodził do biura, żeby dowiedzieć się o tłumaczenie ostatniej części, skonfiskowanej mi przez majora, czy też chciał oddać im kolejny rozdział? Może ma go teraz przy sobie i muszę go po prostu dogonić, przedstawić się, wyjaśnić…

Po prostu dogonić? Mimo swojego reumatyzmu staruszek poruszał się nad podziw żwawo. Płuca zaczęły mnie już palić, serce nabrzmiało i klatka piersiowa stała się dla niego za ciasna, mięśnie uskarżały się na ból, ale postój na żądanie organizmu był wykluczony. Na próżno próbowałem wciąż dotrzeć krzykiem do rączego staruszka: zgubiłem tylko ustanowiony już rytm oddechu. Czy to odległość między nami była za duża, czy rzeczywiście nie najlepiej słyszał, a może zauważył pogoń i bał się zatrzymywać?

Kiedy wreszcie zwolnił kroku, wydało mi się, że moje opętańcze wołania jednak dosięgły jego uszu. Ale stary po prostu chciał się zorientować w terenie; sekundę później dał nura w najbliższą ciemną bramę. Zanim pokonałem te trzysta pięćdziesiąt kroków, które nas dzieliły, wykorzystał swoją przewagę i zniknął pomiędzy domami. Po krótkim wahaniu podążyłem za nim.

Jeszcze nigdy nie miałem okazji widzieć w tym mieście takich dziwnych, na tyle niepasujących do czasu i miejsca podwórek. Jakbym się znalazł w średniowiecznej Europie z filmów historycznych, wymieszanej pół na

pół z pozbawionymi życia fantazjami graficznymi Eschera. Wąskie, wijące się przejścia zawalone niewyobrażalnymi gratami: dziurawymi wózkami dla dzieci, zniszczonymi meblami, pordzewiałymi rowerami i na wpół roztrzaskanymi posągami z gipsu; podmiejskie płoty z chylącymi się furtkami, umownie rozdzielające czyjeś posiadłości, prowadzące do nieba schody przeciwpożarowe, i nad tym wszystkim, na poziomie ostatniego piętra – zadaszone drewniane galerie, niczym na murze obronnym jakiegoś francuskiego zamku rodowego.

Dobiegały skądś odgłosy rozmów dziecięcych – wesołych i rozkapryszonych, miłosne gruchanie kobiet, huczały przekleństwa, dźwięczała świąteczna zastawa, ale dookoła nikogo nie było i zakurzone okna pozostawały martwe i puste. Zacząłem się domyślać, że staruszek specjalnie skręcił w tę bramę, starając się ukryć. Cóż, udało się: po kilku minutach ostatecznie straciłem go z pola widzenia, a szelest jego kroków, niczym zamieć przykrywająca ślady, zagłuszyły dochodzące ze wszystkich stron widmowe głosy.

Jeszcze przez jakiś czas brnąłem na oślep, aż znalazłem się w ślepej uliczce z niziutkimi drewnianymi drzwiami pod daszkiem z łupkowych dachówek. Klatka schodowa też była niezwykła i najbardziej przypominała prowadzący w górę ciemny szyb, wzdłuż którego ścian szły wąskie – szerokie ledwie na pół metra – schody bez balustrad. Wszechmocny Itzamna mi świadkiem, że mógłbym nawet wspiąć się po nich na samą górę, byle tylko dogonić nieuchwytnego staruszka. Ale tu zauważyłem przed sobą prostokąt światła – na niespokojnym wietrze trzaskały tam jeszcze jedne drzwi. Klatka okazała się przejściowa; stary raczej nie zaczął gramolić się na górę po chybotliwych stopniach, ale wyślizgnął się na ulicę. Za nim!

Popchnąłem drzwi, wyszedłem na zewnątrz i zastygłem oszołomiony. Nie wiadomo jak labirynt podwórek wywiódł mnie na ten sam arbacki zaułek, gdzie znajdowała się biblioteka dla dzieci, która stała się potem moim

pierwszym biurem tłumaczeń. Byłem dwa kroki od mojego mieszkania, choć powrót trwał trzy razy krócej niż czas, którego potrzebowałem, żeby dotrzeć do Akab Tzin! Ki diabeł?

W odróżnieniu od dziwnych uliczek i podwórek, którymi, niczym Alicja Białego Królika u Carrolla, ścigałem domniemanego zleceniodawcę, ten zaułek był pełny ludzi. Stojący najbliżej solidny szary budynek mieszkalny był rozszczepiony na pół jakby gigantyczną siekierą; brzegi rany dość mocno już się rozeszły, obnażając wnętrzności. Od parteru po piąte piętro w powstałej szczelinie widać było połówki mieszkań: tu obklejone starą tapetą sypialnie, tam za duże pieniądze odremontowane salony czy wiszące nad przepaścią sedesy. Widok przypominał ogromny domek dla lalek, który można otworzyć i zajrzeć do środka. We framugach z rzadka migały niebieskie kombinezony ratowników sprawdzających, czy ktoś nie został w tej pułapce. Przed wejściem wznosiła się mała górka kanap, telewizorów, komputerów i wypchanych ubraniami walizek – mieszkańcy ratowali to, co najcenniejsze, zanim wejścia nie otoczyła przybyła na miejsce milicja. I jeszcze teraz zgromadzony wokół tłum buczał z oburzeniem, żądając od milicjantów, by zdjęli kordon i przepuścili go do ginącego budynku.

Czy stara biblioteka ocalała? Ścisnęło mi się serce: ta niepozorna i mało komu potrzebna budowla w arbackim podbrzuszu była jednym z niewielu miejsc w Moskwie, do których odczuwałem niewytłumaczalną tkliwość.

Trzęsienie ziemi oszczędziło ją. Drewniany budynek z dziewiętnastego wieku okazał się solidniejszy od monumentalnych brył stalinowskiego *empire*, niekształtnych monstrów elitarnych osiedli mieszkaniowych i wielopiętrowych kurnych chat z czasów Chruszczowa. Plomby Wydziału Kryminalnego na drzwiach były zerwane: być może zaglądała tam konkurencja z GUSW lub też szabrownicy skorzystali z kataklizmu, żeby poszukać szczęścia w zamkniętym po zbrodni biurze.

Sam nie wiedząc dlaczego, podszedłem do drzwi i chwyciłem klamkę;

nieoczekiwanie lekko ustąpiła i drzwi otworzyły się z cichym skrzypnięciem. Rozejrzałem się jak złodziej i wszedłem do środka. Ten chuligański wybryk na pewno ujdzie mi na sucho: w powszechnym zamieszaniu nikogo nie będzie obchodzić zapomniane biuro tłumaczeń.

Panował tam gęsty półmrok i było duszno jak w krypcie, która pozostawała zamknięta przez stulecia. Zachodzące zimowe słońce nie miało dość siły, by przeniknąć przez zarosłe brudem szyby okien. W głębi pomieszczenia, na podłodze, czerniała straszna, szeroka smuga: widocznie do tej pory nie wpuszczono tu właścicieli biura, a milicja nie miała czasu na zmycie śladów zabójstwa.

Nie odważyłem się zbliżyć i jej obejrzeć; zamiast tego podszedłem do kontuaru, zza którego zwykle witał mnie zgryźliwy Siemionow. Przez słabe światło jego miejsce pracy było prawie niewidoczne, ale jakoś przeczuwałem, co tam znajdę.

Wśród opadłego tynku i książkowego kurzu na blacie spoczywała ona. Wystarczyło mi raz przesunąć palcami po starannie wyprawionej skórze, żeby ją poznać – ozdobioną złotym monogramem aktówkę, w której dostałem pierwszy, a właściwie drugi rozdział starej księgi.

Nie zamierzałem szukać wyjaśnień. Chciwie chwyciłem aktówkę, na łeb, na szyję wyskoczyłem z biblioteki i popędziłem do swojego legowiska. Ani trzęsienia ziemi, ani potwory, ani nawet milicja teraz mnie nie przerażały. Bałem się tylko jednego: że obudzę się zlany potem w swoim łóżku, zaciskając konwulsyjnie puste ręce, w których ledwie kilka chwil wcześniej trzymałem bezcenny ciężar, tę wybłaganą i wycierpianą przeze mnie indulgencję.

…

Na wierzchu leżała złożona cztery razy kartka z zeszytu w kratkę, a pod nią były one! Stronice mojego dziennika! Drżącymi rękami odłożyłem na bok karteczkę – to zaczeka. Cały świat zaczeka…

Iż w rzeczonej studni, albo też w cenote, jak nazywali ją Indianie, przyszło mi spędzić pięć dni i cztery noce, i że okoliczności mego przebywania w owej studni, jak i mego wyswobodzenia były przedziwne i cudowne.

Iż do rozpoczęcia pory deszczowej na Jukatanie pozostało jeszcze kilka niedziel, i dnie były wielce gorące i suche, i że mękę pragnienia zniosłem jedynie dzięki rosie, której krople zlizywałem rankiem z kamiennych ścian cenote. Jednakże bardziej od wody potrzebowałem nadziei na wybawienie, która tajała z każdą godziną spędzoną przeze mnie w niewoli.

Iż pierwszego dnia myślałem, że señor Vasco de Aguilar wspomni o obowiązkach, jakie nakłada na niego jego tytuł i szlachetne pochodzenie, że wspomni także o tych starciach, w którym byliśmy razem i biliśmy się ramię w ramię, i broniliśmy wzajemnie swych karków; i że wróci on i wyratuje mnie z niewoli. Jakoż słowo przeklętego brata Joaquína, tego łotra o rozdwojonym języku, okazało się dla señora Vasco de Aguilara silniejsze niż słowo krwi i honoru; Pan niech go osądzi.

Iż pierwszego dnia, a także dnia drugiego wołałem i wzywałem ze swej studni w nadziei, że przywiedzie to do niej wiarołomnego Vasco de Aguilara bądź któregoś z żołnierzy, jeśli ci zamyślą, by wrócić i pomóc mi, wspomniawszy, że zawsze byłem dla nich litościwy i pobłażałem im. Jednak żaden z nich nie przyszedł; i że wówczas począłem krzyczeć jeszcze głośniej w nadziei, że znajdą mnie Indianie i pomogą się wydostać lub choć śmierć mi zadadzą z nienawiści czy miłosierdzia.

Iż u schyłku drugiego dnia od nieustannych swych krzyków straciłem głos i nie mogłem dalej wołać o pomoc. Iż wówczas to poczęły mnie też opuszczać siły, tak że niemal cały czas spędzałem, leżąc na ziemi twarzą w dół, błagając Pana o wybaczenie. Iż noga moja spuchła i poczęła czernieć, ból zaś w niej był nie do zniesienia. I że myśl o powolnej śmierci w mękach była mi tak wstrętna, że myślałem, aby podnieść na siebie rękę, aby uniknąć cierpień. Iż uczynić to z sobą zamyślałem kamiennym indiańskim nożem, jaki znalazłem pośród kości i czaszek na ziemi.

Jakoż trzeciej nocy, gdy porzuciłem już wszelką nadzieję na ratunek, zaszło dziwne zdarzenie, które nie pozwoliło mi owych grzesznych zamierzeń wypełnić.

Należy wyjaśnić, że indiańskie miasto, gdzie znajdowało się cenote i poszukiwana przez nas piramida, było miejscem porzuconym i pustynnym; stroniły od niego nawet zwierzęta i ptaki, dlatego też i dniem, i nocą wokół panowała cisza. Jednakże w ową noc, o której teraz opowiadam, w pobliżu głośno wrzeszczały małpy, tak jakby coś je przestraszyło. Iż od tego dźwięku ocknąłem się i uznałem, że zwierzęta przestraszyli przechodzący obok ludzie, i znów począłem krzyczeć, zadając pytania po hiszpańsku i w miejscowym narzeczu, czy jest tam kto. Iż sił i głosu starczyło mi ledwie na dwa głośne wołania, po czym znów ochrypłem i mogłem błagać o pomoc jedynie szeptem.

I że po niedługim czasie daleko w górze ujrzałem płomień świecy i oświetloną nim twarz, która zdała mi się twarzą białego człowieka. Iż człowiek ten długo wpatrywał się

w głąb studni, lecz pewnikiem nie mógł mnie dojrzeć. Iż zerwawszy głos, nie wiedziałem, jak zdobyć jego uwagę i przyzwać go na pomoc. I że począłem wówczas machać rękami, i skakać na zdrowej nodze po całej studni, choć druga zadawała mi od tych poruszeń ból nie do zniesienia.

Iż pod koniec moje starania wywarły skutek, i spoglądający w studnię człowiek spostrzegł mnie, gdyż począł wodzić w koło świecą, próbując lepiej mi się przyjrzeć; potem znowu zniknął, ku mojej przeogromnej rozpaczy i rozczarowaniu, i więcej się już nie pojawił.

Iż pozostałą część nocy spędziłem na modlitwach i rozmyślaniach o tym, co się stało, i doszedłem do wniosku, że widziane przeze mnie oblicze należało nie do człowieka, lecz było boskim znakiem, danym mi, abym odtrącił moje grzeszne pomysły i miał odwagę walczyć.

I że tak właśnie postąpiłem; i za to darowane mi było rychłe wybawienie.

Przeczytałem jeszcze raz wersy, w których uwięziony konkwistador opisywał widziany znak. Oto przez mętny całun półprzytomności słyszy krzyki wyjców; chwytając się otartymi do krwi palcami występów kamiennego muru, z trudem podnosi się na nogi. Co takiego krzyczy? „Jest tu kto?!”

„*Hay alguien aquí?!*”

Czy to nie te słowa słyszałem, siedząc w kuchni w noworoczną noc? I, o Boże, kiedy zaglądałem w swoje lustro, czy to nie jego widziałem na dnie studni ofiarnej – rannego, pozbawionego głosu, lecz wciąż jeszcze żywego – ledwie kilka minut po tym, jak się od niego odżegnałem, postawiłem na jego grobie grubo ciosany żołnierski krzyż?

Czyżby czyjś kaprys mógł sprawić, że dzieląca nas wielowiekowa warstwa czasu stopniała do tego stopnia, iż zaczęła przepuszczać światło i dźwięk? Nie wiadomo, może przekształciła się w membranę, przez którą mógłbym nawet wyciągnąć do nieszczęsnego Hiszpana pomocną dłoń, gdybym się nie przestraszył, gdyby nocny telefon alarmowy od Nabatczikowa nie przywrócił mnie do rzeczywistości?

Jakaż to ironia, że tracąc wiarę w to, iż mój konkwistador się uratował, nie umiejąc nawet prawidłowo wytłumaczyć sobie znaczenia i sensu naszego niemożliwego nocnego spotkania, przywróciłem mu nadzieję, a moja

wykrzywiona strachem twarz ukazała mu się jak znak z góry! Znak ten zaś – aby dalej walczyć i nie ustawać w połowie drogi – został dany nie tyle jemu, ile przede wszystkim mnie. Ale ja wziąłem go za diabelskie sztuczki i na dodatek zasłoniłem lustro prześcieradłem, żeby nie przyszło mu więcej do głowy mącić mi w głowie. Głupiec, miernota!

Jednak konkwistador nie mógł się doczekać, by dopowiedzieć mi historię swojego cudownego uwolnienia…

Iż po upływie czterech dni i czterech nocy posłyszałem ludzkie głosy, lecz wyzuty z sił i bez przytomności, nie mogłem nawet wstać i zawołać do nich.

Iż głosy stały się jednak głośniejsze i że posłyszałem, jak wzywają mnie po imieniu, a potem chlusnęli na mnie wodą, od czego odzyskałem przytomność. Iż na górze u wlotu cenote ujrzałem naszego przewodnika Juana Nachiego Cocoma, a z nim kilku jeszcze Indian. Iż ludzie ci zrzucili mi na dół sznury, którymi się obwiązałem, i że za pomocą tych sznurów podnieśli mnie z dna owej straszliwej studni i położyli na żywej zielonej trawie. I że podziękowałem wówczas Przenajświętszej Maryi Dziewicy, i płakałem jak dziecko, a potem znów straciłem przytomność.

Iż obudziłem się w niewielkiej indiańskiej wioseczce i powiedziano mi, że bez przytomności byłem jeszcze kilka dni. I że w wiosce tej mnie karmili i opiekowali się mną, i przykładali uzdrawiające liście do mojej poranionej nogi, przez co minął męczący mnie ból i zeszła opuchlizna.

Iż kiedy wróciły mi rozum i dusza, przyzwałem Juana Nachiego Cocoma i począłem go wypytywać, jak udało mu się uciec od Vasco de Aguilara i brata Joaquína i czemu zechciał wyratować mnie ze studni. Iż przewodnik opowiedział mi, jak na jednym z popasów żołnierze zbuntowali się, nie godząc się, by iść przez bagna; innej zaś drogi nie było, gdyż święty sakb, którym przyszliśmy do Calakmul, wiódł tylko w jedną stronę.

Iż Vasco de Aguilar próbował poskromić buntowników siłą, lecz raniono go śmiertelnie ciosem sztyletu; i że sam Juan Nachi Cocom wyczuł dobry moment, odciął linę, którą był przywiązany do rannego, i zdołał skryć się w zaroślach. Iż, pamiętając o dobrym moim jego traktowaniu i pragnąc mi za nie odpłacić, zawrócił i szedł przez las, póki nie zatrzymali go Indianie mieszkający nieopodal Calakmul. Iż owi Indianie wzięli go w niewolę i z początku chcieli zabić, jakoż kapłan ich, słysząc błagania mego przewodnika, nie pozwolił go stracić, lecz wysłuchał. Gdy dowiedział się, że Juan Nachi Cocom stara się mnie wybawić i że obaj żeśmy ucierpieli, pragnąc uchronić przed zhańbieniem i zniszczeniem starożytne manuskrypty indiańskie, kapłan ten nakazał go uwolnić. Iż nakazał on także wyciągnąć mnie z cenote wbrew tutejszemu zwyczajowi, wedle niego bowiem dla skazanych na śmierć nie ma drogi powrotnej ze studni ofiarnej,

tak jak nie ma dla grzesznej duszy wyjścia z piekła.

Iż z zadziwiającym tym człowiekiem, owym kapłanem, długie miałem potem dysputy, porozumiewając się z nim za pośrednictwem Juana Nachiego Cocoma. I że taką wiedzę mi wyjawił, co przemieniła mnie i przeobraziła moje życie.

Iż wedle słów owego kapłana święta indiańska księga, na którą z polecenia ojca Diega de Landy polował brat Joaquín, była dla jego ludu źródłem wielkich nieszczęść i stąd tak zawzięcie chronili ją przed ciekawskimi. Iż księga ta, całkiem jak mówił mi wcześniej Juan Nachi Cocom, ostatni z synów upadłej dynastii królewskiej, była zbiorem proroctw, z których główne to przepowiednia końca świata.

Iż wiara ludu indiańskiego w nieomylność owych przepowiedni była absolutna, i że wszystkie miasta i wszyscy ludzie, i wszyscy władcy jego żyli w pełnej zgodzie z proroctwami. Dzień zaś naznaczony w owej księdze jako dzień końca świata, wedle kalendarza indiańskiego już nastąpił, i stało się to na stulecia przed przybyciem na Jukatan Hiszpanów.

Iż to, co się dokonało tamtego dnia, stało się dla ludu indiańskiego jego końcem, zarazem zaś straszną jego tajemnicą i ogromnym wstydem. Albowiem czas ten był przez kapłanów wyliczony błędnie i przepowiednia nie ziściła się; jednakże wiara ludu Maya w zagładę świata i w prawość wielkiej przepowiedni oraz słuszność czarowników i astrologów tak była ogromna, że sami wypełnili proroctwo.

Iż wyznaczonego dnia wyszli oni z miast i domy swe spalili, i rozeszli się po lasach, i że nie stało już krajów i księstw, a zostały rozproszone plemiona. Iż z mijającymi latami zapomniane były i sztuka tworzenia posągów, i wznoszenia budowli, w której to osiągnęli Indianie niewypowiedziane mistrzostwo, i pismo, i wiele ceremonii religijnych. I że stał się ów dzień przeklęty nie końcem świata, ale śmiercią narodu; ci zaś, co nie chcieli wierzyć w przepowiednie, byli nazywani odstępcami i znieważani, i domostwa ich były rujnowane, i wioski wydawane na pastwę ognia.

Iż mówił mi kapłan także o tym, jak jego plemię, wiele stuleci wcześniej potężne i sławne księstwo, podupadało rok za rokiem, zmieniając się w dzikusów, i nie pamiętało już, że pozostało ostatnim strażnikiem tej właśnie świętej księgi, co stała się zgubą Maya. Iż ową księgę on sam otrzymał od ojca, gdy ten umierał, ojciec zaś od dziada; i że gdy nadejdzie jego kolej, by umierać, on także miał przekazać manuskrypt synowi swojemu, który także miał stać się kapłanem i strzec go. I że miało to tak trwać, póki żyw wielki indiański bóg Itzamna i inni bogowie i póki świat się nie rozpadnie. Albowiem najcenniejsza i najbardziej niszczycielska tajemnica świętego manuskryptu tkwi w tym, że proroctwo jest prawdziwe, a błędne jest jedynie wyliczenie czasu, którego dokonali astrolodzy objaśniający księgę.

I że każdy syn ludu Maya i każdy żyjący na świecie człowiek, z jakiegokolwiek by był plemienia, któregokolwiek boga by czcił, winien pamiętać, iż świat czeka kres, tak jak człowieka śmierć; i że święty manuskrypt jest tego potwierdzeniem i wiecznym tego

napomnieniem, i dlatego strzec go należy za wszelką cenę.

Jednakże pokusa, aby objaśniać proroctwo i wyliczać dokładny dzień zagłady świata za pomocą owej księgi grzeszna jest i prowadzi do zguby; i że tak jak ongiś stała się ona przyczyną upadku imperium Maya, może także wywieść na pokuszenie, a zatem w popiół obrócić imperium przyszłości, a nawet i wszystkich ludzi żyjących na świecie. Człowiek jest słaby, lękliwy i ciekawy, stąd podobna wiedza jest dla niego groźna.

Iż spytałem wówczas kapłana, czy nie trafiła święta księga w ręce nieczystego mnicha, brata Joaquína, gdy ten ograbił indiańską świątynię w Calakmul. Iż ten pocieszył mnie i objaśnił, że w zbezczeszczonej przez żołnierzy piramidzie leżała podmieniona księga, z pozoru do owego manuskryptu podobna, lecz jawnie kłamliwa i próżna.

Iż spytałem go także, czemuż to powierzył mnie, obcemu, ową tajemnicę, o której nie wie wielu synów jego ludu. I że ten zaprzeczył i wyznał, że indiańska bogini Ixchel nie dała mu łaski posiadania syna, i w wymieraniu rodu swojego widział on znak wymierania Maya. Iż dotarły do niego wieści o brodatych ludziach zza morza i o ich cudownych łodziach, o broni podobnej piorunom i o śmiałości ich w walce. Iż wszystko wzbudziło w nim ciekawość i prosił wielkiego Itzamnę, by odkrył przed nim prawdę o owych ludziach. I że ten posłał mu widzenie, w którym brodaci ludzie zawładnęli ziemiami i Maya, i Azteca, i innych ludów, i panowali nad większością świata.

I że zdecydował wówczas strażnik księgi, iż nie może zabrać ze sobą do grobu tajemnicy końca świata tylko dlatego, że nie ma syna; także i lud jego winien przekazać ją innemu ludowi, jeśli sam nie pozostawił po sobie następców. I że kiedy tak zdecydował, to modlił się do swoich bóstw, pośród których był i bóg śmierci Ah Puch, i bóg słońca Ah Kinchil, i sam Itzamna, i pytał, czy słuszny jest jego zamiar. I że był mu dany znak, który umocnił jego wiarę, że czyni dobrze.

Iż wydarzyło się to kilka miesięcy wcześniej, i że od tej pory, polegając na woli indiańskich bogów, kapłan ten cierpliwie oczekiwał ich pomocy, aż Itzamna wrzucił mnie do swej studni, nie zabierając mi życia. Iż, wedle jego rozumienia, byłem naznaczony przez bogów, aby przyjąć od niego starożytny manuskrypt i uczyniwszy tak, ustrzec go od rozpadu i zapomnienia.

Iż trzecim moim pytaniem do niego było, jak można poznać, że nastaje prawdziwy dzień sądu, i co będzie jego przyczyną. Iż uśmiechnął się wówczas kapłan i rzekł mi, że brodaci ludzie równie są słabi i ciekawi jak jego współplemieńcy; i że nowe wyliczenia, jakich dokonał ojciec jego, dają światu około sześciuset trzydziestu tzolkinów, co w naszej rachubie oznacza czterysta pięćdziesiąt lat. Jednakże przestrzegł mnie powtórnie przed pokusą wyliczania dokładnego dnia końca świata, gdyż jest to sprawą nie ludzką, lecz boską.

I rzekł on do mnie, że Ziemia zginie wówczas, gdy umrze Itzamna – ojciec i przywódca indiańskich bogów, mędrzec i władca całego świata, który wyobraził go sobie i go ucieleśnił.

I że zapowiedzią końca świata stanie się niemoc owego boga, przez którą i świat popadnie w gorączkę.

I że gdy zamknie on oczy po raz ostatni, pogrąży się świat w wiecznych ciemnościach.

I że kiedy zaczną się jego przedśmiertne konwulsje, zwijać się będzie cały świat od straszliwych wstrząsów ziemi i zapadania się gór, i szaleństwa mórz.

A potem nastanie koniec.

Oto są w detalach okoliczności mojej wyprawy do starożytnego indiańskiego miasta Calakmul i pozyskania przeze mnie przedziwnego manuskryptu, którego strzegę po dziś dzień, dla ich opisania zamyśliłem to opowiadanie. O pozostałych zaś rzeczach – i o powrocie do Maní, i o zdemaskowaniu przeze mnie zamysłów ojca de Landy, i gdzie obecnie znajduje się Księga – napisałem już w Rozdziale Pierwszym tego sprawozdania i powtarzanie tego uważam za zbędne.

W nieustannym oczekiwaniu na przepowiedziany dzień, pisane własnoręcznie przez Luisa Casa-del-Lagarta w Madrycie w lipcu 1592 roku od Narodzenia Pańskiego.

I to wszystko?!

Tropikalne tornado szalejące w mojej głowie przez cały czas, kiedy czytałem finalną część opowiadania Luisa Casa-del-Lagarta, wyrwało mi z rąk ostatnią kartkę, lecz długo jeszcze siedziałem, nie śmiejąc drgnąć i nie wierząc, że konkwistador nie ma już nic więcej do powiedzenia.

I wtedy usłyszałem, jak z dźwięcznymi szczęknięciami, wsuwając odpowiednie wypustki w rowki, w jedną całość łączą się rozproszone części tej niewiarygodnej historii.

Jak przypadkowy udział w ekspedycji niezwyczajnego hiszpańskiego oficera, gotowego uwierzyć poganom, zamiast ku chwale Chrystusa spalić ich wioski, staje się planem majańskich bogów.

Jak sensu nabiera trwający cztery i pół stulecia pościg nieznanych sił za tajemniczym zwojem, lub przynajmniej za informacjami o nim, i wysiłki innych sił, by zapobiec temu, nie zważając na ludzkie życie.

Zaczęła się też wyjaśniać moja własna rola i okazała się zupełnie nie tak żałosna, jak wcześniej myślałem; dowodem tego była metafizyczna komunikacja ze mną uwięzionego w cenote Casa-del-Lagarty. (Zaledwie kilka minut później jeszcze raz się to potwierdziło).

I jeszcze coś… Zaskakująco wyraźnie przypomniał mi się chłopczyk rozmawiający ze mną w wagonie metra. Do tej pory nie decydowałem się roztrząsać jego słów, nie będąc całkowicie pewnym, czy nie wywołała ich moja eschatologiczna paranoja. Ale teraz, gdy przeczytałem opowiadanie konkwistadora do końca, błyskawicznie poznałem w nich ostatnie frazy majańskich proroków.

„…znajdź go. Gdyż nieszczęście świata w tym, że chory jest Bóg jego, stąd i świat choruje. W gorączce jest Pan, i jego dzieło gorączkuje. Umiera Bóg, i stworzony przez niego świat umiera. Lecz nie jest jeszcze za późno…”

Kimkolwiek był ten chłopiec i ktokolwiek włożył te słowa w jego usta, czarodziejskim sposobem dopełniały one wyznania Casa-del-Lagarty, który usłuchał rad kapłana i uchylił się przed objaśnianiem przepowiedni, przechowując ją tylko dla potomnych.

Czyżby można było jeszcze coś zrobić? Powiedziano mi przecież: „Lecz nie jest jeszcze za późno…” i „…znajdź go”. Itzamno wszechmogący, znajdź kogo? I jak?!

Przewracając w zamyśleniu stronice dziennika, zahaczyłem wzrokiem o kartkę z zeszytu leżącą w aktówce, którą znalazłem. Notatka? Czy warto czytać cudze listy, jeśli nawet za jedno ciekawe spojrzenie na nieprzeznaczony dla twoich oczu tekst można zapłacić życiem? Oczywiście, że warto!

Charakter pisma był ten sam co na karteczce z adresem, którą upuścił uciekający staruszek; poznałem też atrament wiecznego pióra. Nie mogło być wątpliwości: przed biurem Akab Tzin zetknąłem się twarzą w twarz ze zleceniodawcą we własnej osobie. Nie poznał mnie, i nic dziwnego: do tej pory nigdy się nie spotkaliśmy. Zagadkowe było tylko dla mnie jego postanowienie, by zanieść aktówkę z ostatnim rozdziałem do porzuconej agencji tłumaczeniowej na Arbacie… Rozwinąłem kartkę.

„Niech się Pan nie martwi poprzednim rozdziałem. Proszę najpierw

przetłumaczyć ten, a następnie przynieść oba naraz. I proszę, niech się Pan pospieszy! Pozostało bardzo mało czasu. J.K.”.

El Templo de la Memoria

(EL Templo de la Memoria)

Podchwytliwe pytanie: gdzie w Moskwie znajduje się ulica Itzamny?

Rozumując zdroworozsądkowo, w tym mieście nie ma miejsca na aleje, bulwary i place nazwane na cześć bóstw Majów. Jednak trzymałem w dłoniach karteczkę z adresem „ul. Itzamny 23", i tam mnie oczekiwano. Od tego, jak szybko zdołam odnaleźć tę ulicę, zależało coś o wiele ważniejszego niż tylko mój własny los.

Głupotą byłoby myśleć, że na planach i w atlasach samochodowych Moskwy oznaczono wszystkie istniejące zaułki i budynki: sekretnych miejsc jest tu pod dostatkiem. Nadzieja na odnalezienie ulicy imienia głównego boga majańskiego panteonu nie opuszczała mnie jednak i wciąż posuwałem się z lupą po ogromnej topograficznej mapie miasta.

Notatka z adresem była jedynym punktem zaczepienia, jaki miałem. Oczywiście najpierw musiałem spełnić prośbę zleceniodawcy i jak najszybciej przetłumaczyć ostatni rozdział dzieła Casa-del-Lagarty; potem należało go zwrócić tajemniczemu starszemu panu. Mogłem oczywiście zostawić tłumaczenie na kontuarze w dawnej bibliotece – w tym samym miejscu, gdzie znalazłem aktówkę, ale czułem, że muszę w końcu spotkać się osobiście z tym człowiekiem i usłyszeć od niego wyjaśnienia. Do tego wszystkiego po raz pierwszy zwrócił się on bezpośrednio do mnie; to dowodziło, że między nami rzeczywiście wytworzyła się jakaś specjalna więź, i miałem prawo liczyć na jego szczerość.

Kazał mi się spieszyć. Sam też rozumiałem, że czas się kończy. Ale czy mogłem cokolwiek zmienić? Wątpiłem, czy można zatrzymać lub chociaż spowolnić nadciągającą apokalipsę, wystukując na maszynie tłumaczenie kryptohistorycznego dokumentu; czegoś takiego nie wymyślił jeszcze żaden superbohater rodem z amerykańskiego kina, obfitującego w efektowne scenariusze końca świata. Również indiańscy prorocy nie zapowiadali nadejścia mesjasza, do którego roli mógłbym pretendować, gdyby nie zepsuła mi się maszyna do pisania. Byłem stanowczo w beznadziejnej sytuacji. I przy tym wszystkim dobrze wiedziałem, że z tej

drogi nie ma odwrotu, i byłem gotów iść nią do samego końca.

„Znajdź go”, „jeszcze nie jest za późno…”. Gdyby to wezwanie nie było tak absurdalne, uznałbym, że chodzi o to, by odszukać samego umierającego majańskiego boga. Jednak w takim przypadku trzeba by co najmniej lecieć do Meksyku, a ja nawet nie mam paszportu. A więc o kogo chodzi? Wyjaśnić te słowa mógł tylko jeden człowiek – podpisujący się inicjałami „J.K.” staruszek, który wciągnął mnie w tę fantastyczną intrygę. Zresztą co właściwie mogą oznaczać te litery? Z pewnością chodzi o słowo „Jukatan”…

A zatem jednak ulica Itzamny. Ulica, której nie było na żadnej moskiewskiej mapie, planie, w książce telefonicznej ani atlasie samochodowym. Poświęciłem około dwóch godzin, żeby ostatecznie się o tym przekonać.

Wymęczony migającymi mi przed oczami niebiesko-białymi splotami zaułków i bulwarów, zabrałem się do rzeczy od drugiej strony. Może jeśli przetłumaczę ostatni rozdział, zleceniodawca sam mnie odszuka, tak jak to robił dotychczas?

Wlałem w siebie tyle kawy, że aż zaczęło mi wariować serce, i cztery godziny z rzędu przepisywałem na czysto ostatni rozdział. Jednak ten wcześniejszy, zabrany mi przez Nabatczikowa, mogłem odtworzyć jedynie w przybliżeniu, ponieważ czytając go, robiłem tylko szkic tłumaczenia, licząc na to, że wrócę potem do oryginału i stworzę ostateczną wersję.

Raczej nie należało mieć nadziei na miękkie serce majora i chęć pomocy. Niejasne było, dlaczego do tej pory nie zjawił się u mnie, by żądać wyjaśnienia moich fałszywych wskazówek co do lokalizacji biura Akab Tzin. Czyżby zamierzał szturmować diabelskie biuro po upływie kilku godzin od naszego spotkania? Trzęsienie ziemi musiało mu jednak pokrzyżować plany. Ale wkrótce na pewno się opamięta i zabierze za mnie, więc liczy się każda minuta, którą mogę poświęcić pracy.

Zdaje się, że sąsiad z siódmego miał elektryczną maszynę do pisania.

W żadnym wypadku nie mogłem czekać, aż Olimpia wróci z naprawy; mam nadzieję, że staruszka wybaczyła mi tę małą zdradę. Bogowie mi świadkami, że oddając ją do warsztatu, wcale nie próbowałem pod pozorem krótkiej hospitalizacji zwabić jej do domu starców.

Nasza winda, która od podziemnych wstrząsów doznała udaru, została sparaliżowana pomiędzy trzecim a czwartym piętrem; tak że zanim zapukałem do sąsiadów, musiałem pokonać osiem odcinków schodów. Prąd włączyli akurat dwadzieścia minut wcześniej i cała rodzina zebrała się w kuchni, gdzie charcząc od nagromadzenia emocji, ryczał telewizor.

W stolicy w katastrofie zginęło ponad tysiąc osób, drugie tyle na razie uznano za zaginionych. Po trzech–czterech dniach jak zwykle zrezygnują z poszukiwań, a w ruiny zostanie posłany ciężki sprzęt budowlany, który przekształci zawalone budynki w masowe mogiły, lecz na razie władze zaklinały się, że zrobią wszystko, by uratować każde ludzkie życie.

Oto po podniesieniu dziesięciometrowej żelaznej belki z przypadkowego ukrycia wydobywają zapłakaną małą dziewczynkę. Takich cudów będzie ledwie dwa czy trzy na całe przerażone miasto, ale da to nowe siły tysiącom ludzi wściekle rozgrzebujących ruiny swoich domów pokaleczonymi palcami i wykręcających wciąż i wciąż numery sztabów Ministerstwa Sytuacji Nadzwyczajnych. Co może być straszniejsze i bardziej męczące od nadziei?

Teraz szpitale – tak to już jest urządzone w telewizji. Starcy beczący jak niemowlęta, ponuro milczące dzieci o oczach starych ludzi, bandaże, bandaże, bandaże… Potrzebna nam krew do transfuzji, dużo krwi. Morze krwi…

A to tylko Moskwa, a jest przecież jeszcze Petersburg i Jekaterynburg, i Soczi, i Machaczkała, i Władywostok. Jest jeszcze na wpół zatopiony Nowy Jork i dziesiątki tysięcy jego mieszkańców, którzy nie zdążyli się ewakuować i zostali w swoich mieszkaniach z płucami pełnymi słonej wody. I Tokio z zawalonymi stukondygnacyjnymi wieżowcami, które

przygniotły całe kwartały ulic; i szare kwadraciki dachów z czarnymi punkcikami ludzi, którzy wypłynęli na powierzchnię – wszystko, co zostało z pogrążonego w głębinach japońskiego miasta Kobe. I umazani potem wymieszanym z krwią Hindusi, dla nich setki tysięcy zmiażdżonych przez kataklizm martwych ciał za kilka dni stanie się przyczyną nieuniknionej epidemii, która pochłonie wiele milionów ofiar.

Kiedy przestąpiłem przez próg kuchni sąsiadów, sam stałem dziesięć, dwadzieścia minut – osłupiały, ze wzrokiem przyklejonym do ekranu, bojąc się wydać jakikolwiek szelest i nie mając odwagi odezwać się na temat tej idiotycznej maszyny. I dopiero kiedy blok informacji poświęconych Armagedonowi dobiegł końca, otworzyłem usta.

– Siergieju Andriejewiczu, miał pan maszynę do pisania, pamięta pan?

„Zwrot w sprawie grupowego zabójstwa w moskiewskiej dzielnicy Bibiriewo” – bezlitośnie przerwał mi telewizor.

Kadry z miejsca zdarzenia: ludzie w milicyjnych mundurach stąpają ostrożnie po zalanej zasychającą krwią posadzce; sanitariusze układają na nosze zesztywniałe trupy w niezwykłych strojach: w czymś jaskrawym, ozdobionym, jak się zdaje, ptasimi piórami; zbliżenie – ręka z drogim szwajcarskim zegarkiem, potem walająca się po podłodze dziwaczna maska, budząca skojarzenia z ilustracjami z książki Jagoniela.

„Tożsamość niektórych ofiar została ustalona” – na ekranie pojawiają się zdjęcia żywych, uśmiechniętych ludzi; jakże trudno dobrać odpowiednią fotografię do nekrologu i na nagrobek… W trzech z nich rozpoznaję pracowników agencji Akab Tzin – krótko ostrzyżoną młodą dziewczynę, zadbaną brunetkę i *macho* z okładki kolorowego magazynu. Boże, Boże… Czuję się, jakby i mnie przykryła, ogłuszyła ciężka oceaniczna fala… „W Nowy Rok nie pracujemy ze względu na rytuały”. Jakie diabelskie ceremonie odprawiali na dachu bloku w Bibiriewie? Czyżby zgodzili się iść dobrowolnie na rzeź, czy też ktoś wmieszał się w ich obrzędy? I jeśli tylko Nabatczikow nie skłamał, żeby skłonić mnie do przyznania się, po co im

były kopie mojego tłumaczenia?

A oto i sam major, nie patrząc w kamerę, niespodziewanie suchymi, zwięzłymi słowami wyjaśnia coś reporterowi. Stop-klatka ze zbliżeniem twarzy śledczego…

„Dopiero co otrzymaliśmy informację, że kierujący śledztwem major Piotr Nabatczikow jest poszukiwany. Według oświadczenia biura prasowego GUSW miasta Moskwy są wszelkie podstawy, by obawiać się o jego życie. Na razie nie wiadomo, czy zniknięcie majora Nabatczikowa jest związane z ostatnią sprawą, jaką prowadził”.

Zatoczyłem ręką koło w poszukiwaniu krzesła i bez pytania odkręciłem kran z wodą. Cholerny idiota! Mówiłem mu, jacy znowu sekciarze… Biedak…

– Dobrze się pan czuje, Dmitriju Aleksiejewiczu? – ocknął się sąsiad.

– Dobrego to, szczerze mówiąc, nie za dużo… Właściwie to chciałem spytać o maszynę do pisania – wydusiłem z siebie po wypiciu pełnej szklanki i nalaniu sobie drugiej.

– A co pan ma zamiar pisać? – zainteresował się, będąc już na antresoli.

– Testament – spróbowałem zażartować, ale Siergiej Andriejewicz skinął ze zrozumieniem głową.

…

Pismo wydało mi się podobne do tego, którym Nabatczikow zapisywał moje zeznania, i z niemałą dozą ulgi uznałem, że majorowi nie stało się nic złego.

Wiadomość włożono mi pod drzwi; widocznie człowiek, który ją przyniósł – może i sam Nabatczikow – przyszedł akurat w chwili, kiedy poszedłem do sąsiadów. Nikt mu nie otworzył, więc zostawił notkę:

„Jeśli chce Pan dostać z powrotem to, co Panu zabrano, proszę przyjść dzisiaj o godzinie drugiej po północy na bulwar Gogola”.

W tym momencie pomyślałem tylko o skonfiskowanym rozdziale, którego

tłumaczenie miałem oddać najszybciej, jak się da; niczego innego nikt ode mnie nie zabierał. Zaniepokoiło mnie trochę, że życzliwy autor, niczym postać z powieści kryminalnej, wolał pozostać anonimowy. Jednak charakter pisma, powtórzę, wydał mi się znajomy. Aby odzyskać stracony oryginał, byłem gotowy do o wiele większych poświęceń niż nocna pielgrzymka pod pomnik autora *Wija*.

Dlatego, kiedy rozprawiłem się z korektą przekładu finałowego rozdziału opowieści Luisa Casa-del-Lagarty, nie mogłem się doczekać nadejścia umówionej godziny.

Mimo późnej pory na Arbacie, w oślepiającym świetle reflektorów, w dwóch czy trzech miejscach wciąż pracowali ratownicy. Jednak bulwary znajdowały się jakby na terenie innego państwa: panowała tu całkowita pustka i kłębiła się tak gęsta mgła, jakby na ziemię opadła chmura burzowa.

Moskwa to miasto, w którym prawie nigdy nie robi się ciemno. Lśnią neonowe reklamy, nie żałują sił nocne rampy podświetlające, w których świetle pozują zadowolone z siebie, przeżywające w nocy drugie narodziny, nawet najbardziej umorusane i niepokaźne moskiewskie domy. Wiecznie unoszące się nad miastem opary, mieszanka wyziewów setek fabryk i milionów ludzi, wchłania ten jarmarczny blask i zaczyna wydzielać własne blade fosforyzujące światło.

Ale w tę noc bulwary były jakby nakryte kloszem; panował tu gęsty, duszny półmrok. Paliła się co dziesiąta latarnia, przeobrażając zamgloną aleję w łańcuch uchodzących w dal mrugających mlecznym światłem kul obrosłych gołymi gałęziami martwych drzew. Kiedy tylko zbliżyłem się do pokrytego zimnym potem skamieniałego pisarza, od razu pożałowałem, że uległem pokusie i przyszedłem na spotkanie.

Wjazd na bulwary był pewnie zamknięty ze względu na zawalone budynki; przez cały ten czas nie minął mnie żaden samochód. Wszystkie okna domów były absolutnie czarne, jakby zabroniono im wyglądać na bulwar. Widocznie nie zdążyli tu jeszcze włączyć prądu, uspokajałem sam

siebie, ale słabo mi to wychodziło: nikt by nawet nie zauważył, gdyby coś się teraz ze mną stało.

Obejrzałem się nerwowo: nikogo. Może to po prostu czyjś dowcip? Eksperyment w śledztwie? Chyłkiem, powoli ruszyłem naprzód. W liście nie było informacji, gdzie dokładnie wyznaczono mi spotkanie, tak więc trzeba będzie pokonać całą odległość od pomnika Gogola do Kropotkinskiej…

Aleja była pusta. Przeszukałem ją do samego końca i podchodząc już do pawilonów handlowych stacji metra, przyspieszyłem kroku, żeby się upewnić, że zostałem nabrany. Być może w tej samej chwili, wykorzystując moją nieobecność, złoczyńcy włamują mi się do mieszkania, żeby zdobyć ostatni rozdział dziennika! Odwróciłem się gwałtownie, zamierzając rzucić wszystko i biec do domu, i wtedy zobaczyłem…

…Jakieś trzydzieści kroków za moimi plecami w kokonie światła czerniała dziwna postać. Na pierwszy rzut oka ludzka, jednak niepokoiło w niej nienaturalne wygięcie rąk i nóg, wykręcona poza, bezwolnie zwisająca głowa. Przy tym w tej sylwetce było coś nieuchwytnie znajomego…

Stworzenie zrobiło krok w moją stronę: gwałtownym ruchem zadarło do góry kolano, szarpnęło miednicą i z jakąś niezrozumiałą lekkością przeniosło się o dobre półtora metra naprzód, zatrzymując się w cieniu. Stamtąd kiwnęło na mnie, jakby próbując mnie ośmielić: głowa ostro wychyliła się do tyłu i znów opadła na pierś.

Sam też chciałem się do niego zbliżyć, ale breja z topniejącego śniegu, cienko rozsmarowana po czarnym asfalcie, zamieniła się w istne ruchome piaski: nogi mi w niej więzły, odmawiały posłuszeństwa. Złowieszcza ciemna postać była prawie nieruchoma – lekko się tylko kołysała, jakby na wietrze – i nie przejawiała żadnej wrogości. Jednak strach, jaki poczułem, kiedy pierwszy raz na nią spojrzałem, nie ustępował temu, co musiałem przeżyć, kiedy mierzyłem się z wdzierającym się do mojego domu

golemem.

Ręka stwora wisząca martwo wzdłuż tułowia poderwała się nagle do góry i opisawszy półkole, znów sflaczała; ruch ten powtórzył się jeszcze kilka razy, aż zrozumiałem, że wzywa mnie do siebie. Opuściłem wzrok, głęboko westchnąłem, próbując oczyścić myśli, i zmusiłem się do zrobienia dwudziestu sztywnych kroków naprzód.

Popatrzyłem na niego ponownie, nie wytrzymałem i zacząłem się żegnać: choć duszę wypełniała mi spieniona mieszanka naukowego ateizmu i majańskich zabobonów, moje ręce same zaczęły kreślić obronny znak krzyża; ewidentnie tak się u mnie przejawiała osławiona pamięć genetyczna.

To jednak był człowiek.

Przez rozerwaną kurtkę zauważyłem czerniejącą mu na piersi koszmarną ranę. Głowa zwisała mu w dół i w bok, ale kiedy odważyłem się oderwać wzrok od ziemi, drgnęła i podniosła się, odpowiadając na moje spojrzenie.

To był Nabatczikow, beznadziejnie martwy, ale w niepojęty sposób trzymający się na nogach. Niewidzące oczy pozostawały otwarte, ale uciekły mu w głąb oczodołów; na ustach i nozdrzach miał zaschniętą krwawą pianę. Jedna z niezgrabnie wykręconych rąk przyciskała do boku nieszczęsną aktówkę ze skaju. Kolana biednego majora były nieco ugięte i całe ciało pochylało się ciężko do przodu – poza ta była sprzeczna ze wszystkimi wyobrażeniami o działaniu układu ruchu u człowieka. Poza, w której nie da się ustać, chyba że…

O Boże…

To, co z początku wziąłem za srebrzyste błyski mieniącej się mgły, było pobłyskującymi w świetle latarni ledwie dostrzegalnymi nitkami, które prowadziły od łokci, nadgarstków, kolan, pięt, miednicy, ramion i czoła martwego majora gdzieś wysoko w górę. To na tych linkach wisiało jego wypatroszone ciało, to one nim poruszały, niczym ogromną lalką. Kimkolwiek był potworny władca marionetek, nadal pozostawał dla mnie

anonimowy: nie ośmieliłem się spojrzeć w górę.

Odskoczyłem do tylu przerażony, ale nim zdążyłem uciec, nieboszczyk machnął jeszcze przed siebie ręką i na asfalt spadła jego aktówka. Oddawał mi ją… Zwracał mi to, co mi zabrano, tak jak zapowiadała wsunięta pod moje drzwi wiadomość. Czyż nie po to tutaj przyszedłem?

Nabatczikow taktownie zrobił krok do tyłu. Nie przestając się żegnać, podniosłem z asfaltu aktówkę i ślizgając się, i o mało nie przewracając, rzuciłem się do ucieczki z tego przeklętego miejsca. Dopiero kiedy oddaliłem się od niego na jakieś dwieście kroków, zwolniłem i obejrzałem się. Nieszczęsny major stał tam, gdzie go zostawiłem, i jakimś nienormalnie żywym ruchem machał mi smutno na pożegnanie…

…

Tego wieczora po raz pierwszy w ostatnich latach porządnie się napiłem. Butelka szkockiej whisky odłożona przeze mnie na specjalną okazję była jak znalazł. Dopiero po opróżnieniu jej do połowy nabrałem śmiałości, żeby zajrzeć do aktówki zabitego. Wyciągnąłem stamtąd drogocenne stronice, a resztę wyrzuciłem do zsypu, pijacko błagając skazaną na tułaczkę duszę majora, by wybaczyła mi to, co się stało. O tym, że pozostawiam ślady, które robią ze mnie głównego podejrzanego o zlikwidowanie Nabatczikowa, nie myślałem. Zresztą, czy to nie wszystko jedno, jeśli wszechświat niedługo diabli wezmą…

Potem, zdaje się, długo jeszcze płakałem, krzyczałem coś gniewnie w okno, wygrażałem pochmurnemu i milczącemu niebu, zapominając o środkach ostrożności, a kiedy osuszyłem butelkę whisky, odkorkowałem szampana… Ale nie odważyłem się tykać kartek dziennika i ukończonej części tłumaczenia. W końcu zapadłem w sen, leżąc na posadzce w łazience, dokąd poszedłem z powodu mdłości.

Ocknąłem się, bo jakieś stworzenie polizało moją rękę. Z trudem podniosłem opuchnięte powieki i spróbowałem powstrzymać spazmy

żołądka. Doczołgałem się do wanny i jakieś pięć minut chlustałem sobie w twarz zimną wodą, aż byłem w stanie chociaż w miarę rozumieć, co się dzieje. I dopiero wtedy się odwróciłem.

Pośrodku pomieszczenia, zachęcająco stukając w podłogę ogonem, siedział mój pies. Widocznie wciąż jeszcze spałem. Ale jaki to był realistyczny kac! Wszystko jak w życiu, nawet błędnik zaczął mi wariować, kiedy spróbowałem się podnieść.

Pies był w stanie wyraźnego podniecenia: niecierpliwie popiskiwał, zrywał się, żeby do mnie podbiec, ale czekał, aż zwrócę na niego uwagę. I dopiero po tym, jak czule potargałem mu sierść na karku, przestał się powstrzymywać, podskoczył i starał się polizać mnie w nos. Potem wybiegł do przedpokoju i wrócił ze smyczą w zębach. No właśnie, sen, do tego ze zwykłym scenariuszem; chwała bogom, bo po spotkaniu z Nabatczikowem na bulwarze stwierdziłem już ostatecznie, że przez wszystkie ostatnie dni próbuję się wydostać spod bezkresnego, gorącego i grubego prześcieradła koszmaru, z rozpaczy biorąc go za rzeczywistość… Ale przecież nie może być snu we śnie? Prawda?!

Stanowczo nie chciałem już wychodzić z domu. Ale pies wyciągał mnie na dwór tak natarczywie, że musiałem ustąpić. Koniec końców, to przecież sen, a poza tym dawno już go nie wyprowadzałem.

Domy i ulice nie były dekoracjami teatralnymi, jak często bywa w snach: były nieomal prawdziwe, tyle że nie zauważyłem nigdzie śladów trzęsienia ziemi. Dookoła spieszyli się dokądś w swoich iluzorycznych sprawach szarzy ludzie bez twarzy, zwyczajni statyści moich widzeń sennych. Słowem, nic szczególnego – sen jak sen, tyle że pies znów dziwnie się zachowywał.

Po spuszczeniu ze smyczy, zamiast radośnie latać dookoła, zaglądał mi błagalnie w oczy, łapał zębami za poły palta i dokądś ciągnął, odbiegał, pokazując prawidłowy kierunek, potem wracał i szczekał na mnie, zarzucając mi brak domyślności.

Prowadził mnie do miejsca, gdzie w niepojęty sposób splatały się pulsujące magiczne wątki całej historii związanej ze starą hiszpańską księgą: do dawnej biblioteki dla dzieci.

Po obejściu budynku pies stanął jak wryty przed wysoką żelazną bramą, wciśniętą między dwie stare żółte kamienice, i głośno zaszczekał. Gdyby mnie tu nie przyprowadził, wątpliwe, czy kiedykolwiek zwróciłbym uwagę na tę bramę, wyglądającą jak wjazd na podwórko sklepu spożywczego czy jakiegoś urzędu. Ale coś z nią było nie tak; wsłuchując się w szczekanie psa, czułem, jak w mojej pamięci budzą się, wirując niespokojnie, mgliste, na wpół zapomniane obrazy. Coś związanego z Diego de Landą…

Historia z klucznikiem klasztoru Świętego Michała Archanioła w Maní, obudzonym przez psy, które zerwały się z łańcucha i doprowadziły go do tajemnych świątyń Majów w jaskiniach nieopodal kaplicy! Jeśli wierzyć de Landzie, od znaleziska, którego pięć wieków temu dokonały te psy, wszystko się w istocie zaczęło. A co znalazł mój pies? Brama była szczelnie zamknięta na solidną kłódkę, nie udało mi się dojrzeć, co jest za nią. Postanowiłem jednak, że koniecznie wrócę tam nazajutrz, i żeby o tym nie zapomnieć, ugryzłem się w rękę, robiąc znak ku pamięci: we śnie w ogóle robi się dużo niezrozumiałych rzeczy.

Przebudzenie po raz drugi w tym samym miejscu i ponowne odkrycie u siebie tych samych nieuniknionych symptomów było jeszcze większą torturą. Jednak teraz wszystko działo się na jawie. Dręczyło mnie nieludzkie pragnienie, podłoga była gruntownie zapaskudzona, a w głowie ciążyła mi jakby żelazna kula, podobna do przetaczającego się odważnika, który wsadza się dla równowagi do waniek-wstaniek, tylko że ze mną ten zabawny trik wyglądał dokładnie odwrotnie.

Sine ślady zębów na ręce przypomniały mi o tym, co mi się przyśniło.

Moją pierwszą myślą była cicha nadzieja, że snem okażą się obie nocne przechadzki: spiłem się wczoraj wieczorem do nieprzytomności, i oto rezultat. Ale przedostatni rozdział, ułożony w kształtny stosik, czekał na

mnie na biurku. To zaś, stojąc pośrodku pogrążonego w rozgardiaszu pokoju, pozostało wyzywająco nietknięte i posprzątane, niczym chytrze neutralna Szwajcaria w zrujnowanej wojną światową Europie.

Miałem uczucie piekącego wstydu wymieszanego z mdłościami i powlokłem się z powrotem do łazienki. Nie było nawet sensu myśleć o tym, żeby usiąść do pracy w takim stanie. Najlepsze, co mogłem zrobić, to wyjść na dwór i się przewietrzyć, przy okazji doczłapię do biblioteki, przyjrzę się okolicy. Nie wiadomo, może brama, pod którą zaprowadził mnie pies, rzeczywiście tam stoi?

Chwiejąc się jak zadżumiony, powoli brnąłem po Arbacie. Ulica ożywała, z porażającą szybkością strząsając z siebie ślady trzęsienia ziemi: w ciągu jednego ranka prawie na wszystkich zniszczonych domach wyrosły rusztowania, po których snuli się podobni do Indian gastarbeiterzy z Azji Środkowej. Wiele budynków lśniło już świeżą farbą: Moskwa, wielka nierządnica, ze wszystkich sił starała się pod grubą warstwą makijażu ukryć ślady wczorajszych razów.

Muszę przyznać, że obchodząc dawną bibliotekę dookoła, nie liczyłem wcale, iż znajdę za nią tę szarą bramę. Ile to już razy zdarzało się, że pies w moich snach prowadził mnie w nieistniejące miejsca, przynosił nieistniejące przedmioty lub zapewniał mnie, iż pozostanie żywy i radosny, nawet kiedy się obudzę.

Brama stała tam jak wół. Jakieś trzy metry wysokości, nie mniej, zatrzaśnięta na głucho, na dodatek z drutem kolczastym na górze. Na jednym ze skrzydeł przybito zakaz wjazdu, żadnych innych znaków ani napisów nie było. Słowem, wszystko, kropka w kropkę, jak w dzisiejszym śnie.

Łaziłem wokół niej pewnie co najmniej dziesięć minut, na wszelkie sposoby próbując zajrzeć do środka i spodziewając się, że zaraz zza bramy wyjdzie strażnik, a może nawet milicjant z automatem i poprosi mnie o okazanie dokumentów, których, jak na złość, nie wziąłem ze sobą.

I dopiero potem, przeżywszy już w myślach przyszłe upokorzenie, po prostu podszedłem pod same wrota i pociągnąłem je do siebie. Poddały się nadspodziewanie łatwo, odkrywając wąski, lecz długi deptak, ciągnący się aż po horyzont. Na budynku stojącym najbliżej mnie huśtała się zerwana z gwoździa tabliczka: „ul. Itzamny”, a nieco niżej numer domu: „986”.

Ostrożnie przymknąłem bramę i wciągnąłem powietrze. Potem nie wytrzymałem, znów ją otworzyłem i spojrzałem jeszcze raz. Ulica była na miejscu i tabliczka się nie zmieniła. W skroniach zapulsowała mi krew, a przed oczyma zamigotało tornado ognistych śnieżynek. Znalazłem ją. Znalazłem!

…

Na klatce schodowej nie pokazał się czekający na mnie w zasadzce oddział szturmowy specnazu; widocznie śledztwo dotyczące zaginięcia majora ślimaczyło się. Ale milicja mogła się tu pojawić w każdej chwili. Nadszedł czas na zdecydowane działania.

Włożyłem do maszyny czystą kartkę papieru, przesunąłem wózek i do wtóru brawurowego marszu własnej kompozycji, uzbrojony po zęby, wylądowałem na wybrzeżu Jukatanu. Wiedząc zawczasu, jak skończą się przygody Casa-del-Lagarty, mogłem sobie pozwolić, by drwić z jego i swoich obaw, sarkać na naszą niefrasobliwość i dziwować się naszej ślepocie, która nie pozwoliła nam zdemaskować zdradzieckiej zmowy w najwcześniejszych jej stadiach. Razem z nim starałem się na ostatek nawdychać odurzających zapachów tropikalnego lasu, nazachwycać się dźwięcznym śpiewem przedziwnych wielobarwnych ptaków, posłuchać przy nocnym ognisku żołnierskich opowieści.

Nasza podróż dobiegła końca; zahartowała mnie, zmieniła w innego człowieka, otworzyła przede mną szerokie, groźne horyzonty i w pełnej zgodzie z indiańskimi przestrogami nagrodziła i przeklęła wiedzą o rychłej apokalipsie.

Rozumiałem, że w moim życiu zaczyna się nowy etap, być może ostatni, lecz najważniejszy. Z dziwną pewnością, jaką miałem co do bezpowrotnego zniknięcia biura Akab Tzin, czułem teraz, że kiedy za plecami zatrzaśnie się szara brama, wiele rzeczy na tym świecie straci dla mnie znaczenie, a spotkanie, którego oczekuję pod adresem ul. Itzamny 23, stanie się najważniejszym wydarzeniem w moim życiu.

Skończyłem tłumaczyć, zszyłem wszystkie kartki i włożyłem tekst do porządnie teraz wypchanej brązowej aktówki. Wykąpałem się, wyprasowałem swoją najlepszą białą koszulę i włożyłem od wielu już lat nienoszony garnitur. W ramach klina wypiłem resztkę szampana, popatrzyłem na moje ukochane mieszkanie i żegnając się z nim, wyłączyłem światło.

Na zewnątrz znów było ciemno; stosunki z nasłonecznioną częścią doby wyraźnie mi się nie układały. Nie to, żebym nie lubił słońca; po prostu mieliśmy różny rytm.

Dobrze, że w odróżnieniu od wczorajszych bulwarów nie z tego świata na całej długości ulicy Itzamny jasno świeciły latarnie. Sądząc po numerze ostatniego domu, czekała mnie długa droga. Zadziwiające, że taka długa ulica mogła pozostać niezauważona dla mieszkańców, chociaż niewykluczone, że niektóre kategorie moskwian dobrze o niej wiedziały, tak jak wiedziały o istnieniu tajemnych, rządowych linii metra lub o działających na terenie miasta reaktorach jądrowych.

Domy ciągnące się wzdłuż rozkopanej kostki brukowej były najróżniejsze; niezrozumiałe było wręcz, jak mogły stać w zgodzie na jednej ulicy. Najprawdziwsze wiejskie chatki z węgłami z ułożonych na krzyż, poczerniałych od upływu czasu bierwion. Staromoskiewskie kupieckie kamienice z białym obramowaniem. Prymitywne baraki ze spadzistymi dachami i długimi rzędami malutkich okienek. Potem nagle kolonialne domy, pomalowane w niedzisiejsze jaskrawe barwy, z niebieskimi okiennicami, jakby przeniesione tu z kubańskich pocztówek.

I zaraz obok nomenklaturowe sześciokondygnacyjne monolity z czterometrowymi sufitami. Brukowana jezdnia pod moimi stopami niepostrzeżenie przeszła w ściśle ułożone betonowe płyty, te – w zwyczajny miejski asfalt.

Na ulicy nie było ludzi, ale w wielu oknach paliło się światło i widać było ludzkie sylwetki. Trafiłem chyba do niekończącego się teatru cieni i sunąłem od jednej sceny do drugiej. W powietrzu dźwięczała muzyka – od *Rio Rity* i Utiosowa do Beatlesów i współczesnych przebojów. Przyglądanie się domom, zaglądanie przez okna i przysłuchiwanie się zmieniającym się melodiom było tak zajmujące, że nawet nie zauważyłem, jak trzycyfrowe numery budynków zmieniły się w dwucyfrowe. Budynki stopniowo się rozstępowały, tworząc daleko przede mną niewielki placyk, na którym wznosiły się budowle o znajomych kształtach piramid.

Jednak ogromny, przypominający starożytny Rzym pałac z numerem „23” okazał się stać bliżej niż zagadkowe budynki w oddali. Przezwyciężyłem ciekawość i stanąłem przed drzwiami – drewnianymi, masywnymi i bardzo wysokimi, jakby zrobiono je nie dla ludzi, lecz dla jakichś demiurgów przyszłości. Takie same prowadziły do sowieckich ministerstw i stacji metra zaprojektowanych w czasach stalinowskich.

Za szybką drzwi majaczyła karteczka z napisem „Wejście do Muzeum Biograficznego W. Anisimowej od drugiej strony budynku”. Nacisnąłem jednak klamkę i drzwi się otworzyły.

Widać kuchennymi drzwiami trafiłem do tej właśnie „świątyni pamięci” zmarłej aktorki, otwartej niedawno z pompą przez moskiewskie władze. Budowa musiała się zacząć bardzo dawno: w powietrzu niekończących się, pełnych pogłosu korytarzy czuć było czymś stęchłym. Pachniało nie farbą i pieniędzmi, jak we wszystkich dzisiejszych projektach z ambicjami, ale kurzem książek i wytartą tkaniną, jakby kurtyny teatralnej i starych foteli z pluszowym obiciem. Może to zapach eksponatów, powiedziałem do siebie.

Światło dawały jedynie wiszące wysoko pod sufitem kryształowe żyrandole, palące się na ćwierć mocy, i to tylko co drugi. W wyłożonych granitem ścianach co pięćdziesiąt metrów ciemniały zwieńczone łukami wejścia do sal wystawowych. Pompatyczne tabliczki z brązu przy każdym z nich oznajmiały, jak nazywa się ekspozycja: „Pierwsze kroki”, „Przedszkole”, „Witaj, szkoło!”, „Duma naszej klasy” i tak dalej.

Tak doszedłem do prawdziwego rozstaju dróg: w lewo prowadził korytarz „Całe życie – teatr”, prosto – „W kręgu rodziny”. Droga w prawo była zastawiona absolutnie tu niepasującym betonowym ogrodzeniem z drutem kolczastym i ogromnymi czerwonymi literami: „Niebezpieczeństwo!”.

Dokąd teraz?

Wtedy, w metrze, zanim przemówił do mnie ten chłopczyk, czytałem o tym muzeum… I pamiętam, że na ułamek sekundy oświeciło mnie i zrozumiałem, że muzeum, tak jak natrętność, z jaką w moim polu widzenia pojawia się ta aktorka, jest jakoś związane z jej mężem. Jak mu tam było na nazwisko? Knorozow? A na imię miał chyba Jurij. Tak, Jurij Konrozow. Nazwisko było stanowczo znajome. I inicjały…

Bo po co tu jestem?

Czy to nie jego mam odszukać?

I skierowałem się w korytarz z ekspozycją opowiadającą o życiu rodzinnym Walentiny Anisimowej. „Pierwszy pocałunek”, „Lidoczka”, „Dom – ciasny, ale własny”… i w końcu to, czego szukałem – „Jura”. Zajrzałem do środka i westchnąłem.

Za przejściem otwierała się niewyobrażalnych rozmiarów sala zastawiona setkami najbardziej niewiarygodnych eksponatów związanych z cywilizacją Majów. Były tu i makiety piramid z Tikal, i Świątynia Czarownika z Uxmal w miniaturze, dziesiątki wszelakich map i wielometrowe regały z majańskimi naczyniami, narzędziami, mieczami, łukami, włóczniami… W specjalnych oszklonych sarkofagach z czujnikami temperatury i wilgotności przechowywane były złożone w harmonijkę księgi spisane na

skórze i korze drzew. Wzdłuż ścian na postumentach stały naturalnej wielkości figury Indian. Nie mogłem się pozbyć wrażenia, że są to wypchani ludzie, tak realistycznie wyglądały. Wojownicy w pełnym rynsztunku bojowym, z tatuażami i bliznami, kapłani we wspaniałych strojach, uśmiechnięte dzieci trzymające na rękach szczeniaki, kobiety ze sprzętami domowymi… Ogrodzony złotymi słupkami z czerwonymi zasłonkami z aksamitu, pośrodku sali stał powycinany starożytny ołtarz z czterema rowkami odprowadzającymi krew.

Przeszedłem przez całe pomieszczenie, rozpoznając ledwie dziesiątą część imion i nazw, chociaż myślałem, że podszkoliłem się trochę w historii Majów po przestudiowaniu Jagoniela, Kummerlinga i rękopisu Luisa Casa-del-Lagarty, nie mówiąc już o broszurach informacyjnych. Ale jak się okazało, było to dalece nie wszystko.

Za wysokimi dwuskrzydłowymi drzwiami na końcu sali zaczynała się jeszcze jedna, nie mniejszych rozmiarów, oznaczona napisem „Konkwista". Przy wejściu gości witały dwie figury hiszpańskich żołnierzy w kirysach i wygiętych hełmach, uzbrojonych w halabardy i arkebuzy. Oczy podejrzanie im błyszczały i wolałem jak najszybciej ich minąć. Nieomal połowę jednej ze ścian zajmował gigantyczny portret Diega de Landy – dokładnie taki jak widziany przeze mnie u Jagoniela. Z przeciwległej ściany patrzył mu nieprzyjaźnie prosto w oczy Hernán Cortés.

Tutaj też było się czym zachwycać: była i mała makieta kaplicy w Maní z poruszającym miniaturowym *auto de fé*, i sceny bitew między konkwistadorami na koniach a atakującymi z zasadzki Indianami, i pierwsze wydanie książki *Relacja na temat wypadków na Jukatanie* autorstwa przeora klasztoru w Izamal. Czułem jednak, że czas, bym szedł dalej.

Pomieszczenie poświęcone konkwiście kończyło się niepozornymi drzwiczkami. Obok wisiały strzałki drogowskazów: „Dyrekcja" i „Panteon". Dotarłem do pokoju z napisem „Dyrekcja", bezskutecznie

szarpnąłem klamką i wróciłem do rozwidlenia. Pozostawał panteon…

Ten korytarz wyglądał zupełnie inaczej i najbardziej przypominał ente piętro jakiegoś urzędu lub instytutu naukowego. Pomalowane beżową farbą olejną ściany, gabinety z tabliczkami: „Ah Kinchil”, „Bolon Dzacab”, „Ek Chuah”… Na niektórych były po dwa lub trzy imiona. Wszystkie były zamknięte na cztery spusty. Szedłem wzdłuż rzędu drzwi dość długo i naliczyłem ich ponad sto, aż natknąłem się na windę. Obok budzącego nostalgiczne wspomnienia przycisku z przezroczystego plastiku, wewnątrz którego po naciśnięciu ożywał karminowy robaczek świętojański, wygrawerowano: „Itzamna”.

Winda – stara, z parą drewnianych wewnętrznych drzwi składających się w harmonijkę, zadudniła, kiedy wszedłem do środka, i gościnnie zapaliła słabą lampę pod okrągłym plafonem. Był w niej tylko jeden guzik – i nie było przy nim cyfry ani słów. Cóż, za to nie sposób się pomylić.

Kiedy ze zgrzytem zaczęła wlec się do góry, spróbowałem ocenić, ile pięter może mieć budynek muzeum. Jakieś osiem, najwyżej dziesięć.

Minęły trzy, pięć, dwadzieścia minut, a winda wciąż jechała w górę, zgrzytając zardzewiałym mechanizmem; lampa czasem gasła, ale potem znów się zapalała, i zmęczyłem się już liczeniem minut i dziwieniem się, a winda wciąż się wlokła – coraz wyżej i wyżej…

Potem szarpnęła i zatrzymała się. Stało się to tak nieoczekiwanie, że aż się przestraszyłem: utknąć w windzie gdzieś na poziomie szczytu Czomolungmy byłoby teraz zupełnie nie na miejscu.

Spróbowałem wyjść – drzwi się otworzyły; znalazłem się na pokrytej niedopałkami klatce schodowej wyłożonej drobnymi brązowymi płytkami. Przed sobą widziałem ponure drzwi z przyklejoną plastikową tabliczką – białą z czarnymi literami – w rodzaju tych, na których w przychodniach pisze się zwykle „Internista” czy „Okulista”.

Na tej widniał napis: „BÓG”.

Zapukałem.

Las Conversaciones con Dios

(las Conversaciones)
con Dios

– Otwarte – rozległ się cichy, zaskakująco znajomy głos.

Wstrzymałem oddech, uchyliłem drzwi i nieśmiało zajrzałem do środka, gotów zobaczyć tam dosłownie wszystko – od rajskiego obłoku i sali ceremonialnej indiańskiej świątyni do kanciapy muzealnego stróża o specyficznym poczuciu humoru.

Niedające się wyjaśnić wydarzenia ostatnich dni przygotowały mnie na to, że zmurszała, jęcząca z wysiłku winda umieszczona w budynku zagadkowego muzeum przy nieistniejącej ulicy absolutnie może przenieść mnie w najwyższe sfery wszechświata. Dokąd można było wjeżdżać bitą godzinę, jeśli nie do nieba, a przynajmniej na Olimp?

Dlatego poczułem nawet pewne rozczarowanie, kiedy pokój, w którym się znalazłem, okazał się zaledwie szpitalną salą. Ponure zielonawe ściany, zakryte zasłoną ślepe okno, przenośna kroplówka przy starannie zasłanym łóżku. Wyobrażałem sobie siedzibę wszechmocnego Itzamny nieco inaczej…

Podniósł się na moje spotkanie zza niewielkiego i pewnie niezbyt wygodnego biurka zawalonego roboczymi papierami, jakimiś schematami i rysunkami, przygniecionymi przyciskami do papieru o kształtach majańskich piramid świątynnych. Od razu go poznałem, chociaż do tej pory widziałem go tylko przelotnie jeden raz: był to ten sam staruszek, który tak jak i ja poszukiwał przeniesionego na plan astralny biura Akab Tzin. Czyli nic z tego, co się stało, nie było przypadkiem? I upuszczona przez niego karteczka stała się swego rodzaju zaproszeniem, potwierdzeniem tego, że jestem zapisany na wizytę u… Boga?

– Knorozow, Jurij Andriejewicz – przedstawił się, pogłębiając moje zmieszanie. – Dziękuję panu za roztropność.

W odpowiedzi też się przedstawiłem, co wywołało u niego pobłażliwy uśmiech, a potem niezręcznie umilkłem, oczekując, że to on odezwie się jako pierwszy. Ale nie spieszył się do rozpoczynania dyskusji, tylko badawczo mi się przypatrywał. Przecięty grubymi kreskami rogowych

oprawek okularów, jego skupiony, niczym wiązka światła, wzrok pełzł po mnie, powoli sprawiając, że kuliłem się i nie patrzyłem mu w oczy.

Pomimo pewnej banalności, a nawet śmieszności swojego stroju – oblazłych burych kapci, spodni od dresu i najzwyklejszej białej piżamy – nie wyglądał ani trochę żałośnie czy choćby niepoważnie. Gdyby nie różnokolorowe tabletki rozsypane na szafce nocnej i opróżniona do połowy kroplówka, cierpliwie oczekująca na zakończenie przerwanego zabiegu, uznałbym, że stoję nie przed pacjentem, lecz przed ordynatorem tej dziwnej jednoosobowej kliniki.

Spartański duch, w którym urządzony był pokój, ożywiały liczne fotografie, gęsto pokrywające ściany przy łóżku i biurku. Były tu i stare brązowawe fotografie z wykaligrafowanymi podpisami, i czarno-białe zdjęcia z lat siedemdziesiątych, i współczesne amatorskie w formacie pocztówkowym. Niemal wszystkie przedstawione na zdjęciach twarze i widoki wydawały mi się nieuchwytnie znajome, niektóre wręcz bliskie, ale żeby określić to wymykające się wrażenie, trzeba by było podejść bliżej.

Salka wyglądała na zamieszkaną, jakby umieszczony w niej chory spędził tu już niemało czasu. Pomimo bardzo skąpego i surowego wystroju dało się zauważyć próby, by go ocieplić. Na środku pokoju stał komplet mebli, jakby w całości wykradziony z sowieckiego ośrodka wczasowego: dwa stare fotele z polerowanymi drewnianymi podłokietnikami i wypchanymi pianką siedzeniami oraz tak samo wypolerowany okrągły stolik z dość idiotycznym wazonem na kwiaty.

W rogu zacinającą się czarną płytę Mireille Mathieu męczył pokryty drewnopodobnym laminatem adapter. Grasejujące wyznania francuskiej pieśniarki niedługo przerywały wiszącą w pokoju ciszę: speszony gramofon zakrztusił się i umilkł. Nie wiedząc, gdzie się podziać, znów popatrzyłem na gospodarza.

Po naszym spotkaniu pod budynkiem biura Akab Tzin zapamiętałem Knorozowa jako bardziej wątłego, niepewnego, lecz albo nie zdążyłem

porządnie mu się przyjrzeć, albo to on specjalnie chciał zrobić takie wrażenie – tak czy inaczej, teraz całkowicie się przeobraził. Niewysoki i suchy, z manierą trzymania się po wojskowemu prosto i sztywno, wydawał się potężniejszy, niż był w rzeczywistości. Zamiast kręgosłupa wszczepili pewnie staremu kawałek żelaznej rury, a mocne, wyraziste rysy i nieruchome spojrzenie przywodziło na myśl kamiennego komandora, który zszedł ze swojego cokołu.

– Proszę wybaczyć, że tak się panu przypatruję – odezwał się w końcu. – Tyle czasu pana znam, a tylko raz spotkaliśmy się twarzą w twarz, a i to zrozumiałem dopiero teraz.

– Skąd pan mnie zna? – Ostrożnie się zainteresowałem.

– Ja pana, jakby to powiedzieć, widzę. Razem z całą resztą. Ale gra pan bardzo znaczącą rolę, zresztą sam pan na pewno się tego domyśla.

Na wszelki wypadek kiwnąłem głową: było mi trochę wstyd się przyznać, że właściwie do tej pory prawie niczego z tego nie zrozumiałem.

– Bardzo ważne jest dla mnie tłumaczenie ostatnich rozdziałów książki, które panu przekazywałem. Powinno mi to pomóc zorientować się w tym, co się ze mną dzieje. Jeśli mam być szczery, czuję się trochę głupio: całe życie poświęciłem badaniu cywilizacji Majów, sto razy byłem w Ameryce Łacińskiej, hiszpański był dla mnie jak ojczysty, a tu nagle wszystko zapomniałem i nie potrafię nawet zrozumieć tego prościutkiego tekstu. Biorę do rąk i wszystko się plącze, robi się z tego jakaś kompletna czarna magia. Dobrze chociaż, że wpadłem na pomysł, żeby zatrudnić tłumacza. Od razu, kiedy pana zobaczyłem, zrozumiałem: to właśnie pan da radę to zrobić najlepiej. Wyjaśnić mi, co się dzieje i czego mam się spodziewać.

– Ale ja nie…

– Wie pan, rozumie się, że wszystko pan wie. Po prostu musi pan zebrać myśli. Niech pan się zastanowi, a ja tymczasem zagotuję wodę – dobrze, że chociaż gaz zawsze tu działa. Nie wymagam od pana pospiesznych odpowiedzi. Rozmowa, która nas czeka, zbyt wiele dla mnie znaczy, żebym

był niecierpliwy.

Trzeba było mu powiedzieć, że sam przyszedłem tu w poszukiwaniu wyjaśnień, licząc na to, że wręczę mu przetłumaczone rozdziały i w zamian wysłucham, co oznacza gra, jaką ze mną prowadził, skąd wzięła się tajemnicza księga Casa-del-Lagarty i jak należy interpretować proroctwa Majów. Jednak najwidoczniej nie spieszyło mu się teraz, by przeczytać tłumaczenie, do którego wykonania tak mnie poganiał.

Kiedy starszy pan krzątał się przy palniku gazowym, próbując zyskać na czasie, chciałem sprawić wrażenie, że oglądam wiszące na ścianie fotografie. Nie musiałem długo udawać: zdjęcia rzeczywiście okazały się bardzo interesujące.

Na jednym z nich, ku niemałemu zdziwieniu, odkryłem mojego psa. To był na pewno on, brązowa plama na nosie, jak ślad łapy – nie pomyliłbym jej z niczym innym.

Ale zanim zdążyłem zadać pytanie, mój wzrok przyciągnęła widziana już gdzieś przeze mnie fotografia sympatycznej młodej dziewczyny. Tak mnie zaintrygowała, że z minutę męczyłem się, myśląc nad okolicznościami, w których mogłem się z nią zetknąć. Potem nagle sobie przypomniałem: to była ta rosyjska zwyciężczyni konkursu Miss Uniwersum, która wyprzedziła smagłolice modelki z Wenezueli i Portoryko. Jak jej było? Lidia… A nie przypadkiem Knorozowa?

– Moja córka – potwierdził staruszek, podając mi parującą filiżankę. – Prawda, jaka piękna? – Gipsowa maska jego twarzy na moment pękła. – Ja i Wala, moja żona, bardzo długo chcieliśmy mieć dziecko, ale nijak się nie udawało. Obeszliśmy najlepszych lekarzy, byliśmy nawet u meksykańskich *brujo* – na nic. A potem, kiedy już zupełnie straciliśmy nadzieję, stał się cud, i Wala zaszła w ciążę. Wie pan, mówi się, że późne dzieci są piękne jak anioły. To o Lidii. Ale kiedy miała jakieś trzynaście lat, bardzo zbrzydła, zamieniła się w takie brzydkie kaczątko. Czasem płakała, bała się, że nikt jej nie pokocha takiej okropnej. A ja jej na to: „Nie bądź głupia, dla mnie

zawsze będziesz najpiękniejsza na świecie…” – Uśmiechnął się w zadumie.

– Nie tylko dla pana. – Uśmiechnąłem się w odpowiedzi. – Ale i dla całej reszty świata.

– A co za różnica? – odparł i nie wiedzieć czemu znów spochmurniał.

Zaciąłem się i na nowo zacząłem w skupieniu oglądać odbitki. Było tu chyba całe jego życie – od wczesnego dzieciństwa (poważny chłopczyk w krótkich spodenkach na szelkach trzyma do góry łapkami nieszczęsnego pluszowego misia); młodość, która przypadła na lata wojny (postawny podporucznik w mundurze lotnika pozuje obok jakiegoś starego myśliwca); wesele; potem już w dojrzałym wieku – na wykopaliskach w dżungli; mnóstwo zdjęć na tle jukatańskich piramid…

Wróciłem do zdjęcia, na którym Knorozow został uwieczniony przy samolocie. Płynne, niemal eleganckie linie kadłuba już drugi raz w ostatnich chwilach wywołały u mnie wyraźne *déjà vu*. Ła-5, podpowiedział mi wewnętrzny głos. Niech to licho, skąd ja to wiem?

– To nasz Ła-5 – odgadując moje myśli, wyjaśnił staruszek. – W swoim czasie uchodził za najnowocześniejszy i najniebezpieczniejszy myśliwiec. Niemcy bali się go jak ognia. Załapałem się tylko na sam koniec wojny – byłem za młody. Wzięli mnie na mechanika pokładowego, na mój rachunek poszło ledwie kilka lotów bojowych. Za to wszyscy pozostali w eskadrze byli doświadczeni, przewalczyli prawie całą wojnę, od Moskwy do Berlina. Dzieciak ze mnie był, zakochałem się i w nich, i w lotnictwie. Kiedy skończyłem służbę, poszedłem na uczelnię, potem marzyłem o tym, żeby dostać się do biura projektowego. Gdyby mi kto wtedy powiedział, że całe życie oddam Majom, tylko bym się roześmiał…

Opowiadał coś jeszcze o swojej służbie, o tym, jakim honorem zdawało mu się wtedy po prostu siedzieć obok doświadczonych pilotów bojowych… Widać było, że ten temat niezwykle go zajmuje, a cień skrzydeł myśliwca Ła-5 rozpościera się nieomal nad całymi jego młodymi latami.

I wtedy sobie przypomniałem, teraz już czujny, bo ostatnie tygodnie

oduczyły mnie wiary w zbiegi okoliczności, skąd znam nazwę samolotu Knorozowa i jego kształt… Z przeczytanego niedawno artykułu w gazecie na temat planów wzniesienia gigantycznego pomnika Ła-5 na Worobiowych Górach!

Co z tego wszystkiego wynika? Zmarła żona Knorozowa doczekała się instytucji pamięci wielokrotnie przewyższającej rozmachem Muzeum Puszkina. Myśliwiec, którym latał podczas służby wojskowej, powiększony niemal sto razy i odlany z brązu, zajmował honorowe miejsce obok uniwersytetu, ku nauce młodzieży. Wreszcie córka staruszka, pomimo swoich skromnych warunków fizycznych, zahipnotyzowała jury prestiżowego międzynarodowego konkursu i wywalczyła tytuł najpiękniejszej kobiety na planecie – czy nie tylko z tego powodu, że za taką uważał ją ojciec? Tak więc kto stał teraz przede mną pod postacią starszego pana, który przechodził właśnie do gniewnych rozważań o nędznym losie żołnierzy z drugiej wojny?

– …jak się teraz obchodzi z kombatantami?! Ludzie, którzy bez namysłu oddawali swoje życie dla przyszłych pokoleń, zasługują na lepsze traktowanie. Niech pan zapyta dzieciaki, a nawet i ludzi w średnim wieku – nikt już nawet nie pamięta o tym, jakim nadludzkim wysiłkiem musieliśmy okupić tamto zwycięstwo! Bohaterskie czyny, nieustępujące tym opiewanym w greckich mitach, zostały zapomniane. Kombatanci dożywają swoich dni w nędzy. Państwowa skleroza, ot co…

– Kim pan jest? – wpadłem mu w słowo. – Kim pan właściwie jest?!

Staruszek zasępił się niezadowolony z tego, że ktoś mu przerwał.

– Już się przedstawiłem – rzucił sucho.

– Co, na wszystkie świętości, znaczy tabliczka na pańskich drzwiach? Co pana łączy z Itzamną? Co to wszystko w ogóle znaczy?! – Przestałem się kontrolować i prawie krzyczałem.

Skryty w cieniu macher kolekcjonujący antyki i stare księgi? Historyk megaloman, który przypadkiem znalazł źródło bezgranicznej potęgi?

Sowiecki uczony, w którego podczas ekspedycji badawczych na Jukatanie wcieliła się uwięziona w opuszczonej piramidzie boska istota? Zwykły miejski szaleniec zbierający wycinki z gazet i kreujący zgodnie z nimi swoją nieistniejącą biografię? Kim, do wszystkich diabłów, był ten dziwny staruszek, który wciągnął mnie w fantastyczną pięćsetletnią historię wplecioną w przyszłość? Kto doprowadza mnie niemal do szaleństwa, niczym sztonem w grze rządząc moim życiem?!

– To, co jest napisane na drzwiach, to w większym czy mniejszym stopniu prawda – powiedział niespodziewanie cicho. – Taka zabawna alegoria, kto by pomyślał, że moja podświadomość potrafi jeszcze żartować…

– Ale niech pan mi wreszcie wyjaśni, co się dzieje. Co to za miejsce? Co to za diabelska winda, która może wjechać na wysokość kilometra, w pustkę? Co to za martwa ulica z tysiącem domów, nieoznaczona na żadnej mapie? Ja pewnie po prostu majaczę… Pan jest moim przywidzeniem, i tyle! Nic z tego nie istnieje, zaraz się obudzę i okaże się, że to wszystko mi się przyśniło, i nie było żadnej książki, żadnego Casa-del-Lagarty i nie będzie żadnego końca świata! Ależ oczywiście! Boże, jakie tu golemy, jakie wilkołaki, jakie marionetki?! Po prostu śpię, a pan mi się śni!

Nie mogłem się w żaden sposób powstrzymać, trzęsły mną silne dreszcze. Tamten obserwował mnie uważnie, nie próbując mnie powstrzymać ani uspokoić. Kiedy spazmy się skończyły i przestałem wyrzucać z siebie słowa, staruszek pokręcił głową i uśmiechnął się.

– Niesamowite, do jakiego stopnia każdego, nawet wyobrażonego człowieka, cechuje egocentryzm.

– Co pan ma na myśli? – zawołałem.

– Niełatwo będzie panu w to uwierzyć, ale wszystko przedstawia się dokładnie odwrotnie. Trochę niezręcznie mi to panu mówić, ale to właśnie pan śni się mnie. Tak jak i cały otaczający pana świat.

– Co za niewiarygodne brednie! – oburzyłem się.

Wersja pierwsza: winda działa na zasadzie jakiegoś skomplikowanego technicznego triku, który sprawia, że pasażerowie czują, że wznoszą się w nieskończoność, podczas gdy tak naprawdę jadą zaledwie dwa–trzy piętra wyżej; co zaś się tyczy dziwnej ulicy, to jej w ogóle nie ma. W końcu nie można zapominać, że była całkowicie niezamieszkana – niewykluczone, że po prostu spacerowałem między specjalnie ustawionymi dekoracjami. Trzeba tylko się domyślić, w jakim celu zorganizowano tę gigantyczną manipulację.

Wersja druga: wciąż nie zdołałem wyczuć tej cienkiej błony oddzielającej świat realny od wyobrażonego, stworzonego przez moją pobudzoną fantazję, i kiedy się przez nią przebiłem, zsunąłem się w odmęty klinicznej schizofrenii. W tej samej chwili prawdopodobnie wydawałem niespokojne jęki, zawinięty w kaftan bezpieczeństwa w specjalnej izolatce dla mocno zaburzonych gdzieś w kazamatach Szpitala im. Kaszczenki. Byłoby to oczywiście przykre, ale przynajmniej wyjaśnialne i możliwe do zrozumienia.

Niczego innego nie dało się nawet pomyśleć. Twierdzenia tego samozwańczego Itzamny były niewysłowionym absurdem i prowokacją. Zaiste, jest to świetny temat dla koszmaru sennego: jedna ze spotkanych w nim postaci oznajmia wam, że to wy – nie ona – jesteście iluzją.

– Zaraz się obudzę!

– Nie oczekiwałem, że ta rozmowa pójdzie łatwo – odparł tamten zmęczonym głosem. – Nie wiem nawet, jak pana przekonać, że nie uda się panu obudzić gdziekolwiek indziej niż w moim śnie. – Zrobił krótką pauzę, żebym dokładnie poczuł sens tych słów. – Co gorsza, ja sam też nie mogę się obudzić, dlatego jesteśmy po prostu skazani na to, by ze sobą rozmawiać.

– Jak cały ten bezgraniczny, wielowymiarowy, nie do opisania różnorodny świat, włączając w to moich znajomych i mnie samego, może się zmieścić w pańskiej czaszce? – Starałem się nadać moim słowom ironiczną

intonację, ale w najważniejszym momencie głos mi się załamał i pisnąłem falsetem.

– A w pańskiej się mieści, tak? – odparł szyderczo.

– Przypuśćmy więc na sekundę, że mówi pan prawdę, po prostu, żeby wykazać panu jego śmieszność. I gdzie są według pana dowody na to, że ten świat jest dziełem pańskiej wyobraźni?

– Gdyby to była moja wyobraźnia, to jeszcze pół biedy. Na nieszczęście trafiłem do piwnic swojej podświadomości. Chyba pan nie myśli, że miałbym na poważnie uważać się za Itzamnę i pisać na swoich drzwiach: „Bóg”? Zgodzi się pan ze mną, że to co najmniej brak skromności…

– Wykręca się pan od odpowiedzi!

– No dobrze. A pan przypadkiem nie pali? Dotrzyma mi pan towarzystwa? – Narzucił na ramiona palto i gestem zaprosił mnie na klatkę schodową. – W zasadzie nie wolno mi palić, ale przecież nikomu pan nie powie…

Potarł zapałkę i zaciągając się z zadowoleniem tanim papierosem, przyjrzał mi się badawczo.

– Więc weźmy choćby majańską piramidę z mumią wodza – i to na placu Czerwonym! Czy nie wydaje się to panu całkowitym absurdem? Chociaż z drugiej strony skąd ma pan wiedzieć, co się tam znajduje w rzeczywistości…

– Przecież to Mauzoleum! – zaprotestowałem; kiedy byłem otumaniony opowieścią Casa-del-Lagarty, samemu zdarzyło mi się wziąć je za indiańską świątynię, ale zdołałem wtedy dojść do siebie.

– Ale gdybym nie związał swojego życia z badaniem cywilizacji Majów, toby go tam nie było! Cała rzecz w tym, że w czasie studiów, dzięki którym miałem zostać inżynierem konstruktorem, wziąłem udział w konferencji młodzieży socjalistycznej w Meksyku.

Patrzyłem na niego jak na wariata.

– Byłem najlepszym studentem w grupie. Zaprosili mnie na rozmowę do KGB i w zamian za moją zgodę na współpracę specjalnie dla mnie uchylili

żelazną kurtynę. Poradzili mi, bym uczył się hiszpańskiego, i rok później poleciałem do Meksyku.

Przy wzmiance o KGB widać ledwie zauważalnie drgnęła mi twarz, bo przerwał i powiedział wyzywająco:

– I niech pan nie myśli, że żałuję współpracy z Komitetem. Wszyscy ich teraz wyklinają, a oni zrobili też niemało dobrego. I jeśli ktoś miałby teraz zrobić w naszym kraju porządek, to tylko oni.

Ale ja już się opanowałem i nie zamierzałem wchodzić w dyskusje. Chciałem tylko, żeby dopowiedział historię swojego romansu z Majami.

– Organizatorzy zlotu postanowili zorganizować mały program kulturalny i zawieźli nas na wycieczkę do Uxmal. Wszyscy przodujący traktorzyści, dojarki i górnicy z naszej grupy przebiegli po piramidach truchtem i wrócili do autobusu, a mnie jakby trafił tam grom. Chodzę, fotografuję, oglądam wszystko jedną godzinę, drugą i nie mogę się oderwać. Zgubili mnie i o mało nie zostawili w ruinach. Wróciłem do miasta, nakupiłem sobie książek o historii Indian, czytałem ze słownikiem i już w drodze powrotnej zrozumiałem, że nie będę mógł więcej zajmować się samolotami. Już niczym nie będę mógł się zajmować oprócz Majów. Naprawdę wstrząsająca cywilizacja i zadziwiająco mało zbadana. Dosłownie zagadka na zagadce. Weźmy choćby jej niewyjaśniony upadek – i to w momencie największej świetności. Nawet pismo nie było rozszyfrowane. Niektórzy specjaliści w ogóle uznawali hieroglify za ornamenty o funkcji dekoracyjnej. Majowie czekali wtedy jeszcze na swojego Champoliona, i postawiłem sobie zadanie, żeby nim zostać. Wyuczyłem się na historyka, zajmowałem się kryptografią, lingwistyką – wszystkim, co pomagało mi zrozumieć hieroglify Majów. Poświęciłem na to całe życie i osiągnąłem sukces.

– To pan rozszyfrował ich pismo?

Staruszkowi udało się mnie zaskoczyć: ani Jagoniel, ani Kummerling słowem nie wspominali o zasługach Knorozowa. Znów kłamał czy po prostu nieuważnie czytałem?

Stary kiwnął głową z godnością.

– To absolutnie niczego nie dowodzi – powiedziałem z uporem. – Mam kanoniczne wyjaśnienie pochodzenia Mauzoleum i nie jest ono ani trochę gorsze od pańskiego.

– No to dawaj pan, niech pan wyjaśni w ten sposób wszystko, co się panu przydarzyło w ostatnich kilku tygodniach, od momentu kiedy zaczął pan tłumaczyć tę książkę. – Dmuchnął mi w twarz dymem i rozdusił niedopałek. – Człowieka jaguara, bezgłowego strażnika grobowców, kronikę przyszłości…

– Miałem nadzieję, że to pan mi o tym wszystkim powie – wyznałem, zakrztusiwszy się przygotowaną już jadowitą repliką.

– Na nieszczęście nie da się do pana dotrzeć. – Rozłożył ręce. – Mówię panu nie wiem który raz, że wszystko to dzieje się z panem, jak również z całym wszechświatem, tylko dlatego, że widzę to w moim śnie. Z tego wynika, że wszechświat to ja.

– Ale w takim razie, jeśli pan jest panem i władcą tego świata, to powinien pan być wszechmogący! Niech pan mi udowodni, że pańskie słowa nie są puste. Niech pan dokona cudu! Niech pan zamieni herbatę w wino albo przynajmniej niech pan zacznie lewitować! Niech pan zrobi tak, żebym panu uwierzył!

– Zadziwiające – westchnął Knorozow. – Widać wszystkim przychodzi napotykać ten problem. Koniecznie potrzeba cudów. Muszę pana rozczarować. Jestem bezsilny.

– Ale to przecież pański świat!

– To moje lepkie, gorączkowe majaczenia. Po prostu je oglądam i nie jestem w mocy, by cokolwiek zmienić. Oczywiście moje skryte pragnienia czy stłumione dążenia kształtują je, wpływają na nie i popychają do przodu ich zawiłą fabułę, ale w nie większym stopniu, niż to bywa w zwykłych snach. Można tylko *post factum* spróbować pojąć, co oznaczał ten czy inny zwrot akcji; i to głównie tym się tutaj zajmuję…

Znów ucichłem oszołomiony nagłym fikołkiem, jaki zrobiły moje myśli. W końcu, nie znajdując jednej odpowiedzi na wiszące w powietrzu pytanie, postanowiłem poprosić o pomoc.

– Ale jeśli to jest pański sen, to gdzie pan jest naprawdę?

– Dobre pytanie. Najprawdopodobniej leżę pod kroplówką w Moskiewskim Centrum Onkologii, gdzie czeka mnie operacja złośliwego nowotworu mózgu. Pierwsze podejrzenia pojawiły się półtora miesiąca temu, z początku nie uwierzyłem, nie chciałem mówić rodzinie, ale potem analizy i prześwietlenie wszystko potwierdziły. Trzeba było iść do szpitala. Doskonała, nowoczesna klinika, troskliwy personel… Lidia powiedziała, że na razie nie uda jej się przyjechać – wtrącił nagle. – Z pracy jej nie puszczają i Alionoszka zachorował… Wala też nie pamięta, nie odwiedza…

– Ale czy pana żona przypadkiem nie umarła? – zapytałem w oszołomieniu.

Staruszkowi słowa uwięzły w gardle, spojrzał na mnie zagubionym wzrokiem. Otworzył już usta, żeby zaprzeczyć, ale coś mu się przypomniało, i już tak został z opuszczoną, drgającą dolną wargą i urażoną miną. Odwrócił się tyłem, nie wiedzieć czemu przygładził ręką włosy, znów zapalił papierosa. Długo milczał, potem rzucił ochryple:

– Proszę wybaczyć. Czasem o tym zapominam.

Przemknęła mi przez głowę szalona myśl: czy Walentina Anisimowa, która już dziesięć lat temu oddała swoje dziesięć kopiejek Charonowi, nie dlatego wstała nagle z martwych, żeby wychodzić do publiczności na bis, ponieważ jej mąż nie chciał pamiętać, że został sam? Patrzyłem na staruszka, rozumiejąc, że to pytanie może zranić go jeszcze mocniej, i nie odważyłem się go zadać.

Nie zdążyłbym zresztą tego zrobić: z Knorozowem zaczęło się dziać coś strasznego.

Zachwiał się i w poszukiwaniu oparcia przylgnął do ściany, rozglądając się z przestrachem dookoła, potem zbladł i ścisnął sobie głowę z taką siłą,

jakby miała zaraz pęknąć od potwornego wewnętrznego ucisku. Upadł na kolana i wprost na moich oczach najpierw zaczął się robić blady jak wosk, a potem coraz bardziej przezroczysty, rozpływając się prawie w powietrzu.

I tu, jakby w odpowiedzi na ogarniający go dziwny atak, jęknęły i zadrżały fundamenty całego ogromnego budynku, w którym się znajdowaliśmy. Zaczynało się trzęsienie ziemi.

Chciałem pomóc staruszkowi, ale ten odegnał mnie od siebie machnięciem ręki. Nie wiedząc, gdzie się schować, rzuciłem się wtedy do pokoju, pozostawiając Knorozowa na klatce.

Paroksyzm, w którym miotała się Ziemia, był najpotężniejszym ze wszystkich, które przyszło mi przeżyć w tych dniach. Świat zatrząsł się tak, że padałem kilka razy na podłogę, na próżno próbowałem się podnieść i znów leciałem na twarz, nawet przez moment nie będąc w stanie utrzymać się na nogach. Jednak wznosząca się ponad chmury przedziwna wieża z kości słoniowej, w której mieściła się cela Knorozowa, okazała się o wiele mocniejsza, niż jakikolwiek moskiewski budynek. Ściany i sufit pewnie wytrzymywały atak żywiołu, światło nie gasło ani na sekundę. Ośmielony, doczołgałem się do okna i odsunąłem zasłonkę.

W głębi duszy byłem przekonany, że zobaczę moskiewskie ulice z lotu ptaka, ale byłem też gotów znaleźć się w przestrzeni kosmicznej i ujrzeć plujące rozpalonym gazem ogniste protuberancje albo rodzące się w mękach supernowe. Chyba właśnie w tym momencie zacząłem wierzyć w słowa Knorozowa, ale na razie wciąż jeszcze zbyt dosłownie odbierałem jego twierdzenie, że zawiera w sobie cały wszechświat.

To, co zobaczyłem, przy całej swej niemożliwości, a jednocześnie pospolitości, o wiele silniej dowiodło mi tego, że miał rację.

Łamiąc wszelkie zasady przestrzeni i grawitacji, wybite w ścianie pokoju okno wychodziło na sufit dokładnie takiej samej salki szpitalnej. Wpijając się palcami w parapet i spoglądając przez niewyobrażalnie grube szkło, patrzyłem gdzieś z góry na rozpostarte na szpitalnym łóżku bezsilne starcze

ciało, którego niczym pasożytniczy bluszcz czepiały się dziesiątki rurek cewników. Dookoła krzątały się kobiety i mężczyźni w białych kitlach, mieniła się światełkami estetyczna beżowa aparatura medyczna, a w zalegające głęboko, niczym tunele metra, żyły artretycznych, gruzłowatych rąk starca wbijały się żądła jednorazowych strzykawek.

To był on. Prawdziwy Jurij Knorozow.

Nowy wstrząs znów rzucił mnie na podłogę; gdy podniosłem się z linoleum, natknąłem się na mozaikę fotografii, którą obrosły ściany pokoju. Przed oczami przeleciały mi zdjęcia: Knorozow z załogą swojego uświęconego Ła-5, i znów on, stopniowo starzejący się, obchodzący dziesiątą, trzydziestą, pięćdziesiątą rocznicę Dnia Zwycięstwa z kolegami z wojska, których grupka z każdym rokiem się przerzedzała…

Dziesiątki zdjęć Knorozowa z jego żoną, o której tak mało i niechętnie ze mną rozmawiał, ale która z pewnością była dla niego najdroższą osobą – wesele, urlop na Krymie, wspólne wyprawy do Ameryki Łacińskiej, pocałunek na tle Piramidy Karła…

Kilka portretów grupowych z ludźmi w lokalnych strojach i płaszczach, z nieprzeniknionymi twarzami…

Stare, monochromatyczne odbitki, sądząc z podpisów, z twarzami jego rodziców, jacyś jeszcze nieznajomi ludzie. I ukochana córka – w każdym wieku, od urodzenia do dnia dzisiejszego.

Oto i on sam, zupełnie już sędziwy, stoi obok jakiejś cerkiewki; na drugiej fotografii przemierza dziedziniec zabytkowego klasztoru z białego kamienia, żywo dyskutując z postawnym wielebnym popem.

Wiele osób, które pojawiały się na jego odbitkach, niezwykle przypominały znanych mi z okładek magazynów czy z reportaży telewizyjnych światowej sławy polityków, gwiazdy filmowe, uczonych, ale nie dało się ich pomylić przez zbyt duże różnice w czasie – na przykład pilot myśliwca Knorozowa z czterdziestego piątego był nie do odróżnienia od jednego z najpopularniejszych współczesnych amerykańskich

piosenkarzy.

I im dłużej wpatrywałem się w te kadry, tym bardziej oczywiste stawały się dla mnie paralele, niewidzialnym ołówkiem wyrysowane między kamieniami milowymi w życiu Knorozowa i ludźmi, z którymi związany był jego los, a wyjątkowymi cechami dzisiejszej rzeczywistości – w szczególności w naszym, ale i w innych krajach. Cały znany mi świat niósł jakby na sobie piętno osobowości tego tajemniczego staruszka.

Mógłbym powiedzieć, iż w chwili, w której ostatecznie zrozumiałem, że on nie kłamał i się nie mylił, w moim mózgu – a wciąż jeszcze łatwiej i przyjemniej było mi uważać go za swój – zaczęły się rozwijać potężne procesy, nieustępujące rozmiarami tworzeniu i anihilacji całych galaktyk. W końcu przewartościowywałem i tworzyłem dla siebie nowy obraz świata, podczas gdy ten stary, tracąc formę i treść, rozsypywał się i rozwiewał na wietrze, niczym wyschła rzeźba z piasku.

Ale wszystko było inaczej. Po prostu uwierzyłem w taką możliwość.

W dwudziestym wieku, wieku triumfu nauki i techniki, sławionym przez materialistyczną propagandę, religijne i metafizyczne dogmaty dopuszczające możliwość istnienia subtelniejszych sfer rzeczywistości ustąpiły pola.

A jednak do dzisiaj każdy człowiek w mniejszym lub większym stopniu gotów jest dopuścić, że wszystko, co widzi dookoła, istnieje jedynie na tyle, na ile istnieje on sam, który jest w stanie tę rzeczywistość (jeśli można tu jeszcze mówić o rzeczywistości) postrzegać. Grono filozofów, którzy wyrobili sobie nazwisko na tej eleganckiej konstrukcji umysłowej, jest wprost proporcjonalne do jej niedowodliwości i atrakcyjności.

Ale jeśli przyjąć założenie, że cały otaczający nas świat znajduje się w naszej głowie, co przeszkadza nam pójść o krok dalej i pogodzić się z nieco śmielszą propozycją – co, jeśli głowa ta nie należy do nas, lecz do kogoś innego?

Religijni wolnomyśliciele, szczególnie związani z wierzeniami Wschodu,

nie wykluczają, że miejscem, w którym istnieje wszechświat, jest jakaś wielka, wszechobejmująca boska świadomość. Może to być wyraz właściwej człowiekowi pychy: zgadza się zrezygnować z własnego egocentryzmu, tylko jeśli zostanie w ten sposób włączony w coś niewymownie bardziej potężnego, pięknego i wspaniałego niż on sam.

Ale kto może bez chwili wahania wykluczyć, że miejscem tym jest nie wypełniona nieznośnie jasnym światłem bezgraniczna świadomość Buddy czy Jehowy, lecz ciasne, pachnące starymi banknotami i naftaliną „ja" samotnego, pogrążonego we wspomnieniach emeryta, umierającego na raka mózgu? Przynajmniej wyjaśnia to wiele z dzisiejszych realiów…

Stan leżącego w dole staruszka najwidoczniej stabilizował się: przypominające ruchy Browna bieganie pielęgniarek i lekarzy po jego pokoju zwolniło tempo i salka stopniowo opustoszała. Jednocześnie uspokoiły się też podziemne wstrząsy, od których chwiał się budynek muzeum. Zasłoniwszy okno, wyszedłem na klatkę schodową. Knorozow siedział na podłodze oparty o ścianę z opuszczonymi z wyczerpania powiekami.

– Jak się pan czuje?

– Bardzo pana przepraszam… Tak mnie złapało… Myślałem, że to już koniec – odpowiedział prawie niesłyszalnie.

– Widziałem pana, pana prawdziwe ja… Przez okno. Wszystko w porządku, uratowali pana.

– Uratowali?! – Otworzył oczy i odskoczyłem, bojąc się, że porazi mnie ich elektryczny błysk. – Wstrzyknęli mi morfinę. Środek przeciwbólowy o sile kilotony. Przez nieustanne zastrzyki nie mogę dojść do siebie… To jest tak jak ta miednica, w której mafia zalewa betonem nogi swoim dłużnikom przed wrzuceniem ich do Hudson River. Już nie wypłynę. Jestem skazany na dożywotnie więzienie w tym niekończącym się, dusznym koszmarze.

– I co teraz? – spytałem zgnębiony.

– A to już pan mi powie. Właśnie po to pan tu przyszedł.

– Ale co ja mam zrobić? Czego pan ode mnie chce?

– Od pierwszej chwili, kiedy znalazłem się w tym pokoju, wiedziałem, że trafiłem tu nieprzypadkowo. Czegoś szukałem, ale nie wiedziałem dokładnie czego. Niezwykle nieprzyjemne uczucie. Nie możesz się uspokoić, ciągle jesteś pobudzony, grzebiesz w przedmiotach, wspomnieniach, myślach w poszukiwaniu tego, co zgubiłeś. Zjechałem na dół, do muzeum – zbadałem wszystkie sale – bez skutku. Przeszedłem się wzdłuż całej ulicy Itzamny, od swoich narodzin do ostatnich lat – i nic. Kiedy zrozumiałem, że śnię i że nie uda mi się obudzić, zacząłem się wyprawiać do miasta, do Biblioteki im. Lenina, do archiwów, na spacery po ulicach, ale w żaden sposób nie mogłem tego znaleźć – poczucie straty nie słabło, uwierało mnie i uwierało. Aż któregoś razu, kiedy wróciłem do muzeum, zatrzymałem się przy ekspozycji poświęconej majańskiej eschatologii. Podniosłem poniewierającą się tam na podłodze starą księgę. Opowieść Casa-del-Lagarty. Natychmiast zrozumiałem: to jest to. Wcześniej jej tam nie było, dam sobie rękę uciąć – widocznie dlatego, że nie byłem jeszcze gotowy na to, by ją otrzymać. Spróbowałem ją przeczytać – nie udało mi się. I to pomimo tego, że pół życia studiowałem hiszpański, i zawsze miałem pełno znajomych w Ameryce Łacińskiej, nawet w tym języku wykładałem… A co było dalej, pan wie.

– Ale dlaczego nie przyniósł pan do biura od razu całej księgi?

– Sam pan przecież dobrze wie, że to nie jest zwykły stary tomik. Dziennik Casa-del-Lagarty posiada wyjątkową moc i został mi dany jako wyjaśnienie i zbiór wskazówek. Powinienem był poznawać jego zawartość stopniowo, rozdział po rozdziale. A pan też, mimo że został pan posłany, żeby przetłumaczyć księgę, okazałby się niegotowy, by od razu odkryć dla siebie ostatnie stronice opowieści.

– Zostałem posłany? Przecież przyszedłem do biura zupełnie przypadkiem! A poza tym miałem całkowicie wolną wolę – mogłem

odmówić wykonania tego zlecenia.

Knorozow zebrał się na odwagę, wstał z ziemi i znużonym głosem, zwątpiwszy jakby w moje zdolności umysłowe, przemówił:

– Oczywiście, jeśli weźmie się pod uwagę wszystkie okoliczności, pańskie słowa o wolnej woli brzmią szczególnie rozczulająco… Co zaś do Abecadła, mój wybór padł na nie z bardzo konkretnego powodu. Jeśli pan się orientuje, w swoim czasie znajdowała się tam biblioteka dla dzieci, z którą łączy się wiele moich wspomnień. Kiedy Lidia była malutka, po prostu ją ubóstwiała i zaciągała mnie tam bardzo często. Idziemy razem, ona papla coś swojego, ja mechanicznie odpowiadam, myśląc przy tym o pracy. Któregoś razu, kiedy baraszkowała tam ze swoimi książeczkami o zajączkach, przydarzyło mi się autentyczne olśnienie. Złamałem majański szyfr. A teraz otworzyli tam agencję tłumaczeń, widzi pan, jakie to ciekawe…

– Już zamknęli – zauważyłem.

– Ach tak… Ale ten nieszczęśnik sam jest sobie winien. Ta wiedza była przeznaczona tylko dla mnie – no, i dla pana, rzecz jasna, a ludzie postronni nie powinni wtykać nosa w to, co dotyczy mojego życia… i śmierci.

– Czyli to pan?

– Ależ nie, przecież panu mówię! Boże mój, nie mogę nawet przypomnieć sobie hiszpańskiego, nie umiem się domyślić, co muszę odnaleźć w tych przeklętych majakach, a pan uważa, że świadomie przywołuję majańskie duchy i inspiruję zamachy na zarozumiałych gryzipiórków i wścibskie gospodynie domowe?! To się dzieje samo z siebie i nie mogę niczego zmienić! Niesie mnie po prostu coraz dalej i dalej mętny i burzliwy potok i potrzebuję pana pomocy, żeby zrozumieć, co mnie czeka…

Ale co ja, fantom pośród fantomów w tym widmowym światku, mogłem zrobić dla wszechmocnego i bezsilnego stwórcy? Gdzie szukać podpowiedzi? On twierdzi, że wszystko wiem, muszę się tylko zastanowić, przypomnieć sobie… I wtedy mnie olśniło.

„…Gdyż nieszczęście świata w tym, że chory jest Bóg jego, stąd i świat choruje. W gorączce jest Pan, i jego dzieło gorączkuje. Umiera Bóg, i stworzony przez niego świat umiera. Lecz nie jest jeszcze za późno…” – tak mówił ten chłopczyk w wagonie metra.

On umierał na moich oczach, ponieważ przerzuty pożerały jego ciało i mózg. Odpowiedzią na jego konwulsje i echem męczących go ataków bólu były rozsadzające kontynenty trzęsienia ziemi, połykające ogromne miasta tsunami i przeorywające całe państwa huragany. Usłyszane przeze mnie proroctwo nie było literackim wyrafinowaniem majańskich kapłanów, lecz potworną metaforą konkretnych procesów fizjologicznych, które unicestwiały Knorozowa-Itzamnę razem z całym skrytym w jego umyśle Kosmosem…

Nie jest za późno, żeby zrobić co? Uratować go? Jak?

– Widzę, że zaczyna pan już rozumieć co i jak… – zauważył obserwujący moje wahanie staruszek. – To bardzo ważne – będzie pan przecież musiał nie tylko przeczytać mi ostatnie rozdziały książki, ale też wytłumaczyć ich sens. Pan pozwoli, że opowiem, co się działo, zanim trafiłem do tego pokoju. Może to by pomogło… Wszystko zaczęło się trzy miesiące temu. Migreny, zawroty głowy… Pomyślałem: czy to nie naczynia krwionośne mi nawalają? Siedzisz u lekarza, opisujesz symptomy, myślisz, że przepiszą ci tabletki i poradzą, żebyś nie dźwigał ciężkich rzeczy, a zamiast tego zostajesz skierowany na badanie do onkologa. Patrzysz na doktora, jak zbity pies, i żałośnie merdasz ogonem: panie doktorze, to nic poważnego, prawda? A ten odpowiada surowo, że lepiej się z tymi testami pospieszyć. Nie ma nic gorszego niż te kilka dni mijających między badaniem a momentem, w którym dzwonisz, żeby zapytać o wyniki. Zadręczasz się kolejno to rozpaczą, to nadzieją. Przekonujesz sam siebie, że wszystko będzie dobrze, i znajdujesz na to z dziesięć dowodów w encyklopedii medycznej. Potem znowu stajesz się nieufny, miotasz się jak zaszczuty, i od razu perfidna encyklopedia przepowiada ci wszystko, co najgorsze. Nie

chcąc niepotrzebnie straszyć rodziny i smucić przyjaciół, ukrywasz to w tajemnicy, choć tak bardzo masz ochotę komuś opowiedzieć, bo ten sekret wciąż i wciąż spala cię od wewnątrz. A kiedy słyszysz w słuchawce: „Złośliwy nowotwór mózgu”, to zamieniasz się w chodzącego trupa. O zmarłych albo dobrze, albo wcale. Dlatego krewni, którzy dowiadują się o twojej chorobie – tak, słowo „rak” staje się tabu i można to tylko nazywać „chorobą”, jakby zwiększało to szansę przeżycia – więcej się z tobą nie kłócą, tylko próbują cię rozweselić, odwieść od czarnych myśli. Ale anioł śmierci pocałował cię już w czoło, zgłaszając swoje roszczenia, i żywi widzą piętno jego ust. Wesołość staje się wymuszona, uśmiechy są przesłodzone, głosy – nienaturalnie serdeczne, a ludzie nie chcą zbyt długo przebywać w twoim towarzystwie. Zresztą sam też czujesz się jak trędowaty, zaczynasz unikać przyjaciół, żeby nie być dla nich ciężarem. Wie pan, to jak ze słoniami: kiedy przeczuwają, że niedługo umrą, porzucają stado, odchodzą do specjalnych miejsc, żeby tam wyzionąć ducha… Majowie nieraz mnie ratowali. Po tym jak umarła moja żona, rzuciłem się w wir pracy. U Indian znalazłem też swoją ostatnią przystań, kiedy dowiedziałem się, jak ciężko jestem chory. Pozostałe do operacji tygodnie postanowiłem w całości poświęcić dziełu mojego życia. I wpadłem w tę diabelską pułapkę, znalazłem się wewnątrz morfinowego sejfu z szyfrowym zamkiem, do którego nie mam klucza.

– I sądzi pan, że znaleziona przez pana księga, ten dziennik wymyślonego konkwistadora, jest tym właśnie kluczem, który pomoże panu się stąd wydostać? Mam panu wyjaśnić, w czym kryje się sens przesłania?

– Nie wiem dokładnie, czy pomoże mi się uwolnić. Ale znalazłem się w tym świecie po to, by je przeczytać i zrozumieć. I po to powołałem do życia pana.

– A te trzęsienia ziemi… To echa pańskiego bólu… – wyszeptałem.

– Tak. Ale nie jest to tylko ból fizyczny. To także strach przed śmiercią i rozpacz. Kiedy diagnoza nie pozostawia ci nadziei, a leczący cię doktor

mówi, że lepiej nie operować, bo możesz tego nie przeżyć, i że chemioterapia tylko pogłębi twoje cierpienia, wtedy następuje nowy etap. Mówisz sobie: jeśli zadufana w sobie nowoczesna medycyna nie jest w stanie poradzić sobie z tym atakiem, to jeszcze nie znaczy, że wszystko stracone. Są jeszcze cudotwórcze lekarstwa z chrząstki rekina i żeń-szenia, i energoterapeuci, i oczyszczające medytacje. Ale kolana coraz bardziej się trzęsą i nie wiedząc, na czym się oprzeć, stajesz się pobożny, chociaż w młodości miałeś gdzieś święte obrazki. Wsuwasz grube banknoty w otwory cerkiewnych skarbonek pełnych brzęczących miedziaków, żegnasz się ochoczo na widok zakopconych ikon, z gorliwością skruszonego grzesznika nabijasz sobie na czole guzy, bijąc pokłony, i masz cichą nadzieję, że w niebiańskiej księgowości już za chwileczkę poprawią bilans. Za późno: Pan już zadecydował i w Księdze Żywych na ten rok nie wpisano twojego nazwiska. Lekarze znów konstatują pogorszenie twojego stanu, wybijając ci z rąk ostatnią podporę. Wtedy rzucasz wyzwanie całemu światu i z fantazją kamikadze zaczynasz negować to, co się z tobą dzieje – od początku do końca. Wrzeszczysz na lekarzy, szydzisz ze zbolałych min swoich krewnych, przyjaciołom, którzy przyszli podtrzymać cię na duchu, każesz nie wtrącać się w nie swoje sprawy. Buntujesz się, póki starcza ci sił, ale w którymś momencie tracisz przytomność na środku ulicy, i wtedy odwożą cię do najlepszej kliniki, w której wbrew twojej woli umieścił cię wpływowy przyjaciel. I tam już, wyjałowiony, przykuty do kroplówki, otumaniony środkiem znieczulającym, pogrążasz się w niekończącym się koszmarze, z którego można zdać sobie sprawę, ale nie można się obudzić… Odcięty od świata zewnętrznego i uwięziony w samym sobie, szukasz możliwości, by to wszystko odwrócić, szukasz ratunku za wszelką cenę… Szukasz i nie znajdujesz. Rozpychasz się oślepiony, w poszukiwaniu wyjścia, ale wszędzie wpadasz na drut kolczasty… Niech pan mi odpowie: gdzie jest wyjście? Czego mam się spodziewać?!

A zatem zgotowano mi rolę wyroczni, od której oczekiwano ostatecznego,

niepodlegającego apelacji, wyroku. Tłumacza pomagającego podświadomości przekazać nieskończenie ważną wiadomość świadomemu umysłowi.

Kiedy milczałem, zbierając myśli, staruszek drżącymi palcami otworzył paczkę papierosów, zapalił i odetchnął głęboko. Wspominałem stronice przetłumaczonych przeze mnie ostatnich rozdziałów i z poczuciem coraz większej beznadziei zdawałem sobie sprawę, że nie jest mi sądzone dać mu to, na co tak liczy – pociechę i nadzieję.

Staruszek uniósł podbródek i zrozumiałem, że nie będę mógł go okłamać. Był z tych, którzy idąc na rozstrzelanie, odmawiają zakładania czarnej przepaski, chcąc patrzeć w oczy plutonowi egzekucyjnemu. Jego kusy płaszczyk założony na piżamę zamienił się jakby w generalski szynel, niedbale zarzucony na lśniący od orderów mundur.

– Jestem gotowy, wszystko panu opowiem – odezwałem się, przełknąwszy ślinę. – Wejdźmy do środka, zimno mi…

Capítulo I

(Capitulo I)

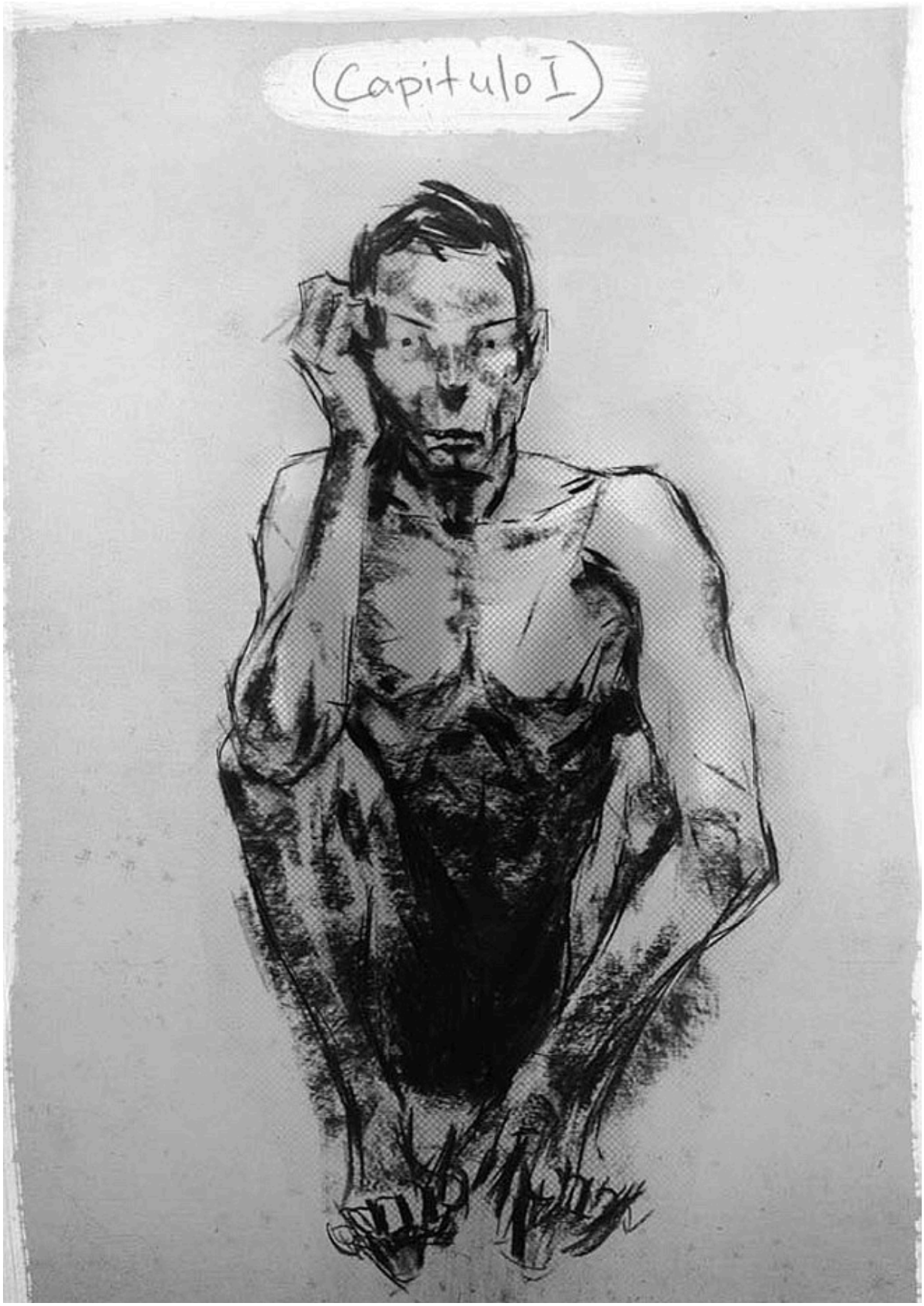

Usiedliśmy w kanciastych, wąskich fotelach, otworzyłem teczkę i zacząłem odczytywać mu dwa ostatnie rozdziały. Uważnie, w napięciu wsłuchiwał się w każde moje słowo; zamieniłem się jakby w pianolę, bezdusznie wygrywającą partyturę na perforowanych cylindrach: moje myśli były daleko. Po raz pierwszy ujrzałem w całości ten zawiły i przedziwny, przerażający i urzekający obraz. Teraz byłem ostatecznie pewny, że wszystkie części historii są mi znane i wskoczyły na swoje miejsca.

Dziwił mnie tylko ten dystans, z którym, będąc częścią tego wyobrażonego wszechświata i jego gasnącego boga, potrafiłem rozważać kwestię jego nadchodzącego końca. Ale czy to nie dlatego wyznaczono mnie na wyrocznię, że w każdym momencie umiałem powiązać wszystkie fragmenty jego osobowości i wznieść mosty między wszystkimi sferami zmierzchającej świadomości, wliczając w to jej piekło? Nie dlatego, że pozostawałem ostatnim ziarenkiem rozsądku w rozpadającym się świecie wewnętrznym tego człowieka?

Straszna choroba zbyt gwałtownie rozprawiała się z Knorozowem. Obłąkana, nieokiełznana chciwość życia, która szalała w starcu pomimo jego lat, nie pozwalała mu pogodzić się z postawioną diagnozą, z czarnymi prognozami lekarzy, i po prostu nie starczało mu czasu, żeby dogadać się z samym sobą – wciąż szukał czegoś, co mogło mu dać choćby cień nadziei…

Lecz troskliwi doktorzy, bojąc się, że buntownik zrobi sobie krzywdę, zawinęli go w pieluszki i wrzucili w narkotyczne odmęty, bezbarwnymi, fałszywymi głosami obiecując mu operację i ratunek, wiedząc jednak, że cenny czas już został stracony. Zdradzony i spętany, staruszek coraz głębiej pogrążał się w otchłań swoich sennych rojeń, wywołanych przez mity Majów, w których krył się w ostatnich latach przed coraz bardziej zimną i obcą rzeczywistością.

Jednak zamiast zatrzymać strumień jego myśli, morfina odwróciła go i skierowała na nowe, poplątane tory. W niekończącym się koszmarnym

śnie bez wyjścia, który umierający starzec musiał śnić za wszystkich jego uczestników, najważniejsze elementy nieszczęścia podstępni Majowie podmienili na własne metafory i obrazy.

Jakieś cząstki jego „ja” wciąż jeszcze pamiętały o wiszącej nad nim strasznej groźbie i wysyłały sygnały alarmowe załamujące się w pryzmacie podświadomości i przekształcające się w rozdziały dziennika konkwistadora, który jedna hipostaza Knorozowa pisała dla drugiej…

Historia choroby przeobraziła się w historię całego świata, prognozy lekarzy – w apokaliptyczne przepowiednie indiańskich czarowników, a sam stwórca tego halucynacyjnego światka – w Itzamnę, jego bezsilnego boga, opiekuna bezradnej nauki i wcielenie daremnej mądrości.

Konfrontacja stron jego osobowości chcących znać prawdę i sił, które ucinały wszelkie próby jej objawienia, zwierzęco chwytając się życia, w jego snach przybrała postać walki majańskich demonów z pragnącymi dotknąć wiedzy tajemnej ludźmi. Wszyscy zostali ukarani za ciekawość i tylko ja okazałem się nietykalną świętą krową. Pozwolono mi dotrzeć do najświętszych tajemnic, by następnie uchylić zasłonę nieba i dać mi porozmawiać z bogami.

I oto Itzamna-Knorozow siedział przede mną, wysłuchując cierpliwie ostatnich słów ostatniego rozdziału tego dziennika, osiągając to, czego ode mnie chciał. Teraz otworzyło się przede mną wszystko do końca; mogłem przekazać mu prawdę, której pragnął, jakkolwiek byłaby straszna…

> I że zapowiedzią końca świata stanie się niemoc owego boga, przez którą i świat popadnie w gorączkę.
>
> I że zamknie on oczy po raz ostatni, pogrąży się świat w wiecznych ciemnościach.
>
> I że kiedy zaczną się jego przedśmiertne konwulsje, zwijać się będzie cały świat od straszliwych wstrząsów ziemi i zapadania się gór, i szaleństwa mórz.
>
> A potem nastanie koniec.

Unikając odrywania wzroku od tekstu w obawie przed napotkaniem spojrzenia Knorozowa, powoli położyłem kartki na stertę i nie spieszyłem się, by znów zacząć z nim rozmawiać. Wiersze proroctwa były suche

i bezlitosne, jak werdykt trybunału wojskowego. Nie zostawiały miejsca na interpretację. Miałem nadzieję, że tym samym spłacę swój dług, i nie będę musiał wyjaśniać staremu, że dziennik, na który tak liczył, nie daje mu nawet cienia nadziei.

Ale Knorozow milczał. I po trwającej minutę ciszy zacząłem wątpić, czy zdołał lub zechciał zrozumieć to, co mu przeczytałem. Cóż… A więc moja rola nie została jeszcze odegrana do końca; zanim opadnie kurtyna i nastanie ciemność, powinienem jeszcze wypowiedzieć napisaną specjalnie dla mnie mowę końcową. Powinienem był ogłosić koniec jednego człowieka i koniec całego świata. Język przysechł mi do krtani; dwukrotnie otwierałem usta, chcąc zacząć, ale nie znajdowałem odpowiedniego słowa i pozostawałem niemy. W końcu niezgrabnie, z trudem, jakby ta krótka fraza składała się z tkwiących mi w gardle drewnianych klocków, wyrzuciłem to z siebie:

– Pan umrze.

Nie odzywał się. Zaniepokojony, wreszcie podniosłem wzrok: czy on mnie słyszy?

Itzamna wznosił się nade mną z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, wpijając się zębami w zbielałą dolną wargę i uparcie kręcąc siwą głową. To prawda, nie mogłem obiecać mu ratunku. Lecz odczytując i odtwarzając w pamięci dziennik konkwistadora, wciąż i wciąż powracając myślami do słów indiańskiej przepowiedni, rozumiałem, że jego wyobraźnia jednak nie powołała mnie do życia na próżno. Mogłem mu pomóc.

– Musi się pan z tym pogodzić. Po prostu pogodzić.

Czy to nie on sam mówił mi, że konwulsje, w jakich rzucała się ziemia w ostatnich tygodniach, były projekcją nie tylko i nie tyle jego cierpień fizycznych, ile zamętu, który ogarnął jego umysł i serce?

Jeśli naprawdę byłem zaledwie rozbłyskiem impulsów nerwowych w jego mózgu, to nie dane mi było uleczyć zabijającej go choroby i złagodzić cierpień trawiących jego ciało. W mojej mocy było tylko jedno:

zaprowadzić pokój w jego duszy. Daremna walka sprawiła, że stał się twardy, ale nie chciał porzucić wiary w możliwość ratunku. Jak przekonać go o tym, że ból ustąpi, jeśli tylko przestanie się opierać?

– Rękopis mówi, że świat ma swój koniec. Człowiek jest śmiertelny. Już w dniu, w którym pojawiamy się na świecie, na każdego z nas zostaje wydany wyrok. Całe życie poświęcił pan badaniu Majów, ale nie pojął pan ich najważniejszej mądrości. Pamiętając o śmierci, pokonali swój strach przed nią. My zaś odrzucamy śmierć i wynajdujemy lekarstwa, diety i gimnastykę oddechową, które obiecują nam przedłużyć nasze istnienie jeszcze chociaż o dzień, tak jakbyśmy ten dodatkowy, wybłagany dzień mieli przeżyć inaczej, nie tak nieudolnie i bezsensownie jak wszystkie inne odmierzane przez nas dni. Lecz pocieszając się iluzjami nieśmiertelności, potęgujemy tylko swój strach i ból w dniu, kiedy nieodwracalność końca staje się oczywista. Każdy Maja pamiętał o tym, że umrze. Każdy wiedział, że zginie cały świat. To przesądzone. Zapisano to w majańskich proroctwach, w każdej komórce ludzkiego ciała i na każdej cegiełce, z których zbudowano gmach świata. Czy takie wielkie znaczenie ma to, kiedy dokładnie nadejdzie ostatnia godzina? Żeby tak mówić, potrzebna jest wielka odwaga; Majom wpajano ją od najmłodszych lat, i nie sądzę, że odrzucanie tych instynktów przychodziło im łatwo. Ale w zamian za to zdobywali prawo, by żyć w spokoju i umierać z godnością. Jak ludzie, a nie jak zwierzęta.

Zatrzymałem się, gotów go wysłuchać, lecz Itzamna nie zaszczycił mnie odpowiedzią. Patrząc na mnie z pogardą i złością, wciąż kręcił przecząco głową. Powietrze wokół staruszka zgęstniało i naelektryzowało się tak, że aż mnie od niego odpychało. Stało się właśnie to, czego się obawiałem: moje wyjaśnienie proroctw okazało się niepożądane, a ja sam byłem żałośnie niepewny w swoich próbach pogodzenia go z tym, co nieuchronne. Oczekiwał przyjścia mędrca, może nawet pojawienia się mesjasza, ale zamiast tego do jego drzwi zapukał konformista, Judasz, którego głos

śpiewał na tę samą nutę co nieobecne głosy zrezygnowanych lekarzy.

Jaki czeka mnie los po tym, jak przesądziłem jego? Spopieli mnie wzrokiem na miejscu? Czy też wedrą się tu krwiożercze demony z jego koszmarów i rozerwą mnie na strzępy? Stałem się niewygodny, a to znaczy, że nie ominie mnie rychła rozprawa…

– Mogę panu pomóc odzyskać wewnętrzną równowagę. Odzyskać spokój, na który pan zasłużył. Pokonać strach. Pocieszyć pana. Wyspowiadać… Po to tu jestem – mówiłem szybko, obawiając się, że jeśli nie zdążę go uprzedzić, to po prostu rozpłynę się w powietrzu przez własną bezużyteczność.

– Do diabła ze spowiedziami!!

Od jego donośnego ryku, w którym pobrzmiewały grzmoty jukatańskich burz, po ścianach przeszedł dreszcz przerażenia, a pode mną ugięły się nogi. Dopiero teraz zacząłem wierzyć – sercem, a nie głową – że to rzeczywiście jest stwórca i władca losów naszego małego absurdalnego wszechświata.

– Nie potrzeba mi spowiednika! Nie mam ochoty się z niczym godzić! Na co czekałem, czego szukałem przez te wszystkie tygodnie?! Na co to wszystko było? W imię czego?!

Ale nie miałem prawa odciąć się od swoich słów. Mrużąc oczy i drżąc, gotów na błyskawiczną egzekucję, lecz z uporem – jak mokry ze strachu, przywiązany do smolnego słupa i obłożony chrustem heretyk w hańbiącej szacie, nie mogłem ustąpić. Po co kłamać na Sądzie Ostatecznym?

– Jak pan może ciągle tego nie widzieć? Przecież proroctwo przytacza dokładny wykaz znaków zapowiadających koniec świata. I wszystkie one się wypełniają…

– Przeczytaj mi ten fragment jeszcze raz! – rozkazał.

Usłuchałem w nadziei, że pomoże mu się to opamiętać. Ale ledwo skończyłem rozdział, Knorozow nieco łagodniejszym tonem zażądał, bym przeczytał go jeszcze raz. Zdawało się, że usłyszał w moich słowach coś, co

było ukryte przede mną samym. W miarę jak po raz trzeci, piąty, dziesiąty powtarzałem wykuty już na pamięć fragment dziennika, zmarszczki na jego czole wygładzały się, a rozżarzone węgielki gniewu w jego oczach bladły, aż całkiem zgasły.

– Biedaku – odezwał się wreszcie. – Nic w końcu nie zrozumiałeś, ale zdołałeś mi to przekazać…

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem, czekając na wyjaśnienia.

– Oni nie podają daty! Zabraniają wyliczania dnia, w którym umrze świat. Wiedza rzeczywiście jest wyrokiem. Jeśli wiesz, ile ci pozostało, całe życie zamienia się w oczekiwanie na egzekucję w samotnej celi. A co jeśli w proroctwie popełniono jeden jedyny błąd w obliczeniach?! Nie wolno tracić wiary. Co, jeśli mogę jeszcze wyzdrowieć?! Przecież operacja może jeszcze zakończyć się sukcesem! Czyżbyś nie zrozumiał najważniejszego w tej przeklętej historii? Majowie zginęli, bo sami wywróżyli swój koniec, i wierząc w niego bez zastrzeżeń, sami go z góry przesądzili. Proroctwo nie ziściłoby się, gdyby go nie urzeczywistnili. Co z tego, że jestem śmiertelny? Prosta staje się odcinkiem, jeśli ograniczyć ją dwoma punktami. Dopóki nie ma drugiego punktu, jest półprostą, która prowadzi od momentu narodzin do nieskończoności. Nie chcę wiedzieć, kiedy umrę! I dopóki nie wiem, kiedy nadejdzie moja godzina, jestem wieczny!

Czy warto było dalej się z nim spierać? Czyż nie powiedziałem wszystkiego, co mogłem powiedzieć? Nie zrobiłem wszystkiego, co mogłem zrobić? Pochyliłem głowę i zrobiłem krok w kierunku wyjścia. Tam, gdzieś niewyobrażalnie daleko w dole, dożywał swoich ostatnich dni mój świat i chciałem zdążyć się z nim pożegnać. Przejść się Arbatem, wystawić twarz na zimny styczniowy wiatr, obmyć się spadającym na moje dłonie śniegiem, potrzeć policzkiem o szarą korę przyprószonych topoli, posłać Moskwie pocałunek z Worobiowych Gór… Jeszcze raz nastawić płyty Milesa Davisa, Benny’ego Goodmana czy Andrew Agafonoffa, jeszcze raz wciągnąć gęsty aromat świeżej kawy, wreszcie zadzwonić do

przyjaciół z uczelni…

Co z tego, że tych przyjaciół nie ma i nigdy nie było, tak jak nie było i nie ma ani mnie samego, ani moich rodziców? Co z tego, że nigdy się nie dowiem, ani co tak naprawdę znajduje się w miejscu Mauzoleum, ani jak w rzeczywistości wygląda Jean-Paul Belmondo czy Marylin Monroe, no i czy w ogóle istnieli?

Nie widziałem i nie zobaczę innego świata niż ten, w którym na placu Czerwonym wznosi się majańska piramida ofiarna, gdzie Moskwę okupują zmęczeni nieżyjący żołnierze, gdzie jak fałszywe złoto wabią mieniące się kopuły nowo stawianych cerkwi i przez kaprys nieznanej wyższej istoty ludzie tęsknią za przeszłością i obawiają się tego, co nadchodzi… Świata ulepionego na obraz i podobieństwo jednego jedynego człowieka, w którego ciasnej świadomości wszyscy się gnieździmy, myśląc, że to właśnie jest bezkresny wszechświat.

Kocham ten świat dokładnie takim, jakim go znam. I chcę mu o tym powiedzieć. Póki jeszcze nie jest za późno…

Knorozow zatrzymał mnie w drzwiach.

– Proszę zaczekać. Proszę, niech pan weźmie pierwszy rozdział. Mnie już zupełnie do niczego nie jest potrzebny… I wie pan co? Dziękuję panu. Nie na darmo się pan tutaj pojawił. Może pan mnie uznać za szaleńca, ale pomógł mi pan. Dał mi pan siłę walczyć. I nawet jeśli moja walka jest skazana na porażkę, to nie cofnę się i jej nie porzucę. I nie będę się więcej interesował przepowiedniami. Żegnaj. – Wyciągnął do mnie dłoń.

Zanim go opuściłem, mój wzrok padł na wiszące na ścianie odbitki. Jedna z nich sprawiła, że się zatrzymałem.

– Proszę mi powiedzieć, co na pańskich zdjęciach robi mój pies?

– Pański? – zaoponował zmęczonym głosem. – Ależ nie, to mój pies, Quetzal. Oczywiście od dawna już nie żyje…

– To bez znaczenia. – Łagodnie się uśmiechnąłem. – Proszę pana, niech pan z nim czasem wychodzi na spacer. Nudno mu tam, i taką ma ochotę

pobiegać…

– Wiem o tym. – Uśmiechnął się do mnie w odpowiedzi, po raz pierwszy, odkąd tu byłem. – Wiem.

…

Winda runęła w przepaść z niewyobrażalnym łoskotem i z taką prędkością, że przestraszyłem się, czy nie zostaję przypadkiem zesłany za swoją niewiarę do piekła. Ale nie; po upływie zaledwie kilku minut wypuściła mnie z powrotem w zakurzonych muzealnych korytarzach. Albo Itzamna był szczery, dziękując mi za pomoc, albo nie istnieje inne piekło oprócz tego, w którym zwykle przebywamy.

Wydostałem się na zewnątrz przez główne wejście, odnajdując je dzięki drogowskazom. Brnąc ożywioną ulicą, cały czas rozmyślałem nad naszą rozmową. Knorozow nie chciał mnie słuchać; a zatem który z nas prawidłowo zrozumiał przesłanie Casa-del-Lagarty? Co nas czeka, gdy nastanie kres, i czy powinniśmy się tego bać?

W końcu całe życie człowieka jest w istocie powolnym umieraniem. Umieramy nawet nie my sami – stopniowo więdnie otaczający nas świat. W pierwszych latach naszego życia, tak jak my, znajduje się w rozkwicie. (Czy nie dlatego wspomnienia z czasów dzieciństwa są tak żywe?) Otaczają nas bliskie istoty – ojciec, matka, babcie, dziadkowie, za nimi pojawiają się przyjaciele z przedszkola i szkoły, rozkwita pierwsza miłość. To są właśnie kamienie węgielne, na których powstaje mały wszechświat każdego z nas. W dzieciństwie i młodości jest całkowicie realny i poznawalny, dopóki wszyscy drodzy nam ludzie są wśród żywych. Z każdym z nich wiążą nas miriady cieniuteńkich nitek: wspólne myśli, spędzone razem wakacje, lekkie romanse, od których kręci się w głowie, wyciągnięta na czas pomocna dłoń. Splatając w jedną całość wspomnienia i przeżycia, to właśnie ci ludzie tkają jedwabną przędzę naszej rzeczywistości, naszego świata, naszego życia.

Lecz lata mijają, a oni opuszczają nas, jeden po drugim, zamieniają się w bezcielesne widma i znajdują swą ostatnią przystań w naszych wspomnieniach. Próbując sprawić, by najdroższy głos choć przez ułamek sekundy zabrzmiał w naszej głowie, starając się wydobyć z niebytu czar ich uśmiechu, godzinami możemy na próżno przyglądać się ich fotografiom. Bólu utraty ukochanej istoty nie da się przezwyciężyć, przytępia go tylko czas.

I z każdą nową śmiercią nasz wszechświat przesuwa się coraz bardziej w inny wymiar – na płaszczyznę naszych fantazji, naszej pamięci. Odchodzi w przeszłość, coraz mniej żyjemy dniem dzisiejszym i coraz bardziej pogrążamy się we wczorajszym, który nieostro i mgliście odcisnął się w naszej świadomości.

Pierwsze odchodzą babcie, dziadkowie, umiera pies, który był obok nas, kiedy dorastaliśmy – i razem z nimi umiera nasze dzieciństwo. Ich śmierć jest granicą: za nią zaczyna się tak zwana dorosłość.

Potem przychodzi kolej na rodziców; kiedy i oni nas zostawią, będzie to oznaczać, że dorosłe życie się skończyło i stoimy u progu starości. I oto umiera któryś z dawno już posiwiałych szkolnych przyjaciół lub bezzębnie, lecz z dawnym wigorem uśmiechających się do was kolegów z uczelni; w końcu mąż lub żona.

To ostatni znak: czas się szykować. Ponieważ cały nasz świat, niczym ogromny tonący transatlantyk, pogrąża się w odmętach przeszłości. Ciemne wody kropla po kropli zaleją kajuty wspomnień, zamieszkane przez obrazy kolegów, towarzyszy broni, fantomy ojców i braci, matek i sióstr… Wedrą się do wystawnych sal balowych, w których świętowaliśmy swoje małe triumfy: zdane egzaminy szkolne, zrodzone w bólach przyjęcie na uczelnię, podboje miłosne, wesela i narodziny dzieci, wyczekiwane latami awanse w pracy. Zatopią też ładownię, w której gniją czarne chwile naszego życia: chcielibyśmy zatrzasnąć je na głucho, lecz pamięć sączy się szczelinami, które nigdy się nie zabliźnią.

Gdy jesteśmy starzy, o wiele bardziej należymy do dnia wczorajszego niż do teraźniejszości. I oklejona pożółkłymi od upływu czasu zdjęciami cela Knorozowa-Itzamny, jego salka szpitalna w wieży z kości słoniowej mało różniła się od pokojów, w których dożywają swoich dni inni samotni starcy.

Często nie akceptują nowego życia, swarliwym głosem odrzucają teraźniejszość, nie jest im potrzebna, wdziera się do szczęśliwego, malowanego akwarelami świata ich przeszłości. Ich „Titanic" niemal poszedł już na dno, ale oni nie chcą go opuścić. Stojąc przy zardzewiałym sterze, bacznie wpatrują się za siebie, w dal. Żyją wspomnieniami, ich świat prawie całkowicie przemieścił się w wymiar widm i iluzji, gdzie żyją ich rodzice, gdzie można poczuć na skórze szorstką dłoń gładzącego ich po policzku dziadka i gdzie wciąż jeszcze słychać zawzięte szczekanie ich ukochanego psa, domagającego się, by znów rzucić mu patyk, by ta wesoła i prosta zabawa nigdy się nie kończyła…

…Kiedy fale zapomnienia dotrą do mostka kapitańskiego i obmyją nasze stopy, trzeba będzie jedynie z godnością zasalutować po raz ostatni i w milczeniu zamknąć oczy. I wtedy to my z kolei staniemy się tą granicą, która wyznaczy kres dzieciństwa dla naszych wnuków i początek starości dla naszych dzieci.

…

Nie podejmuję się powiedzieć, ile dokładnie czasu spędziłem na audiencji u Boga: nie miałem zegarka. Jeśli sądzić po ciemnym nieboskłonie, rozrzedzonym tylko mętną zawiesiną chmur, był późny wieczór, a może już noc. Jednak wokół było dziwnie dużo ludzi. Robotnicy i ratownicy wciąż uprzątali rumowiska, a w miasteczkach namiotowych, którymi obrosły przerzedzone przez trzęsienie ziemi ulice, wrzała niezdrowa, gorączkowa aktywność. Widocznie mieszkańcy miasta bali się teraz spać, nie wiedząc, czy uda im się jeszcze otworzyć oczy, jeśli choć na chwilę je zamkną. Cóż, można im było wybaczyć ten strach, przecież nie wiedzieli tego co ja. Po

mojej dyskusji z Itzamną jakoś nie miałem ochoty obwieszczać im rychłego i nieuniknionego końca.

Jak spędzicie te kilka dokładnie wyliczonych godzin, które wam pozostały? Co zaczniecie robić, gdy zrozumiecie, że ze wszystkim już nie zdążycie? Które z dawnych marzeń spróbujecie zrealizować?

Nie było mi wiadomo, ile czasu pozostało mi jeszcze na zamknięcie moich ziemskich spraw; ale wśród nich była jedna niecierpiąca zwłoki. Otrzymałem pierwszy rozdział dziennika Casa-del-Lagarty. Ten sam, przez który potwory pożarły nieszczęsnego tłumacza iberystę, być może za to, że zajrzał za barwną, sztuczną fasadę świata i odkrył, że sypie się on jak stare, spróchniałe drzewo. Według sennika Knorozowa jego śmierć świadczyła o wyjątkowości zawartych w tym rozdziale informacji. Pracownik biura tłumaczeń bezkarnie zmógł o wiele większą część książki, aż przyszli i po niego. Prawdopodobnie same pierwsze stronice dziennika były warte tyle, co wszystkie środkowe rozdziały razem wzięte.

W domu nie działało światło; kawę musiałem gotować przy świeczkach. Pobrzękując spodeczkiem, przeszedłem do pokoju, ostrożnie umieściłem lichtarz na biurku i z błogością otworzyłem skórzaną aktówkę. Ile to już razy przychodziło mi fantazjować o tym, co faktycznie skrywają zaginione stronice, z których pierwsza zwieńczona była ciężkim tytułem „Capítulo I”… I dopiero teraz, przed końcowym akordem niebieskich organów, dostałem pozwolenie, by go przeczytać. Moja droga kończyła się dokładnie tam, gdzie zaczynał swoją włóczęgę hiszpański konkwistador: w mieście Maní, chłodnego kwietniowego ranka 1562 roku.

> Imię moje brzmi Luis Casa-del-Lagarto. Pochodzę ze starożytnego szlacheckiego rodu i moi przodkowie służyli jeszcze królowi Kastylii Ferdynandowi i jego królewskiej małżonce Izabeli I, i Ich Wysokoście znały ich jako wiernych wasalów, gotowych bez wahania oddać życie i duszę za Koronę. Urodziłem się w Madrycie i kontynuując tradycję mężów z mego rodu, zostałem żołnierzem. Szlachetny mój klan zubożał; w poszukiwaniu sławy, a przede wszystkim środków do życia godnego szlachcica, gdy

skończyłem dwudziesty ósmy rok, postanowiłem wyprawić się do Indii Zachodnich, które podbił dla Korony señor Hernán Cortés, największy ze zdobywców. Tak oto przybyłem na Jukatan, gdzie służyłem około pięciu lat, poskramiając Indian i przyczyniając się do umocnienia władzy Króla i Papieża. Tam to zaprzyjaźniłem się z mnichami, którzy doskonalili moją umiejętność pisania i czytania, dzięki czemu mogę teraz pisać te wersy. Tam to miałem udział w przedziwnej historii, z której, z Boską pomocą, zdam sprawę w tym opowiadaniu.

Iż Jukatan, który dawniej za wyspę uważano, w istocie jest częścią nie dość zbadanego lądu. Iż ziemia jest tam równa, pozbawiona wzniesień, i stąd licho widoczna z okrętów, i że jedynie na ziemiach między Campeche a Champotónem widać wzgórza, z których największe zwie się Los Diablos, dla którego to imienia istnieją złowieszcze przyczyny.

Iż brzegi są tam także równe i niskie, przy płytkim dnie, i stąd duże okręty nie mogą blisko do nich podchodzić i żeglują w pewnym oddaleniu; samo zaś dno jest muliste, dlatego jeśli zdarzy się, iż okręt wyrzucony zostaje na brzeg, ginie niewielu. Jednak pod mułem są skały, które często niszczą liny kotwiczne.

Iż ziemie Jukatanu zaludnia lud indiański, który zwie się Maya. Iż lud ów dawno temu był wielki, o czym i po dziś dzień przypominają wzniesione przez nich budowle; lecz stało się tak, iż zawierzywszy swym kapłanom i wróżbitom wieszczącym Sądny Dzień, przed terminem, w wyznaczonym momencie porzucił swe miasta i utracił pamięć swej historii. Iż w naszych czasach Hiszpanie skłonili ich do wiary Chrystusowej, czym ustrzegli ich od nowych pokus, lecz i nie dali im pamiętać nauk pradziadów.

Iż żołnierz piszący ten dziennik wolą Pana został wplątany w wydarzenia, które odkryły przed nim wiedzę tajemną ludu indiańskiego, a największą jest wieszczba o końcu świata i wierne jego znaki, a także inne przepowiednie. Iż owe tajemnice zapisano w starożytnej księdze indiańskiej, zwącej się kroniką przyszłości, która to księga wpadła w moje ręce podczas wyprawy w głąb Jukatanu w roku 1562.

Iż niejaki Diego de Landa, mnich franciszkański, przeor klasztoru w mieście Izamal, cieszący się wsparciem gubernatora i błogosławieństwem generała swego zakonu, zasłyszał o tej zadziwiającej księdze od zaufanych ludzi. Iż zarówno ci Indianie, których chrzcił, jak i ci, którym zadawał męki, mówili mu jednako, jakoby nie było pisma świętszego niżeli ta księga, ani wiedzy ważniejszej aniżeli ta się w niej kryjąca, albowiem cały świat jest w niej zawarty od początku aż do końca.

I że uznał ową księgę za heretycką i bluźnierczą, miesza się bowiem w Boży zamysł, i wielce niebezpieczną, gdyż przepowiadając wszelkie rzeczy, którym sądzone jest się wydarzyć, dowodzi Indianom, a również i Hiszpanom, że nikt, nawet Pan, nie posiada mocy, aby zmienić to, co w niej zapisano.

Iż lękając się tego, że kronika ta zaszkodzi nie tylko położeniu Hiszpanów w Jukatanie, lecz po przełożeniu na kastylijski zdoła zasiać zamęt w sercach wszystkich katolików w Europie, zadecydował, aby ją unicestwić. Jednakże w obecności ludzi mówić o tym, iż

taka szatańska księga istnieje, nie zdecydował się; najważniejsze zaś, iż nie wiedział, ani jak ona wygląda, ani gdzie jej szukać.

Iż wtedy zapewnił ów brat Diego de Landa pozostałych mnichów i gubernatora, i oficerów, że tak długo, jak długo tubylczy kapłani wciąż mają wszelkie rękopisy, jak również idole, indiańska wiara w Jezusa Chrystusa i Przenajświętszą Dziewicę Maryję pozostanie płytka niczym przybrzeżne wody Jukatanu. I że za pretekst posłużył wypadek, kiedy to brat de Landa odkrył zakrwawione bałwany, którym Indianie jakoby składali ofiary w Maní.

Iż rozesłał on oddziały Hiszpanów do wszystkich okolicznych siół indiańskich i ci zabrali ukryte tam starożytne księgi, a razem z nimi drewniane idole i inne rzeczy, z których poganie korzystali, by czcić swoje bożki. Iż wszystkim im nakazano, aby przywozili to, co zabrali, do Maní, a gdy okaże się to niemożliwe, to aby palili te przez dzikusów stworzone diabelstwa od razu na miejscu.

Iż w jedną z takich ekspedycji zostałem wyprawiony zarówno ja, jak i zaufany brata de Landy, brat Joaquín Guerrero, i señorzy Vasco de Aguilar i Jeronimo Nuñez de Balboa, a prócz nas jeszcze około czterdziestu Hiszpanów i indiańscy przewodnicy. Iż ani mnie, ani dwóm pozostałym szlachetnym panom nie powiedział brat de Landa nic o prawdziwym celu wyprawy, powiedział zaś tylko bratu Joaquínowi Guerrero.

Iż wszystkie rękopisy indiańskie, w wielkiej obfitości zwiezione do Maní przez żołnierzy, 12 lipca roku Pańskiego 1562 brat Diego de Landa wydał na pastwę płomieni, urządziwszy największe *auto de fé*, jakie kiedykolwiek widziano na Jukatanie. Iż zamyślone ono było jedynie, aby unicestwić kronikę przyszłości. I że po owym *auto de fé* nie pozostała u Indian ani jedna księga, i tak uwierzył brat de Landa, iż rzeczony manuskrypt został zniszczony pośród innych.

Jakoż księga, którą chciał spalić, została jednak uratowana. I że zamysł Pański, wedle którego miała być ocalona dla wówczas żyjących i dla dzieci ich, i dla dzieci ich dzieci, i wnuków ich wnuków, dokonany był moimi rękami. Iż święty ten manuskrypt, przekazany mi przez indiańskich kapłanów, zdołałem ustrzec i przywieźć do Madrytu, gdzie też ukryłem go pośród królewskich archiwów.

Iż *auto de fé*, które przeprowadził zaślepiony swą żarliwością brat de Landa, obserwowałem przebrany za kupca i z twarzą zmienioną nie do poznania. Iż opodal płonącego stosu widziałem też brata Joaquína, człowieka podstępnego niczym wąż i równie żywotnego – był jedynym, prócz mnie, który wrócił z naszej ekspedycji.

Iż sam zdołałem dotrzeć z powrotem do Maní żywy tylko dzięki pomocy wiernego mego przyjaciela Indianina Juana Nachiego Cocoma i przewodników Maya, którzy wiedli mnie, omijając wszelkie niebezpieczeństwa potajemnymi ścieżkami; bratu zaś Joaquínowi pomagał nie kto inny jak sam diabeł.

Iż potem pierwszą karawelą wypłynąłem na powrót do ojczystej Kastylii, gdzie za otrzymane od Maya szczodre dary, pośród których były i złote zdobienia, nabyłem

ziemię, i gdzie po dziś dzień żyję w pokoju.

Iż sztormy oszczędziły i okręt, którym płynąłem z Jukatanu do Hiszpanii, i dalsze moje życie: jako strażnika indiańskich przepowiedni Pan pewną ręką chroni mnie przed wszelkimi niebezpieczeństwami.

Iż strzegąc pamięci o przyszłości, nie tylko wiem, iż świat ma swój kres; pamiętam i o tym, jak oszukali się Maya, wieszcząc własny upadek. I że znaki zgodne z przepowiednią ukazywały się i dawniej, przez co przodkowie nasi błądzili i ulegali pokusie. Iż pamiętam o owej przestrodze przed próbami odczytania swego losu, którą zostawili nam potomkowie starożytnych Indian.

Albowiem w świadomości nieuniknionego końca kryje się spokój, a w niewiedzy – nadzieja; niewiedzą zaś i nadzieją żyje człowiek. I w przeddzień końca świata będzie pielęgnował nadzieję, gdyż tak został stworzony. Ten zaś, co ją porzucił, nazbyt wcześnie wydaje na siebie wyrok. I aby to pojąć, wysłał mnie Pan do Jukatanu z ekspedycją, o której teraz opowiem.

Ot i wszystko. Koło opowieści się zamknęło. Co było dalej, już wiedziałem.

Delikatnie odłożyłem kartki na biurko i zacząłem nasłuchiwać. Minęło niemało czasu, zanim udało mi się zmóc i przepisać na czysto rozdział pierwszy, ale nowe spazmy kataklizmu nie nastąpiły. Wyobraziwszy sobie, że jestem przyczajonym w zasadzce pająkiem, na próżno próbowałem wyczuć najlżejsze wibracje ścian. Ziemia, jak się zdawało, było spokojna… Ale czy na długo?

Zegar na ścianie twierdził, że był kwadrans po dziesiątej. Co za kompletny idiotyzm! Najwidoczniej jeden ze wstrząsów uszkodził mechanizm i zacięły się kółka zębate, unieruchamiając wskazówki w chwili, w której zaczęło się trzęsienie ziemi: za oknem kłębił się wciąż ten sam ciężki mrok. Jedenasta wieczorem według wszelkich moich obliczeń dawno już minęła, a na dziesiątą rano na zewnątrz było zbyt ciemno.

Jednak kiedy po jakichś piętnastu minutach niespokojnego błądzenia po mieszkaniu znów napotkałem wzrokiem cyferblat, duża wskazówka posunęła się w dół równo o ćwierć obrotu. Zegar znów chodził? Zabawne.

I tu coś mi przemknęło przez głowę… Wspomnienie? Myśl? Wyraziste jak pierwszy przebłysk *déjà vu* i równie efemeryczne, ulotne. Uczepiwszy się tego obrazu, ostrożnie, jakby wisiał na mającym się zaraz przerwać

włosku, przyciągnąłem go do siebie… Coś związanego z indiańskimi obrzędami… Boże!

Zmartwiałem. Kolana się pode mną ugięły, poczułem nieprzyjemne łaskotanie w brzuchu. Bojąc się tego, co zaraz zobaczę, wyciągnąłem z szuflady biurka elektroniczny zegarek na rękę z urwanym paskiem. Ten akurat pozostawał nieprzekupny i obojętny na dowolne wstrząsy. I pokazywał dokładnie to samo co zegar na ścianie, to samo co kremlowskie kuranty, to samo co wszystkie inne prawidłowo chodzące zegary w tym mieście.

Do jedenastej faktycznie pozostało już całkiem niewiele czasu, a na dworze wciąż panował duszny, nieprzenikniony, niemożliwy mrok.

Rozchlapując gorący wosk, rzuciłem się do regału z książkami, na którym E. Jagoniel udawał, że śpi. Tak, był gotów, by jeszcze raz opowiedzieć mi o dziwnym i magicznym rytuale odprawianym przez jukatańskich Indian raz na pięćdziesiąt dwa *haaby*, kiedy wszechświat stawał na skraju przepaści. O tych strasznych pięciu dniach, w których świat był wydawany na pastwę potworów i demonów, a ludzie, cisi, przestraszeni, kryli się po swoich chatach i pałacach, nie ośmielając się przekraczać progu drzwi. Ponieważ na pięć nieskończenie długich dni duchy śmierci były spuszczone z łańcucha i grasowały po świecie, zaglądając chciwie w okna ludzkich siedzib. A na koniec tej próby ci, którzy ją przetrzymali, musieli stawić czoła jeszcze jednej, o wiele poważniejszej.

Kiedy czytałem opisy obrzędów i przypominałem sobie ich sens, minęło jeszcze około pół godziny, lecz niebo pozostawało tak samo czarno-szare, brudne, nieprzeniknione. Nie potrzebowałem już interpretacji, Jagoniel wszystko mi objaśnił. Chociaż tężec, od którego świat skręcał się w bolesnej agonii, został powstrzymany, nie oznaczało to zmiany wyroku. Przeciwnie… Przyszła mi na myśl ta niemoc, w której opada ciało zabijanego na krześle elektrycznym skazańca po wyłączeniu prądu.

Cóż… Pozostało mi tylko jedno.

Do swojej ostatniej wyprawy przygotowałem się gruntownie, jakbym wyruszał z ekspedycją na biegun północny. Termos z herbatą, ciepłe ubranie, długopis i ryza czystego papieru, dwa opakowania stearynowych świec, szklany klosz, żeby nie zgasły. Tak, powinienem wziąć jeszcze jeden sweter: tam, na górze, jest teraz pewnie bardzo wietrznie…

Wchodząc po schodach na dziesiąte piętro, przykładałem ucho do drzwi mieszkań sąsiadów. Wszędzie było cicho; tylko w dwóch z nich stłumione rozmowy przeplatały się z płaczem dzieci. Mroczny, uroczysty nastrój tych chwil odczuwałem nie tylko ja: ludzie bali się mówić głośno i opuszczać schronienie własnych czterech ścian, wyczuwając czyhające na nich w zewnętrznym świecie demony. Ale ja się ich nie bałem: cóż znaczy spotkanie z duchami w porównaniu z tym, co musi spotkać cały świat w nadchodzących godzinach?

Z łatwością wyłamałem zamek i milicyjną plombę, które zagradzały mi wyjście na dach. Większość praw i reguł, pełnych znaczenia w zwykłych czasach, w przeddzień apokalipsy traci wszelki sens. Wiatr wieczności zrywa z człowieka całą naniesioną przez społeczeństwo łupinę, całą narośl cywilizacji, pozostawiając go pierwotnym, nagim i bezbronnym – sam na sam ze sobą i światem, jeden na jeden z bogami i ze śmiercią.

Wbrew moim oczekiwaniom na dachu niemal nie było zimno. Gęste szare strzępki obłoków, wymalowane grubą warstwą olejnej farby na czarnym płótnie nieboskłonu, zastygły, jakby ustał boski oddech, który zwykle porywał je i gonił w dal. Jakby przede mną naprawdę był martwy obraz.

Rozejrzałem się.

Stalinowski, dziesięciopiętrowy dom w dzisiejszej, nafaszerowanej hormonem wzrostu Moskwie nie zapewnia już, jak kilkadziesiąt lat temu, górowania nad okolicą. Może i chciałbym znaleźć lepszy punkt widokowy, aby jako pierwszy ujrzeć przybycie aniołów apokalipsy, jednak Jagoniel ściśle zalecał tym, którzy chcą kontemplować koniec świata, by zajmowali miejsca konkretnie na dachach swoich domów, i nie zamierzałem naruszać

rytuału działającego od tysiącleci. Poza tym widok na miasto, który się stąd przede mną roztaczał, był i tak całkiem niezły.

Prawie cała Moskwa pozbawiona była światła, tylko w nielicznych miejscach, w budynkach, które widocznie były wyposażone we własne generatory, migotały oazy elektryczności. Kleisty mrok leniwie obmywał ciężkie bryły arbackich domów, niespiesznie płynął martwym korytem meandrycznego Sadowego Kolca, falował u podnóży stalinowskich wieżowców, które niczym groteskowe torty weselne wznosiły się nad pozostałymi budynkami. Gdzieniegdzie uwijały się światła samochodów, uderzając bezładnie w niewidoczne z tej wysokości przeszkody i usiłując przejechać po spiętrzonym asfalcie.

Podszedłem do samego gzymsu, zwiesiłem nogi w dół i obróciłem twarz ku wschodowi. Było już pewnie około południa, ale horyzont pozostawał równie pusty i czarny jak w bezksiężycową noc. Czy doczekam się wschodu słońca? Jukatańskim Indianom, którzy na koniec każdego półwiecznego cyklu tak samo niecierpliwie wyczekiwali pojawienia się na niebie osłabionego Ah Kinchil, każda sekunda musiała wielokrotnie się wydłużać, sprawiając, że oczekiwanie zdawało się nie mieć końca.

Wiem, że kres jest nieunikniony. Widziałem wszystkie znaki Armagedonu i byłem przekonany, że prawidłowo je zinterpretowałem. Pozostaje tylko czekać na ostatni, kończący cios, który sprawi, że niebo spadnie na ziemię i zetrze w pył, do ostatniego, wszystkich ludzi i wszystko, co stworzyli, i samą pamięć o nich i że czas się zatrzyma.

Wiem, że umierający Bóg, rozpaczliwie walczący z pożerającą go chorobą jest skazany na klęskę. Że można wyswobodzić się z objęć Morfeusza, ale że morfina nigdy swego chwytu nie rozluźnia i nie wypuści Knorozowa. Że ja, tekturowy statysta z jego snów, razem z całym otaczającym mnie wszechświatem, zamurowany w samotnej celi jego świadomości, zniknę w tym samym momencie, w którym zmarszczki na jego czole i linia kardiogramu spokojnie się wyprostują.

Wiem, że ta apokalipsa przejdzie niezauważona. Ile takich niewyobrażalnie bogatych, zajmujących, bezkresnych wszechświatów rodzi się i ginie każdego dnia, nie znajdując swoich kronikarzy, pozostawiając wspomnienie o sobie tylko w postaci wykazów statystycznych i kamieni nagrobnych, gdzie całe, przyprawiające o zawrót głowy życie człowieka, którego wszystkich aspektów sam nie zdołał spamiętać, zostanie ściśnięte do dwóch suchych dat.

Człowiek jest śmiertelny.

Lecz w takim razie, dlaczego wciąż jeszcze siedzę na dachu starego arbackiego domu, siedzę już od tylu godzin, że starczyło mi czasu, aby zapisać całą tę historię, i wciąż się wpatruję, do bólu w oczach wpatruję się w dal, poza horyzont, czekając bez końca, czy słońce wzejdzie jeszcze nad ziemią i rozproszy martwy mrok?

Czy nie dlatego, że człowiekowi, który przychodzi na świat na czas niewiele dłuższy od czasu wyznaczonego jętce jednodniówce, dana jest, podobnie jak temu owadowi, pociecha: lekkomyślność i niewiedza. Ta bezmyślna iluzja nieśmiertelności to wszystko, co mu zaproponowano zamiast wiecznego życia w rajskim ogrodzie. Dlatego nie da się jej pozbawić człowieka, tak jak nie da się zabić nadziei, odradzającej się wbrew wszystkiemu, nawet w najbardziej jałowej duszy.

…Jestem tu już całą wieczność i gotów jestem tkwić w tym miejscu jeszcze równie długo. I nie porzucę swojego posterunku, póki nie zobaczę, jak poprzez kłęby burzowych chmur gdzieś niewiarygodnie daleko przebłyskuje pierwszy promyk podnoszącego się z łoża śmierci Słońca.